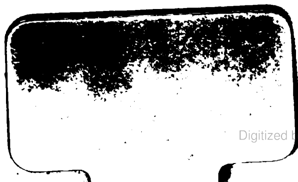

TAYLOR INSTITUTION
DOMI MINA
NUS TEO
ILLU MEA





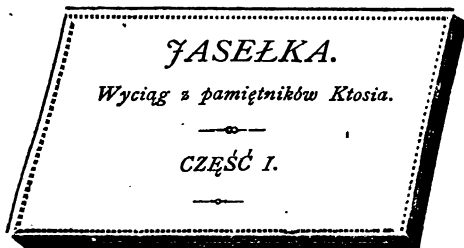
WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

WYDANIE JUBILEUSZOWE.

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM IV.

WARSZAWA.
DRUK JÓZEFA UNGRA
ulica Nowolipki Nr 3.

1884.

Дозволено Цензурою.

Варшава 21 Декабря 1863 года.

JASEŁKA.

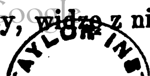
WYCIĄG

Z PAMIĘTNIKÓW KTOSIA.

Heraldycy nasi i historycy rodzin szlacheckich często niedarowane popełniają błędy, i grzeszą nieświadomością najgrubszą, która na nich zżymać się i ramionami ruszać każe, choć najmłodszy z nich przeszło od stu lat spoczywa w grobie, i te oznaki niezadowolenia wcale go już nie obchodzą. Ale dobrze jednak choć tém sobie ulżyć nieco i nagderać na nieboszczyków, bo żywi ani słowa na siebie nie dają powiedzieć.

Mijam już to, że wielu bardzo słusznych i zacnych obywateli, prawdziwych karmazynów i najpotężniéj herbownych (bo nawet lokaje i stangreci ich na kołnierzach, guzikach i kamizelkach rodowód familijny noszą) nie znajduję ani w Paprockim, ani w Olkoskim, ani w Niesieckim, ani nawet w Kuropatnickim i Wielądku; ale, co daleko gorsza, książęcym rodzinom, hrabiowskim gniazdom dostało się po tebinkach jakby prostéj zagonowéj szlachcie. Jużciż to być nie może, aby kłamały papiery, rodowody i tytuły na tysiącu kopert od wieku powtarzane: kłamią więc heraldycy— a temu wszystkiemu zawiść tylko winna.

Tak naprzykład otworzywszy foliaty, widzę z nich



że rodzina hrabiów z Górki wygasła, a wiem z pewnością, że była familia, która się od nich wiodła, i właśnie mi tu o niéj mówić przychodzi: nie mogę więc pominąć prozapii.

Wedle statecznego podania, które przy ognisku domowém powtarzało się lat kilkaset, jeden z Górków, emigrował dla jakichś familijnych niesnasek na Litwę, i tu się osiedlił, ożeniwszy się z córką kniazia Kapusty.

Wiadomo zaś całemu światu, a przynajmniéj tym, co w papierach grzebią, że ród kniaziów Kapustów był bardzo znamienity, że się wiedli od książąt Perejasławskich i pieczętowali czémś nakształ Odrowąża, że w Kijowskiém, w Owruckiém i na Podolu z dawna byli ojczycami, szerokie posiadali ziemie na zamku w Owruczu *horodnie* swoje mieli jeszcze za króla Zygmunta Starego, a ogromny paludament z czapką książęcą nosili na pieczęciach.

Czy to była ostatnia z rodu kniaziów Kapustów, która znaczne mienie wniosła w dom owego Górki, na Litwie przezwanego Górą, nie wiem; ale Niesiecki mało co napisawszy o téj familii, uciął nagle, jakby za jego czasów już ich na świecie nie było. Są, czy nie ma, o tém wam nie powiem lepiéj od Niesieckiego—bo nie wiem; ale że niebardzo dawno jednego autentycznego kniazia widywałem chodzącego po świecie w dziurawych butach, w postaci nader skromnego kancellisty, gotowem przypuszczać, że i ci Kapustowie tylko się przyczaili. Wszystko się trafia: i książęta czasem w piecu palą, i stróże na aksamitnych wylegają się poduszkach.

Ale wracajmy do rzeczy. Ów tedy hrabia Góra na Litwie osiadły, żonaty, dziedzic znacznych włości,

już do Wielkopolski nie tęsknił, i został tu nowéj ga łęzi rodu swojego protoplastą. Ile pokoleń przeważ nemi dzieły wsławiło się do ostatnich szczepu latorośli, o których tu wam chcę coś powiedzieć—nie widzę po trzeby wyliczać. Dosyć, że najbliższemi nas czasy żyl sobie dwaj rodzeni bracia, dziedzice imienia i mienia pradziadów, hrabiowie Górowie: Herman hrabia z Gó ry i Rajmund.

Starszy Herman mieszkał w tym zakątku bajecz nym i mało znanym, który oddziela Wołyń od Pińsz czyzny. Prawią o nim dziwy, lecz nie tak to strasz ne jak się zdaje z daleka. Wątpię, czy czytelnik zna dobrze ten kraj ogadany i spotwarzony przez tych, którzy mieli nieszczęście być w przejeździe pokąsany mi od komarów, lub w niedość wygodnéj przespać się tam karczmie.

Niedobre drogi, któremi się sławi ten zakąt kraju naszego, mocno wpływają na famę, jaką mu uczynio no: strząsłszy się na nich podróżny, widzi potém wszyst ko w najczarniejszych kolorach.

Tymczasem kraj ten poleski ma swój wdzięk, a kto się w nim urodził, tak go kocha i tak go widzi pięk nym, że go na żadnąby Arkadyę, nawet sochaczew ską, nie pomieniał.

I ci, co w nim pomieszkali trochę tylko, i choć odrobinę się w nim kochali, co kilka lat młodych przebłądzili po tutejszych lasach, przepolowali po bło tach—wspominają i błota z uczuciem, i lasy z uśmie chem, i kraj z westchnieniem...

Nie powiem, żeby tu mieszkało wesele; ale nad temi płaszczyznami drzemiącemi, otoczonemi lasy wśród tych błot, na których krzykliwe ptactwo dzikie w szu miących odzywa się wiszarach, na żółtych piaskach

i polkach zielonych, nad które z gaju wychylone brzozy zwieszają płaczące gałęzie, taka wieje tęsknota luba, taki smętek porywający za serce, że kto go raz tu skosztował, wiecznie musi wspominać i przyśni mu się w godzinę śmierci.

Na około zamknięty świat wstęgą borów sinych, ale dusza wylatuje zań i marzy swobodna. Tam, gdzie wiele widać, serce już nic nie pragnie i tęskni; ale tu inaczéj: jak w więzieniu szerokiém buja fantazya, gdzieś za światy lecąc daleko.

Często spotkasz w takich zakątkach na starym spróchniałym pniu dziecię lub starca, który zadumał się z oczyma wlepionemi w bory, i marząc trawi godziny.

Cisza głucha, któréj nawet wiatr, wstrzymany ścianami lasów, nie śmie przerywać; szum powolny i jednostajny drzew, które drzemać się zdają kołysząc; szelest traw bujnych, trzcin szemrzących; mruczenie wody sączącéj się ospale; krzyk ptactwa żałobny i przejmujący, jak skarga istoty, coby coś chciała przemówić do człowieka: wszystko to do tęsknoty uspasabia i zasiewa ją w duszy za rana.

To też i lud tutejszy zda się rozespany, rozmarzony, powolny, jakby całe życie o innym dumał świecie. Chodzi po mału, odpoczywa długo, a o jutro niewiele się troszczy. I natura jego łagodna, i serce miękkie, i myśl, bylebyś jéj cugli rozpuścił, dziwnie poetycznemi ukraszona farbami. Nie panuje jéj wesele: każda piosnka i powieść kończy się mogiłą, śmiercią lub łzą; przecież zaprawdę piękniejsze to od karczemnego śpiewku szalonego, który się dziką w ustach wieśniaka wydaje ironią życia.

Herman hrabia Góra mieszkał w jednym z naj-

zapadlejszych krańców Polesia, w Horycy, któréj lasy i pola przytykały już do niezmiernych błot pińskich, przerzniętych mnóztwem rzek i strumieni. Horyca, na małéj piaszczystéj stojąca wyniosłości, miała tylko jedną drogę, którą się do niéj przybywało i wracało, zkądkolwiek jechać przyszło, z Rzymu czy z Laponii, była bowiem z téj tylko jednéj strony dostępna. Zimową porą, gdy błota stanęły, drugi gościniec przez trzęsawiska i rzeki ku Pińskowi otwierał się chwilowo, a w razie pilnéj potrzeby były obijaniki, dęby i czółna, któremi posyłano i jeżdżono do miasta.

Żyło się tu jak u Pana Boga za piecem, wedle pospolitego przysłowia; niełatwo dostał się natręt, groble zarastały trawą, twarz cudzą rzadko kto zobaczył.

Przez niezmiernie długą groblę, złożoną z nakotów to jest w poprzek pokładzionych dylów, polan i chróstów, przejeżdżało się najprzód przez odnogi błot otaczające Horycę; potém już brnąc po osie w piasku, trzeba było dążyć do miasteczka.

Było to bowiem miasteczko i sześć ogromnych karczem drewnianych, przez których nieszczelne ściany wróble na wylot przelatywały, świadczyło o jego przywilejach. Oprócz tego z dala nawet widać już było kopuły cerkwi, srebrzystą pokryte blachą, i dach gontami pobity wysokiéj synagogi. Daléj czarne dranicami kryte chaty ciągnęły się długiemi sznurami na wszystkie strony, wśród palisad i płotów, z po za których wyglądały stare grusze, jodły i brzozy.

Po za mieściną dopiero, znowu za drugą groblą, stał tak zwany zamek. Musiał też to być niegdyś gródek obronny, bo szczątki zielonego, trawą i bzami dzikiemi porosłego wału, jeszcze go dotąd otaczały.

Ale naprzeciw wjazdu szeroko wyszczerbiły się nasypy, fossa była zarzucona tak, że przebyć ją było można bez pomocy mostu, i wprost widać było domowstwo, które zastąpiło dawne zamczysko.

Z kawału muru prastarych czasów zrobiono dworzec obszerny,—a że nowy dziedzic nie kochał się widać w cegłach i musiał wierzyć, że drewniany dom zdrowszy, więc na téj budowie oparł piętro sosnowe, nietynkowane nawet, które wyglądało jak stare pudełko. Wysoki łamany dach, z wielkiemi oknami, fantastycznie dopełniał gmachu, z po za którego wierzchołk[1] starych świerków ogrodowych, lip i grabów wyglądały.

Dziedziniec zamkowy był pusty. W prawo za parkanem kryły się oficyny i kuchnia, wstydząc się, że były do prostych chat podobne; w lewo wysunęła się stajnia z tartego drzewa, ale i téj się nie udało, bo słupy się pogięły i stała koślawo, a z jednego boku aż się musiała podeprzeć.

Przede dworem ani ganku, ani słupów, ani daszku, któryby wnijście osłaniał; ścieżka prowadziła od progu i ogromnych drzwi sieni zawsze zamkniętych. Z drugiéj jednak drożyny mocniéj wydeptanéj z prawego boku, między kuchnią a dworem, wnosić było można, że nią życie płynęło zeń i odpływało... U bocznego wnijścia był i ganeczek i na dwóch słupkach z ławkami.

Gdy od opisu miejsca przychodzi mi do gospodarza i pana przystąpić, niemałą w tém czuję trudność. Charakteru jego, obyczajów, życia, nie tak łatwo dam wam wizerunek; z musu jednak podjąć się go jestem obowiązany.

Przejdźmy więc pośpiesznie smutne drzwi główne, dzień cały zaryglowane, sień wielką z leżącemi w jéj

podłodze ogromnemi drzwiami do lochu; przesuńmy się przez cały szereg izb, staremi i biednemi zastawionych sprzętami, i wnijdźmy do pokoju pana, po którym najłatwiéj nam będzie poznać jego samego.

Wszystkie stare izby, sklepione niegdyś zamkowe komnaty, z małemi w grubych murach okienkami, były dosyć wilgotne i zapach stęchlizny mocno się w nich czuć dawał; w jednym tylko pokoju dziedzica, do którego po dwóch wschodkach do góry wchodzić było potrzeba przez kilkołokciową framugę muru, powietrze było suche i zdrowe. Na kominie starożytnych rozmiarów, dzień i noc palił się tu znicz niewygasły, kłoda olchowa lub dębowa, któréj pachołek, na straży będący niedaleko doglądał.

Izba ta miała jedno okno w murze wysoko umieszczone, do którego, jak do pokoju, wchodziło się po wschodach; a że ściana była niezmiernie gruba, więc po obu bokach wgłębienia stały do siedzenia ławy. Z okna tego widok przez parkan wychodził na jedyną drogę, wiodącą z toku i do toku, tak, że gospodarz ze swojéj ławki każdą postać, z podejrzanym workiem plewy kroczącą po cichu, mógł dostrzedz i w potrzebie głosem przeważnym zatrzymać w pochodzie.

Niewiele zresztą i ten pokój miał sprzętów: kanapę biało niegdyś lakierowaną i spłowiałym rypsem pokrytą przy ścianie; stół w pośrodku z kilku krzesłami; w głębi łóżko wązkie, we framudze starą makatą obitéj; przy niém komódkę wyginaną, na któréj była para szkatułek różnéj wielkości.

Między kominkiem a drugiemi drzwiami gdakał zegar gdański pozłocisty, owym głosem przeszłego wieku, którego już nowe nasze cichutko szepczące nie mają; powolnym, poważnym i wyrazistym, aż do uprzyk-

szenia. Wielka skrzynia, także gdańska, po staremu sepet, skórą cielęcia morskiego obita, zajmowała miejsce między komodą a drzwiczkami, które dalej wiodły.

Dodajmy, że w ścianach kilka jeszcze wgłębień kryło w sobie szafy ciemno malowane i zamczyste, a kilka zczerniałych obrazów krzywo wiszących, twarzami jakichś pradziadów, niewiele smutną postać mieszkania rozweselały.

W pośrodku stał właśnie mężczyzna wysokiego wzrostu, chudy, ale barczysty i muskularnéj budowy, w bardzo prostéj odzieży: kapocie szaraczkowéj, butach z koźléj skóry do kolan, podpasany pasem rzemiennym, w czapeczce na łyséj głowie, zatłuszczonéj i niepewnéj barwy. Twarz miał bladą, zwiędłą, pomarszczoną, ale wzrok bystry, przeszywający i śmiały, wąs spuścisty. Zresztą nie dawał dostrzedz wyrazu ust, które się zdawały uśmiechać czasem szydersko czy złośliwie.

Z pod czapeczki kilka kołtunów nieposłusznych spadało na kołnierz kapoty. Choroba ta, któréj znakiem były zwinięte resztki włosów, dawała mu się za pewne czuć i w nogach, bo chwilami chwytał się zanie z wyrazem cierpienia i dziwnym grymasem w twarzy.

Naprzeciw niego stał pokornie we drzwiach wchodowych od pokojów, wyraźnie rezydent, nieszczęśliwa ofiara, która dla próżnowania i chleba skazana była na znoszenie kaprysów i fantazyi hrabiego i cierpienie jego złych humorów.

Wprawdzie trochę był kulawy na jedną nogę i o kiju nawet stać musiał, co go poniekąd uniewinniało, że na powszednią strawę i swobodę zapracować nie mógł; ale twarz miał tak rumianą, może do zbytku, taki wyraz zdrowia na niéj, że się go chciało do innéj

zapędzić roboty. Nie był to już młody człowiek, lat mógł mieć do pięćdziesięciu; trzymał się na bok z powodu krótszéj nogi, ale wąs miał wyszwarcowany i nastrzępiony do góry, czub zaczesany paradnie i kolczyk w uchu, co, przy mocno zadartym nosie i wysoko zawiązanéj chustce, dosyć pocieszną czyniło facyatę.

Fizyognomia rezydenta mówiła dowodnie o małéj słabostce do wódki lub nalewki; inaczéj bowiem rozlanéj po niéj barwy rubinowéj trudno sobie było wytłómaczyć. Oczy jednak czyste, wejrzenie śmiałe, mowa przytomna, zbijały to przypuszczenie. I nikt pono jeszcze regentowicza Lacyny pijanym nie widział, a w towarzystwie, mimo usilnych nalegań, nigdy wódki ani żadnego nie powąchał trunku. Chłopiec jednak który mu posługiwał, niecnota jakiś, może z gniewu czy przez płochość, ogadał go na folwarku, że butelczynę miał zawsze w łóżku, i dopiero zgasiwszy świecę, do poduszki się zakrapiał. Potwierdzało nieco tę plotkę, że pana Lacyny w nocy w żaden sposób dobudzić się nigdy nie było można, tak miał sen niesłychanie twardy; i to także, że butelki śmierdzące kotłówką znajdowano u jego wezgłowia. Ale on dowodził, że od bolu zębów płókał tylko usta wódką z imbierem, a składał się tém, że go oko ludzkie nigdy pijanym nie widziało.

Zresztą jak tam było w istocie, Bóg jeden raczy wiedzieć; dosyć, że regentowicz był okrutnie czerwony.

— Gdzieżeś aspan był dzisiaj? zapytał hrabia, rzucając nań bystre spojrzenie.

— Wszędzie, jaśnie panie: od kołka do kołka.

— Ale ja cię nie o to pytam, czyś liczył kołki w płocie, bo mnie licho potém.

— Na oborze, jaśnie panie, u owiec, w stodole,


TAYLOR INSTITUTION
DOMI NUS ILLU
MINA TIO MEA

ylko w chwilach wolny
bry...
go? podchwycił mrugają
czapeczki,—a waćpan z
upi... i w starym piecu d

okrutnie się oburzył, st
, poskoczył, nastrzępił c
m w głowie! tfu! *express*
orskie plotki.
chanie, to nie są plotk
ci w głowie miłostki, a pa
ją, choć płóczesz wódką z

stojąc na miejscu, taki
iecierpliwości, że hrabia w

— rzekł — a co daléj?

panie.
zdjąć?

esili? hę? Pewnie na wyż
ydłu szkodzi i choroby moż

w starym śpichrzu.
tku, ty nie wiesz, a kłamie
ażże mi ją zdjąć z wyżek i
chrza. Daléj co?
expresse dobrze.
?

w stajni: *expresse* wszędzie... dokończył śpiesznie Lacyna.

— O któréjże WPan wstałeś?

— A o piątéj, jak zawsze.

— O piątéj powiadasz! to więc na oględziny wyjść musiałeś o któréj?

— O pół do szóstéj.

— Wówczas już i ja nie spałem, tobym był słyszał skrzypnięcie drzwiami, a nie słyszałem.

Lacyna pokręcił tylko wąsa.

— Nie sposób mi wiedzieć przyczyny.

— No, to ja będę wiedzial — odparł sucho gospodarz.

Zamilkli.

— Cożeś WPan widział? spytał po chwili.

— A wszystko, jaśnie panie: parobkowi Iwanowi dałem w ucho... bo jeszcze spał, gdym przyszedł.

— Dobrze, to nigdy nie zawadzi!

— Ekonomowi się *expresse* powiedziało szczerą prawdę, bo na skrzypcach tylko gra, a gospodarstwa nie pilnuje.

— Jak to! na skrzypcach gra? podchwycił hrabia, to on taki ekonom? Jeszcze mi będzie ogony końskie na smyczki obcinał! To taki ekonom! A no! to go zaraz odprawić. Już ja wiem, co to z artystami mieć do czynienia...

Pan Lacyna zapłonił się i zafrasował; trzeba bowiem wiedzieć, że ekonom ów miał bardzo ładną siostrę, przy któréj krosienkach kulawy przesiadywać lubił, a wyrwała mu się ta nieszczęśliwa denuncyacya tylko dla okazania gorliwości.

— Już to żeby go odprawiać, nie zasłużył—przerwał regentowicz: bo aczkolwiek gra, i nawet nieźle

gra na skrzypcach, ale tylko w chwilach wolnych od obowiązków, a rolnik dobry...

— I siostrę ma niczego? podchwycił mrugając nosem stary, poprawiwszy czapeczki,—a waćpan zawsze jeszcze choć stary, to głupi... i w starym piecu dyabeł pali...

Lacyna odgadnięty okrutnie się oburzył, stuknął kijem, ruszył ramionami, poskoczył, nastrzępił czuba.

— Albo mnie ona tam w głowie! tfu! *expresse* panu powiadam, że to dworskie plotki.

— Regentowiczu kochanie, to nie są plotki, to święta prawda! Zawsze ci w głowie miłostki, a patrzaj że już ci zęby wypadają, choć płóczesz wódką z imbierem.

Na to Lacyna, choć stojąc na miejscu, takie zaczął okazywać znaki niecierpliwości, że hrabia wreszcie dał mu pokój.

— O tém potém — rzekł — a co daléj? Siwa krowa?

— Zdechła, jaśnie panie.

— Skórę kazałeś zdjąć?

— Zdjęli.

— A gdzie powiesili? hę? Pewnie na wyżkach w oborze; toż to bydłu szkodzi i choroby może naprowadzić.

— Ale nie, nie: w starym śpichrzu.

— Nieprawda *bat'ku*, ty nie wiesz, a kłamiesz; to ci z oczu widać. Każże mi ją zdjąć z wyżek i przenieść do starego śpichrza. Daléj co?

— Nic: wszystko *expresse* dobrze.

— Owce kaszlą?

— Bardzo mało.

— Przyznaj się, żeś u owiec nie był, bo gdybyś zajrzał, byłbyś kaszel słyszał, a tu już rano po lekarstwo przychodził Owsiej, i powiadał, że okrutnie kaszlą.

Lacyna przygryzł usta.

— Daléjże co? ciągnął siadając przed ogniem nieubłagany spowiednik,—a szpaczek jak się ma?

— Zdrów, pił wodę, je siano, nic mu nie będzie.

— A popatrzałżeś jak szedł do wody? Wszak nogi jak w dybach; jeszcze się ochwatu nie pozbył.

— To zwyczajnie, jaśnie panie, póki osłabiony po krwi puszczeniu.

Hrabia pokiwał głową, zamilkł. Lacyna tymczasem wąsy wywoskowane do góry podkręcił, przypominając im obowiązek sterczenia ku oczom, i czuba za jednym razem zatarł zręcznie.

— Regentowiczu kochanie, żebyś ty mi też jedną łaskę zrobił, rzekł po chwili hrabia Herman.

— Ale co jaśnie pan rozkaże?

— Tak to ty mówisz, a mnie nie słuchasz. Ileż to ja cię razy proszę, żebyś ty nigdy przedemną nie kłamał; ty taki zawsze swoje! Najprzód, że się to zupełnie na nic nie zdało, bo ja wszyściuteńko wiem co się we dworze dzieje, chodź z izby nie wychodzę; powtóre, ty się tém dławisz, bo ci to niełatwo przychodzi; a naostatek i wstyd, gdy się wyda. Otóż, serdeńko, czy nie lepiejby to było, jak zaśpisz, a nie zobaczysz tam czego, przyznać się po prostu i kwita? Ja ci przecie oczu nie wydrapię. Masz lat pięćdziesiąt...

— Czterdzieści ośm, *expresse*, na N. Pannę Zielną skończę, to jest skończyłem, przerwał żywo Lacyna.

— A rozum jest na dwadzieścia pięć.

Regentowicz znów począł stukać łaską i strasznie się perzyć, ale milczał.

— Indycz się nie indycz, a ja ci prawdę powiem— ciągnął daléj spokojnie Herman. Najprzód długo śpisz, to i niezdrowo, i nieprzyzwoicie, a dla ludzi zły przykład; powtóre, chodzisz zamiast do gospodarstwa, na folwark do panny Petronelli, która z ciebie drwi, bo ona ma lat dwadzieścia, tysiąc złotych w kuferku i buziaka nieszpetnego; potrzecie... ale temu dam pokój. Idź serdeńko, każ sobie dać śniadanie; ja dziś nie jem, nogi bolą, głód najlepszy lekarz: będę pościł na klejku...

I syknął biorąc się za kolana. Lacyna spojrzał, nachmurzył czoło i wyniósł się po krótkim ukłonie, stukając kijem i mrucząc pod nosem.

Ledwie wyszedł i drzwi się za nim zamknęły, gdy drugie mniejsze otwarły się powoli, i ukazał się chłopak w szaraczkowéj kurtce, pokorny i mizerny.

— Proszę jaśnie pana, tam ktoś czeka.

— Kto? gdzie?

— Przyjechał i prosi się z panem widzieć.

— Gdzie stanął? Czy przede drzwiami, czy koło folwarku, czy przy bramie?

— Koło folwarku.

— A czém przyjechał?

— Kałamaszką, parą koni; chłopak go przywiózł.

— Stary? młody?

— E! ni stary, ni młody.

— Jak się nazywa, nie wiesz?

— Na folwarku mówili, że Porciakiewicz.

Hrabia pokiwał głową jakby dał do zrozumenia, że się już sprawy i człowieka domyślił.

— Przyprowadź go tu.

— A którędy?

— Jużciż kiedy parą koni przyjechał, to wiesz, trutniu, że nie przez pokoje, ale przez tył domu i kredens...

Chłopak zniknął, a hrabia chwilkę siedział, patrząc na niebieski płomyk olchowéj kłody, pogrążony w bezmyślném odrętwieniu.

Wkrótce znowu skrzypnęły drzwiczki i wsunął się mały człowieczek w surducie opiętym, niegdyś bronzowym, bardziéj zleżałym niż znoszonym; ubrany ubogo, ale chędogo i w stroju widać sobie niezwyczajnym, bo mu w niem było niezręcznie, co po ruchach rąk poznać można łatwo. Miał nawet rękawiczki obszerne, z których jedna już spoczywała, a druga jeszcze opaloną okrywała mu rękę.

Był to szlachcic z sąsiedztwa, zapewne posiadacz małéj cząstki we wsi, gospodarz rzadko wychylający się z domu, bo wszedłszy po wschodach do pokoju, mało nie upadłszy w progu, przy pierwszém powitaniu nie wiedział co począć, tak był pomieszany.

Hrabia wstał trochę, przywitał go zimno i wskazał mu krzesło, na którego on brzeżku przysiadł się ostrożnie, nieśmiało rozglądając się po smutnéj izbie.

— Dawnośmy się tu nie widzieli, panie Eufrazy.

— Kopę lat, panie hrabio.

— Kopę jak kopę, z dziesiątek pewnie.

— Tak coś koło tego.

— Juźciż nie z grzeczności do mnie przyjechałeś. Lubię prawdę i otwartość; masz interes, powiedz mi szczerze co cię sprowadza?

Zagadniony tak nagle Porciakiewicz, zmieszał się trochę i westchnął.

— Ej! czy nie bieda jaka?

— Pan dziwnie zgadywać umiesz...

— A cóż? z ochoty nikt do mnie nie zawita.

Pan Eufrazy spuścił głowę i zaczął miąć w rękach czapkę i rękawiczki; zimny pot oblewał mu czoło; westchnął. Gospodarz przypatrywał mu się ciekawie; zdawał się odgadywać wewnętrzny jego niepokój i boleść, zimno je jakoś badając.

— To cała historya! westchnął nareszcie Porciakiewicz.

— Mów historyę całą, ja mam czas, posłucham.

— Pan hrabia, któremu Bóg dał tak znaczny majątek...

— Bóg zapewne, ale przytém praca i oszczędność, panie Eufrazy.

— Jedno przy drugiém, panie hrabio; ale pan dziś i nie pojmiesz może, i nie uwierzysz, jak drudzy żyją. A! ciężkie to życie ubogich!

— Nie trzeba być ubogim...

— A jeśli kto bogatym być nie może?

— To przesąd, panie Eufrazy; każdy może kto chce: trzeba tylko chcieć mocno pieniędzy, mocniéj niż czego innego, a będzie się je miało. Ale wy myślicie, że one przyjdą jak pieczone gołąbki: w tém błąd. Czekając, nie doczekasz się; potrzeba je zdobyć.

— Człek też, Bóg widzi, całe życie pracuje ciężko ale żona, dzieci...

— Kto chce pieniędzy, żeni się ze szkatułką, a ruble mu służą za dzieci.

— Jakże żyć samemu?

— W takim razie wolisz dzieci i żonę niż pieniądze.

— A możnaż o to pytać? przerwał szlachcic przestraszony prawie.

— No! to masz więc co wolisz! odparł ruszając ramionami hrabia, który tarł bolejące nogi swoje.

— Po ojcu dostałem cząstkę w Zabłotowie, mówił daléj Porciakiewicz: dwóch chłopków, panie hrabio i trzy włóki gruntu, bo mi to obcięli z eksdywizyi. Byłbym się jakoś może wygrzebał, gdyby nie jedno po drugiém nieszczęście. Pierwszego roku grad, potém mi się stodoła ze zbożem spaliła, trzeciego lata wymokło, ludziska się pochorowali, przyszedł rekrut i spłat, podatki, a trzeba żyć i jeść, z żoną i ośmiorgiem dzieci...

— Ośmioro dzieci! chwytając się za czapeczkę, zawołał hrabia; ośmioro dzieci! a to kara boża!

Porciakiewicz osłupiał, załamał ręcę i spojrzał mu w oczy przerażony.

— Panie hrabio, my to biedni błogosławieństwem bożém nazywamy...

— Malthusie, cóżbyś na to powiedział! uśmiechnął się gospodarz. Ale to dziwna, że dotąd jeszcze nie poumieraliście z głodu!

— Pracujemy wszyscy, odpowiedział uspakajając się Eufrazy. Ja sam nie wstydzę się chodzić za pługiem, żonisko robi w ogrodzie i około przędziwa, dzieci także pomagają, choć do starszych już potrzeba było wziąć człowieka, coby je choć czytać uczył. Dorosłszy pójdą służyć, kiedy ich Bóg nie stworzył do panowania. Ale w téj chwili—dodał—jestem w bardzo ciężkiém położeniu: tyle mnie wypadków nawiedziło, podatki zaległy, spłat, procent do kościoła, trochę i żydowskich dłużków... Już nie mogę wystarczyć, gło-

wę tracę, zabiorą mi chatę—zawołał wybuchając z rozpaczą—zabiorą mi dach mój! A gdzie ja się podzieję z dziećmi? A! panie hrabio, miéj litość nademną! miéj litość, dopomóż nieszczęśliwemu!

To mówiąc wstał Porciakiewicz i przypadł z ręką do kolan pana Hermana.

Hrabia pokiwał głową zamyślony.

— Najprzód kochanie moje, szanowny panie Eufrazy—rzekł powoli—powinieneś to wiedzieć, znając mnie trochę choć z języków ludzkich, że ja litości nie mam. Litość jest rzecz głupia, człowiek się przez nią robi ślamazarny, a potém sam jéj od drugich potrzebuje. Musisz i to wiedzieć także, że ja się sam prawie dorobiłem tego co mam. Było tam coś, ale obdłużone, a dziś i majątek niczego, i w szkatułce zapas jest; alem i pracował i skąpił od gęby sobie ujmując... jużcić, pozwól, nie dla tego pewnie, aby potém między ludzi rozdawać.

— Ale pan masz serce...

— Nie, nie, kochanku! zupełnie się mylisz; serca nie mam, litości nie znam. Nikomu pomocy nie odmawiam; że pieniądze są, nie taję, tylko mi zaraz potrzeba pokazać, że nie stracę, a zyszczę, bo do ofiar wcale nie mam ochoty i tychby się darmo odemnie spodziewać.

— Ależ ja jałmużny nie proszę! zawołał Eufrazy—datkubym nie przyjął, póki są ręce, co pracować mogą; ja proszę pożyczki, a jak się dźwignę, to zwrócę...

— Jakaż tedy pewność, panie Eufrazy?

— Praca moja i uczciwość...

— Uczciwość to jeszcze nie ewikcya, a praca!... A nuż WPan umrzesz, ja cię na tamtym świecie szu-

kać nie będę! dzieci i żony nie skonfiskuję, bobym jeszcze musiał je karmić...

Mówił to zupełnie chłodno, ale wysilając się na obojętność, która oszukała Porciakiewicza. Szlachcic zapomniawszy o biedzie, słuchał go z podziwieniem, jakby aktora na teatrze: nie mógł pojąć tego człowieka.

— Mylisz się grubo—dodał hrabia powoli, — tak rozumując, rachujesz na gruszki wierzbowe... Ile WPan masz dusz na te trzy włóki gruntu?

— Pięć dusz męzkich, a trzy kobiece.

— A ile na tém razem wszystkiego długu?

— A! panie, już z górą dwa tysiące złotych.

— Widzisz! twoja cząstka, gdyby była najlepiéj zagospodarowana i z remanentami, których ty niewiele mieć musisz, warta, przypuśćmy, trzy tysiące...

— Cztery mi dawano.

— Gdyby i pięć nawet — dług rośnie niepłacony, i zjada coś powoli: wyleźć z tego nie możesz.

Porciakiewicz zbladł, łzy mu się zakręciły w oczach, ale je szybko otarł rękawiczką.

— Gdybym ci pożyczył pieniędzy, musiałbym potém niepotrzebną mi cząstkę zabierać, i to jeszcze w wysokiéj cenie, bo takie cząstki wy zawsze sobie daleko drożéj szacujecie. Jeszcze w dodatku ludzieby krzyczeli, żem was z ośmiorgiem dzieci nielitościwie na bruk wyrzucił... a mnie to na co?

— A! żebym tylko dług mógł spłacić!

— Jakimże sposobem? Przypuśćmy, żebym ci dał pieniądze, a odbierał kapaniną: jakże z żoną i dziećmi na dziesięciu morgach i siebie wyżywić, i ciężar ten spłacić? To niepodobna!

Szlachcic padł na krzesełko wzdychając. W téj

chwili znikł mu z oczu hrabia, gościna, — żal taki ucisnął serce, że o wszystkiém, co go otaczało, zapomniał; osłupiałemi oczyma wpatrzył się w ogień, a łzy potoczyły się po bladéj twarzy. Milczał, myśląc gdzie się podzieje z towarzyszką życia, z drobnemi dziatkami, gdy go z pod dachu ojcowskiego wypędzą.

Hrabia przypatrywał mu się ciekawie.

— Wyście tak wszyscy—rzekł po cichu gderając—nie ma kawałka chleba dla dzieci, a żenicie się zaraz ledwie wąs, i w chacie tego jak maku... A potém całe życie pokutujecie za wesoły dzionek.

Porciakiewicz mimo zaprzątnienia posłyszał te słowa, i żywo podniósł głowę.

— A! panie—rzekł—jedno tylko ubogiemu zostało serce. Możnaż żyć tak samemu, nie mieć do kogo przemówić słowa, skazać się na wiekuistą tęsknotę dla tego, aby nie pracować i nie myśleć o przyszłości? Nędza nie byłaby mi straszna, gdybym przy niéj nie miał doskwierających długów — głodubyśmy się nie zlękli. Wolę czarny chleb, byle go było z kim podzielić. Moje dzieci! moje dzieci!... dodał ze łzami.

— Hrabia ruszył ramionami.

— Gdybym miał tę głupią, jak ją WPan nazywasz litość, poszedłbym dawno z torbami, odezwał się powoli. Tu trzeba w czém inném rady szukać.

— Sprzedać chyba i pójść służyć.

— Ale ba! z żoną i ośmiorgiem dzieci niełatwo kto WPana weźmie: ordynaryi strasznéj będziesz potrzebował.

Ta uwaga musiała do reszty zniecierpliwić Porciakiewicza, który wstał nagle, i nic nie mówiąc, zabierał się odchodzić. Hrabia nań spojrzał.

— Harda dusza w ubogiém ciele! rzekł do siebie. Ośmioro dzieci! ośmioro dzieci!

— Żegnam pana hrabiego—odezwał się sucho Porciakiewicz.

— Zaczekaj-no, może znajdziemy jaką radę; nie przez litość, bo to głupia rzecz, ale przez rozumny rachunek... uczciwy.

— Mimowolnie Eufrazemu wyrwało się z ust z podziwieniem, powtórzone;—*Uczciwy!*

— Cóż to WPan mnie już masz za takiego łajdaka—przerwał zupełnie spokojnie hrabia—że się dziwisz gdy mówię, uczciwy? Nie znasz WPan ludzi. Nikt mi nie zarzuci, żebym co popełnił niepoczciwego; rachuję tylko ściśle, najściślej, nic więcéj, i żadnemi próżnemi fantazyami siebie i drugich nie bałamucę.

Porciakiewicz zatrzymał się zmieszany.

— A kto nie rachuje, lituje się i serce ma miękkie, nie zajedzie daleko. Dla czego ja mam pieniądze? bo rachuję, bo się nie zwodzę: bom skąpy.

— A jestżeś WPan szczęśliwy? ośmielając się nagle przerwał szlachcic, który stanął naprzeciw niego.

— Porozumiejmy się: co WPan nazywasz szczęściem? zapytał hrabia.

— Kochasz kogo? przerwał Eufrazy.

— Nikogo: to głupstwo! rzekł gospodarz; ale mam takie szczęście, jakiego chciałem, bo każdy ma to czego chce. WPan ośmioro piszczących dzieci, a ja worki i folwarki.

— I tego ci dosyć?

— Nie, nie dość: ja chcę mieć więcéj pieniędzy, a WPan może jeszcze więcéj dzieci?

I uśmiechnął się szyderско.

— Gdyby mi Bóg dał jeszcze jedno, nie narzekałbym pewnie, rzekł Porciakiewicz.

— Toś szalony, pozwól sobie powiedzieć.

— Toś nie człowiek, kiedy nie pojmujesz tego! dorzucił gorąco, do ostatka przywiedziony szlachcic. I możesz wyżyć wśród tych czterech ścian czarnych. sam jeden, otoczony płatnymi sługami, nie słysząc nigdy czulszego słowa i dziecinnego głosu, uśmiechu, bez przymilenia, bez pieszczot, rodziny, bez...

Tu wstrzymał się miarkując w zapędzie, chociaż na bladéj twarzy gospodarza nie postrzegł najmniéjszego znaku nieukontentowania.

— Widzisz WPan, że mogę—odpowiedział hrabia. Gdy mi nudno, wołam Lacyny i kpię sobie z niego; posyłam po Radwanowicza, który mnie śmieszy; kłócę się ze starym Pawłem... liczę pieniądze, gderam i straszę ludzi... ciągnę kabałę, czytam, chodzę po pokojach i świszczę.

— No! toś nie człowiek! toś nie człowiek! zawołał zniecierpliwiony tym spokojem Eufrazy.

— A w tém cała sztuka, żeby nie być człowiekiem! uśmiechając się dokończył hrabia. Wszystkie biedy z tego pochodzą, że nadto ludźmi jesteśmy... To sobie i dzieciom najprzód potrzeba wbić w głowę: człowiek z natury jest słaby, a słabości gubią.

— Tak! tak! rzekł nie wstrzymując się i krocząc do drzwi Eufrazy — ale gdybyś ty mi swoje skarby, worki, zamek i majątki dał za moje piszczące dzieci i żonę, a wyrzec się ich kazał, plunąłbym na to wszystko, i poszedł klepać moją biedę. Nikt jeszcze z głodu nie umarł.

— I to, kochanie, fałsz! przerwał zimno gospodarz. Ludzie i puchną, i umierają z głodu, prawda, że

chłopi; a co się tycze szlachcica, ten choć może nie umiera z głodu, umiera ze strachu głodnéj śmierci, z mozołu, z utrapienia, z kłopotów... wszystko to jedno.

Eufrazy nic już nie odpowiadając, ukłonił się i szedł do drzwi, jakby mu pilno było wyjść z téj atmosfery lodowatéj.

— Ale zaczekajże WPan! odezwał się hrabia.

— Szkoda czasu.

— Kto wie? może co zrobimy, jeśli nie sercem, bo ja nie choruję na nie, to głową i rachunkiem.

Porciakiewicz stanął, z wyrazem ciekawości raczéj niż nadziei.

— WPan jesteś uczciwy człowiek i dobry gospodarz, mnie ludzi braknie; gdybyś się nie wstydził z dziedzica pójść na ekonoma... ha! któż wie!

— Ale ja żadnéj pracy nie wstydzę się, byle uczciwéj! rzekł szlachcic.

— U mnie w Sienném bardzo źle idzie, ekonom pijak, lata po jarmarkach, chłopi robią co łaska; muszę go wypędzić... Dam WPanu jego miejsce. Twoja cząstka tuż, mógłbyś... Tylko żebyś mi tam więcéj swojego niż mojego nie patrzał, i żeby cię nie wzięła pokusa pomagać sobie moimi siennickimi.

— Jeśli mnie hrabio masz od razu posądzać, dajmyż temu pokój! zawołał Eufrazy żywo. Ja znowu nie dam się męczyć jak Lacyna.

— No! no! wiem, wiem, i gdyby nie wiara, jaką mam w tobie, nie brałbym cię do Siennego.

— Na cóż pan to mówisz?

— Wolałbyś, żebym milczał a myślał?

Porciakiewicz zamilkł; chwilę tak patrzali na siebie.

— W Sienném daję ekonomowi trzysta złotych i ordynaryę, zawsze to coś znaczy.

— Wiesz WPan co, panie hrabio? przerwał szlachcic: ja ci uczciwie i gorliwie pracować będę... zrób trochę więcéj. Przepędzę bydło moje do Siennego dla hypoteki, jeżeli słowa szlacheckiego nie dosyć... zalicz mi teraz tysiąc złotych: wyratujesz i mnie, i dzieci.

— Czekaj, ileż masz sztuk bydła? zapytał hrabia zimno.

— Zawsze się wbijałem w remanent, bo to całe bogactwo szlachcica i podpora gospodarstwa — rzekł Porciakiewicz. Mam krów dziesięć, pięć jałówek, ośm wołów i kilkoro cieląt.

— Daj go katu! a czemużbyś nie sprzedał?

— A! panie! toż to się wyhodowało w domu: to to wszystko nas zna, głosu słucha, do ręki idzie.

Hrabia wziąwszy się wprzódy za boki, zaczął się śmiać ogromnie.

— Dalipan—rzekł—ten się i w bydle kocha, tak mu tego kochania potrzeba!

Porciakiewicz milczał zmięszany tym śmiechem.

— No! no! nie gniewaj się; wolno tobie romansować z cielętami, wolno mnie się z tego śmiać: kwita. Ekonomowi z Siennego daję zaraz abszyt, bydło przypędzisz do mnie, i dam WPanu tysiąc złotych na sześć od sta.

Po licu gościa prześliznął się jasny promyk radości, i zapomniawszy poprzedzającéj nadto żywéj rozmowy, znowu z ręką do kolan przypadł hrabiemu.

— A! niech ci Bóg płaci! Nie! nie! darmo się ty kryjesz i udajesz: i ty masz serce! Całe życie pracowałeś, aby się go pozbyć, ale nie potrafisz: i ty ko-

chasz, i ty zlitować się musisz! Odzywa ci się w piersi człowieczeństwo... i tyś człowiek!

Hrabia spojrzał nań ponuro, wstał powoli od stolika, i w milczeniu poszedł do szkatułki stojącéj na komodzie przy łóżku, a otworzywszy ją kluczykami dobytemi z kieszeni kapoty, począł liczyć pieniądze.

— Skrypt na prostym papierze z wolnością przeniesienia na herbowy, ewikcya na nieruchomym i ruchomym majątku... i świadka nam potrzeba dla formy.

— Héj! krzyknął na chłopca, który ze swą bladą twarzyczką zjawił się zaraz we drzwiach: prosić regentowicza... jeżeli już nie na folwarku.

— Tylko co poszedł, to ja go jeszcze dopędzę.

— Natura ciągnie wilka do lasu—mruknął hrabia. Oto WPan masz pieniądze, pisz skrypt, znasz formę?

Położywszy czapkę i drżąc ze wzruszenia, Porciakiewicz umoczył pióro i pisać począł, gdy wszedł Lacyna, ale kwaśny i widoczne noszący na twarzy ślady rannéj z panem rozmowy.

— Podpiszesz mi się za świadka na skrypcie, i dasz wiedzieć do Siennego, ażeby mi się ztamtąd ekonom wybierał. Pan Porciakiewicz będzie gospodarował w tym majątku.

Regentowicz w milczeniu pokręcił wąsa, nie lubił bowiem tamtego ekonoma, który czasem do zbytku się przy pannie Petronelli przysiadał.

— Spełni się, jaśnie panie.

Hrabia najprzód sam skrypt odczytał, potém go dał Lacynie do podpisu; wyliczył pieniądze na stole i schował rewers do szkatułki, odprawiając skinieniem regentowicza, który pośpieszył na folwark.

— Teraz, panie Eufrazy—rzekł zimno gospodarz—

zmieniają się nasze stosunki: wszedłeś WPan jako równy do równego, szlachcic do szlachcica—wychodzisz moim sługą, musisz o tém pamiętać. Praca i gorliwość WPana całe do mnie należą; za to jego rozum całkiem mu zostawiam, bo go nie potrzebuję. Mam ten zły zwyczaj, że tylko swojego uważam; proszę więc z rozumem do kieszeni, przyda się na własny użytek, a tylko to robić, co ja każę.

— Bardzo dobrze, odpowiedział szlachcic; ale téż ja za skutki cudzego rozumu odpowiadać nie będę.

— Logicznie! logicznie! podobasz mi się!... No, tak, za niedozór WPan, za dyspozycyę ja płacę. Obejmuj gospodarstwo natychmiast: jak się ekonom dowie, że go foruję, gotów sobie pozwolić. Klucze wziąć natychmiast, dyspozycyę przyszlę. Do widzenia!

Na tém skończyła się rozmowa.

Po wyjściu Porciakiewicza, hrabia długo siedział w krześle nieruchomy i zamyślony. Znać było, że niezwykłe jakieś przeszły mu dumania, że się coś odezwało w zaschłém sercu starego, co już za zmarłe i pogrzebione uważał. Ze schyloną głową, z brwią nawisłą marzył spoglądając na ogień; westchnął potém, wstał, poszedł do okna, w którém dla szpiegowania gospodarstwa zwykł był siadać, i przypadłszy na ławeczce, znowu długo spoglądał na pustą drożynę wiodącą ku tokom.

Chociaż od lat bardzo dawnych jednostajnym trybem szło to życie, któregośmy próbkę widzieli, i można było sądzić, że hrabia przywykł już do niego,—nie

zupełnie jednak zapomniał innéj przeszłości. Krótka ona była, ale w niéj najgłówniejsze życia jego mieściły się wypadki: pierwsza miłość młodzieńcza, pierwsze walki ze światem i jego sprawami, pierwszy rozwój charakteru i poświęcenie uczucia dla rachuby. Na dnie tych wspomnień, jak sucha żółta wydma piaszczysta zalegających dziś serce, były gdzieniegdzie prószynki złota świecące. Przebiegając mimowolnie swą przeszłość, Herman zdawał się czegoś żałować, czy śmiać się z czegoś może. Na twarzy jego zawsze jednym okrytéj wyrazem, smutek i wesele podobnem malowały się skrzywieniem.

Myślał o młodości, która dla niego skończyła się tak nagle, o wszystkiém czego doznał i nie uczuł w życiu, co przeszedł i czego nie kosztował.

Szczery względem ludzi, nielitościwy był też dla siebie, i spowiadając się, gorzkiemi poił prawdami.

— Starcze! szeptał w duchu, może miał słuszność ten biedak: jestżeś ty szczęśliwy? Znalazłešże ty życie? Czy to, czego pragnąłeś, coś wybrał dla siebie, wystarczyło na zapełnienie piersi, na uspokojenie tęsknoty i pragnień? Spytaj siebie, przebież swą przeszłość, i daj odpowiedź tak surową, jak dajesz obcym, co do ciebie przychodzą żądać pociechy, a ty ich poisz goryczą.

Nie! nie jesteś szczęśliwy; ale któż się szczęśliwym śmie nazwać?

Ten biedak może, który słyszy co wieczór modlitwę swych dzieci, którego wita uznojonego głos żony na progu, która kocha, i powracając do domu, znajduje tyle rąk, co mu się u szyi uwieszają, który ma z kim płakać, przed kim się poskarżyć... A ja?.. nikogo nie mam, nikogo!

Rozśmiał się dziwnie.

— Głupstwo! rzekł do siebie. Mam pieniądze, niemi panuję nad całym światem: sumienie spokojne, żadnych złudzeń. Widzę czyste wszystko, nie oszukuję się niczém, mam czegom pragnął... to dosyć! Życie nie może dać więcéj.

A jednak? Dla czegoż mi tak tęskno? czemu gderanie na Lacynę, kłótnie z Pawłem i rachunki i książki nie uspokoją, nie nasycą? Dla czego patrząc na dzieci, zazdroszczę tym, co je mają, i kobiecy uśmiech wprawia mnie w rozdrażnienie jakieś, i niepokoją się, jak gdybym czegoś nie spełnił?

To głupi instynkt zwierzęcy; to słabość, z któréj się otrząśnać potrzeba.

Mam czegom chciał—powtórzył—bo wszyscy mają to czego pragną gorąco. Wola jest dźwignią ogromną, i chcieć potrzeba tylko. Chciałem, zrobiłem majątek; odsunąłem się od ludzi, wyrzekłem słabostek, na które oni chorują, uchwyciłem treść życia, wycisnąłem z niego essencyę. Napiłem się: gorzko mi w ustach.

I zamyślił się biegnąc znowu ku młodości swojéj. W życiu jego niewiele było wypadków; wszystkie wszakże przeważnie wpłynęły na nie.

Syn rodziców, którzy, by wytrwać na stanowisku, na jakiém ich imię stawiło, znacznie nadszargali majętności, Herman zawczasu napatrzył się walki próżności z niedostatkiem. Komedya ta wstręt w nim rozbudziła i ohydę; postanowił czynnie i śmiało wziąć się do życia. Ale widząc jak boli upadek, co kosztuje fałsz, całą nadzieję położył w dostatku i życie zdobyciu go poświęcił.

Wychowany na swój czas starannie, nie bez talentów i zdolności, gdy go odumarli rodzice i przyszło

do podziału majątku z bratem Rajmundem, począł od wyboru schedy, która na pozór była gorsza, trafnie przewidując, że oceniona nizko, da mu sposobność łatwiejszego dorobku.

Zostawił bratu Zarubińce wołyńskie, w pięknéj glebie położone, ale mniejszego obszaru, a sam wziął Horycę w przyległościami, które za lichotę uważano. Wszyscy się śmieli z niego, że dobrowolnie skazał się na grzebanie w piasku; posądzano go nawet o bezinteresowną ofiarę dla brata. Ale gdy objął Horycę, okazało się, że albo on, albo traf za niego doskonale rachować umiał.

Majętność osławiona, w lichéj ziemi, była oceniona zbyt nizko; lasy uważano za zupełnie zniszczone i nic już dać nie mogące, bo w nich starzy hrabiostwo kilkanaście lat belki i klepki wyrabiali.

Tymczasem Herman zaraz po odebraniu majątku wyprzedał jeszcze za przeszło sto tysięcy złotych sosen, spławił do Pińska trochę opałowego drzewa, i dwakroć sto tysięcy długów w przeciągu roku spłacił. Potém hermetycznie las zamknął na lat dwadzieścia, nie dając nikomu z siekierą wjechać do niego, a sam wziął się do gospodarstwa.

Na ziemię niewiele w istocie można było rachować; chowem więc bydła w ogromnej ilości, gorzelniami, smołą z pniów starych, z których oczyszczał bory, powoli dorobił się grosza, i wkrótce stanął na téj stopie, że się długów przywiązanych do schedy pozbył zupełnie, a nawet kapitały składać począł.

Wyszedłszy na swobodę, młody jeszcze, osamotniony, znalazł trafem w sąsiedztwie dom, który go przywabił. Hrabia nie miał myśli bliżéj się z nim związywać, ale tam znalazł przyjemną rozrywkę; bawił

się i po swojemu rachując tylko co mu da zabawkę nic niekosztującą, stał się w domu państwa Moroszów prawie codziennym gościem.

O milę od Horycy stary pan Morosz, niegdyś pełnomocnik Radziwiłłowski i sławny patron trybunalski, podupadłszy dziwną losu koleją, wziął był dzierżawę, na któréj mu się zmarło, zostawiając żonę i córkę w bardzo ciężkich interesach.

Był to dzieciak ośmnastego wieku, otarty w świecie, bywalec wielki, światowiec, nienazbyt delikatnego sumienia, żartujący nawet ze zbytniéj uczciwości, hulaka, wesoły koleżka, ze wszystkiemi wadami i przymiotami swojéj epoki. Do pojedynku stanął zawsze; ale biednego oszukać, popierając złą sprawę, z sumieniem się pokłócić dla pieniędzy, nieustannie potrzebnych i ciągle odpływających na huczne zabawy, zrobić coś podejrzanego—nic go nie kosztowało. Nie zebrał jednak grosza, choć zmarnotrawił miliony; przyzwyczaił tylko żonę i dzieci do zbytków, a umierając zostawił je prawie bez żadnego mienia.

Żona jego, wychowanka niegdyś Radziwiłłowskiego dworu, jak ludzie szeptali, chwilowo podobno ulubienica książęca, płocha, zalotna, żywa, dobrze dlań była dobraną parą. Lubili oboje żyć, wiele sobie nawzajem wybaczali, i dotrwali do końca w serdecznéj zgodzie, opartéj na wzajemnéj płochości.

Gdy Morosz umarł, wdowa obrachowawszy się, postrzegła, że z wielką biedą potrafi się ledwie utrzymać przy dzierżawie.

A choć to była possessya, dom wszakże na cale pańskiéj stał stopie i zejść się z niéj nie chciało. Córka dorastała, była i wychowana starannie, i cudnie

piękna, a umysł jéj obiecywał, że na świecie wielkie ją czeka powodzenie.

Pani Miroszowa więc przyszłość budując na czarnych oczach Izabelli, na jéj talencie do muzyki, dowcipie i francuzczyźnie, nie zmieniła trybu życia po śmierci ex-mecenasa. Żałoba jakoś nie była bardzo smutna; do domu, w którym sama pani ożywiała wszystkich wesołością i dowcipem, a oprócz panny Izabelli, dwie były krewniaczki bardzo piękne, cisnęła się młodzież tłumnie. Panna zasługiwała na hołdy, które odbierała; gasiła wszystkie rówiennice śmiałością, żywością, wdziękiem, umysłem nad wiek rozwiniętym. Szczególniejszym jednak zbiegiem okoliczności, choć kochali się w niéj na zabój kto żył, nikt jakoś nie posuwał się do jéj ręki. Hrabia Herman, który przybył do tego domu już po śmierci mecenasa i często w nim przesiadywał dla pięknych oczek panny Izabelli, zwrócił zaraz na siebie uwagę matki i całą jéj przebiegłość macierzyńską i kobiecą. Posiadacz znacznego majątku, rozsądny, dobrze wychowany, był dla panny świetną partyą, dla pani Moroszowéj portem spoczynku, kotwicą wybawienia; zwróciła się téż ku niemu może zbyt natarczywie, nadto zapobiegliwie, pracując na zawód, który ją miał spotkać.

Kobieta rachowała na młodość, na serce, a panna Izabella uczciwie i dobrze wyuczona, zręcznie jéj w tém dopomagała. Na nieszczęście obie kobiety widziały w nim pospolitego młodzieńca, używały środków zwyczajnych i niemi odstręczały go tylko.

Gdy hrabia przybywał, zostawiano go sam na sam z panną po całych dniach. Izabella śpiewała dlań i grała, starała się zastosować do jego charakteru,

upodobań, fantazyi... I ostatecznie pokochała się w nim szalenie, gdy on pozostał sobie zimnym i obojętnym jak był.

Zręczny i ostrożny, ze swéj strony nie wygadał się nigdy za nadto, nie obiecywał nic, bawił się, odjeżdżał, powracał, zwlekał, aż wreszcie pani Moroszowa musiała z największą grzecznością zwrócić jego uwagę na to, że powinienby już odkyć się z zamiarami, jeśli jakie ma, bo inaczéj zaloty widoczne przyszłości téj córki szkodzićby mogły.

Zagadniony w ten sposób hrabia, odpowiedział bardzo grzecznie, że dotąd żadnych nie miał zamiarów, ukłonił się nizko i zupełnie bywać zaprzestał.

Panna Izabella się rozchorowała, dom cały okrył żałobą; musiano przez sąsiadów, przyjaciół, krewnych ściągnąć hrabiego nazad do domu pani Moroszowéj, co nie łatwo przyszło.

Zostawiono rzeczy naturalnemu biegowi, a panna Izabella silna wolą, miłością, wdziękiem, była prawie pewna, że zmusi w końcu hrabiego do ożenienia. Być może, iż mu to kiedy przeszło przez głowę, ale się jak trzymał na wodzy, tak był przywykł do rachunku, iż się z tém wcale nie wydawał.

Kilka lat rzeczy były w jednym stanie, na jednym stopniu: Herman przyjeżdżał, bawił się, śmiał, żartował, słuchał muzyki, bywał czasami czulszy, zdawał się podbity; potém stękał znowu i znowu powracał; aż panna Izabella, która go szczerze kochała, po młodemu, wpadła w rodzaj melancholii. Że jéj z nią było bardzo pięknie, hrabia częściéj tylko przyjeżdżał, wzdychał z nią nawet, ale to nie wpłynęło na żadne z jego strony wyraźniejsze oświadczenie.



O mil pięć od Horycy ku Wołyniowi, mieszkali niejacy państwo Burakowscy. Sam pan nie wiedzieć zkąd był przyszedł do ogromnego majątku. Przybył z za świata; ze swojéj przeszłości wcale się nie tłómacząc, kupił dobra znaczne, i osiadł w nich. Powierzchowność jego zdradzała ledwie oskrobanego dorobkiewicza, żona nie była pokaźniejszą, oboje niezmiernie śmieszyli świeżém państwem swojém i zbytkiem złego smaku. Mieli oni córkę tylko, jedynaczkę, którą, jak słychać było, chcieli koniecznie wydać za utytułowanego księcia jakiego lub grafa.

Typy tego rodzaju są u nas pospolite, a dochodzą do niesłychanych śmieszności rozmiarów. Trafiają się one i gdzieindziéj, nigdzie im tak jednak może słońce i powietrze ku bujnemu rozwinięciu nie sprzyja. Burakowscy, których *origo* całkiem była mgłą okryta, zdali się nieledwie jakąś odgrzebaną z pod sukmany rodziną, co nagle skarb znalazłszy, przebrała się w aksamity, a chodzić w nich nie umiała, niedołężném naśladowaniem tego, co ją otaczało, pobudzającém do śmiechu. Przy najlepszych chęciach brania ich na seryo i wynalezienia jakiéjś dobréj strony, niepodobna było jéj odszukać. Sam Burakowski, tłusty, czerwony, krzykliwy i gestykulujący niebezpiecznie, tak, że w czasie rozmowy, z nosem opodal trzymać się było potrzeba, prosty człek, mówić nie umiał, choć hałasował. Żadnego języka, nawet tego, którym się tłómaczyć usiłował, nie znał; skąpy był, chciwy, podejrzliwy i łatwowierny razem; dosyć ograniczony a najpoczwarniéj nadęty, piął się do panów, uważając się za jednego z nich.

Zdawało mu się, że odkrył tajemnicę państwa, która podług niego zależała: najprzód na pieniądzach;

powtóre na śmiałości w postępowaniu, ruchach i mowie, potrzecie na oddzieleniu się od tego, co nie jest panem. Postępował też ściśle według swojéj teoryi, jak chcącemu uchodzić za pana przystało. Z pieniędzmi się przechwalał co chwila, starając się okazać, że ich ma wiele; krzyczał, rzucał się i łajał śmiało; a żył tylko z tymi, których za równych sobie uważał, resztę mając za motłoch, na który jeśli z łaski spojrzał, jeśli przemówił z potrzeby, dawał zaraz czuć, aby się trzymali daleko i pokornie.

Za to z tymi, którzy wedle niego byli mu równi, starał się w czułéj, a często przykréj dla nich zostawać poufałości. Plagą téż był Burakowski, i gdzie się ukazał uciekano od niego jak od powietrza (czego on nigdy nie chciał widzieć i nie brał do siebie).

Mały, bryłowaty, na krótkich grubych nóżkach, z otyłą wygoloną twarzą i nastrzępionym do góry czubem siwiejącym, dosyć brudny i zaniedbany, wyglądał jak karykaturka porcelanowa, niedobréj fabryki.

Szanowna jego małżonka, równie jak on niemłoda, słusznego wzrostu jejmość, niegdyś piękna, co jeszcze dla archeologa łatwe było do poznania, wyglądała jak dobrze zachowana mumia egipcka. Była milcząca, sztywna, i miała dwa tylko nałogi: zbyt częstego spoglądania w lustro, i zbyt częstego mówienia o sobie i o swéj piękności. Wyszedłszy z tego zajmującego przedmiotu, niewiele miała do powiedzenia, słuchała nawet z roztargnieniem, gdy jéj co opowiadano, i patrzała milcząca w zwierciadło, naprzeciw którego zawsze starała się usiąść.

Mowa jéj nie dowodziła bardzo starannego wychowania; za to ruchy przesadne, wymuszone dla nada-



nia im niby dobrego tonu, były do najwyższego stopnia śmieszne, bo niesłychanéj pełne pretensyi. Strój dziwaczny przyczyniał się jeszcze do uczynienia jéj odpowiednią mężowi karykaturą. Przybyli jakoś z daleka z pieniędzmi znacznemi Burakowscy, okupili zadłużony klucz, według rachuby pospolitéj tysiąc kilkaset dusz liczący, i wyrestaurowawszy stare domowstwo, poczęli się bawić swojém państwem.

Z nadzwyczajném staraniem ukrywali swoją przeszłość; wymykały się im jednak pół-słówka dowodzące, że musieli majątek zebrać na ekonomstwie, dzierżawach i jakichś nieczystych frymarkach. Wśród rozmowy, ilekroć pan odezwał się z jakiém niefortunném słowem, pani pokaszliwała; ile razy pani mówiąc o swojéj piękności wspomniała jakiś kompromitujący stosunek, pan chrząknął. Natychmiast potém, spojrzawszy sobie w oczy, zwracali się na drogę przyzwoitszą.

Przyjęcie państwa Burakowskich wśród obywatelstwa możeby było doznało niejakich trudności i uległo zwykłym boleściom i upokorzeniom wszelkiéj naturalizacyi, gdyby nie ta okoliczność, że z nimi razem przybyła już piętnastoletnia dorastająca córka, jedynaczka, panna Eliza Burakowska, która świetne wychowanie odebrała na pensyi we Lwowie, była już piękną jak niegdyś matka, a w przyszłości obiecywała być dziedziczką owych tysiąca kilkuset dusz i kilku tysięcy włók lasu. Pan Burakowski w chwilach, w których do otwartszego wynurzenia się był skłonny, mrugając jedném okiem powiadał:

— Kochany panie... moja Eliza może sobie i księcia ułowić: to pański kęsek! milioniczek! milionik i z czubem! z dobrym czubem! A sama caca niech ją Bóg ma, i główka nielada, i buziak niczego!

Buziak był w istocie ślicznichny, oczy czarne choć niewielkie jak dwa węgielki, buzia malinowa, okrąglachna, nosek odrobineczkę zadarty, ale malutki i zręczny, a uśmieszek i wejrzenie przejmujące; tylko rączkę, choć białą, miała dość dużą, a nóżek jakoś nigdy nie pokazywała, więc o nich nikt nie wiedział.

Wychowanie jéj w istocie było świetne, bo grała przepysznie i hałaśliwie a prędko, śpiewała wdzięcznie piosenki włoskie i francuzkie, których charakteru miłosnego rodzice nie podejrzewali, czytała romanse francuzkie, i umiała śmiało dawać sobie radę na świecie, choć rodzice często jéj zawadzali, a za ojca i matkę czerwienić się musiała po łokcie. Eliza była żywa, lubiła wesołość i uśmiechy, zresztą dobre dziecko, trochę roztrzepiotane, o którego przyszłości wyrokować było trudno; bo choć dużo złego z pensyi wyniosła, dużo też dobrego ma w sobie każde serce kobiece, a nie można nigdy wiedzieć co wyjdzie na bujnym gruncie: pierwsze czy ostatnie, żyto czy kąkole.

Nie wiem, trafem czy umyślnie Herman dojechał aż do Burakowskich; a że był wówczas młody, uchodził już za bogatego, miał tytuł choć go nie lubił używać, i rozumem swym a oryginalnością od razu podbił rodziców,—natychmiast osnuto projekt ożenienia go z Elizą, czemu i ona nie okazała się przeciwną. Hrabstwo z majątkiem przy zupełnéj karystyi książąt w okolicy, wydało się Burakowskim dostateczném.

Po dwóch czy trzech odwiedzinach, Burakowski powiedział sobie: „Trzeba dobijać!“ i za czwartemi wręcz oświadczył Hermanowi, że życzyłby go sobie za zięcia. Herman odpowiedział ni to, ni owo, rozśmiał się, uściskał Burakowskiego, który napróżno chciał go wyciągnąć na więcéj znaczące słówko, siadł i odjechał.

Odprawiony tak z niczém ojciec, z razu bardzo się zmięszał, bo to wyglądało, jakby z córką na targ wyjechał i kupca nie znalazł; nie wiedział co robić, zafrasował się mocno, zaczął się obawiać, że hrabia może zaprzestać bywać u niego, i byłby schudł nawet, gdyby w kilka dni potém Herman się nie zjawił znowu, jak gdyby nigdy nic. Nie wspominając wcale o propozycyi, milcząc jak zwykle, uważniéj zaczynał przypatrywać się pannie Elizie, Burakawski poczuł, że go trzyma, ale zrażony pierwszą próbą, zasznurował usta.

Tymczasem pani Moroszowa i panna Izabella, dla których deską wybrnięcia był hrabia, przerażone zostały natychmiast przyniesioną im wieścią o wizytach Hermana u Burakowskich. Domyśliły się łatwo grożącego im niebezpieczeństwa; córka płakała łamiąc ręce, matka się rozchorowała: długo napróżno oczekiwano niewiernego, który nie przybywał. Zjawił się nareszcie jednego wieczoru.

Przybycie jego zwiastowane jak wielki wypadek, o mdłości przyprawiło matkę, a córce ostatkiem nadziei wypalony rumieniec wypędziło na twarz zbladłą i spłakaną.

Herman powrócił nic nie zmieniony; sądzono, że bajki chyba rozniesiono o Burakowskich, a wówczas już było po słowie, po zaręczynach z Elizą.

Zwlekła się pani Moroszowa z łóżka do saloniku, i z gorączkowym niepokojem choroby i macierzyństwa, na chwilę sam na sam zostawszy z hrabią, zagadnęła go o córkę.

Hrabia wstał z kanapy z surowym wyrazem na twarzy.

— Nigdym bywając u pani—rzekł poważnie—ani słowem, ani półsłówkiem nie dał do zrozumienia, że-

bym się miał starać o pannę Izabellę; owszem usiłowałem panią wyprowadzić z błędu.

— Ale trzeba było być ślepym, żeby nie widzieć, żeś się jéj starał podobać, pozyskać jéj przychylność, zrobić jéj nadzieję.

— Nadziei! nadziei nie robiłem żadnéj! odparł hrabia. Lubiłem towarzystwo córki pani, do tego się przyznaję, i dla tegom u niéj bywał.

— Ale WPan ją kochasz! zawołała matka przywiedziona do rozpaczy.

— Gdybym kochał pannę Izabellę, odpowiedział zimno: byłby to powód właśnie, dla którego ożenićbym się z nią nie mógł.

— Jak to! łamiąc ręce, spytała pani Moroszowa.

— Bo w życiu miłość jest przeszkodą, jak wszelka słabość, a małżeństwo jest spółką, w któréj więcéj zimnéj krwi potrzeba i rachuby niż uczucia.

Całéj téj rozmowy, którą hrabia kończył wdziewając rękawiczki, nie dosłuchała matka, gdyż osłabła; córka zaś, która za blizkiemi drzwiami stała, weszła żywo w téj chwili, z zaciśnionemi ustami, płomieniejącemi oczyma i tak piękna wzruszeniem, które jéj z razu mówić nie dawało, że nawet hrabia panując nad sobą, uczuł się zmieszany jéj widokiem.

— Panie hrabio, rzekła mu dumnie; nie potrzeba słów i przyrzeczeń, żeby zawinić przed kobietą: jest mowa, którą rozumiemy wszyscy, a ta choć śladów nie zostawia po sobie, może być zbrodnią i oszukaństwem. Byłam szalona, bom wierzyła w serce, gdzie go nie było nigdy, gdzie go nie ma i nie będzie. Idź pan z tego domu, który okryłeś żałobą, któremu wydarłeś pokój i szczęście, a jeśli kiedy w życiu pomyślisz

o młodości, niech ci ona na czoło i piersi padnie zgryzotą popełnionéj zbrodni.

To mówiąc i nie dając mu czasu na odpowiedź, wskazała drzwi dumnie, a sama pobiegła do zemdlonéj matki. Takie było ostatnie widzenie się hrabiego z panną Izabellą. Pani Moroszowa wkrótce potém umarła; prawie równocześnie hrabia Herman ożenił się z panną Burakowską.

Dramat wszakże na tém się jeszcze nie skończył. Panna Izabella zmieniła miłość na nienawiść, i tę poprzysiężoną nieprzyjacielowi na całe zachowała życie. Niewidzialna, oddalona ciężyła nad tym, który tak chłodno, tak nielitościwie z jéj serca zrobił igraszkę.

Pozostawszy zupełną sierotą, wyprzedała skrzętnie odziedziczone resztki po matce, i zbierała się stale walczyć z ubóztwem, gdy śmierć stryja sławnego skąpca zamieszkałego i zapomnianego gdzieś w kącie Owrucza, przyniosła jéj pomoc niespodzianą. Z tém panna Izabella, o któréj rękę znowu niejeden się zgłaszał, odepchnąwszy wszystkich, poczęła wieść dziwne jak na pannę życie, nieustanną wypełnione pracą. Umysłu bystrego, wyuczona przy ojcu ostrożności, jaką w stosunkach z ludźmi zachowywać potrzeba, nabyła sama wioskę w sąsiedztwie i gospodarzyć w niéj zaczęła. Jeszcze bardzo piękna, przebrała się w suknie proste, zamknęła dom, zerwała stosunki, i wziąwszy tylko starą ciotkę do siebie, aby nie być samą, jęła się robienia majątku z zażartością do żywego dotkniętéj kobiety silnéj woli.

Sąsiedzi przypatrywali się jéj ze zdumieniem, w maleńkim jednokonnym wózku obieżdżającéj pola, stojącéj w słomianym Kapeluszu na głowie przy robotni-

kach, liczącéj kopy, doglądającéj drobnostek z nieznużoną cierpliwością. Twarz jéj stała się surową, oko groźném, usta zamknęła. Nie była złą panią, bo nie dopuściła niesprawiedliwości u siebie, ale litości nie miała dla nikogo, jak los nie miał litości dla niéj. Jedyną rozrywką po całych dniach takiego trudu była dla niéj muzyka, któréj nie porzuciła nigdy; namiętnie się nią jako antidotum przeciwko cierpieniu wewnętrznemu zajmowała, najczęściéj po nocach. Dźwięk jéj fortepianu w pustym domu często rozlegał się do dnia białego, a stróże nocni chodząc pod oknami i przysłuchując się téj dzikiéj muzyce, nieledwie skłonni byli poczytać ją za czarownicę.

Raz obrawszy sobie stały tryb życia, i założywszy cel, szła do niego panna Izabella zacięcie, wytrwale, z wolą niezłomną. Nic jéj nie kosztowało co tylko wiodło do celu: oszczędność, osamotnienie, praca, zaparcie się serca, o które najtrudniéj kobiecie.

Skutkiem tego poświęcenia się było, że nie doszedłszy starości, panna Izabella dorobiła się majątku, którego u nas każdy dopracować się może, kto chce i wytrwać umie.

Tymczasem hrabia ożeniony z panną Burakowską, wystawiony został na ciężką i niespodziewaną walkę, któréj nie przewidywał. Naturalnie, państwo Burakowscy chcieli się zięciem chlubić, chcieli losem córki popisywać, pragnęli otwartego domu, rozgłosu, wystawy, a do tego wszystkiego hrabia po szumném weselu odmówił im, zamykając się jak najhermetyczniéj w Horycy. Tego pan Burakowski znieść nie mógł, a hrabia innego życia nie chciał. Młoda żona poczęła płakać, młody mąż śmiał się: położenie było krytyczne, ale charakter hrabiego nieugięty. Wkrótce po ślubie

wynikły kwasy, nieporozumienia, boje nawet z Burakowskim, który na Horycę napadał; nieprzyjmowany szturmował do drzwi, robił skandale i nareszcie córkę porwaną uwiózł do domu.

Po niejakim czasie, gdy się po nią nie odzywał, powróciła do nieugiętego męża, który raz danego dotrzymał słowa, i zmusił ją do cichego ustronnego życia. Eliza poddała mu się, ale Burakowski zaczął chudnąć nagle, kaszlał, chorował i umarł; po nim w sześć miesięcy wierna małżonka, piękna niegdyś pani Burakowska, poszła na wiejski cmentarz.

Objąwszy po nich dobra, wkrótce potém hrabia doczekał się syna; a że mu szło o to, aby go na godnego następcę wychował, począł się nim z niezmierną troskliwością od pieluch zajmować.

To było powodem nowych nieporozumień z żoną najczulszą, ale najniedorzeczniejszą z matek, i ludzie nieprzyjaźni hrabiemu (na których nie zbywało) utrzymywali, że ją zbyt surowém obchodzeniem się z dzieciną do grobu wpędził. Po niedługim pożyciu, biedna Eliza dostała suchot i umarła, ostatnią łzą żegnając syna i przyciskając go do piersi, jakby pragnęła pochwycić i unieść z sobą, przeczuwając dla niego ciężkie na świecie losy.

Chłopiec więc pozostał sam z ojcem, a ojciec nieubłagany w raz powziętéj myśli, niezrażony tém, że walcząc nieustannie z żoną zdrowia a może i życia ją pozbawił, jął się sam wychowaniem Jurasia, na sposób Russa, najprzód usiłując z niego uczynić silne dziecię natury.

Między innemi przekonaniami hrabiego było i to, że u nas braknie najwięcéj hartu charakteru i wytrwania we wszystkiém: pragnął więc, by syn jego

pod wszystkiemi względy był żelazny. Mniejsza o to, że go codzień kąpał w zimnéj wodzie, że najprostszemi karmił potrawami, że czasem głodem morzył, że mu się często sprzeciwiał, wypróbowując ile w nim znajdzie stałości, że go zmuszał do jednostajnych zabaw i zajęć od dziecka; ale tak był dla niego surowy, jakby już miał ze starym do czynienia, więcéj od niego nad wiek wymagając, dręcząc nieustanném szpiegowaniem i dozorem. Dziecię to stało się istotnie męczennikiem.

Mogło to w przyszłości wyrobić w niém charakter, siłę, energię, ale w pierwszych chwilach zbyt silnie może niém targając, tamowało swobodny rozwój sił duszy. Walka, do któréj go zmuszano, była za wczesna. Dziecię prócz tego przyniosło z sobą zaród dziwnego uporu, nieugiętości, i to, co ojciec chciał w niém wyrobić drażniąc, już do zbytku znalazł wyrobione przez samą naturę. Juraś więc zepsuł się raczéj niż poprawił takiém prowadzeniem, bo do tego żelaznego charakteru potrzeba było koniecznie łagodniejszéj ręki.

Ztąd od lat niemowlęcych prawie, zwłaszcza gdy mu matki zabrakło, chłopak począł z ojcem bój strasznie zawzięty, milczący, ale nieustanny. Burzył się, uczył w ostatku kłamać, by swą miłość własną ocalić, a ile kroć złapany był na winie, zacinał usta, coraz większéj ku ojcu nabierając nienawiści.

Było także w systemie hrabiego, który myśli miał rozsądne, choć w wykonaniu ich chybiał, aby dziecko wychowywać starannie, ale trybem takim, żeby się w kraj wżyło i na téj ziemi kształciło, od któréj w przyszłości oderwać się nie mogło. Przygotowawszy więc do klas syna w domu bardzo troskliwie, choć niemal co pół roku zmieniał i wypędzał nauczy-

cieli, oddał go do szkół do Pińska, postawił jak ubogiego na kwaterze, gdzie jak najgorzéj karmiono, a na lekcye tylko nie żałował. Zmuszał go także chodzić w jak najgrubszém suknie, w jak najbardziéj podartych butach: to należało do systemu. Juraś z ochotą pojechał do szkół, gdzie się spodziewał cokolwiek wolniéj odetchnąć; ale i tu oko ojca, szpiegowie ojcowscy czuwali nad nim. W te żelazne okowy wzięty młody chłopak temperamentu ognistego, nieugięty, rozjątrzony, wił się w męczarniach, z których jeszcze hrabia czasem naśmiewał się, nielitościwe dając mu nauki.

Herman kochał to dziecię pomimo obejścia się z niém tak tyrańskiego, ale kochał jak to ludzie umieją, po swojemu, miłością egoistyczną, która najprzód swój przedmiot urobić chciała wedle myśli własnéj; przekonany był bowiem, że to wszystko miało jak najświetniejszą przyszłość synowi zapewnić.

Gdy Juraś przyjechał do Pińska, a miał naówczas lat około piętnastu i był ślicznym chłopakiem, przeniosła się tam właśnie na mieszkanie podstarzała już panna Izabella Moroszówna, która naówczas jak rozpowiadano, była milionową panią, a żyła jeszcze jakby nic nie miała. Kupiła ona dom w miasteczku, a summy pozostające jéj od gospodarstwa i obrotów miejscowych obracała na handel, który dla niéj był rodzajem loteryi, żywo ją zajmującéj. Wszyscy kupcy znali ją, pożyczali u niéj, mieli z nią interesa i spółki, i szanowali ją wielce, przekonawszy się, że oszukać jéj nie było podobna.

Panna Izabella już miała lat około czterdziestu, ale życie hartowne, brak uczuć gwałtownych i niszczących najwięcéj człowieka namiętności, przeciągnęły jéj młodość nad zwykłe granice. Była jeszcze piękna,

poważnéj postaci, a choć gdzieniegdzie srebrny już włos przerzucał się na skroni, oko błyszczało jeszcze ogniem młodym i płeć nie straciła świeżości, jednéj zmarszczki nie miała na twarzy. Dawne jéj zamiłowanie muzyki pozostało i teraz jedyną jéj zabawą i zajęciem; a choć się nigdy nie popisywała przed nikim i nie grywała przy ludziach, fortepiany swe trzymając w pokoju, z któregoby ich dźwięk na ulicę nawet wejść nie mógł, — wiedziało całe miasto, że pół dnia spędzała przy nich. Zwykle, gdy ją ten paroksyzm muzyczny napadał, zamykała się na klucz, i w obszernéj sali, do któréj nikt wchodzić nie miał prawa, zarzuconéj pyłem przysutemi nutami, spędzała po kilka godzin sama jedna. Fortepian dla niéj był z razu tém, czém koń dziki dla Araba, który leci w pustynię, aby pozbyć się ludzi, aby się znużyć śmiertelnie; potém gdy uczucia ostygły, stał się nałogiem, potrzebą, przyjacielem, wypełnieniem życia jakiemiś dumaniami i marzeniami melodyi innego lepszego świata.

Myliłby się ktoby sądził, że te kilkanaście lat pracy wytarły w jéj duszy pamięć wypadków przeszłości i osób, które na nią wpłynęły. Zamknięta w sobie, żyjąc jednostajném życiem upływającém bardzo szybko, choć zdawało się wlec powolnie, panna Izabella pozostała w duszy ową panienką, którą była chowając matkę. Poprzysięgła sobie zemstę nad człowiekiem, który ją zdradził, i karmiła ją choć w głębi. Obok tego uczucia kryła się jeszcze niedogasła miłość.

Przypadek, jeśli są na świecie przypadki, w co nie wierzę, bo wszystko aż do najmniejszego kroku najprzód się zdaje obmyślane i znaczenia pełne, — ukazał jéj na ulicy Jurasia, który podobieństwem rysów nie-

zmiernie jéj ojca swego przypominał. Juraś w podartéj, grubéj surducinie, w dziurawych butach, w czapeczce staréj, kroczył z książkami pod pachą do szkoły. Z razu to widmo wzięła za przypadkowe zjawisko; ale gdy mając usłużnych szpiegów na zawołanie, dowiedziała się, że dziecię to jest synem nieprzyjaciela,—oko jéj zapaliło się uczuciem jakiémś, które trudno było odgadnąć.

Wkrótce potém zwabiono Jurasia do jednéj wdowy, mającéj w szkołach syna, gdzie go widzieć i bliżéj poznać starała się panna Moroszówna.

Zadziwił ją w dziecku już wybitnie malujący się charakter nieugięty, gwałtowny, którego chłopak utaić nie umiał. Nie śmiała go do siebie pociągnąć, ale często bardzo widywała u wdowy, któréj tajemnie wyznała, że to jest daleki jéj krewny, przez srogiego uciemiężony ojca.

Tu ciemno dosyć w tych dziejach, i dojść nie można, czy panna Moroszówna miała jaki udział w dziwnym wypadku, który w rok potém nastąpił. To pewna, że gdy Juraś zniknął bez wieści z Pińska, gdy po niego rozesłano na wszystkie strony świata, niebo i ziemię poruszając, aby go wynaleźć, bo rzuconym u brzegu rzeki sukniom nie wierzono, — przyszedł jakiś list z Pińska do Horycy od panny Izabelli, który Herman w kawałki podarł i zdeptał nogami. Trzy dni potém nikomu się nie ukazując siedział zamknięty, a gdy wyszedł z pokoju, tak strasznie był zestarzały, wychudły, tak zdawał się obłąkany, że ludzie otaczający go przemówić doń nie śmieli.

Odtąd szukano wszędzie Jurasia przez lat kilka, ale dzieciak wpadł jak w wodę, niektórzy nawet z sukien znalezionych utrzymywali, że się istotnie utopił,

i słuchu już o nim nie było, śladu nie zostało. Zaraz po jego zniknięciu i odszukaniu sukień, na trzech szlakach znaleziono ślady prawdopodobne uciekającego, ale zwodnicze te tropy, do niczego nie doprowadziły.

Na miejscu poprowadzone badania dowiodły, że suknie dziecka przez kogoś innego u rzeki były rzucone. Herman więc robił co mógł, aby odkryć co się z Jurasiem stało: obiecywał nagrody, rozsyłał ludzi, używał policyi, ale wkrótce przekonał się, że to tylko ogromnie kosztowało, że go szukano daremnie i żadnéj pewniejszéj nie znaleziono poszlaki. Porzucił więc zrozpaczony starania o dziecko, które miał za stracone.

Śmierć żony, późniéj ten straszny wypadek, pogrążyły go w smutku i jeszcze dzikszym zrobiły. Zamknął się w Horycy z Lacyną i kilku domownikami, wiodąc życie jakiegośmy próbkę widzieli: skąpe, nudne, przerywane tylko drobiazgowém staraniem o gospodarstwo i połykaniem książek, gdy go do nich napadła fantazya.

One stanowiły jedyną prawie rozrywkę starzejącego się człowieka, który wszakże, jak te zwierzęta co karmiąc się różnego rodzaju roślinami, jedną z nich zawsze nić przędą, wyrabiał ze wszelkiego pokarmu jeden sarkazm chłodny, szyderstwo i niewiarę, niezbłaganéj ucząc się logiki, do któréj sfałszowania nigdy i w żadnym razie nie chciał serca przypuścić.

Utrzymywał on stale, choć życie mogło go inaczéj przekonać, że ze wszystkich żywiołów uczucie było najniebezpieczniejszym, że daléj zaprowadzić i na większe narazić mogło głupstwa, niż najsroższe cierpienie zadane prawidłami rozumu. Starał się też uczucia nie

mieć wcale, choć chwilami gwałtownie odzywało się o prawa swoje.

O synu, gdy zaprzestał poszukiwań, zakazane zostało nawet wspomnienie w domu; unikano wszelkiéj i najdalszéj alluzyi do dziecięcia tak dziwnie straconego. Herman wstrzymywał się sam od wyrażeń, któreby tego wypadku dotykać mogły, a nieposłusznych w tym względzie karał oddaleniem.

Wszakże stary Paweł Siermięzki, niegdyś Paweł Siermięga, dawny sługa domu, którego wiek był zagadką, utrzymywał po cichu, że pozostałe po Jurasiu rupiecie, złożone w osobnéj izdebce, czasem tajemnie odwiedzał ojciec i na klucz się z niemi zamykał, a wychodził potém z czerwonemi oczyma.

Oryginalna to była postać tego Pawła Siermięzkiego, który przez dodanie szlacheckiego zakończenia swojemu nazwisku chciał je udostojnić, choć rodzonych synowców miał na wsi, i jawnie a oczywiście pochodził z wieśniaczéj rodziny.

Tak to u nas często bywało, i nikt się temu nie dziwił, że ktoś zrzuciwszy sukmanę, wdział surdut, i szarawary spuściwszy na buty, już trochę zostawał szlachcicem; a im dłużéj chustkę na szyi nosił, tém się mocniéj sam o tém przekonywał, iż musiało w nim istotnie coś być szlacheckiego; aż nareszcie gdy się pochodzenia zapomniało, w drugiém, trzeciém pokoleniu czepiał się herbu jakiegoś z małą nazwiska przemianą, i już tak daléj familia jego nobilitowana pra-

wem surduta, wędrowała w świat ze szlachectwem najautentyczniejszém.

Mnóztwo tego mamy przykładów, a niekiedy działo się to tak gwałtownie, przez przenosiny z miejsca na miejsce przyjmowało tak dobrze, iż ani się było domyślić podrobienia, zwłaszcza gdy nowy szlachcic gęste miał wąsy i minę.

Jedno tylko uderzało zawsze w tego rodzaju rodzinach, że o ojcach swych unikały rozmowy i nie puszczały się w kolligacye; a gdy o tém u drugich była mowa, po twarzy i po minie poznawałeś, że to im nie smakowało.

Otóż Paweł Siermiązki był to człek tak stary, że nikt wieku jego nie wiedział, a siwi dziś ludzie już go w dzieciństwie zwiędłym pamiętali staruszkiem. Mógł mieć lat dziewięćdziesiąt lub sto, może więcéj; mógł siedmdziesiąt kilka, ale nigdy o swym wieku nie mówił, a gdy inni o nim wspominali, uparcie milczał zażywając tabakę.

To pewna, że hrabia Herman nie był młodym, a Paweł na rękach go nosił i służył mu od dzieciństwa: jeździł z nim do szkół, pamiętał wszystkie figle panicza, był z nim potém ciągle, i sam jeden niejaką nad nim uzyskał władzę.

Prawda, że się często kłócili, owszem stara przyjaźń pana i sługi zdawała się najmocniéj krzepić nieustannemi sporami; ale się też kochali obaj, i jedną miłością widoczną, jaką Herman okazywał, było przywiązanie jego do Pawła. Kochał go też Paweł, i z tém się nie taił, a bronił zapalczywie przeciwko wszystkim i zawsze, utrzymując, że pan jego jest najlepszy w świecie człowiek, serce złote, dusza bez skazy, a udaje tylko czasem srogiego, aby go ludzie nie nadużywali.

Potrzebujemy się zawsze do kogoś przywiązać, w niedostatku kogoś do czegoś przynajmniéj; są co nie mogąc ludzi, kochają kanarki i pieski, nieruchomości rozmaite, pieniądze, ale zawsze przecię coś tam kochać trzeba: Herman kochał Pawła, z którym od spotkania wiecznie się i na zabój kłócili.

Paweł, staruszek mały i zaschły, przygarbiony, nieco ślepy, siwy, z długim włosem spadającym na kołnierz kapoty, żółty był jak pomarańcza, cały pomarszczony, bez zębów, ale ruchliwy i żwawy. Stukając okutemi bótami, suwał się cały dzień po domu, za którego obrąb rzadko wychodził; gderał, modlił się, stękał, ale nie myślał wcale odpoczywać. Usługiwał jeszcze panu, i w tém się nikomu nie dał wyręczyć.

Dom Hermana, jakeśmy widzieli, składał się z dwóch dziwnie z sobą spojonych części: murowanego dołu i drewnianego piętra. Piętro to przystawione jeszcze za rodziców hrabiego, dziś dla niego stało się całkiem nieużyteczne. Były tam sale niegdyś balowe, izby gościnne, i Paweł obrał sobie wśród tych pustek mieszkanie w narożniku, sam jeden ze szczurami gospodarując na górze. Szczury nietylko go nie zrażały, ale doskonałym dla niego były znakiem różnych zmian pogody; utrzymywał bowiem, że skoro tylko żywiéj ruszać się i gospodarować zaczną, musi być wicher lub słota. Ten niepokój opanowujący zwierzęta na zmianę powietrza, zawsze się potém usprawiedliwiał. Na szczury stawiano pułapki i trutkę, ale mimo wygubienia trzymały się stale z Pawłem razem na górze, na dół tylko nie schodząc nigdy, bo tam pies pana Lacyny natychmiast na nie zajadłe rozpoczynał polowanie.

Paweł Siermiężki był po staremu pobożny, i ubrawszy pana, a zapewniwszy się o jego zdrowiu, gdy po-

wodu do kłótni nie było, zamykał się u siebie na modlitwę, potem prowadził zażartą fabrykacyę tabaki, a gdy się ta sprzykrzyła, wiązał niewód.

Ile utarł tabaki, któréj ani on sam, ani nikt zażywać nie mógł, ile niewodów do dóbr hrabiego przysposobił, trudnoby wyliczyć. Tabaka leżała pakami; niewody zapaśne, latami oznaczone, wisiały wszędzie po strychach. Pracowitszego nad niego nie znalazłeś człowieka.

Tego dnia właśnie schodził z góry Paweł, gdy w sieni spotkał Poreiakiewicza, z którym dawno się znał, bo go małym chłopakiem pamiętał Siermiężki.

— O to! a co tu pan u nas robisz? zapytał Paweł uśmiechając się.

— A co! jak myślicie panie Pawle? Bieda mnie przygnała.

— Zaś bieda! a jakaż? niech Bóg broni! Czyżby już bieda do tak gospodarnego zawitała człowieka?

Porciakiewicz głową pokiwał.

— Nie dość to gospodarstwa, szczęścia jeszcze potrzeba... Ot co! na starość sługą zostałem.

I łzę otarł, pokazując pieniądze, które jeszcze trzymał w ręku.

— No! no! może u nas zostaniecie? spytał Paweł wesoło.

— Będę ekonomował w Sienném.

— A co złego? żywo chwytając go za rękę, dodał staruszek. U takiego pana służyć, nie wstyd i nie żal, mospanie; to człek złoty!

A widząc na twarzy Porciakiewicza jakiś uśmiech dwuznaczny, dorzucił.

— Et! wy bo go nie znacie... On ma taką passyę udawać nieużytego i srogiego; ale serce poczciwe,

człowiek anioł, mospanie! To ja wiem co go od pieluch znam. Coś mu się tylko przyplątało grać tę rolę dziwną... a co z nim zrobisz? uparty! To cała bieda! Już wierzcie, że ja go znam. I dobrzeście zrobili, panie Porciakiewicz, żeście go sobie wybrali; bo kto mu się powierzył, nikogo on nie opuścił.

Po tych wyrazach rozstali się, a Paweł zastukał do drzwi Lacyny, którego zastał chodzącego kulawo po pokoju w wielkim ferworze. Przyczyną rozdrażnienia było ranne obejście pana. Regentowicz gniewał się na niego nie pomału. Poznał to od razu Paweł, bo nie pierwszy raz widział.

— Ho! ho! co tu u waści słychać? spytał.

— A nic! rzekł Lacyna, chodząc i zżymając się.

— Cóż to, waść jak środa na piątek?

— Albo to nowina! Kto to wytrwa z takim człowiekiem! to kat nie człowiek!

— Ot znowu! gadajże z nim!

— Ja go taki porzucę! zawołał Lacyna.

Paweł ruszył ramionami.

— Pluń na to! rzekł spokojnie: a gdzie ci lepiéj będzie?

— Wszędzie.

— Co tam znowu nowego?

— A stare rzeczy! stare! rzekł rozjątrzony Lacyna. Temu pankowi się zdaje, że jak u niego szlachcic chleb je, to wolno mu już nim pomiatać jak zechce, i krzywdzić, i znęcać się; ale ja mu pokażę, że tak nie jest! Ja mu pokażę! Nie, nie, ja mu pokazać muszę! Człek przecię ma swój honor, którego nie sprzedał... a on mi powiada w oczy że ja kłamię, żem rano nie wstał... rzuca mi przekąsy, że chodzę na fol-

wark do panny Petronelli! A gdyby i tak było? kto mi tego zabroni... kto? kto?

O wódce nic nie wspominał Lacyna, ale chodził nachmurzony.

— A jeśli ci powie prawdę, to cóż? spytał siadając Siermiężki. Korona ci z głowy nie spadnie.

— Ja tego nie lubię! tego nadto!

— Oj! oj! dałbyś już pokój, a Pana Boga chwalił, kiedy ci dobrze. Cóż ty tak wielkiego robisz? a masz wszystko, i pensyjka dochodzi regularnie.

— Jakaż pensyjka? wielkie mi rzeczy!

— No, i chleba kawał.

— Jaki chleb? jaki?

— I dalipan ci dobrze, tobyś nie wydziwiał.

— A! bardzo dobrze! ironicznie rzekł Lacyna.

Paweł spostrzegł, że Regentowicza nie ukołysze i wstawać miał, aby sobie ta burza sam przez się minęła, gdy się wsunęła trzecia postać, także dworak horycki, niejaki pan Radwanowicz.

Był on niegdyś nauczycielem w jakichś szkołach i zwał się od téj pory „panem profesorem;" rzecz jednak była wątpliwa, kiedy, jak i gdzie ten obowiązek spełniał, gdyż silnie przyparty, wykręcał się żarcikami z oznaczenia miejsca i daty.

Radwanowicz był potężny mężczyzna, podobny silną budową do gospodarza, ale i otyły w dodatku; na twarzy jego malowało się zdrowie żelazne, i gdyby nie łysa głowa, która świeciła jak kolano, poświadczając pewne zużycie człowieka, mógłby za młodszego niż był w istocie uchodzić. Był to ów łykacz książek, *bellua librorum*, typ znany w świecie, co czyta z nałogu i z czytania niewielką korzyść wyciąga, a raczéj do reszty się niém obałamuca. Nie mając począt-

kowego wychowania gruntownego, któreby go na drogę wprowadziło i doradziło wybierać co złe a co dobre, Radwanowicz chwytał, pożerał, ale nie trawił.

W głowie jego powstała ztąd mięszanina najosobliwsza rzeczy i myśli, a skutkiem jakiéjś osobliwszéj operacyi mózgowéj, było dla niego zupełném niepodobieństwem trzymać się przy jedném jakiemkolwiek założeniu i wypowiedzieć myśl jakąś porządnie.

Zaczynał coś najprostszego, przechodził do rzeczy najniespodziewańszych, wpadał w coraz nowe, i kończył odskoczywszy o sto mil od przedmiotu; to go czyniło pociesznym niekiedy, czasem, gdy umyślnie bredził, dowcipnym nawet, ale do niczego niezdatnym, Niedorzeczność jego wielce zabawiała hrabiego, który go więcéj trzymał dla rozrywki niż do biblioteki. Na dole w kilku pokojach był znaczny zbiór książek, które Radwanowicz rozrzucał pod pozorem układania, wśród których sam jeden tylko mógł się znaleźć, i z powodu tych zajęć przybierał szumny tytuł bibliotekarza.

Próżniak znakomity, gaduła niewyczerpany, Radwanowicz gdyby nie ten przytułek, nigdzieby kawałka chleba może nie znalazł, bo do żadnéj roboty się nie zdał, a miał się za geniusz i żalił się, że niepoznany umiera, że dla głupiego świata pracować nie warto. Głowa bez rozwagi żadnéj, jak podniebienie żarłoka bez smaku, pożerał co napadł: złe, dobre, twarde i delikatne pakując bez różnicy, i ostatecznie po tém obżarstwie nic mu prócz niestrawności umysłowéj nie zostawało.

Ogromny ów kolos zaledwie się wcisnął do Lacyny dysząc i sapiąc, bo zawsze był zmęczony byle kilka kroków zrobił; siadł zaraz we drzwiach na krześle,

które pod nim jęknęło, i ocierając pot z czoła, wyciągnął rękę do tabakierki Pawła.

Miał on się za bardzo, za nieskończenie wyższego od Lacyny, który rzadko czytywał i nie miał żadnéj pretensyi do uczoności; wszakże często do niego na gawędkę zachodził, bo ta ekspektoracya była dla niego taką potrzebą, że czasem kazania prawił do rąbiących drwa stróżów. Z Pawłem byli w stosunkach przyjaznych, ale mu się czasem czuć dawało co exprofessor, a co stary lokaj!

Paweł na to ruszał ramionami. Radwanowicz jednak, gdy miał prośbę do pana, nie powierzał jéj nikomu, tylko Siermiężkiemu.

— Oj! oj! wracam od ciężkiéj pracy, muszę też tu choć chwilkę odetchnąć—rzekł Radwanowicz,—gdyż jak mówi filozof, którego czytałem siedząc w oknie a przez okno widziałem Porciakiewicza: szlachcic *bene natus et possessionatus*, ośmioro dzieci. Pewnie po pekunię nawrócił do Horycy. Miałem i ja niegdyś grosza. Ale to nie dla filozofa. W młodości co innego się śniło... Sen... *vigilantium somnia*, jak ów powiada—kto powiada? Nie wiesz Lacyno? Nie wiel... Kasztelanic... a trzeba wiedzieć, że matka jego z udławienia kością umarła. Kości służą do gry, to wiecie, i Lacyna też... Z kości gotuje się kléj... robi się farba czarna... *exempli gratia* szuwaks, *szuwaxum*... Zkąd czarność oznacza żałobę... chociaż nie u wszystkich narodów...

— Otóż plecie! rzekł Lacyna.

— Ale coś mi Regentowicz zwarzony? spytał professor: widzę po twarzy... Wiadomo, że Janus miał dwie twarze, jeśli nie więcéj; zkąd *Januarius*, styczeń

od stykania. Otoż daj tabaki, panie Pawle, kiedyśmy się zetknęli.

Wyciągnął rękę do Pawła.

— Cóż Lacynie?

Regentowicz pokręcił wąsa czupurnie, zatarł czuba, poprawił kołnierzyków i rzekł:

— Ot co... że ten dom opuszczę.

— Nie słuchaj! rzekł Paweł: bredzi.

— Ale cóż się stało?

— To kat nie człowiek! powtórzył Lacyna.

— Hm! kat, *carnifex,* mistrz, czerwony płaszcz, wielki miecz; zkąd gilotyna, o któréj różne są zdania co do jéj wynalazku. Wynalazł i Kołumb Amerykę; zkąd Wespucyusz nazwany został Amerykiem... wszak tak? A to dowodzi, że pan Lacyna gniewać się nie powinien. No! to jasno!

— A to bieda z tymi mądrymi, nigdy z niemi do ładu nie trafisz, tak im się w głowie pomiesza—szepnął Paweł. Widzisz, że chce opuścić Horycę.

— O! strachy na Lachy! odparł Radwanowicz: zkąd zaraz Lech i Leszki. I jabym mógł być professorem *ex professo,* a nie myślę, bo mi tu dobrze... Chociaż dobre, filozoficznie mówiąc, zawsze jest względne, ale hrabia bezwzględnie dobry bardzo człowiek; prawda panie Pawle?

Paweł pospieszył z radosném potakiwaniem; Lacyna z pogardą ruszył ramionami.

— To się wyszumi! dodał Radwanowicz... to się wyszumi, chociaż szumowiny, ściśle biorąc, jest to lichota... szum, piana, nicość, *pulvis es et in pulverem reverteris,* proch!... Dajże waćpan proszku, panie Pawle!

Lacyna wciąż chodził poruszony. Wtém drzwi się otworzyły na wpół, i głowa chłopaka od hrabiego, któregośmy widzieli w przedpokoju, wsunęła się przez nie niespodzianie.

— Aj! po całym domu szukam jegomości! zawołał zdyszany Wicek. Pan prosi pana Pawła, ale pilno.

— Mnie!...

I zerwał się Siermiązki biedz, a dwaj towarzysze umilkli nagle. Professor tylko po cichu coś szeptał, żeby usta nie próżnowały.

Kwadrans tak upłynął może, w ciągu którego Regentowicz sapał, a Radwanowicz po cichu mówił sam do siebie bardzo ciekawe rzeczy, a gdy Paweł powrócił zbladły i widocznie zmieszany.

Obu uderzyła ta zmiana malująca się na jego twarzy, ale że często miewali spory z Hermanem, domyślali się tylko, że i teraz coś zajść musiało.

Paweł stał zadumany.

Trzeba wiedzieć, że hrabia od bardzo już dawna nie wyjeżdżał z domu, długie lata przesiedział w Horycy, nawet w bliższych nie bywając miasteczkach, jak najmniéj wszystkiemu udzielając się światu. Osamotnienie, choroba, zresztą systematyczne lekceważenie ludzi, przywiodły go do tego.

Przestrach Pawła wywołany był niespodziewaném oznajmienicm, że Herman chce jechać do Pińska. Zdziwiło to niezmiernie Siermiązkiego, który silnie przeciwko temu w imieniu zdrowia hrabiego zaprotestował; otrzymał odpowiedź ostrą i stanowczą, i wrócił cały pomieszany. Tymczasem przybory do téj drogi robić kazano niezwłocznie.

— Co to jest? co to jest? spytali razem Radwanowicz i Lacyna: co się WPanu stało, panie Pawle? To jakiś dzień feralny.

— Ale nic! Tylko mu się przywidziało znowu jechać do Pińska!... Jechać! po co jemu jechać?

Wieść ta wpadła między nich jak piorun.

Lacyna i Radwanowicz spojrzeli na siebie znacząco; wychodziło to tak dalece ze wszelkich prawdopodobieństw i trybu życia zwykłego, żeby po latach zasiedzenia miał hrabia gdzie wyjechać, iż nie pojmowano co mogło to nagłe postanowienie spowodować.

— Jemu jechać? po co? zawołał, machając rękami staruszek: do czego to się zdało? Chory, kolana go bolą, zaziębi się; ani powozu, ani porządnego pokładu nawet i czółna, ani odzieży stosownéj! Noce chłodne... Gdzież? odzwyczaił się: rozchoruje. Staremu wyjść tylko ze zwyczajów, to śmierć.

Lacyna pokiwał głową.

— Zwyczaj, nałóg, druga natura, dodał Radwanowicz... nic pewniejszego. *Natura naturans* i *natura naturata*; zkąd Linneusz i Buffon naturaliści, a nie daleko zaraz świat przedpotopowy, zęby słoniów i mamutów; Afryka słoniowym zębem handlująca, która była śpichlerzem Rzymu. *Roma aeterna*, i *limina apostolorum*...

— I po co jemu jechać?

— Po co jemu jechać?

— Po co jechać? z oburzeniem wtórowali wszyscy.

— WPan panie Pawle, powinieneś mu to przecięż wybić z głowy: bo po co jedzie?

— Czy ja mu mogę co wybić albo wbić! zawołał Paweł. To uparty jak... (ale tu się pomiarkował)—choć

najlepszy w gruncie człowiek, nic w świecie przekonać go nie potrafi, gdy sobie co powie.

— Już od razu uważałem, rzekł Lacyna, że w jakimś dziwnym był humorze.

— Czy wypadł jaki interes? dumał głośno Paweł.

— Był u niego Porciakiewicz, to może on.

Na twarzach dworaków Hermana malowało się podziwienie niezmierne i pomieszanie. Każdy miał do tego jakiś powód:—Paweł czuł swe przywiązanie do pana i troskliwość o jego zdrowie. Lacyna powoli rachował, że przez ten czas odetchnęłby na folwarku przy pannie Petronelli, ale z drugiéj strony jadłby gorzéj i po powrocie ścisłyby musiał zdać rachunek z gospodarstwa. Radwanowiczowi nudziło się samemu, przywykł był już nawet do żartów, które sobie z niego stroił pan hrabia.

Wszyscy zresztą od lat tylu jednostajne i solidarne wiodąc życie, z przerażeniem widzieli nagle mogącą w niém zajść zmianę, niewyrachowane następstwa, i obawiali się ich instynktowo.

Przyczyna téj podróży zagadkowa niepokoiła ich wszystkich. Po co i dla czego miał się z domu oddalać? Domyślali się ważnéj, bardzo ważnéj przyczyny, gdy go z téj ciszy i nałogowego zadomowienia wyrywała.

W duszy człowieka dziwne się czasem dzieją rzeczy, i gdyby nam przyszło wytłómaczyć co było przyczyną tego nagłego postanowienia hrabiego Hermana, nie umieliśmy zdać sprawy,—tak jak on sam nie wiedział może dobrze, dla czego to czynił.

Od bardzo dawna nie widzieli się z bratem Rajmundem, pisując tylko kiedy niekiedy do siebie. Zadrgała jakaś struna, dawno zardzewiała, od wyrazów

może wyrzeczonych przez Porciakiewicza: stary chciał się zobaczyć z rodziną, przypomniał sobie węzły, które go z nią łączyły; postanowił więc jako próbę odbyć najprzód przejażdżkę do Pińska dla przygotowania się i oporządzenia do téj drogi na Wołyń. Któż wie, czy nie chciał się rozerwać?

W domu całym wieść o tém niezmierne sprawiła zaburzenie; wychodziło to ze zwyczajów, z domysłów, z możliwych wypadków. Więc gdy po długiéj naradzie i stękaniu w izdebce Lacyny, puszczono odgłos po dworze o wyjeździe dziedzica do Pińska, wszystko aż do ostatniego we dworze parobka, w największém zadziwieniu i niepokoju rozbiegło się z wielką nowiną: „Pan jedzie!!!"

Nawet klucznica, pani Seredowiczowa, kobiecina pokorna i milcząca, która całe życie narzekała, że ją Pan Bóg tą służbą pokarał, a jednak już lat piętnaście wdowieństwa swogo przetrwała w Horycy, ruszyła ogromnie ramionami i zaczęła kiwać głową w sposób znaczący.

Wszyscy jednak ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, poczęli po ludzku rachować, czy im to w jaki sposób dogodne nie będzie? Lacyna miał przed sobą kilka dni spokoju i odpoczynku; Radwanowicz myślał, że mu nic czytania i mruczenia przerywać nie będzie; pani Seredowiczowa przypuszczała, że mogłaby przez ten czas nie wstawać tak rano, ani tak osobiście fatygować się do dojenia krów i robienia serów. Paweł tylko nieborak chciał panu sam towarzyszyć, obawiając się o jego zdrowie, nie zważając, że i w jego wieku podróż mogła być trudna i niebezpieczna.

Z tą myślą poszedł w kilka chwil do hrabiego. Herman przechadzał się po swoim pokoju wolnym

krokiem, a gdy Paweł stanął we drzwiach cicho, zatrzymał się z ledwie dostrzeżonym uśmiechem naprzeciw niego.

Paweł czekał milczący.

— No! gadajże stary, boś darmo nie przyszedł.

— Pewnie, że nie darmo! rzekł Siermiężki: pewnie że nie darmo; ale człowiek głowę traci. Trzebaż pogadać o téj drodze, bo to nie jest mała rzecz.

— Cóż tak strasznego?

— Ale.. panie hrabio...

Trzeba wiedzieć, że Herman hrabią tytułować się nie lubił, zwłaszcza w chwilach złego humoru. Tupnął więc nogą.

-- Co to! ty nie wiesz, że mi ten tytuł nic potém? rzekł oburzony. Czy ci to znowu mówić potrzeba? To tylko ciężar i śmieszność; bronię się nim od policyi, a w domu kat mi po nim.

-- Toć ja wiem, ale ta podróż...

— I tego się boisz?

— Pewnie! kto dziesięć lat z domu się nie ryszył, nogi ma pobrzękłe, stary, niezdrów, odwykły, albo to mała rzecz?

Ruszył ramionami.

— Daléjże co? już się wygadaj stary gdero.

— I po co jechać?

— Żeby się przejechać.

— Niby to pan tak rozrywki potrzebujesz! gadaj zdrów! No, ale jakże jechać? Cóż, obijanikiem? u nas porządnego nie ma, tylko ten, co jeździ Lucyna; potém nawet, żeby do dnia wyjechać, w Pińsku na noc być trudno, a noc na wodzie to choroba pewna, jeszcze dla jegomości! Powozem? to u nas także porządnego nie znaleźć; wszystko pordzewiało i poopadało.

Stary kocz, wstyd wyciągać, ressor pękły i sznurkiem związany, a buksy słyszę tak powycierane, jak papierki; poduszki już trzy lata temu szczury pojadły... pan sobie przypomina, że Jankowi dali za to dziesięć, że nie dozorował.

— Ale żółty koczyk, żółty; toć się nim jeździ?

— A tak! na spacer do Siennego o milę! zapewne! Ale do Pińska po tych drogach, a jeszcze opakowawszy! czy to wytrzyma? Ani myśleć! Trzeba rzeczy wziąć! Pan, ja...

— Jak to, ty?

— A toż ja przecię jadę! rzekł Paweł stanowczo.

— Ty? ze mną?

— No! a myślisz jegomość, że ja się zostanę?

Herman parsknął śmiechem. Paweł się oburzył.

— O! już że pojadę i tak jegomości nie puszczę samego, to nie puszczę... Z kimże? czy z głupim Mateuszem, co wszystko tłucze? czy z Wickiem, którego robaki męczą? Żaden łóżka nawet posłać nie potrafi, ani kawy zgotować. Nie! już ja na to nie pozwolę, żebyś jegomość sam jechał.

— Mnie się coś zdaje, że zostaniesz.

— Nie zostanę. Albo jegomość nie pojedziesz, albo mnie z sobą zabierzesz.

— Ale mój Pawle, toć przecię powinieneś mieć choć tyle sensu, żeby wiedzieć, że mi będziesz ciężarem nie pomocą. Toż nie ty mnie, ale ja ciebie będę musiał pilnować.

Paweł ruszył ramionami.

— Nie wiem kto z nas gorszy niedołęga, czy jegomość, co tam masz jakie pięćdziesiąt, czy ja, com już był stary, gdyś się rodził! No! no!

— Dajże mi pokój!

Milczeli chwilę. Paweł poczynał mruczeć.

— Choć to wiosna i powietrze ciepłe niby, ale w cóż się jegomość ubierzesz? Do domu, to tam masz cokolwiek, ale na drogę, do ludzi, to nawet poczciwéj sukni...

— Myślisz, że ja do ludzi będę się stroił inaczéj niż do tych czterech ścian i do was? odparł hrabia... po co? dla czego? Mam nową kapotę szaraczkową.

Paweł się oburzył.

— Wszyscy wiedzą, że mam pieniądze, będą mnie i w sukmanie szanowali: zobaczysz. Kapota siwa przy worku nabitym, za sajetę stanie.

— Co to gadać! Jegomość i czapki nawet porządnéj nie masz — rzekł Paweł; a potém gderał daléj:— Toć to w drodze trzeba porzucić swój obyczaj. I co jeść? i jak spać? Do czego jegomości ta podróż? Jegomość to tak jak stary zegar, co póki stoi na miejscu, a nakręca się o jednéj godzinie, to jeszcze idzie; ale go tylko rusz, a poczniéj w różne czasy podkręcać, zobaczysz, że go żaden zegarmistrz nie wyreparuje.

— Czasby też odpocząć wagom! rzekł jakoś smutno Herman. No, dość tego—dodał—Wicek pojedzie ze mną i koniec.

— Ha! będziesz jegomość widział! zawołał Paweł wychodząc: niby to ja tak puszczę starego niedołęgę! Tenby i o podeldoku zapomniał, i smarować nie umiał. Gadaj sobie zdrów, a ja pojadę!

I wyszedł.

Na dzień następny naznaczony był ów straszliwy wyjazd do Pińska, a po naradzie z Lacyną, uczczonym tém, że go wezwano do konsylium, i rachującym, że częściéj będzie mógł do panny Petronelli zaglądać, postanowiono, że lądem choć daléj, jechać będzie do-

godniéj i bezpieczniéj. Tegoż dnia opatrzono żółty koczyk, którego skóry wysmarowano tranem, bo się fartuch stwardniały nie zapinał, i na budzie pościągane było nakrycie; kowal wezwany podorabiał uronione szrubki, pozaszywano poduszki, z których włosy się wydobywały, i kompetentni utrzymywali, że powóz nie tylko do Pińska, ale do Ameryki dojść może.

Miał jednak ów żółty koczyk tyle do przebycia grobel i nakotów, że to było niemałą zagadką. Furmani, kowal, stelmach, ekonom, długo tę kwestyę rozbierali, i pani Seredowiczowa stała pół godziny z oczyma wlepionemi w ressory. Wieczorem już dobyto tłomoki, ale okazało się razem tyle rzeczy potrzebnych do drogi, a przywyknienie do domu tak w wyborze ich Pawła trudnym czyniło, że postanowiono oprócz koczyka wziąć wóz na pakunki, i stary Paweł miał się na nim zabrać.

Nie będziemy opisywali wyjazdu, który miał w sobie coś uroczystego, ani wyboru, który po prostu był śmieszny, bo Paweł po trosze chciał cały dom zabierać. Godzina wyruszenia oznaczona była na ósmą, od siódméj zaś gromady ludzi stały w dziedzińcu, i wszystko co żyło wezwane do pakowania, utrudniało ostateczną robotę, gdyż coraz z nowéj porady, wyjmowano i na nowo kładziono manatki. Każdy starał się przypomnieć coś niezbędnego: butelki ze śmietanką, z kawą, z octem, z musztardą, słoik z chrzanem, wędliny, faskę bigosu, wszystko to pochłonęła furka, na któréj jeszcze Paweł jechać się wybierał, bo nic nie było w stanie przekonać go, by pozostał.

A gdy przyszło siadać do starego koczyka, zaprzężonego czterema staremi także szkapami gniademi, o których równie powątpiewano, czy dojdą do Pińska,

bo jeden miał ułogę i kulał silnie, a żaden od dawna daléj dwóch mil nie chodził; gdy przez drzwi boczne wyszedł pan Herman,—wszystko co żyło w domu i na folwarku wysypało się z zakątów: parobcy, stróże, ekonom, nawet panna Petronella, zasłaniając twarz od wiatru wiosennego... i ugrupowali się malowniczo w pewném oddaleniu.

Herman rzuciwszy okiem, ruszył potężnie ramionami z niecierpliwości, i zawołał:

— Zdaje mi się, że mnie już na cmentarz prowadzą. Słuchajno, Lacyno! żebyś mi rano wstawał! żebym wszystko zastał w porządku! Choć mnie tu niema, ale oko moje zostanie: będę wiedział o wszystkiém...

I tak żółty koczyk długo ścigany oczyma, gdyż jedno koło nie zupełnie szło w koléj, co wszystkich niepokoiło, ruszył przez miasteczko gdzie na niego dużo jeszcze po drodze ciekawych oczekiwało, i daléj w drogę ku Pińskowi.

Jak Herman dwa dni jechał i na popasach, i na noclegu musiał cierpliwie słuchać gderania Pawła; jak z trudnością dobrano mu dom w Pińsku, w którymby nie było ani wilgoci, ani przewiewu, ani swędu, ani hałasu; jak Paweł w tym względzie był drobnostkowy do śmieszności, a im pilniéj baczył, by panu było wygodnie, tém pan Herman sprzeciwiając mu się, mniéj zdawał dbać o to: pominąć musimy.

Paweł, jakkolwiek nie ciekawy, rad był przecię wiedzieć, co go sprowadziło do Pińska; ale mu trudno było dośledzić.

Hrabia posłał po kupców, z którymi miał interesa, ażeby się z nimi rozmówić i obrachować; przywołał krawca dla zamówienia sobie nowego ubrania; zresztą siedział przy kominie, przerzucał książki, które przywiózł z sobą, i zdawał się nie mieć żadnego pilnego celu podróży.

Drugiego dnia jednak napisał list i posłał z nim do miasteczka. Paweł dopatrzył tylko, że był adresowany do panny Izabelli Moroszówny. Znał on tę całą historyę przedwieczną, i odnowienie znajomości niezmiernie go sturbowało; że zaś nie przywykł był taić się z tém co myślał, nim odpowiedź przyszła, pobiegł do Hermana pod pozorem poprawienia na kominku. Hrabia chodził żywo po izbie i myślał, oczy mu się świeciły, widocznie był w jakimś stanie niezwykłym podbudzony, niespokojny.

— Co tam pan pono pisał do panny Izabelli?

— Co ci do tego! oburzył się hrabia.

— O! do tego mi, do tego! mruknął Paweł—i bardzo, i bardzo! A któż ciebie na rękach nosił? Gdybym ja milczał, patrząc jak się głupstwo robi, grzech bym miał na sumieniu.

— Pawle, dajże mi pokój!

— Gniewaj się nie gniewaj, ja ci pokoju nie dam. Niby to ja nie rozumiem pisma nosem! Ha! ha! zachciało się jegomości głupstwo zrobić, i to jeszczę na wiarę starych lat z babą się żenić...

— Ja! żenić! krzyknął Herman: czyś oszalał!

— A po cóżeś pisał? po co?

-- Pawle, ty mnie doprawdy męczysz!

— Pan się sam męczysz! Jeżeli chce się już tobie do licha żenić, to czy sobie czegoś młodego nie znajdziesz?...

Kiedy już ma być głupstwo, niech będzie jak się należy; a toć baba! przypomnij jegomość, ile to lat!

— Ale oszalałeś, Pawle!

— Oszalał ktoś, ale nie ja! nie ja!

Hrabia się roześmiał.

— Daję ci słowo, że się mylisz. Daj mi pokój!

— Ja ci tego głupstwa zrobić nie dopuszczę!

— No! cicho, stary! tupnął nogą zniecierpliwiony hrabia. Cicho, i dosyć tego...

— A po cóżeś do niéj pisał?

Chwilę milczeli obaj. Paweł wyszedł pomrukując. Posłaniec jednak powrócił od panny Izabelli bez żadnéj odpowiedzi, i dzień przeszedł jak poprzedni. Paweł począł się dowiadywać kiedy powrócą do Horycy, ale hrabia milczał.

Kłócili się tak kilka razy na dzień i kończyli zgodą, choć Siermiężki miał zawsze trochę urazy o to, iż nie rozumiał dobrze co w Pińsku robią.

Nazajutrz drugi list wyprawił hrabia do panny Moroszówny, ale i na ten nie było odpowiedzi.

Dzień znowu zszedł na niczém. Zmiany humoru na twarzy hrabiego dostrzedz było trudno, ale późno w noc paląc ogień na kominie, chodził i myślał nie mogąc usnąć. Paweł śledził każdy krok jego. Gdy następnego dnia wyprawiony po jakieś pilne sprawunki, wróciwszy nie zastał pana w domu, poruszyło go to nadzwyczajnie. Hrabia widocznie mu się wykradł; Siermiężki oburzony i wzruszony wrzał niepokojem, naprzemiany płacząc i łając.

— A już mu dam też jak powróci! wołał stojąc w bramie domostwa i rozglądając się na wszystkie strony. Powlókł się, to nie bez kozery; po co? do-

kogo? nic mi nie powiedziawszy! Umyślnie tak, żebym ja nie wiedział!

Gdy Siermiężki utyskuje tak i w prawo a w lewo rzuca niespokojnym wzrokiem w ulicę, pan jego wymknąwszy się z Żydkiem przewodnikiem, pociągnął do domu panny Izabelli Moroszówny.

Z jakiém uczuciem, nie wiem; nie znać nic było na twarzy, prócz surowego wyrazu silnéj woli.

Dom panny Izabelli, choć bardzo porządny i jeden z niewielkiéj liczby murowanych w Pińsku, stał w uliczce ustronnéj, wśród lichych klatek, budek i straganów, nieopodal od brzegu. Jedną nawet stroną wychodził na mały placyk, na którym wyładowywano towary, gdzie leżały stosy beczek smoły, worów zboża, a rano przybyli pławiczkami kobiety i mężczyźni, zasiadali z drobnemi wiejskiemi zapasami, żywiącemi miasteczko. Z okien jego widać było w jedną stronę ten ryneczek niemalowniczy, w całym nieładzie żywota powszedniego, który nawet na niedziele i święta przystrajać się nie myślał; z drugiéj po za lichemi daszkami bud otaczających, sterczały maszty berlinek jak las drzew wypalonych i wyschłych; w dali po za niemi wielka płaszczyzna wód, trzcin i zarośli, ciągnęła się gdzieś w nieskończoność.

Dom choć porządny, nie odznaczał się niczém. Dół był najęty na sklepiki; osobne obok nich wnijście prowadziło na piętro zajmowane przez pannę Moroszównę. Po staremu nie było tu ani dzwonka, ani sługi; wschody stały otworem aż do drzwi mieszkania, zamkniętych na rygiel ze środka. Było już około południa, gdy Herman wsunął się wskazaną sobie drogą i zapukał do drzwi na górze. Po chwili ukazała się głowa sta-

rego człowieka, dość niepocześnie odzianego, który dla roboty zrzucił był z siebie zwierzchnią suknię, i począł przymrużonemi oczyma wpatrywać się w przybyłego.

— Panna Moroszówna? spytał Herman.

Nie było we zwyczaju meldować.

— A no, jest! a gdzieżby się podziać miała? rzekł sługa. Czego pan chcesz?

— Chcę się z nią widzieć.

Popatrzywszy znowu, zawyrokował snadź sługa, że to jest ktoś, kogo wpuścić należy, i otworzył drzwi całe, sam dybając powoli za Hermanem, aby pani o nim oznajmić.

Gość przeszedłszy ciaśniutki przedpokój, w którym była komoda, całą jego zajmująca szerokość, oraz kilka krzeseł z wytartą na jedném poduszką skórzaną przed piecem, którego bok świadczył, że się przy nim często wygrzewano, gdyż pobiała żółtego nabrała połysku,— znalazł się zaraz w saloniku niewielkim i niepoczesnym. Oko nieprzywykłe nawet do rozbierania i poszukiwania cech, po których mieszkańca charakteru i stanu duszy domyślaćby się można, uderzone być musiało zaniedbaniem i smutkiem, jaki tu panował. Kobiecie potrzeba przecięż jakiegoś żywiołu poetyczniejszego, czegoś coby mówiło do duszy i serca w najbiedniejszéj izdebce znajdziesz jeszcze kanarka, pieska, kwiatek, coś co potrzebne jest tylko dla oka, tylko dla fantazyi: tu nic nawet nie dawało się domyślać mieszkania kobiety. Okna pokoju wychodziły na ten rynek wrzawliwy, na beczki smoły, na roztargane bryki frachtowe, na cały rząd budek, w których sprzedawano żelaztwo, skóry, powrozy i śledzie. W tych oknach, oprócz zielonych z czarném storów, w téj chwili pod-



niesionych, nic nie było: ani wazonika, ani firanki. Kije tylko opylone w górze świadczyły, że kiedyś może wisiały tam jakieś zasłony. Trochę mebli czarnym włosieniem pokrytych, stół nieprzypadający do nich; na ścianie dwa portrety: mecenasa ubranego po francuzku z fryzurą, i pani w stroju bardzo wyszukanym, wiszące krzywo i niedbale; etażerka z kilku filiżankami,—nic więcéj.

Do drugiego pokoju drzwi były nawpół otwarte, ale tam w ciemnéj głębinie nic nie dostrzegło oko. Sługa nakładając surdut, powlókł się przez pokoje, a pan Herman sam pozostał rozpatrując się niespokojnie. Uderzyło go to przykre opuszczenie, zaniedbanie, pustki w mieszkaniu kobiety, któréj już widocznie nie obchodziło, na jakiém tle miała się ludziom i światu ukazać.

Był rodzaj rozpaczy i zastygnienia w tém zapyloném mieszkaniu, którego ręka troskliwa nie tknęła od dawna.

Długa chwila upłynęła w tém smutném rozpatrywaniu gołych ścian i pokrzywionéj posadzki, która dawno nie była wycierana i przybrała matową barwę pyłu. Z dalszych pokojów żaden głos i szelest nie dochodził; oczekiwanie było przykre i nużące; p. Herman nie usiadł nawet.

Służący długo nie powracał. Cisza ogarnęła mieszkanie, przerywana tylko wołaniem wieśniaków z ulicy i przeciągłemi krzyki, które przykro ucho drażniły.

Po chwili przesunęła się niemłoda już służąca, obojętnie przemykając się przez salonik. Rzuciła tylko okiem na gościa na pozór roztargnioném i obojętném, i znikła w drugich drzwiach, nie zwracając na niego uwagi.

Jakim sposobem w koło dom obszedłszy, ukazała się w kilka minut późniéj znowu we drzwiach od pokojów wiodących, z kwaśną i niechętną miną, hrabia nie rozumiał.

Była to już niemłoda kobieta, zwiędła, smutna, chora, niepozornie ubrana, która mówiąc do przybyłego, oczu na niego nawet nie podniosła; wsparła się tylko na poręczy krzesła niedbale, i patrząc na ścianę, odezwała się:

— Pani chora, widzieć się nie może.

— Proszę powiedzieć, że mam bardzo pilny interes.

— To nic nie pomoże; pani chora, a jak jest interes, można się zobaczyć z panem Żerebą, który mieszka w oficynie; to do niego z interesami.

— Ale interes osobisty.

— Kiedy pani chora.

— Tylko kilka słów.

Herman tak nieprzywykły był prosić, że w nowém zupełnie położeniu dla siebie, mimo przymusu, jaki sobie czynił, aby być łagodnym, przebijał się w jego mowie gniew i niecierpliwość.

— Ale kiedy nie można, to nie można! z przyciskiem odpowiedziała kobieta, chcąc odejść.

— A kiedy ja widzieć się muszę!... stanowczo już rzekł gość poruszony. Proszę powiedzieć, że nie ustąpię, póki się nie zobaczę.

Służąca popatrzała, pomruczała i odeszła, a głuche milczenie znowu zaległo pokoje. Herman pozostał sam; słyszał tylko w sionce krzątanie się sługi, który krzesła posuwał i klął głośno natrętów, wcale się nie tając, jak mu zawadzali nieproszeni goście.

— Dyabli ich tu przynoszą! mówił. Chce się widzieć? Zapewne pieniędzy pożyczyć! Radaby dusza do

raju: tak! Licho wie zkąd się wyrwie, i zaraz chce się widzieć z samą panią...

Ten monolog, który cały doszedł do uszu hrabiego, przerwany został otwarciem drzwi od wschodów, i szeptem, który trwał minutkę. Poczém do salonu wszedł człowieczek niepoczesny w zielonéj wyszarzanéj taratatce, łysy, z wąsami, w którego oczkach tylko, do bladéj wstawionych twarzy, trochę życia niedogasłego świeciło. Był bardzo grzeczny, ukłonił się bowiem raz przy progu, w środku pokoju drugi, przystąpiwszy bliżéj trzeci, i choć go dumnie okiem mierzył pan Herman, uśmiechając się słodziutko i zacierając ręce, odezwał się:

— Mam honor się przedstawić w charakterze, to jest jako pełnomocnik panny Izabeli Moroszówny. Ignacy Żereba.

Pan Herman popatrzał na niego tylko.

— Panna Izabella Moroszówna—mówił daléj pełnomocnik—zaszczycająca mnie ufnością swoją, przez organ mój, czyli raczéj przez usta moje prosi, abyś WPan Dobrodziéj raczył w interesie, jakiby był lub mógł być, traktować ze mną; gdyż smutny stan jéj zdrowia nie dopuszcza, czyli nie dozwala w téj chwili saméj trudzić się rzeczoną rzeczą, czyli interesem.

Te wyszukane i dość nieszczęśliwie spreparowane słowa plenipotenta, który idąc za tradycyą swady staréj, nawet w najprostszych rzeczach czuł się obowiązanym do wytwornego wyrażenia swéj myśli, nie inny sprawiły skutek na Hermanie, prócz wielkiego zniecierpliwienia. Zżymnął ramionami.

— Ale mój panie, ja mam interes czysto osobisty, który pośredników nie znosi.

Żereba rzucił na niego okiem podejrzliwém.

— W takim razie — odezwał się — już nie wiem, czyli nie mogę wyrzec; albowiem stan zdrowia...

— Ja potrzebuje się z nią widzieć, i widzieć się muszę! zawołał Herman. Racz jéj to powiedzieć odemnie. Dziś, jutro, za tydzień — poczekam; ale przecię kiedyś ją znajdę zdrowszą, — to rzecz nieunikniona — będę chodził rok. Nie wszystkoż jedno skończyć to od razu?...

— Prawdziwie, nie jestem w stanie nic w tym względzie orzec pewnego; lecz spełnię polecenie czyli posłannictwo... odparł wymowny Żereba.

Zakręcił się i wyszedł.

Znowu dobra upłynęła chwila, po któréj nagle we drzwiach otwartych ukazała się postać niewieścia.

Była to panna Moroszówna.

Oboje stanęli naprzeciw siebie i patrzali długo w milczeniu, po latach dwudziestu przeszło szukając śladów, jakie życie zostawiło na ich twarzach. Herman pobladł, panna Izabella ani drgnęła.

Pomimo cierpień przebytych, ona nie postarzała tak bardzo. Była to jeszcze taż sama piękność porywająca urokiem, taż sama postawa wspaniała i szlachetna, ale jakby odarta ze świeżości pierwotnéj, jakby widziana w matowaném zwierciadle. Strój jéj czarny, prosty, niestarannie narzucony, surowość oblicza i postaci podwajał.

Na twarzy miała wyraz powagi i głębokiego, ale już przyrosłego smutku. Jak wyrzut i widmo występku chwilę nieruchoma stała przed Hermanem i patrzała na niego; aż usta jéj wreszcie przebiegł uśmiech zadowolonéj, uspokojonéj zemsty, i postąpiła krok naprzód ku niemu. On stał wryty w miejscu; milczeli oboje.

— Chciałeś pan widzieć, czym oczy wypłakała? czy jeszcze boleję i narzekam?... rzekła cichym, ale pewnym głosem. Masz mnie pan na rozkazy. Z nas dwojga, panie hrabio, tyś jeszcze więcéj zestarzały, złamany i zmieniony. Cóż dziś po latach tylu możemy sobie powiedzieć?

— Ale, pani! rzekł na chwilę nieco zmieszany Herman: jeśli sobie mamy co do wyrzucenia, to zdaje mi się, wzajemnie.

— Ja? panu? nic a nic! odparła z godnością kobieta. Ja? panu? cóżbym mu mogła wyrzucać? Żeś mnie niby kochając opuścił? Mówmy szczerze. Lepiéjżebym była wyszła, gdybyś się był ze mną ożenił i uczynił mnie niewolnicą? Dziś jestem wolną, niezależną, bogatą, panią méj woli; a młodości marzenia daleko, i za nic nie dałabym jednéj godziny tego chłodnego życia, w którém spokojnie czekam końca. Cóż pan do mnie mieć możesz.

Herman szukał w umyśle co miał powiedzieć; mimo pewności siebie czuł się splątanym, ciężko mu było.

— Pani mi sama dajesz przykład chwalebnéj otwartości. Mówmy otwarcie—rzekł wreszcie.

Panna Izabella ze drzwi przeszła powoli do pokoju. Krok jéj nie był pewny, uczucie jakieś zdradzało się wachaniem; usiadła żywo, a raczéj padła na krzesło, starając się nie dać poznać, że cierpi.

— Mówmy otwarcie! powtórzyła z goryczą: otwarcie! O! tak najlepiéj!

— Jeśli pani masz mi co do wyrzucenia, ja może więcéj pani.

— Pan, mnie? a to wybornie! błyskając czarnemi oczyma zawołała panna Izabella. Radabym się dowiedzieć? Musisz mi pan chyba mieć do wyrzucenia, żem

nie umarła, że żyję, że niedość jestem nieszczęśliwa, że śmiem dziś stanąć spokojna i obojętna w obec pana, którego zgryzoty i lata złamały?

— Mój syn! mój syn! odezwał się porywczo Herman. Pytam cię jak Kaina, coś z nim zrobiła?

Izabella wstała, rumieniec oblał jéj twarz.

— Ja i syn twój? ja? cóż jest wspólnego między mną a twojém dzieckiem?

— Ja wiem wszystko! wiem wszystko! zawołał Herman. Jam ci odebrał nadzieję, któréj nie dawałem nigdy; tyś mi pochwyciła własność, ukradła dziecko jedyne i zostawiła na starość samotnym, osieroconym. Chcę wiedzieć, co się z nim stało?

— Co do mnie należy twój syn?

— A czyjąż sprawą to dziecko mnie odbiegło? czyją? Myślisz, że niewiem gdzie i jak go widywałaś?

— Nie taję; alboż to grzech, że biedne, opuszczone, zamęczone przez własnego ojca dziecię, starałam się widzieć, pocieszyć, i przez litość chwilę mu jakąś osłodzić! Tak jest, widywałam go; nie taję, że gdybym miała siłę, byłabym ci go z rąk wyrwała, boś je chciał przeciw Bogu i wszelkiemu prawu uczynić taką bryłą lodu czy kamienia, jaką zrobiłeś z siebie. Ale mogłażem ci je wziąć? Któż śmie powiedzieć, że byłam przyczyną jego ucieczki?

— Ja to powiadam: chciałaś się pomścić nademną.

— Bóg sam podjął się zemsty... odpowiedziała spokojnie panna Izabella.

— A ludzie Mu pomogli! dorzucił Herman. Tak! i pomściliście się! pomścili! Dla tego przychodzę tu i mówię do twego serca kobiecego. Oddaj mi dziecię! ty jedna wiesz co się z niém stało... Dziecko nie byłoby śmiało uciekać samo, i skryć się tak, by go nikt

odszukać nie potrafił, nawet ojciec. Ty tylko mogłaś mu dopomódz: ty go musiałaś przechować!

— Gdybym była mogła, byłabym to uczyniła, rzekła powstając znowu panna Izabella, któréj twarz zarumieniła się krwawo; alem nie zrobiła tego co mi przypisujesz.

— A list twój?

— List oznajmił ci karę bożą, o któréj ja wiedziałam pierwsza: bom syna twojego widywała codzień, bo często karmiłam go, gdyś ty morzył głodem hartując do życia; bom go okrywała, gdy chodził jak żebrak odarty.

— Na co te próżne słowa! zawołał Herman. Wiem, że ci wspólnictwa występku nie dowiodę, że cię nie przekonam; wiem, że jestem na twojéj łasce: przyszedłem prosić i proszę o litość—oddaj mi dziecko.

— Ja o niém nie wiem.

— To fałsz!

— Moich ust—zawołała gorąco panna Izabella, zrywając się z krzesła — moich ust fałsz nigdy nie zmazał: ani fałsz słowa, ani milczenie kłamstwa, ani uśmiech zdrady. Życiem zapłaciłam to, żem nie umiała kłamać.

— Nie powiesz mi, żem i ja skaził się fałszem.

— Tak! nie kłamałeś słowy, panie hrabio, ale sercem! Byłeś ostrożny, gdym ja była nieopatrzna. Ale pocóż te wymówki? kiedy dziś dzięki Bogu, że się gorzéj nie stało, żem swobodna, a nie twoja niewolnica, lub zabita, jak matka tego dziecięcia-sieroty, męczarnią powolną złamana. Tamta cię nie kochała nigdy, a padła od despotyzmu twojego; cóżbym ja poradziła, nimby mi się otwarły oczy? Ja nic ci nie wyrzucam, nic nie chcę, jesteśmy sobie obcy.

— Słuchaj mnie pani! rzekł powolnie Herman namyślając się: mnie nic przekonać nie potrafi, że nie wiesz o mojém dziecku, żeś ty mi go nie wydarła; ale cię proszę, ale cię błagam, oddaj mi je! Przychodzę po długich latach męki oddać ci wszystko co mam: mienie, imię, wolę nawet; zostań żoną moją i matką tego dziecięcia!

Zimny śmiech szyderski przerwał mowę hrabiemu, który stanął osłupiały.

— A! doprawdy hrabio! nie spodziewałam się, byś do tego stopnia śmieszności posunął się na starość. Po cóż mi twoje mienie? jam bogata i nic nie potrzebuję. Myślisz, że imienia pragnę: co znaczy to imię?— ruinę! W tobie, starcu, kalece schorzałym, nawet wspomnieniabym przeszłości znaleźć nie mogła. Ta ofiara, to ostatnie szyderstwo!

Hrabia stał wryty ciągle, ale wzrok mu się zapalał.

— Głupim! rzekł jakby do siebie: tyś już nie kobieta, ale harpia bez serca, panno Moroszówno! istota żyjąca zemstą, jak szakale trupami! Głupim, żem chciał przemówić do serca, gdzie go niema, do kobiety, gdy jéj już w tobie ani śladu... Mówże, czego chcesz?

— Byś mnie WPan od napaści uwolnił.

— To ostatnie twe słowo?

— Pierwsze i ostatnie.

Nie odszedł jednak.

— Byćże to może, żebyś i ty nie miała litości nademną? rzekł po chwili.

— Litości! mylisz się WPan! Lituje się nad nim i bardzo, czuję i wiem, że cierpisz; ale nie w moich rękach na to lekarstwo.

Na chwilę głos jéj zadrżał jakoś łzawo.

— Mylisz się pan, rzekła zimniéj. Za świadectwo biorę Boga, w którego nie wierzysz, że w ucieczce twojego syna żadnego nie miałam udziału, żem niewinna. Całą winą moją ten list, grzech ostatka zemsty, którego żałowałam i żałuję najmocniéj!

— Przysiężesz?

— WPan nie wierzysz słowu?

— Ja w nic już nie wierzę, prócz tego, czego dotykam i widzę.

Spuścił głowę na piersi. Panna Izabella wstała poważna i dumna.

— Na miłość twéj matki dla ciebie, na twoją miłość dla niéj, zaklinam cię jeszcze raz, powiedz mi: co się z nim stało?

— Ja nie wiem! Znikł... i jam żałowała dziecięcia. Kto wie, czy ty, czy też ja więcéj na tém straciłam? Kochałam to chłopię lepiéj może niż ty, coś je chciał jak bezwładny kamień wyciosać podług swéj myśli, choć z żywego człowieka lały się łzy i krew.

— Więc mi nie powiesz?

— Nic nie wiem.

— I możesz z ręką na sercu wyrzec, żeś się nie przyczyniła do tego? żeś mi nie odebrała resztki jego przywiązania i wiary? żeś nie rozdmuchała w nim nieposłuszeństwa i pragnienia swobody? że w tém dziele nie było twéj ręki? I na to także przysiężesz?

— Nie!... stanowczo odparła panna Moroszówna. Litowałam się nad dziecięciem umęczoném dla fantazyi człowieka, co nie miał serca: możem obudziła w niém uczucie swobody, możem mu ukazała możność innego życia; ale nie moja pchnęła go ręka, nie!...

— Poznałem w tém przemyślną zemstę kobiety — rzekł Herman, z usty skrzywionemi uśmiechem, — ale

wiedz pani, że to występek, a żaden nie uchodzi bezkarnie!

— Jak to? pan to mówisz?

— Ja! bo wierzę w jedno: w prawo niezłomne, co rządzi światem; w prawo, które stanowi, że grzech niesie z sobą nasienie kary, zaród odpłaty za nią; że w naturze złego jest trucizna, która się obraca przeciwko temu, co ją wytworzył. Jesteś więc skazana cierpieć jak ja, i jak ja nie doznać litości, lub umrzeć osieroconą. Między nami rachunek skończony; między tobą a twém sercem jeszcze nie: w téj chwili pocznie ono mścić się za mnie, a siła niewidoma reszty dokona.

To mówiąc, poszedł szybko ku drzwiom, i zwrócił się. Panna Izabella stała nieruchoma.

— Panno Izabello! w imię wspomnień młodości, w imię winy mojéj, proszę miłosierdzia, dopomóż mi, poratuj!...

— Dla mnie nie ma wspomnień, nie ma winy, nie było miłosierdzia; ja pana ratować nie mogę.

Skinęła głową i znikła. Herman został sam. Szybko rzucił się ku drzwiom, i w upojeniu rozdrażniony zbiegł ku domostwu, na progu już wołając na Pawła, aby kazał pakować i zaprzęgać.

Paweł już miał na ustach wymówki, i chciał długi swar z panem rozpocząć, gdy wejrzawszy na twarz jego, taką uczuł litość, że ust nie śmiał otworzyć. Pierwszy raz może w życiu widział hrabiego tak zmienionym, poruszonym i straszliwie gniewnym.

— Gdzie on to mógł chodzić i po co? co mu się stało? Już kiedy przedemną się tai, rzecz być musi wielka i straszna! Ale z czasem ja tego dojdę... Nie może być—rzekł Paweł—teraz do niego nie przystąpić

nawet. Albo gruby pieniądz stracił, albo... już nie wiem; dosyć, że bieda, a jak bieda, nie czas swoje do niéj dodawać. Jak się wysapie, nie daruję, że chce mieć przedemną sekreta.

Paweł gadał tak sam do siebie urządzając się na powrót do drogi, gdy postać nieznajoma i dziwna wsunęła się do gospody, nieśmiało dopytując o JW. hrabiego Hermana.

Był to człowiek już nie młody, wysoki, chudy, nieco przygarbiony, którego strój zdradzał ostateczne ubóztwo. Starał się przecie ów pan ukryć je jako tako, choć napróżno; ale w ostatniéj walce z pozorem został zwyciężony: nędza wyszła na wierzch i zdawała się z niego naśmiewać.

Ubrany w stary wice-mundur wytarty i połatany, ale szczelnie zapięty, z medalikiem jakimś w pętlicy, w oszarpanéj chustce na szyi, za którą nie było śladu koszuli, miał czapkę utłuszczoną na głowie, resztę stroju bardzo zbłoconą i brudną, a na nogach dziwnie odbijające od fraka łapcie z kory lipowéj. Laska sękata i plik papierów wystający mu z zanadrza dopełniały smutnego obrazu, który przedstawiał. Twarz także była zbiedzona i nosiła ślady przecierpianéj biedy, oczy wpadłe i czerwono okolone, broda zarosła od dawna, pofałdowana skóra, plamami czerwonemi okryte policzki, dawały się domyślać nałogowego pijaka, który dawno nie jadł może, ale ostatni kieliszek gorzałki wypił przed chwilą w blizkim szynku.

— Nie mógłbym się widzieć na minuteczkę z JW. hrabią?... spytał pokornie i cicho, zdejmując czapkę przed Pawłem.

— Wątpię! rzekł spoglądając zbyt wyraźnie na jego łapcie i nędzną minę Siermiężki.

— Ale proszę mnie nie posądzać, podchwycił łykając ślinę, aby pokryć czkawkę. Że stroju możesz WPan wnosić, że przyszedłem... o co prosić! To byłoby niesłusznie! Ja mam po części osobisty, a po części publiczny interes. Jestem były urzędnik i naczelnik stołu kancellaryi ziemiańskiéj, Jan Piotr Mąkiewicz. JW. hrabia pewnie mnie przyjąć raczy. A gdzież jest?..

I korzystając z wrażenia, jakie na Pawle wymową uczynił, posunął się do drzwi izby, otworzył, i nim Siermiężki podążył mu przeszkodzić, wsunął się do hrabiego z ukłonem.

Spojrzawszy na tę postać, hrabia zmarszczył się i chciał ofuknąć, ale Mąkiewicz przewidując wybuch, nie dał mu na to czasu.

— Mam honor przedstawić się — rzekł odchrząkując—JW. hrabiemu, którego całą rodzinę znałem.... i proszę nie uważać na to, że mnie JWPan widzisz w tym stanie, co się tycze obówia, z powodu po części nagniotków, jako też innych okoliczności. Jan Piotr Mąkiewicz, były urzędnik, mam kilka słów poufnych. Nie we własnym, uchowaj Boże, interesie, jakby to wnosić można z powierzchownego zaniedbania, ale w interesie kraju i dobra ogółu dotyczącym...

Nim hrabia znowu się zebrał na odpowiedź, Mąkiewicz korzystając z podziwienia, szedł daléj:

— Jan Piotr Mąkiewicz, tak jest JW. hrabio!... Miałem honor jeszcze JW. ojca JWPana znać i szczycić się jego łaską i protekcyą, jako też całéj familii, która dla ciężkich czasów z głowy mi wyleciała. Rzecz jest taka.,.

— Ale czegóż chcesz? spytał hrabia.

— Zaraz, JW. hrabia pozwoli, bym powoli wyłuszczył: to sprawa publiczna, okoliczności nieszczęśliwe, los okrutny, szlachcica i urzędnika niegdyś przywiodły do tego stanu, w jakim mnie JWPan oglądać raczysz; ale tu nie o moje łapcie, że tak rzekę, chodzi... Rzecz wielkiéj wagi! rzecz dobro ogółu obchodząca! Mówię i rozumuję tak: Jest-li przyzwoicie i godnie, aby szlachcic Mąkiewicz i urzędnik Mąkiewicz, niegdyś zaszczycony zaufaniem ogółu, przyjaźnią poważnych ludzi, chodził bez butów? Tu nie o te mizerne bóty w istocie chodzi, JWPanie, gdyż w łapciach jest wygodniéj nawet, a co się tycze pozoru, przesądów i pośmiewiska, mniejsza o to! gardzę!... ale chodzi o zasadę, o *principium*... Chodziłem JWPanie *olim* do szkół pijarskich. Więc nie idzie o bóty, których sprawić nie jestem w stanie, ale o zasadę, którą tak określam: Może-li szlachcic i były urzędnik, zaszczycony zaufaniem ogółu, chodzić boso, bez wielkiego w tém uszczerbku całego społeczeństwa, na które wina jego nędzy spada całkowicie, ogromném brzemieniem!... Zarządziły tedy, przejęte wielkością téj myśli, osoby znakomite, składkę na bóty, albo jeśli się źle wyrażam, na odwrócenie od społeczności naszéj zarzutu, któryby ją potępił; a ja ośmielam się tu listę łaskawych obywateli dla ogólnego dobra poświęcających się, złożyć przed oczy JW. hrabiego.

To mówiąc, wyjął z pliku brudny papiér i położył go na stole. Hérman patrzał na niego osłupiały i dobrze zrozumieć nie mógł.

— Widzę zdumienie na twarzy JWPana — rzekł Mąkiewicz — i nie próżne JWPanie; albowiem jest-li co smutniejszego, niż widzieć w poniewierce imię szlacheckie i godność urzędnika? Widzę łzy wkrótce do-

być się i zrosić mające jego oczy! Mam nadzieję, że szczodrobliwość JWPana raczy mnie, albo raczéj zasadę żywotną dla dobra ogółu, podeprzeć.

Nie dokończył, bo mu splunięcie i tupnięcie nogą przerwało.

— Co waćpan tu pleciesz, przyszedłszy po jałmużnę?...

— Za pozwoleniem JWPana: nie po jałmużnę, nie!... podchwycił z flegmą Mąkiewicz. *Distinguo*: tu nie o bóty idzie, ale o wyższą ideę, któréj buty moje są doczesnym symbolem, o *principium*, o zasadę, o ideę, o całą przeszłość naszą i o przyszłość naszą... Bo że ja, mając nagniotki, chodzę w łapciach, które przesąd potępia, rzecz to niewielkiéj wagi, zwłaszcza, że mi z tém wygodniéj i dogadza fantazyi; ale że Jan Piotr Mąkiewicz z kancellaryi ziemiańskiéj, niegdyś zaszczycony zaufaniem ogółu, jest przywiedziony do téj ostateczności: to spada już na cały nasz naród, jakoby nie umiał poszanować pamiątek przodków i zasług ludzi poświęcających się dla dobra ogólnego. Nie o parę więc podeszew, ale o *principium* rzecz!

Tu czkawka przerwała mu mowę.

Hrabia osłupiał, a Mąkiewicz listę i pióro z kałamarzem podsunął mu natarczywie.

— Tfu! do licha, nie plótłbyś stary opoju! zawołał hrabia, rzucając mu dwa złote z pogardą: wszak cię znam dobrze.

— Wolne żarty tak zacnéj osobie! porywając dwa złote, podchwycił z uśmiechem i ukłonem Jan Piotr Mąkiewicz. Przyjmuję to od JW. hrabiego, jako od starego znajomego i ze wszech miar godnego obywatela, w sposobie igraszki słów niewinnéj; ale stoję przy swojém, że ta składka jest dziełem publiczném.

Dwuzłotówka tymczasem zniknęła w jego kieszeni.

— Na takiéj wagi dzieło—podchwycił—dwa złote jest mało, jest nic, ośmielam się powiedziéć. JW-ny hrabia raczy rozpatrzyć moją odezwę do serc obywatelskich, i przeczytać imiona dawców, którzy poświadczyli, że ideę moją podzielają.

Na liście w istocie stały wzdłuż ogromne imiona i jeszsze dziwniejsze przy nich ofiary, różnym atramentem i charakterem, ale widocznie jedną pisane ręką.

Jan Piotr Mąkiewicz spełniając swe wielkie posłannictwo, nie wahał się, dla zachęcenia drugich do dzieła, użyć niewinnego fortelu, i pofabrykował nieco podpisy, kołacząc do miłości własnéj, która gdy o nią idzie, wyprzedzić się nie daje.

— Jakżebyś JW. hrabia, który jesteś starożytnéj familii hrabiowskiéj potomkiem, dał mniéj od pana Skirmunta, od księcia Lubeckiego, od pp. Butrymowiczów i innych? byćże to może? Nie wierzę oczom moim! Dwa złote jest dla Mąkiewicza na śniadanie, ale cóż dla idei? dla zasady na téj liście położonéj?

— Dajże mi pokój!

— Gotów jestem, ale mi tu idzie przedewszystkiém o dostojne imię JW. hrabiego, którego pospolitować nie mogę dopuścić, nie dozwolę, aby niżéj stało od innych.

— Ani niżéj, ani wyżéj stać nie będzie, bo go nie zapiszę.

— JW. hrabio, ja te dary uważam za fideikomisa powierzone mi w sprawie idei wielkiéj; ja tego nie używam nawet na bóty; a jeśli używam przyciśniony potrzebą, staram się ewinkować na sumieniu, uczciwości i pracy mojéj przyszłéj, gdyż od lat piętna-

stu podaję prośby o przyjęcie mnie na nowo do służby, z któréj intrygą i podłą zawiścią wytrącony zostałem. A gdy pomyślniejsza zaświeci gwiazda....

Tu przerwał.

— Nie bredźże, proszę cię, mój Mąkiewicz! zawołał hrabia, poglądając na niego. Mój Boże! co to się z tobą stało: odarty! goły i żebrak! Jak ci nie wstyd! Pamiętam, byłeś dosyć zdatnym kancelistą: wódka cię do tego stanu przywiodła.

Mąkiewicz silnie się oburzył.

— Przypuściwszy, żeby i tak było, odezwał się bijąc się w piersi: widzisz pan we mnie ofiarę na ołtarzu dobra publicznego zamordowaną. Gdyby i tak było... służba ogółu! Jéj poświęcając się, byłem poniekąd zmuszony prawością mojego charakteru do picia wódki. Tak jest, wydaje się to śmiesznem, a jednak jest świętą prawdą. Nigdy rąk moich nie zmazało przekupstwo, grosza nie brałem od nikogo; klienci więc, okazując mi wdzięczność swoją, żądali po mnie często, bym ich grzeczności akceptował, wyrażające się gorzałką, jako najdobitniejszém uznaniem gorliwości mojéj. Ztąd nieustanne libacye, ztąd całéj natury mojéj zmiana, i po wstręcie do gorących napojów, niejaka ich potrzeba. Tak padłem ofiarą mojéj bezinteresowności.

Hrabia mimo smutku nie mógł się nie rozśmiać.

— JWPan się śmiejesz, a ja płaczę łzami krwawemi, — rzekł Mąkiewicz; tu go czkawka porwała. — Ofiara cnoty! poświęcenia, zawiści, aż do ostatka dla dobra publicznego poświęcający się! I bez butów, chociaż więcéj z okoliczności nagniotków.

— Nie mógłżebyś pracować?

— Alboż nie pracuję! Oto właśnie zbieram w pocie czoła tę listę obywateli krajowi zasłużonych, co samo,, rzec można, będzie monumentem dla potomności. Gdy zostanie zamknięta, złożę ją albo do akt, jeśli moi prześladowcy zechcą ten dowód sympatyi ogólnéj do nich przyjąć, lub w zakrystyi kks. Franciszkanów.

Mąkiewicz mówił to z miną tak przejętą, że trudno było nie podziwiać téj doskonałéj komedyi, która się często na świecie w inny sposób powtarza, ale tu odegrywała się z całą naiwnością czasów pierwotnych.

— Znałem—dodał—dostojną familię JWPana, nawet nieboszczyka syna jego.

Hrabia zadrżał, ale zamilkł spuszczając oczy.

— W rysach twarzy nosił już znamię tego wysokiego rodu, z którego pochodził, chociaż skromna odzież po spartańsku utrzymywanego chłopca, nie dozwalała z razu domyślać się przyszłego dziedzica Horycy....

— Wiesz, rzekł chmurno i gwałtownie hrabia: że o tém wspominać nie lubie. Dla czegoż powiedziałeś *nieboszczyka?*

— Zmarł bowiem dla świata i nikt nie wie co się z nim stało — rzekł Mąkiewicz z westchnieniem i powtórzoną czkawką. Ale ośmielę się, nie rozdzierając serca ojcowskiego powiedzieć jeszcze, że gdybym był z razu użyty do poszukiwania śladów jego, które niedołężni urzędnicy zatarli, byłbym może więcéj coś od nich uczynił.

— Jak to! wiedziałeś co o nim?

— JW. hrabia nie uwierzysz mi, gdy powiem jeśli kto w świecie zna tę sprawę, to ja.

— Ty?

— A ja!

— Zkądże?

— Ale co to dziś mówić! Chłopiec przepadł: dziś go za nieboszczyka lepiéj uważać.

— Wiedziałżebyś o czém mnie nie wiadomo? gorąco spytał ojciec.

— Dziś te szczegóły, *lapsu temporis*, i z powodu nieszczęść i przewrotów fortuny, jakich doznałem, trochę mi się w pamięci zatarły; ale okoliczności chciały, bym lepiéj był tego świadomy niż inny, gdyż zawsze poświęcając się dla dobra ogółu, wówczas jeszcze jako kopista pracowałem u pana Targowilskiego w tym domu, zkąd to nieszczęście wyszło.

— A on co miał z tém wspólnego?

— On nic, ale inny lokator tego domu.

Hrabia przybliżył się ciekawie.

— Jak? kto?

— O ile słaba dziś i skołatana pamięć może mi przywieść te szczegóły, opowiem JWPanu. JWPan dozwolisz, by utrudzone nogi trochę odpoczęły; usiądę z daleka, albowiem skutkiem okoliczności, doświadczam przykrego drgania w łydkach.

Hrabia skinął, aby usiadł, i Mąkiewicz przyczepił się na brzeżku krzesła, czapkę kładąc na kolanach.

— O ile tedy wiem—rzekł —i *meminisse* mogę.... ot jako rzeczy stały... A proszę JWPana wierzyć, gdyż nigdy usta moje nie skalały się kłamstwem; i jeśli jestem dziś w tym upadku i chodzę w tém apostolskiém obówiu, to nie dla czego innego, tylko że zawsze mówiłem prawdę. Tak to na świecie!

Tu Mąkiewicz westchnął, i z westchnieniem razem wywołana wróciła czkawka.

— To z osłabienia JWPanie—rzekł—sił mam już mało. Gdybyś JWPan raczył kazać dać kroplę czegokolwiek, extra wody, któréj dla słabego żołądka znosić nie mogę: byle co do pokrzepienia...

Uczuł to pan Mąkiewicz, że mając mówić mu o synu, mógł żądać czego chciał; a gdy hrabia zawołał na Pawła, aby kazał podać wódki, skłonił się z uśmiechem...

— Rzadko kiedy pić mogę—dodał skromnie—i to w niewielkiéj ilości; ale nie będąc w stanie przyjmować pokarmów dla zniszczonego zdrowia, muszę się posilać wódką z rady doktorów.

Hrabia wzruszył ramionami, aż i wódka nadeszła. Oczy Mąkiewicza błysnęły: wstał, zbliżył się, nalał kieliszek i chciwie go wychylił z pośpiechem, zakaszlując się, a niechcąc utracić przywileju siedzenia, zaraz znowu padł na krzesło. Wzrok jego jednak pobiegł za flaszką, którą rad był zatrzymać dla dłuższego z nią obcowania, ale nielitościwy Paweł wyszedł z nią co najprędzéj.

— Otóż jak rzeczy stały: — mówił wytchnąwszy i otarłszy usta Mąkiewicz: — Kiedy tu syn JWPana przybył, wszystkich oczy zwrócone były na niego; ale mało było ludzi, którzyby wielką myśl i prawdziwie wzniosły plan edukacyi hartownéj, jaką JWPan powziąłeś, pojmowali. Ztąd pospolity gmin widząc go w ubogiém odzieniu, na lichéj strawie, bo tam ich gryczaną kaszą *principaliter* karmiono, a wiedząc o dostatkach ojca, niesłusznie ubolewał nad losem dziecka.

— Co komu było do tego, jak ja syna wychowywałem?

— Ludzie tacy są JWPanie, rzekł Mąkiewicz. Nic ich więcéj nie obchodzi nad to, co do nich nie

należy. Ja, mogę to sobie przyznać bez podchlebstwa, sam jeden wniknąłem w głębokie myśli i prawdziwie ojcowską JWPana pieczołowitość dla tego dziecięcia. A chłopak był wielkich nadziei. Uważałem, że i zamieszkała tu niejaka panna Izabella Moroszówna, osoba milionowa, mocno się nim zajmowała. Nawet sprowadzali go, gdy chodził do szkoły i ze szkoły, do kolegi jednego przy matce wdowie, żyjącego w tym domu co Targowilski, gdzie go psuli łakociami i pieścili, co zupełnie było wstecz planu JWPana. Chciałem był nawet donieść mu o tém ale pomyślawszy, ażebym za denuncyatora nie uchodził, wstrzymałem się. Tymczasem chłopiec się bałamucił widocznie, a jak raz potajemnie znajomości robić począł, poszło to daléj. Obok w drugim domu stał Tatar z Wilna, tu zamieszkały, niejaki Azulewicz, którego syn w jednéj klassie z synem JWPana się znajdował.

— Cóż tu ma Azulewicz? przerwał hrabia niespokojnie.

— Na oko nic, ale w rzeczy, pewien jestem, tu tkwi tajemnica. Azulewicz był bardzo uczciwy człowiek, jak to oni wszyscy; ale taki Tatar, to tam dzikie wyobrażenia. Kiełbasy, słyszę, nie jedzą, a po sto pięćdziesiąt żon chowają, kiedy u nas z jedną wytrzymać trudno. Jednakże ów Azulewicz miał tylko jedną żonę, i nawet po jéj śmierci drugiéj nie wziął, a syna bardzo kochał i edukował tak, jak ci, co kiełbasę jedzą. Ale mu się samemu tęskniło w pośród obcych, bo był husyt wielki i w książkach siedział; a choć go za Polaka można było wziąć, tak mówił po naszemu czysto i w obcowaniu był przyzwoity, korciło go do ojczyzny jakoś. Sam widziałem, choć nie lubię cudzych tajemnic podpatrywać, że listy jakieś do

Krymu na pocztę nosił, do swoich. Otoż między młodym Azulewiczem a pańskim synem wzięła się jedna z tych studenckich przyjaźni gorących, co to chłopcy żyć bez siebie nie mogą. I dzień w dzień młody wykradał się do Azulewiczów. Stary syna kochał i był miękkiego serca, choć Tatar; więc i to dziecko polubił dla syna. Przyszło mi na myśl, że go mogą na mahometańską wiarę nawrócić, że może się jeszcze do kata zbisurmanić; ale co tu było począć? nie wiedziałem... A! myślę sobie: Co tobie do tego stary? jeszczebyś znowu po tebinkach oberwał; milcz i swojego patrz!... I tak chłopaka żałując a pieszcząc, wbili mu w głowę, że jest nieszczęśliwy; z drugiéj zaś strony Azulewiczowie podbałamucili czy coś, i chłopiec znikł!... Ale w tém moja głowa, że ja doszedłem co się z nim stało....

— Ale mówże, mów!

— Czuję się osłabionym, ocierając pot z czoła rzekł Mąkiewicz. Gdybyś mi JWPan raczył kazać dać jaką kropelkę, gdyż mówienie nadzwyczaj mnie wysila...

Hrabia zżymał się z niecierpliwości.

— Pawle — rzekł — postaw karafkę wódki przed tym bibułą. Już nawet wstydu nie masz, panie Mąkiewicz.

— Wstydu!!! ja! JWPanie! przerwał narrator.... A! JWPanie! widzę jak trudno być w świecie uznanym wedle wartości! Jeżeli piję, to smutek i słabość zdrowia tylko; brak mi sił, i wódka chwilowo pamięć oczyszcza.... Dla tego w interesie własnym JWPana, chciałbym sobie co najlepiéj wszystko przypomnieć, a JWPan mi tę gorliwość wyrzucasz! Ja sam czuję to, że wódka mi szkodzi; ale pamięć utraciłem i czynię

fiarę ze zdrowia i życia mego dla JWPana, a JWPan igrawasz się z tego! O mój Boże!

Hrabia uśmiechnął się wzgardliwie.

— Pij i gadaj! rzekł krótko.

— Azulewicz tedy tęsknił do tego swojego Krymu płaskich twarzy, aż tu sobie naprowadzając Tataów, gdy sam do nich dojechać nie mógł. Co roku rawie słyszę z tabunem koni tatarskich, o które łodzież się rozbijała, przybywał do Berdyczowa i na Vołyń niejaki Mustafa Seferowicz, z długą białą brodą, w krymce i szlafroku; konie swoje zostawiał gdzieś am na Wołyniu, a sam tu na kilka dni do Azulewicza zawsze ściągał. Chodził poważnie odziany, figura iczego; chłopcy tu za nim po ulicach biegali, gdy się eno pokazał, bo to była osobliwość. Nawet wódki ani żadnego gorącego trunku nie pijał, kwaśném mlekiem się żywiąc pryncypalnie, o czém wiem pewnie, że hładysz zjadał. I to wiem, że ten Seferowicz z synem pańskim widział się u Azulewicza, że tam mu nagadał o swobodném życiu w Krymie i o kraju tym jak o raju. Bóg wie czém tam go kusił: może obiecał piętnaście Tatarek za żony dać, ale jestem pewien, że on z tym Tatarem umknął.

— Co ci się śni! zawołał hrabia.

— E! e! ja to mówię na pewnym fundamencie. Bo, że policya znalazła jego stary mundur na śmiecisku niedaleko rzeki, to wcale nie dowodzi, żeby się utopił. Chłopiec z sensem byłby się utopił w mundurze, zwłaszcza że był chłodny czas; ale to znaczy tylko, że chciano zmyślić i zając dał susa.... Seferowicz właśnie pod ten czas tu był i razem jakoś zniknął, a na Wołyniu już mówiono mi, że z sobą miał w po-

wrocie swojego syna, ładnego chłopca, którego wprzódy nie było, a potém mu się nie wiedzieć zkąd wziął.

— Dla czegożby na tę myśl nikt nie trafił? spytał hrabia.

— Dla tego JWPanie, że na myśl słuszną nigdy ludzie nie trafiają, aż dopiero na ostatku, gdy wprzód najniedorzeczniejszych wypróbują... To tak jak gdy kto omackiem otwiera zamek: wprzódy wymaca caluteńką szufladkę, póki nie trafi na otwór.

— A cóż się stało z Azulewiczami? zapytał hrabia.

Ale Mąkiewicz nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż skorzystawszy z chwili roztargnienia, poszedł do wódki i nalał trzeci kieliszek. Spotkawszy wejrzenie hrabiego, nieco się zarumienił.

— Wzruszenie, jakiego doznaję, tę bolesną opowiadając historyę—rzekł—zmusza mnie do pòtrzymywania starganych sił moich na usłudze krajowéj. Ale tylko odwilżyłem usta, słowo daję; nigdy kłamstwem się nie zmazałem. Jan Piotr Mąkiewicz... wszyscy to wiedzą.

— Ale cóż się stało z Azulewiczami? powtórzył hrabia natarczywie.

— Azulewicz ciężko został dotknięty stratą syna, którego nad życie kochał, odpowiedział Mąkiewicz. Po śmierci jego, gdy go już nic w kraju nie trzymało, jedni mówią, że się wyniósł do Waki, gdzie miał włókę i chatę; drudzy, że pojechał umierać do Krymu; inni, że się udał do Mekki, gdzie oni wszyscy jeżdżą z okoliczności jakiegoś czarnego kamienia wiszącego w powietrzu, o czém dawniéj czytałem, póki człowiek był ciekawy, ale dobrze nie pamiętam.

— A gdzieżby się o nim dowiedzieć można?

— O kamieniu, JWPanie?

— O Azulewiczu! krzyknął hrabia.

— Nigdzie JWPanie, chyba między rzeszą tatarską, a tu ich niema, aż pod Wilnem. Ale gdybyś JWPan chciał starego bywalca użyć, mimo sił starganych i dokuczliwych nagniotków, jeszczebym się podjął pojechać do Waki, i jako to ja, potrafię dobyć z nich prawdy. Rozumie się, gdybym miał na ekspensa podróży i cośkolwiek za trud i pracę.

— Hrabia ruszył ramionami.

— Bajkęś mi waćpan splótł, aby się wódki napić, rzekł pogardliwie.

Mąkiewicz powstał z godnością, gdyż uzyskawszy dwa złote i trzy kieliszki wódki, więcéj się już nie spodziewał i nie potrzebował grać komedyi.

— JWPan lekceważysz we mnie dostojność męczennika, człowieka, który się dobru ogólnemu poświęcił. Nigdy usta moje nie skalały się fałszem: to jest obelga niesłychana, to jest...

— Ze mną, kochanku, nie masz potrzeby tych deklamacyj—odrzekł spokojnie hrabia—na mnie to nie robi wrażenia.

— Zawsze! rzekł Mąkiewicz... wiecznie, przeznaczeniem mojém być niepojętym i pokrzywdzonym.

To mówiąc, z miną tragiczną przystąpił do karafki, i machając ręką jakby zdesperowany i nieprzytomny, prędko, rozpaczliwie wychylił kieliszek wódki.

— Zaślepienie! rzekł odetchnąwszy. JWPan odpychasz jedyny ślad mogący go naprowadzić na tego, którego nazwałem nieboszczykiem. A jednak tu klucz! i Mąkiewicz na coś zasłużył odkryciem wielkiéj tajemnicy. Dwa złote? na składkę w imię tak wielkiéj idei przedsięwziętą!

— Słuchaj — rzekł Herman — jeśli masz cokolwie sumienia, powiedz prawdę: nie kłamiesz? nie uwodzi mnie? dam ci co zechcesz!

— Co zechcę! notuję! podchwycił Mąkiewicz. Słow *verbum!* co zechcesz!

— Tak jest, dam ci co tylko dać mogę — popraw się hrabia — powiedz szczerze, nie uwódź mnie, plotł mi baje?

— Tak mi Boże dopomóż! prawda szczera! jasn Usta moje nigdy się nie zmazały...

— Panna Moroszówna nie miała w tém udział

— To jest, o ile ja, z blizka na te rzeczy zapatr jący się, wiedzieć mogę, chyba nie więcéj nad to, chłopca żałowała, pieściła, bałamuciła. Głowę mu je mniemaném nieszczęściem nabili, nie pojmując spa tańskich planów JW. ojca.

— Ale wiedziała o tém może?

— Tego nie wiem, a czego nie wiem, nie powie bo usta Jana Piotra Mąkiewicza nie zmazały się nigd

Hrabia głęboko się zamyślił. Mąkiewicz znowu za rzał do karafki.

— Gdy słowo JWPana jest, jak nie wątpię, rzec świętą i nienaruszoną, a rzekłeś pan, że dasz mi c zechcę, lub inaczéj co możesz, gdyż obie wersye ch nierównéj wagi stały tu na jednéj szali, — śmiem s odwołać do własnych słów skaleczonego serca ojcow skiego, w które wlałem trochę balsamu...

Tu sięgnął jeszcze do butelki, ale groźne wejrzen go powstrzymało.

— Nie miałem intencyi pić, chciałem tylko zatkn karafkę.... Wietrzeje... obawiałem się, aby ta woń n szkodziła JWPanu... A wracając do słowa, które ma gdy powiem, że JW. hrabia, dziedzic Horycy, Sienn

i przyległości może mi dać dwieście złotych, nie przesądzę. Summa ta może mnie i zasadę, którą popieram, postawić na nogi.

— Albo cię zwalić z nóg, bobyś ją przepił od razu—przerwał zniecierpliwiony hrabia.

— Cóż, jeśli nieszczęścia krajowe postawiły mnie w tym stanie opłakanym! rzekł tragicznie Mąkiewicz. Ale gdybym miał dwieście złotych, okazałbym światu, że jeszcze uczucia w prawych synach kraju nie wygasły... że są jeszcze ludzie pełni poświęcenia...

— Dwóchset złotych dać ci nie mogę, nie dla tego, żebym nie miał, nie dla tego nawet, żebym nie chciał; ale dla tego, że zapiłbyś się na śmierć i dorznął niemi. Gdy jednak słowo się rzekło...

— A aniołowie słyszeli je w niebiosach — rzekł podnosząc do góry rękę Mąkiewicz.

— Dajże pokój choć aniołom, którzy z tobą i ze mną nic wspólnego nie mają...

— Więc cóż JW. hrabia postanawiasz w rzeczy święcie należącego mi się długu?

— Długu! uśmiechnął się hrabia — a no, będę ci go wypłacał ratami przez gospòdarza tego domu, po pięć złotych na raz, i to nie inaczéj tylko na odzież, strawę, nie zaś na tę wódkę którą się dobijasz.

— Przez gospodarza domu! zawołał Mąkiewicz śmiejąc się ironicznie. Chciejże JW. pan posłuchać, jak ja rozumuję. Gospodarz tego domu jako porządny człowiek ma szynk u siebie, nawet mamy z sobą małe rachunki; pójdzie więc żywy grosz za tę należność, którąm mu winien za papier i obwarzanki. Przytém on nie zna Jana Piotra Mąkiewicza i jego wysokich celów, i da mu się zapić właśnie, byleby co na tém zarobił; środek więc chybia celu. Gdybyś JW. pan

spróbował i samemu mnie to powierzyć raczył, mógłbym dać słowo honoru, którego nigdy nie złamałem (prócz kiedy *necessitas transit legem*), albo zobowiązanie na piśmie przy świadkach, pod pieczęcią, która jest zastawiona... że ich na wódkę nie użyję...

Byłaby się ta scena przeciągnęła do zbytku, gdyby Paweł niespokojny nie dał znać, że konie stoją gotowe. Pilno mu już było do domu. Mąkiewicz więc zaspokoić się musiał pięciozłotówką, którą łącznie z całemi w przyszłości obiecanemi dwustu złotemi, wpisał na listę i odszedł natychmiast do najbliższego szynku, obierając sobie taki, w którym nic nie był winien.

Na wyjezdném z Pińska, konie hrabiego miały się zawrócić ku Horycy, gdy z wielkiém podziwieniem Pawła, hrabia kazał jechać drogą wcale odmienną, wiodącą ku Wołyniowi na Kużeliczyn i Lubieszów.

Piękny jest ten nasz Wołyń! a gdy po piaskach i borach Polesia podróżny wjedzie w ten kraj tak żyzny, tak wesoły, urozmaicony wzgórzami, przezroczystemi ubrany stawy, dębowemi lasy malowniczo zarosły; gdy z pierwszego pagórka oko jego pobieży daleko i obejmie razem kilkadziesiąt wsi, ogromną świata dzielnicę, — jakoś ochoczo robi się w sercu i w oczach weseléj.

Ale tak jest tylko póki poglądamy z daleka; inaczéj gdy się zbliżymy do tych uroczych widoków. Tu wszystko znajdziesz w ruinie lub grożące ruiną; smutek cię przejmie przy pierwszéj wiosce i dworze. Na-

wet tam, gdzie z gruzów podniosły się już wspaniałe gmachy frontem do gościńca, aby się sobą pochwalić, nie czujesz, żeby to było na trwałych oparte posadach; nie masz przekonania, żeby piękny i pokaźny dwór miał wiekować.

Przyjrzawszy się bliżéj, dojrzysz, że wieś rozpada się cała, porozłamywane płoty, porozwalane chaty, poprzeginane krzyże, kościołek w części słomą pokryty, dwór tylko od przodu wybielony. Daléj zamek pustką stojący, i klasztor bez dachu, i miasteczko napół spalone, i całe murów gromady okopcone, czarne, opleśniałe i omszone. Na polach buja i faluje zboże, ale obok starannie uprawnéj ziemi lub zagona, który wypielęgnowało słońce i rosa bez pomocy człowieka, szmat rzadkiego żyta, cienkiéj i nizkiéj pszenicy, lub nikłego owsa. Groblę zahacono na prędce gnojem i słomą, młyn pochylony ze starości, na dachu chaty porosły trawy i osty.

Z dala majaczeją białe mury; gdy się zbliżysz, postrzegasz tylko ściany gołe. Z dala błyszczą stawy, ale pół ich zabrały trzciny i sitowia. Z dala i dwór w topolowym wianku jak narzeczona w kwiecistéj opasce ci się śmieje, ale pół okien zabito deskami. Ni z nich ludziom wyjrzeć, ani w nie zaglądać słońcu, a droga wśród topoli jak łąka zarosła.

Nasz podróżny, który od wieków nie wyglądał ze swéj Horycy i znał tylko Wołyń ze wspomnień, takiego prawie doznał wrażenia, jakie tu opisujemy, gdy przebywszy Lubieszowskie lasy i piaski, zbliżył się w okolice Łucka.

Tu Styr, jedna z najpiękniejszych rzek wołyńskich, ale płynąca dotąd jak nią Bóg raz pierwszy pokiero-

wał i jak ją ludzie groblami i pływakami popsuli, dzieli od siebie różne wielce dwie prowincyi połowy.

Od Polesia jeszcze bory i piaski; na drugiéj stronie żyzne łany wołyńskie, i wzgórza zielone, i dębowe gaje, a w pośrodku ów Łuck, wielka ruina, zbiegowisko murów pokruszonych, jakby jaki kataklizm straszny, jaka burza niszcząca przeszła po nad jego zgruchotanemi szczytami.

Ślady dawnéj świetności otoczone nędzą i resztkami życia; na dawnych cmentarzyskach liche karczmy drewniane; w murach świątyń składy i magazyny; na ulicach drewniane bruki, a wzdłuż ulic domostwa, na których ścianach bryzgi błota rysują hieroglify brudu i zaniedbania.

Ztąd nieopodal już było do celu podróży Hermana, który, jak się już nawet Paweł domyślał, po długiém niewidzeniu jechał do dawno zapomnianego brata.

Stosunki ich nie były zerwane, ale uległy dziwnemu zobojętnieniu i chłodowi. Hrabia Rajmund w dziale wziąwszy daleko na oko piękniejszy majątek wołyński, obciążony również długami, zamieszkał w nim tak daleko od brata, że trudno im było ściślejsze zachować stosunki.

Młodość też wcale ich do miłości wzajemnéj nie uspasabiała: charaktery tak były różne, że się nigdy zrozumieć nie mogli, a przy każdém spotkaniu walczyć z sobą musieli.

Znamy już z nich jednego: trudniéj może będzie dać poznać drugiego brata, którego charakter nie tak wydatny, daleko z większéj ilości składający się pierwiastków, nawet dla bliższych był często zagadką.

Herman nigdy nie kłamał: mówił co myślał, aż do

zbytku będąc otwartym, aż do szorstkości prawdomównym, z przyjemnością prawie staczał walki o swe przekonania. Rajmund więcéj światowy, układniejszy, choć może czuł toż samo, nie zadawał sobie pracy walczyć i spiérać się: ruszał ramionami, i ludzi przy ich przekonaniach z niejaką pogardą zostawiał.

Wiek mało ich różnił od siebie. Rajmund był również żonaty i jedno miał tylko dziecię; lecz nim poznamy go bliżéj, potrzeba, byśmy w jego przeszłość wtajemniczyli czytelnika.

Rajmund więcéj był panem i hrabią. Gdy tamten swego tytułu nierad używał, znajdując, że często mu był ciężarem; ten nosił go zawsze i wszędzie, nie uważając za rzecz przyzwoitą wypierać się pamiątki i zaszczytu. Na nieszczęście stan majątkowy niebardzo mu dozwalał stosownie do niego pokazywać się w świecie; żył więc może właśnie dla tego na wsi, bo tam łatwiéj zawsze pozostać długo hrabią i wielkim panem.

W pierwszych chwilach po objęciu majątku, hrabia Rajmund byłby może jak brat potrafił wyjść pracą i oszczędnością z długów ciążących na dobrach, ale miał inne całkiem pojęcie swojego stanu majątkowego. Dobra, które objął, były pozornie wielkie dla oka, które długów jego nie dostrzegało, dawały prawo żyć po pańsku. Rajmund wziął jeszcze z niemi wspaniały niegdyś pałac dziadowski, i do tego szerokiego gniazda stosować umiał swe życie, ku któremu z natury czuł skłonność.

Z twarzy był nieco podobny do brata, ale rysy jego daleko spokojniejsze i poważniejsze, nosiły na sobie piętno dystynkcyi, o którą bardzo się starał.

W sposobie obejścia był zimny, grzeczny, pański, przyzwoity.

Po odziedziczeniu majątku, nie zdawał sobie sprawy z jego stanu: był pewien, że nie mając nałogów rujnujących, łatwo wyjdzie z długów i ciężary powoli pospłaca. Ale zamiast się brać do tego, począł od postawienia domu na stopie nazwisku odpowiedniéj. Trudno to jasno określić, do czego obowiązuje tytuł i imię; miarę w tém znaleźć jeszcze trudniéj. Gdy raz wpadnie się na tę drogę, zatrzymać się ciężko; dzieje się jak z pantoflami Diderot'a: do pięknych pantofli potrzeba odpowiedniego szlafroka, do szlafroka krzesła, do krzesła mebli, do mebli pokoju—i pantofle przywieść mogą do ruiny. Tak się i tu po trosze stało.

Hrabia Rajmund począł od pewnego rodzaju pantofli: wyrestaurował najprzód dom; do domu mnóztwo rzeczy nowych a pięknych było potrzeba; potém powozów, koni, usługi, liberyi, dworu, marszałka—i tak się weszło w życie nad skalę.

A gdy już życie jego opowiadamy, powiedzmy odrazu, jak się ożenił i czemu oddał się cały. Dosyć długo upatrywał sobie towarzyszki, od któréj wymagał wiele, bo imienia i majątku i wdzięku; serce go nie unosiło, rachuby też przedewszystkiém nie miał na celu. Swoboda stanu kawalerskiego dosyć mu się uśmiechała, a ożenienie, do którego nie wiedzieć jak przyszło, było raczéj skutkiem tego, co dawniéj nazywano przeznaczeniem, niżeli dziełem silnéj woli lub uczucia. Przyszło do tego nie wiedzieć jak, złożyło się niespodzianie. Jeżdżąc w odwiedziny, trochę przyjmując u siebie, pańsko spędzając długie wolne życia godziny, Rajmund

był spokojny i nie miał gwałtownego pragnienia zmiany stanu. Traf najprzód zaprowadził go do domu sąsiada, który miał dwie córki i majątek znaczny wcale, ale szlachcica sobie prostego, i co dziwniejsza, mimo bogactwa, żadnéj do państwa niemającego pretensyi.

Pan Dynamiński był człowiekiem uczciwym, rządnym, spokojnego charakteru, a miał tę jedną stronę tylko oryginalną, że się uważał za najlepszego w świecie gospodarza. Miłość własna, która jakąkolwiek szparą musi wyjść z człowieka, wychodziła mu tym bokiem, i byle mu się w tém nikt nie sprzeciwiał, powolny był dla wszystkich cudzych słabostek, więcéj od otaczających dla siebie nie wymagając. Dynamiński mocno stał o to, by pierwszy zasiał, pierwszy zebrał, najlepiéj zorał i mógł zająć przednie miejsce wśród gospodarzy; nie czynił jednak nadzwyczajnych na gospodarstwo nakładów, nie wierzył w agronomię, zasadzał się na doświadczeniu, rutynie, tradycyi, a jako środki najlepsze, uważał wielki dozór i pilność. Szło też u niego nieświetnie, ale dobrze, a sąsiedzi trochę zazdrośni mówili po cichu, że pozwalał sobie w opisach swojego gospodarstwa trochę przesady. Nie wierzono, żeby mu kopa owsa pięć korcy dużéj miary dawać mogła, choć co rok najmocniéj za to zaręczał i w razie sporu ofiarował się do stodoły dla przeświadczenia prowadzić. Żyto powszechnie dawało mu trzy korce, pszenica dwa i t. p. To pewna, że Dynamiński miał się dobrze, żył skromnie, córki wychował starannie, ale po szlachecku, choć nie bez francuzczyzny, guwernantek i fortepianu. Gdy hrabia zaczął bywać w tym domu, starsza córka Dynamińskiego Marya poczynała rok dziewiętnasty: było to dziewczę skromne, ciche, bardzo pobożne, istny ty-

naszych Polek, które są ideałem żon i matek. Skłonniejsza do cichego, głębokiego uczucia i poświęcenia, niż do tęsknoty ku światu, Marya marzyła dla siebie zagrodę wiejską, życie ustronne. Hrabia z początku zrobił na niéj wrażenie jakieś przerażające. Jego wielki ton, wspaniała postawa, pewność siebie, podobały się jéj może, ale taką olśniły wyższością, że ilekroć przyjeżdżał, nie śmiała wyjść do salonu bez drżenia i bicia serca, rumieniła się nie mogąc wymówić słowa.

Z Dynamińskim nie wiedzieć dla czego bardzo się pokochali: może z powodu, że Rajmund od razu w pięć korcy z kopy uwierzył i gospodarstwo bardzo pochwalał; ze swojéj strony szlachcic, szanując imię historyczne, niezmiernie był grzeczny dla gościa. Rajmundowi było tu dobrze, wygodniéj, swobodniéj niż gdzieindziéj.

Zaczął bywać bez myśli i zaraził się od Dynamińskiego namiętnością gospodarską, ale wcale inaczéj na tę chorobę zabolał.

Dynamiński nic innego i inaczéj nie robił nad to, co sąsiad jego chłop, tylko lepiéj, wcześniéj, dokładniéj; hrabia chcąc go przesadzić, rzucił się w gospodarstwo poprawne, ulepszone, postępowe.

Piękna to jest rzecz, pożyteczna i zacna, gdy kto do niéj bierze się ze stosownym zasobem nauki i ukształceniem właściwém; ale niebezpieczna przy nieumiejętności i zarozumiałości. Hrabia sądził, że nic nie ma prostszego nad agronomię; brak zajęcia uczynił go najprzód gospodarzem, ale nie na tém koniec. Od razu chciał sąsiada we wszystkiém wyprzedzić, i był pewien, że pokaże światu co może geniusz na polu nawet najbardziéj opuszczoném i wzgardzoném. Gdyby był chciał pojechać za granicę, uczyć się wytrwale,

byłby zapewne sobie i krajowi użytecznym; ale hrabia Rajmund wierzył w idee wrodzone i wyższość umysłową ras uprzywilejowanych.

Przeczytał kilka książek, przekonał się, że ma geniusz wynalazków, i jął się najfantastyczniejszych innowacyj.

Pan Dynamiński patrzał na to ze zgrozą i podziwem; ale potém, przez uszanowanie dla tytułu, w samo dzieło począł wierzyć, i choć go naśladować nie myślał, admirował. A że Rajmund potrzebował kogoś, coby go pojmował, a niełatwo mu było znaleźć, wziął Dynamińskiego za powiernika i powolnego słuchacza. Ztąd ciągłe obu sąsiadów u siebie przebywanie, odwiedziny, narady. Hrabia szczególniéj uwiązł myślą w narzędziach i machinach, będąc pewien, że choć mechaniki nie umie wcale, musi z pomocą geniuszu wrodzonego, zadziwiające poczynić odkrycia. Zaczęto zaraz z jego rozkazu budować wzory i robić próby, a jakkolwiek te były niefortunne, wcale go to nie zrażało od nowych.

Tymczasem jeździł do Dynamińskiego, a panna Marya z takiém go współczuciem słuchała, takie mu okazywała uszanowanie i zajęcie, że powoli do téj cichéj istoty przywiązywać się zaczął. W jego przekonaniu była ona ze wszech względów niższą od niego daleko; ale lubimy stać wyżéj i w duszy czuć się czyjemś bóztwem i opatrznością.

Temu uczuciu hrabia winien był żonę. Nigdy Dynamińskiemu na myśl nie przyszło córkę swatać sąsiadowi, ani jéj wyjść za tak wielkiego człowieka; ale hrabia począł się nudzić wśród swych prób machin gospodarskich, gdzieindziéj spotykał uśmiechy niedowierzania, na kobietach zaś, które jego szukały i sta-

rały się usidlić, poznał się instynktowo: i tak jakoś, nie wiedzieć zkąd i jakim sposobem, gdy Dynamińskiemu i Maryi ani się śniło o połączeniu z domem Górów, on jednego wieczora poważnie i patetycznie, bo z tego tonu nigdy nie schodził, oświadczyć się raczył o rękę panny.

Stał się popłoch ogromny, zdziwienie, uszczęśliwienie, które może aż nadto dano mu poznać, co go jeszcze bardziéj przywiązało do Dynamińskich. Szlachcic i jego córka mieli to sobie za coś tak wielkiego, tak pomyślnego, jak gdyby starożytny Jupiter pod ich dach zstąpić raczył. Dynamiński o mało nie popełnił głupstwa wielkiego, dziękując za ten zaszczyt hrabiemu; panna Marya rozpłakała się. Naturalnie, że trudności nie czyniono żadnych, i hrabia sam sobie warunki, czas i wszystko co należało do wesela, oznaczył.

Marya nie kochała go może ową miłością gorącą i romansową, która się rzadko w śmiecie spotyka, która nie w każde życie się wplata; ale miała dlań szacunek, poważała go, lubiła, admirowała. Przyszłość obiecywała się być świetną i szczęśliwą. Po ludzku sądząc robiła partyę, która namnożyła zazdrości wiele i podziwem napełniła kraj na trzydzieści mil w około.

W istocie inaczéj rzeczy stały, niż się na pozór zdawały. Najprzód co do majątku Dynamiński był wcale bogaty, choć się za pana nie miał, i córka jego wnosząc pięćkroć, więcéj już mu dawała niż czysta hrabiego wynosiła majętność; ale dobra jego były znaczne, tytuł świetny, pałac ogromny, i sądzono, że pan robił szlachciance łaskę, żeniąc się z nią.

Co do panny Maryi, ona téż daleko więcéj warta była od hrabiego, choć mniéj o sobie trzymała, mając się za wielce uszczęśliwioną i podniesioną wysoko.

Dawał jéj wprawdzie imię piękne pan hrabia, ale zarazem złoconą niewolę, którą wprędce uczuła. Musiała przyjąć jego obyczaje i zastosować się do idei często jéj przeciwnych, skromność swą ubrać w powagę, która ją uciskała, wyrzec się swobody, zostać niewolnicą, poddanką. Nigdy straszniejszego, choć łagodniejszego na oko tyrana nad hrabiego Rajmunda nie było na świecie. Nie był on ani popędliwy, ani gniewny, ani srogi, ale jak żelazo uparty. Wolę swą spełniał nie zważając na nic, nie pojmując, by się jéj kto w świecie mógł sprzeciwić, nie rozumiejąc poświęcenia nawet fantazyi przechodniéj dla czyjegoś uczucia lub boleści. Ta tyrania niezłomna tém była cięższą, że nie miała form ostrych, któreby oburzać się na nią dozwalały, że była obleczona łagodnością pozorną, chłodną krwią zupełną, i odbywała się z wyższością, niedozwalającą przystępu słowu, zamrażającą wszelki wybuch uczucia.

Jak się to bardzo często trafia na świecie, w małżeństwie tém role były zmienione na oko i oszukiwały pozorem. Geniusz, rozum, wyższość zdawały się po stronie hrabiego, który żonę swą za dobrą, ale niewielkich zdolności kobiecinę uważał i ludzie ją za takąż mieli; w rzeczy zaś saméj ona posiadała daleko więcéj rozsądku, uczucia, przymiotów duszy i serca nad niego.

Ale to wszystko pokrywała skromność nadzwyczajna, niezmierna nieśmiałość, przekonanie nawet o swéj niższości.

W takich warunkach zawarte małżeństwo poszło koleją łatwo przewidzianą: dobroczyńcą i panem był mąż, niewolnicą pokorną i zawstydzoną swém niesłychaném szczęściem kobieta. Dynamiński umarł wkrótce

po wydaniu córki za mąż, zaziębiwszy się przy posiewie owsa wczesną wiosną; druga córka wyszła daleko na Podole, za niedostatniego szlachcica, i w inną zupełnie dostawszy się sferę, oddaliła się od Maryni. Hrabia szwagra miał za bardzo małą rzecz, i wcale stosunków z nim utrzymywać nie myślał.

Po ożenieniu, mania mechanicznych wynalazków owładnęła jeszcze silniéj umysłem hrabiego, który wziął się do olbrzymiego pługa, mającego od razu wyorywać rowy, do nowéj młockarni poruszanéj wiatrakiem, do młyna nowéj inwencyi i mnóztwa innych prac ważnych, tracąc na nie czas, pieniądze i resztę rozsądku. Im bardziéj mu się to nie udawało, tém zapalczywiéj się zajmował. Tymczasem interesa na chwilę dźwignięte posagiem żony, poczęły się gmatwać znowu.

Dziwnym skutkiem moralnéj ślepoty, hrabia miał do najwyższego stopnia posuniętą władzę niewidzenia tego, czego niechciał zobaczyć. Oczu jego nic otworzyć nie mogło, a cyfry i rachunki mniéj niż cokolwiekbądź.

Sofista niezręczny, ale wymowny, zawsze sobie malował świetnie, co chciał widzieć jasno. Rady od nikogo nie przyjmował, a szedł raz wytkniętą drogą z wolą niepokonaną. Żona, która daleko zdrowiéj sądziła wszystko, musiała milczeć, uważana za istotę wątłą i niedaleko widzącą. Ani z radą, ani ze szczérém wyznaniem wystąpić nie mogła: hrabia łagodnie, ale z góry odsyłał ją do książek pobożnych i ogródka.

Były to dwa ulubione zajęcia hrabiny, która wprędce poznała, jak pozorne jéj szczęście wątłe było i tylko dla oka ludzi mamiące, bo przekonała się, że człowiek, którego miała za świętość i ideał,

ył bez serca i uczucia. Bez narzekań i oporu, z rezygnacyą, zwróciła się ku Bogu, do pracy cichéj, przyjęła los swój w pokorze. Widziała ona groźby przyszłości, ale jéj odwrócić nie mogła; musiała milczeć, płakać i raz przyjętą rolę szczęśliwéj i ubłogosławionéj nosić mężnie do końca.

Dla świata miała uśmiech i wesele, była zawsze ową szczęśliwą; dla siebie schowała łzy swoje, strachy i boleść.

Życie jéj upływało na modlitwie, w kościele, w ogródku.

Szczęściem, Bóg, który zawsze wejrzy na tak dźwigane brzemię, dał jéj choć jedno dziecię, przy którego kołysce była panią: była to córka. Ojciec mało się mieszał do jéj wychowania; wyrosła więc tak wykochana i wypieszczona na łonie macierzyńskiém, tak śliczna i miła, jak niegdyś była jéj matka. Podobna do niéj z twarzy jak dwie wody krople, Lola (gdyż tém imieniem poufale ją nazywano) w charakterze nieco ojcowskiéj miała energii, która się u niéj zmieniła w żywość i śmiałość.

Była też równie łagodna jak matka, równie dobra, ale odważniejsza od niéj; nie umiała tak kryć w sobie wszystkiego: boleść i radość z rumieńcem razem na twarzyczkę i usta jéj wybiegały.

W chwili gdy powieść poczynamy, Lola miała już około lat dziewiętnastu; matka jéj zbliżała się do czterdziestu, ale zachowała jeszcze ślady wielkiéj piękności, która dłużéj często jasnowłose, niż czarnobrewe twarze przystraja. Oswojenie się z cierpieniem, obycie ze swoim losem, wielka pobożność, okupiony nią pokój duszy, odbiły się na licu zacnéj niewiasty, któréj twarz przypominała typy matron dawnych, obla-

ne nieziemskim pokojem. Marya dawno już poznała swego męża, jego słabość i upór, jego nieudolność w sprawach życia i zaślepienie w dziwactwach; ale świat nigdy nie postrzegł w niéj zmiany: pozostała tąż samą służebnicą pokorną i pełną dla męża poszanowania, jak gdyby w wyższość jego wierzyła niezłomnie. Usiłowała nieraz wstrzymać go od fantazyj kosztownych i rujnujących, po cichu, ostrożnie; ale gdy się to jéj nie udawało, a majątek powoli do coraz gorszego przychodził stanu, przyjęła to jako karę bożą, z pokorą. Dla jednego dziecięcia i to co mogło pozostać dostateczne było zawsze; nauczyła się nie żądać wiele; chodziło jéj tylko o to, by mąż w pokoju i bez ciężkich zawodów dożył w złudzeniu do końca. Była cichą jego szczęścia piastunką.

Hrabia Herman, choć bardzo już dawno u brata nie bywał, a stosunki ich ograniczały się kilku do roku listami z powodu świąt Nowego Roku i imienin, dobrze znał brata, jego życie, stan nawet jego interesów. Kilkakroć Rajmund uciekał się z właściwym sobie tonem protekcyonalnym o pożyczki pieniężne do brata, których tamten zawsze grzecznie odmawiał; nie psuło to harmonii, ale oziębiło stosunki.

Dobra Rajmunda piękne i rozległe, ale najdziwniéj rządzone, zadłużone już były niezmiernie, i długi te rosły corocznie pomnażane nowemi.

Raz w rok, około kontraktów dubieńskich, wychodziły na wierzch gwałtownie wszystkie rany tego groźnego stanu i dawały się czuć silniéj; ale gdy tę chwilę krytyczną przebyto, rok potém spali wszyscy, zapominając o niebezpieczeństwie.

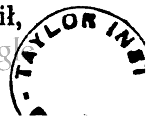
Przed kontraktami był niepokój, odwiedziny, szukanie grosza, sprowadzanie żydków z sąsiednich mias-

teczek; ale gdy chorobę peryodycznie wracającą zakurowano w jakikolwiek sposób, już się o nią nie troszczono więcéj: hrabia powracał do swojego pługa i młynów, hrabina wypłakawszy się, modliła.

Wszystkie troski leżały na plenipotencie, najuczciwszym z ludzi, starym już panu Kacprze Żółtowskim, który często nie miał sobie za co tabaki kupić, choć tysiącami obracał. Oddany duszą i sercem domowi, a szczególniéj hrabinie, człowiek wielkiego serca i rozsądku niepospolitego, umiejący tę kobietę ocenić, Żółtowski pracował do potu i łez, ale nic nie mógł poradzić przeciw despotyzmowi hrabiego, który mu nie dawał użyć środków zbawiennych. Rajmund tak się na nim poznał jak na żonie: miał go za poczciwego, ale mało udolnego sługę, szczególniéj dla tego, że na jego wynalazki pozwolił sobie raz ruszyć ramionami i wcale ich nie wychwalał. Nie wolno mu nic było zrobić własną głową, a gdy istotnie trzeba co było przedsiębrać ważnego, musiał się z hrabiną naradziwszy tajemnie, niemal fałszem dobijać się możności ratowania pana.

Swój grosz jaki miał Żółtowski, włożył cały w majątek hrabiów; a uważało się to przez hrabiego jako łaska dla niego uczyniona, że jego fundusik przyjęto choć nań ani prawnego zapewnienia, ani procentu nie miał, a tak się musiał taić z poświęceniem, jak drugi z niepoczciwością. Czasem grosz jakiś wziął na rachunek procentu, by go hrabinie na jéj pilne potrzeby podsunąć.

Dochód z dóbr pożerały procenta i fantazye hrabiego, który uśmiechał się z politowaniem, jeśli mu kto jako względem nich uwagę uczynić się ośmielił,



mając za niedołęgów i głupców tych, co mu nie wierzyli. Marzył on, że jego wynalazki dadzą mu niezmierne bogactwa i sławę nieśmiertelną.

Dom więc hrabiego składał się: z cichéj, pobożnéj i niewiele w nim miejsca zajmującéj żony; z córki Loli, dziewczęcia łagodnego, dobrego, ale żywszego od matki; z samego gospodarza, zawsze zatopionego w swych wynalazkach, z których ani jednego jeszcze nie uwieńczyło powodzenie; z milczącego poczciwego Żółtowskiego, ofiary cichéj, staruszka, który się kłaniał tylko i uśmiechał, a zamiast odpowiedzi najczęściéj tylko ruszał brwiami i ramiony.

Cały w sobie, Żółtowski był jedną z istot najuparciéj zamkniętych; pochodziło to z obawy słowa, które uważał za rzecz tak straszną, że gdy mu go użyć przyszło, ust otworzyć nie umiał. Słuchał uważnie, ale mówił pół wyrazami tylko, cicho, bojaźliwie, choć w głębi téj piersi wiekiem zgniecionéj, biło serce najpoczciwsze, najgorętszą miłością ludzi ożywione. Oddany hrabiemu, którego kochał, choć więcéj jeszcze czcił i cenił hrabinę, Żółtowski nie miał żadnéj słabostki nawet: zażywał tabakę tylko gdy ją miał, lubił kominek i książkę. Pracował jak galernik, nie skarżył się nigdy, silny był na swój wiek nadzwyczajnie, a zdrowie zawdzięczał życiu skromnemu anachorety.

Zarubińce hrabiego Rajmunda leżały między Łuckiem a Dubnem, w części kraju jednéj z najżyźniejszych, a choć nieco wzgórkowatéj, w glebie pszennéj i wszystkich warunkach gospodarstwa najpomyślniejszych. Ale pomimo starań Żółtowskiego nie szło tam gospodarstwo jak było powinno. Co rok inny folwark wystawiony był na próby. W jednym z nich nawet

przestano raz orać i gnoić, wedle jakiegoś nowego systemu. Brak kapitału istotnych ulepszeń nie dozwalał, majętność upadała.

Stary pałac zarubiniecki, z zamku przez dziada hrabiów przerobiony, dosyć był wspaniały. Otaczał go ogród z alei i lipowych szpalerów odwiecznych. Z dala miało to pozór pański i bardzo poważny.

Gmach piętrowy wznosił się na wzgórzu osłonioném ogrodem i lasem, u którego stop błyszczał staw wielki; szeroka ulica starych klonów i sokorów prowadziła do zamku. Na wstępie w dziedzińcu była brama wysoka murowana z galeryą, dziś opustoszała, na któréj piętrze z pozabijanemi oknami składano stare rupiecie i skazane na wygnanie machiny wynalazku pańskiego. Dawniéj stać tu musiała na straży dworu milicya; dziś na dole mieściło się dwóch starych gracyalistów i ogrodnik. W bramie wrot od dawna nie było; sama pani obsadziła je powojami i krzewami, tak, że na dosyć piękną wyglądała ruinę.

W głębi obszernego dziedzińca stał pałac, którego nie było komu zämieszkać, ale obszerne jego sale, odnowione i przybrane przed kilkunastu laty, utrzymywały się jeszcze w stanie mieszkalnym, choć już nie tak świetnie jak niegdyś. Było znać usiłowanie zachowania tego co przeszłość przekazała, ale zarazem niemożność oparcia się cicho wkraczającemu upadkowi i ruinie.

Gdzieniegdzie na tych murach malowanych w przeszłym wieku, głęboka rysa lub smuga wilgoci smutne budziła przeczucie zniszczenia. Drzwi, okna, posadzki zużyte były, nadpróchniałe, nieschodzące się z sobą; tam zaś gdzie je zastąpiono nowemi, poprawki nie odpowiadały ani wyrobem, ani materyałem temu, co zastę-

pować miały. Nie było to jeszcze ruiną, ale co chwila nią być mogło. Szczególniéj część pałacu zamieszkana przez hrabiego, który wcale o utrzymanie jéj niedbał, pokoje paradne, gdzie rzadko kogo przyjmowano, część dolnego piętra, pustką już pachniały. Kątek tylko od ogrodu saméj pani i jéj córki, świeżéj nieco wyglądał. W ogóle gmach był smutny, niezamieszkany, a ludzie po nim snujący się starzy, zwiędli, zmęczeni, jakby pod ciężarem jakiegoś złowrogiego przeczucia chodzący.

W ogrodzie hrabiny było nieco weseléj, ale ten krył się głębiéj za pałacowemi mury, i w miarę oddalenia coraz był puściejszy. Po za klombami drzew starych krył się tam domek maleńki, w którym przemieszkiwał Żółtowski, w miejscu osamotnioném i posępném. Sama budowa mimo swéj wielkości błyszczała tylko zdaleka; z blizka zdradzał się stan jéj półruiny połatanym białemi gontami dachem, kilku już zamkniętemi na wieki okiennicami zastępującemi okna, porysowanemi murami i tynkiem dawno nieodświeżanym.

Dodajmy, że droga wiodąca do ganku była nie oczyszczona i chudą zieloną porastała trawką, a jeszcze chudszemi chwastami. Na widoku, z boku u wnijścia w sieni, stał szkielet drewniany jakiejś ogromnéj projektowanéj machiny hrabiego, z mnóztwem kółek, pałek, walców i bloków okrytych pyłem od dawna. Było to coś tak mądrze skomplikowanego, że na pierwszy rzut oka niepodobna domyślić się było, do czegoby to kiedy służyć mogło.

Stosunki hrabiego z sąsiedztwem były bardzo zimne i wcale nierozgałęzione: gość rzadki, życie niby pańskie i wystawne, ale ubogie i niewygodne w istocie.

Hrabia nie dbał o to wcale, a hrabina mniéj jeszcze troszczyła się o wygody. Pierwszemu chodziło tylko pozór, żeby go nikt nigdy niestosownie do imienia i pozycyi socyalnéj nieznalazł. Były więc liberye na codzień, choć niezawsze całe buty u służby, lokajów dosyć ziewających w przedpokoju lub biegających po cieślów i ślusarzy dla hrabiego, ale usługi nie było. Tak we wszystkiém.

Jednéj jeszcze postaci ważną na dworze zarubinieckim odgrywającéj rolę, nie narysowaliśmy tutaj, ale tę na późniéj zostawić musimy.

Gdy żółty koczyk hrabiego Hermana, powiązany sznurkami w zagrażających miejscach, gdzieniegdzie znowu połatany, z tłomokiem uczepionym z tyłu za pomocą niedyskretnie opasujących go powrozów, z furmanem bardzo niepocześnie odzianym, a zanim wóz z Pawłem i tłomokami wtoczyły się przed pałac zarubiniecki, choć i tu niebardzo było wytwornie, zdumienie ogarnęło ludzi na widok tak niepozornie wyekwipowanego gościa, który śmiał sobie z furą w dodatku poufale zajeżdżać przed sam ganek. Bo choć trafiało się, że w Zarubińcach niezawsze powozy i konie błyszczały, uchodziło to panu jako panu, a ci, co mieli honor zajeżdżać przed jego wrota, musieli występować jeśli nie paradnie, to przynajmniéj przyzwoicie.

Wybiegła więc służba zdziwiona, a że nikt nie znał brata pańskiego, który tu długie lata nie bywał, ledwie śmiechem nie parsknęli lokaje, widząc starego Pawła w szaréj kapocie i czapce zatłuszczonéj, pospieszającego od drzwi żółtego koczyka, a konie zdyszane, robiące bokami, jakby w ganku popadać miały.

Stali tak z założonemi rękami w usposobieniu drwiącém, gdy poważna postać Hermana wydobyła się z powozu i rzuciwszy okiem po gawiedzi, przybyły zapytał surowo:

— Jest pan?

— A jest! rzekł nie ruszając się z miejsca jeden z młodszych; tylko ja tam nie wiem...

— Czego nie wiész?

— Czy przyjmie.

— A to już do ciebie nie należy! Hej! jest tam kto starszy! zawołał hrabia.

Gawiedź się jakoś nie ruszała; liczba jéj tylko zwiększyła się jeszcze kilku z różnych stron zbiegłymi próżniakami. Stać tak wystawionemu na pogardliwe wejrzenia téj dworszczyzny, nie było bardzo przyjemnie; lecz Herman w szczęśliwém jakoś usposobieniu, czuł się tylko tém rozśmieszony. Paweł ruszał ramionami i burzył się.

— Kto to taki? spytał wreszcie młodszy sługa Siermiężkiego.

— No! brat waszego pana, jeśli chcesz wiedzieć, trutniu! rzucił im groźnie Paweł.

Ten wyraz jak iskra elektryczna przebiegł zebranych ludzi. W jednéj chwili zmieniła się postać rzeczy; twarze się pomieszały, tchurzliwsi pierzchnęli, jeden tylko pozostał z wielce zafrasowaną miną. Trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż Herman tu nie bywał, ale sława dziwactw jego, bogactw i charakteru nawiedziła Zarubińce, i jak zwykle, pomnożona fantazyjnemi dodatkami, czyniła z niego złotem świecące straszydło. Jak tylko służba dowiedziała się, że to jest brat pański, rozbiegła się po dworze, oznajmiono Żółtowskie-

mu, poczęto się krzątać, goniec jakiś dobiegł i do hrabiego.

Hrabia Rajmund, któremu w jego ważnych zajęciach nie wolno było przeszkadzać, siedział zamknięty w tak zwaném laboratoryum. Był to pokój na dole, obszerny, mieszczący w sobie wszystko, co do jego dziwacznych robót zdawało mu się potrzebném: trochę starych książek, papier, ołówki i mnóztwo porozpoczynanych wzorów, drewnianych narzędzi, wyglądających poczwarnie. Nikt tu zwykle nie wchodził, i skoro pan zamknął się w laboratoryum, nie ważono się pracy dla najpilniejszego w świecie interesu przerywać. Chociaż nigdy w życiu nic mu się nie udało zbudować takiego, cóby miało pozór użyteczności, hrabia jednak miał się za geniusz, i zawsze się karmił nadzieją, że trafi na coś olbrzymiego lada chwila. Otaczający go dobrze widzieli śmieszność tych przywidzeń, ale nikt nie śmiał dać mu do zrozumienia, że to było rujnującą go manią, i słuchano go bardzo na seryo. Na ten raz przyjazd zupełnie niespodzianego a tak wielkiego gościa, złamał zwyczaj, i służący puknąwszy do drzwi, otworzył je nieco, wołając:

— Brat jw. grafa... przyjechał!

Hrabia stał nad stołem w długim surducie, mycce, okularach i przypatrywał się uważnie modelowi młyna, który w żaden sposób mleć nie chciał, usiłując dojść gdzie mu chybiono w wykonaniu téj myśli, która wedle jego rachuby miała nową erę w mechanice stosowanéj stanowić — gdy głos złowrogi dał się słyszéć niespodzianie. W pierwszéj chwili oburzył się mocno, ale oznajmienie o bracie wzruszyło go tak jak lokajów i służbę; stanął niepewien co począć. Pierwszą myślą jego było, że już miał odgadnąć czeg-

brakło młynowi i byłby tego dnia ważne uzupełnił odkrycie, gdyby nie odwiedziny.

— To pewna, rzekł uśmiechając się do siebie, że nie mam szczęścia, że jest coś szatańskiego w przeznaczeniu, co mi zawsze w chwili stanowczéj przeszkodzi. A no... brat! cóż robić! Ludzie nigdy nie pojmą takiego jak ja człowieka; potrzeba milczeć.

Ruszył ramionami, i powoli, z powagą zwykłą, wyszedł przeciw Hermanowi, który się w sieniach, nie śpiesząc także, rozbierał z podróżnych sukień.

Dwaj bracia spotkali się, podając sobie ręce w milczeniu, które się wzruszeniem równie jak obojętnością tłómaczyć mogło. Herman pilnie się wpatrywał w Rajmunda, Rajmund myślał trochę o bracie, a więcéj o młynie. Twarz jego zimna, woskowa, nie zadrgała na widok rodzonego.

— Ależ dawno już, dawno nie widzieliśmy się! przebąknął gospodarz. Mnie moje zajęcia, ciebie twoja dzikość i pokochanie pustyni, wstrzymywały w domu... Tyle lat, Hermanie... tyle lat!

— Prawda! nie kopa, ale czy nie ćwierć kopy? odparł Herman ze smutnym uśmiechem. Widzisz, to nie dziw: jam stary, mnie się ruszyć trudno, przyrosłem do kąta; ale tym razem przemogłem lenistwo, aby cię jeszcze przed śmiercią zobaczyć.

Rajmund uśmiechnął się, ale zawsze z wielką dostojnością i powagą.

— Nie wtrącajmyż tak smutnych myśli. Wejdź, proszę — i wskazał drzwi salonu, które lokaj w téj chwili bardzo pompatycznie otwierał. Weszli razem.

Salon był niegdyś wspaniały, ale ze staroświecka przybrany; czasy jego świetności przypadły na ów smak cesarstwa grecko-francuzki, gdy meble, sprzęty, malo-

wania naśladowały dość chudo i niezgrabnie zabytki Herkulanum i Pompei. Wszystko tu nosiło tę cechę. Salon był zimny, niepiękny, od razu czułeś, że w nim nigdy nie było życia. Sama pani przyjmowała w swoim saloniku, a ten urzędowy i paradny stał pustką całe miesiące i okrywał się pyłem.

— Dać znać pani hrabinie! zawołał gospodarz — pannie hrabiance!

Ale zaledwie tych słów domówił, obie panie ukazały się we drzwiach bocznych, z pośpiechem idąc powitać Hermana, który długo w nie uważnie wpatrywać się począł z uczuciem jakby tęsknego politowania nad ich losem.

Hrabina uczuła na sobie ten wzrok badawczy, i zarumieniła się od niego. Herman nie znał prawie Loli, któréj nie widział od dziecka; zdziwił się zastając ją śliczną, wyrosłą panienką.

— Już też się temu ani dziwuj, ani nam wyrzucaj, odezwała się swobodnie Lola. Myśmy do ciebie, stryjaszku, przyjechać nie mogły, ty do nas nie chciałeś, a ja musiałam rosnąć. Ale ja trochę ciebie stryju pamiętam.

Hrabia, który powagę posuwał do śmieszności i drobnostek, zgorszył się tą żywą apostrofą córki, i ruszył nieznacznie ramionami, mówiąc w duchu:

— Zawsze ta krew szlachecka! co pomyśli, to i powie!

Hrabina i Lola zajęły się zaraz przyjęciem gościa, który po chwilce poprosił, aby mu dano pokój na spoczynek, i przemówiwszy jeszcze słów kilka do kobiet i brata, wymknął się z nim razem do naznaczonego sobie mieszkania. Ponieważ goście rzadko tu bywali, i o pomieszczenie wygodne nie było łatwo, bo

niezamieszkane pokoje, utrzymane niestarannie, wszystkie się jakiemiś odznaczały brakami,—więc Żółtowski, którego zaraz wezwano do narady z domku ogrodowego, starszy sługa i Paweł wybrali po długich rozmysłach parę pokojów mniéj opuszczonych na dole, w których drzwi się zamykały prawie wszystkie, okna przystawały i komin dymił tylko z początku. W nich już podróżne rzeczy hrabiego rozłożone były.

Paweł znając nawyknienie pańskie, już drewka nosić kazał, aby mu ulubionego ognia rozłożyć; ale surowe wołyńskie polanka dębowe, na których jeszcze się gdzieniegdzie zielony liść błąkał, nie robiły nadziei, by z nich płomień miał powstać: dym tylko wydawały obficie.

Herman obejrzał się szybko, nie spodziewając się wielkich wygód w domu brata, gdzie wszystko było dla oka, a nic do użycia, i mrugnąwszy na Pawła, wyciągnął się na staréj kanapie.

Hrabia Rajmund stał naprzeciw nieruchomy, spoglądając przez okulary na niepozorny tłomok i skromne przybory podróżne, które właśnie wnoszono.

Ludzie się jakoś przenieśli do przyległych pokojów, i gdy gospodarz usiadł nareszcie, po długiém milczeniu, poczęła się rozmowa od powtórnego podania ręki.

— No, postarzeliśmy się oba, postarzeli... rzekł Herman. Oba bratuniu, wyglądamy jak gdybyśmy się raz ostatni żegnali. Powiedzże mi, a raczéj wyspowiadajmy się wzajem przed sobą: jesteśmyż szczęśliwi?

Rajmund uśmiechnął się dziwnie, nie dając wyrazu żadnego temu ust skrzywieniu, które mogło zarówno ból jak wesołość oznaczać; jego fizyognomia spętana ciągłą pilnością i czuwaniem nie okazywała nigdy uczuć we-

wnętrznych, bo Rajmund uważał za brak powagi wydawanie się z tém, co miał w duszy.

— Ludzie jesteśmy, po ludzku idzie życie; nic więcéj wymagać nie potrzeba nad to, co możliwe. Gdyby nie szczególne warunki mojéj egzystencyi i ten geniusz wynalazków, którym podobało się obdarzyć mnie naturze, gdyby nie świat, wśród którego żyjemy, a który mnie pojąć ani ocenić nie potrafi... nie wieleby mi brakło.

Herman nieznacznie się uśmiechnął.

— A ty? zapytał Rajmund.

— Ja, to już powinieneś wiedzieć: znasz przecię smutną historyę.

— A tak! odparł zakłopotany Rajmund: coś słyszałem w istocie.

— Miałem syna i straciłem.

— Umarł więc! wykrzyknął Rajmund.

— Nie wiem nawet czy żyje, ale cokolwiek się z nim stało, przestałem mieć syna.—Spuścił głowę.—Na starość zostałem sam, zupełnie sam, zrobić się musiałem egoistą. Życie mi się przykrzy, niepokój jakiś ogarnia. Oto masz jego skutki, kiedym szukając rodziny, aż tu do was po nią przyjechał.

— Bardzom ci wdzięczen, kochany bracie, odezwał się Rajmund. Będziemy się starali zająć cię, uprzyjemnić ci te chwile, choć zaprawdę nie wiem już, od lat tylu straciwszy cię z oczu, co lubisz...

— Ja? nic... ogień na kominie, pieniądze w kieszeni, spokój w domu, a czasem kogo pociesznego, żeby sobie podrwić z niego:

Rajmund spojrzał z podziwem i uśmiechnął się.

— Mówią — rzekł — żeś tam coś dużo zebrał, żeś bardzo bogaty. Mnie to szczęście nie spotkało, nie mo-

gę jakoś przyjść do majątku, chociaż gdybym choć jedną z mych myśli przywiódł do skatku, jestem pewien milionów... Mam jeden tartak...

— A prawda! przerwał Herman: to ty chorujesz na mechanikę.

Zaczerwienił się Rajmund urażony tém słowem; a widząc uśmiech na ustach brata, stał się zimniejszy i sztywniejszy jeszcze.

— Tak pospolicie wyrażają się ludzie, dla których wszystko to, czego nie rozumieją, jest chorobą, dziwactwem i szałem. Być zapoznanym jest dolą wszystkich pracowników na świecie; alem się tego nie spodziewał od ciebie usłyszeć.

— I jabym ci też tego nie powiedział, gdybyś choć nowe grabie lub młynek do kawy przez lat tyle wynalazł; ale podobno nie! No, to już wyznać, na chorobę zakrawa taka nieszczęśliwa passya.

Od kogo innego nie zniósłby pewnie tak chłodno objawionéj otwarcie niewiary, tembardziéj, że w domu przywykły był do pobłażania, potakiwania żony, córki i domowników, do milczenia sług i przyjaciół; ale znając brata, wstrzymał się z mającym wybuchnąć gniewem i ruszył tylko ramionami.

— To nic nie dowodzi, rzekł. Znamy wielkich wynalazców i dobroczyńców ludzkości, którzy po lat kilkadziesiąt pracowali nad wykonaniem swéj myśli. Żartuj sobie zdrów: ja mam przekonanie, że praca moja bezowocna nie będzie. Dotąd wprawdzie jakaś fatalność ciążyła nad nią, bo mi zawsze coś przeszkodziło w chwili, gdy myśl moja najbliżéj była trafienia na to jedno nic, co ma być duszą wynalazku... ale cierpliwość i wytrwałość przemogą.

Herman ruszył ramionami.

— Jakże interesa twoje?—zapytał.

— No! idą tam sobie, nie zawsze najlepiéj; bo i w tém jest fatalność. Nasz Wołyń często chybia; z ziarna jednego ciągnąc intraty, często jesteśmy bez grosza, a nie tak to jeszcze źle... Gdyby Żółtowski mnie słuchał, ja zdrowo widzę interesa; ale z tymi ludźmi...

— Przynajmniéj szczęśliwy jesteś w domowem pożyciu? spytał Herman.

Tu hrabia Rajmund spojrzał na brata z powagą wielką, poszedł ku drzwiom, aby się przekonać, że ich nikt nie słucha, i stanął naprzeciw niego odziany majestatem swojéj wielkości.

— Jestem szczęśliwy! tak!—odparł—jednak... Jesteśmy braćmi, nie powinniśmy mieć dla siebie tajemnic. Żonę mam anioła, ale anioł ten nie jest w stanie podnieść się na wyżyny, z którychby mnie pojął, dorównał mi i pomógł do dźwigania brzemienia. Najświętsza, najzacniejsza kobieta; ale umysł jéj nie był stworzony na towarzysza mojemu. Przytém szlachcianka, obyczajów poczciwych, szlacheckich, ale gminnych. Nietylko sama je zachowała, ale córkę napoiła niemi. Walczyłem z tém, przestałem: to darmo. Lola miła, piękna, ale mówi ci co myśli odrazu jak garderobiana: na to już nie ma rady. Lepszéj, zacniejszéj istoty nad żonę moją nie znajdziesz; cóż, kiedy pospolita, zatopiona w pobożności, a gdy mój geniusz potrzebuje współczucia, podtrzymania skrzydeł, ona go troską powszednią ściąga na ziemię! Jakkolwiek posłuszna mi i robi co ja chcę, ale, czy uwierzysz temu, że często mi się zdaje, jakby ją moje zajęcia, mój tryb życia nie zadawalały? Delikatna, nie dała mi tego uczuć, ale ją zgaduję.

Herman milczał; widział on jaśniéj te sprawy, ale nie miał odwagi w téj chwili i nie widział potrzeby przeciwić się bratu; uśmiechał się dwuznacznie, pocierał nogi, kiwał głową.

— A! rzekł: mieniałbym się jednak na twe życie. U mnie pustki w sercu, w domu; a choć zawsze myślałem, że człowiek sobie nadaremnie rodzi te potrzeby sercowe, że mu je wmawiają i narzucają... wiesz! na starość, brak rodziny, smutno samemu!

— Ale bo bardzobyś się jeszcze mógł ożenić! zawołał Rajmund.

Herman wstał powoli i ukłonił mu się z żartobliwą mimiką.

— Dobra rada! rzekł. Patrzajże na mnie: w nogach kołtun, kołtun na łbie, starość za pasem, zęby powoli wyjeżdżają po jednemu, lat przez grzeczność dla ciebie liczyć nie będę, nigdy wielkiéj zdolności do małżeństwa nie miałem... co ci jest! Dałżebym szczęście téj kobiecie, którąby dla przyszłych, mających się odziedziczyć groszy poszła za mnie? Tu dylemmat łatwy do rozwiązania: ta, którąby się za mnie wybrała jabym jéj nie chciał pewnie, bobym nią gardził, a któréjbym ja chciał, mnie nie przyjmie. Zakochać się w takiéj figurce trudno, dzika myśl zaprawdę, a coby mi przysło w domu z baby, którąby mi tylko myła głowę?

I począł się śmiać serdecznie.

Rajmund ruszył ramionami.

— Przyznasz jednak, że są małżeństwa w podobnych warunkach zawarte a dosyć szczęśliwe. Jedna rzecz: potrzeba tylko, aby się ktoś z dwojga poświęcił. Naturalnie kobieta: jéj saméj poświęcenie robi przyjem-

nośé; nam gdy je przyjmujemy, dobrze z niém, a więc obu stronom dzieje się zadość.

Herman śmiał się bardziéj jeszcze.

— Ale tybyś chciał spocząć, rzekł gospodarz. Nie będę ci przeszkadzał; wytchniéj po drodze... Ja pobiegnę do swojego młyna, bo miałem, a raczéj byłem blizki mienia wielkiéj myśli. Zaraz ci będę służył; zrobię tylko rachunek, ile razy obróci się to koło...

Przybyły otworzył wielkie oczy, popatrzał na brata, który mu zmykał tak żywo, i usiadł na kanapie, słowa nie mówiąc, pogrążony w myślach.

Ledwie za Rajmundem drzwi się zamknęły, gdy do nich natychmiast zapukano, i ukazał się stary Żółtowski, dawny znajomy Hermana, przychodzący mu się pokłonić. Milczący jak zawsze starowina, ukłoniwszy się raz i drugi we drzwiach, z uśmiechem przybliżył się powitać gościa, obejrzał się po pokoju i westchnął tylko.

— Siadajże mój Żółtosiu, i praw co tu u was słychać.

Żółtowski ruszył brwiami i ramionami wedle zwyczaju, znów głową potrząsnął na obie strony, westchnął raz jeszcze, zażył tabaki i milczał.

— Czy ty zawsze jeszcze taki jesteś milczący? spytał hrabia.

— Zawsze.

— Myślałem, żeś się gadać nauczył?

— O! nie.

— A to i od ciebie niewiele się dowiem; odparł gość. Brat mi mówi tak jak widzi; bratowéj nie spytam, i znowu nie nauczę się co się tu u was dzieje. Cóż? jak tam wasze interesa?

— Źle! cicho bardzo rzekł Żółtowski.

— No! ale przecię nie zdeperowane?

— Tak źle, że gdyby hrabina po cichu nie włożyła w to co miała, gdyby... ale to nie ma co mówić! — przerwał — JW. pan domyślisz się: ruina! ruina!

Herman wstał i począł chodzić po pokoju.

— Co tu kto pomoże! zawołał. Gdyby dziś miliony dać temu człowiekowi, da je zjeść próżniakom i poprzerabia na machiny... Otóż to... we dworze pięćdziesiąt dusz darmozjadów, a musi być liberya. Już tego roku za granicę tylko na różne kółka i śrubki poszło zaległych i nowych ze dwadzieścia tysięcy... Cóż pan chce?

— Choroba...

— A choroba...

— Przecięby mu żona oczy powinna otworzyć...

Żółtowski się zżymnął.

— To! to! ona! ależ ona odezwać się nie śmie. Wie ona i rozumie wszystko, płacze po kątach, i tyle tego...

Zamilkł.

— Źle! rzekł Herman.

— Źle! powtórzył Żółtowski.

Chwilę jeszcze przebąkiwali coś do siebie, ale niewiele więcéj z poczciwego starca wyciągnąć było można nad to utyskiwanie urywane. Herman odprawiwszy go, podróżną kapotę zmienił tylko na niedzielną i kazał się zaprowadzić do bratowéj.

Rajmund zeszedłszy do laboratoryum, tak zapomniał o gościu dla dwóch kół, które miał trybem połączyć, że zupełnie swobodnym go zostawił.

Mieszkanie hrabiny było od strony ogrodu, oddalone od części zajmowanéj przez męża i przytulone do zielonych drzew, w których się kryła ta część pa-

łacu. Wchodząc, zaraz czuć tu było życie, rozlewające w koło siebie ciepło i promienie,—życie, w którém jest serce i uczucie. Gdy w reszcie pałacu chłodno było, pusto i smutno, tu coś uśmiechało się weselem pokoju chrześcijańskiego, wdziękiem kobiecym.

Hrabina wybrała sobie najmniejsze pokoje, przyozdobiła je bardzo skromnie, ale mieszkała wygodnie i miło. Salonik jéj nie błyszczał niczém wytworném; zielenił się kwiatami, ściany jego zawieszone były portretami i pamiątkami lat ubiegłych.

W jedném oknie stały krosienka z poczętą robotą do kościoła, w drugiém stoliczek z otwartą książką.

W sprzętach ledwie prostota nie graniczyła z ubóztwem, tak były skromne i niewykwintne, ale daleko z niemi przecię ładniéj tu było niż w wielkich salach na dole ze staremi bronzowemi fotelami, u których i poręczy i ozdób miejscami brakło, a siąść na nich zdawało się straszno.

Jedném wejrzeniem objął Herman ogromną różnicę charakterów tych dwojga ludzi, o których głośno mówiły ich mieszkania. Tu było ciche zamiłowanie domowego życia, praca skromna, prostota, prawda, tam, po stronie hrabiego, obnażone a pańskie salony, laboratoryum, na które patrząc rumienić się było potrzeba, pustki zajęte przez gawiedź uliberyowaną a bosą, próżnującą dla tego tylko w przedpokojach, by staremu obyczajowi dogodzić.

U hrabiny był jeden tylko stary sługa jeszcze ojcowski, szlachecka dzieweczka, więcéj przyjaciółka niż garderobiana, i wyrostek sierota ze wsi wzięty. Rajmund napróżno jéj wyrzucał, że tak mało ludzi trzyma: dowodziła, że ją to męczy i zamiast posługi obarcza niewolą. Nigdy się w téj mierze zrozumieć

nie mogli. Gusta ich i w innych rzeczach były sprzeczne, ale gdy pani swoje zastosowywała do mężowskich, mąż przeciwnie na jéj upodobania wcale nie zważał lub żartował z nich nawet.

Hrabina wszystko to przyjmowała z uśmiechem, rada była, że jéj życie w tym cichym zakątku płynie prawie tak jak chciała, gdyż Rajmund zajęty swojemi wynalazkami, niewiele się wdawał w to co robiła, czasem tylko na zbytnią skromność gustów się obruszał, zapominając, że jego fantazye zmuszały często do wyrzekania się wszelkich przyjemności. W sąsiedztwie, u ludzi, którzy zawsze biorą za słowo, hrabia uchodził za potężną choć trochę niepraktyczną głowę, pani sama za pospolitą kobietę, niedaleko widzącą, prostą sobie szlachcianeczkę.

Mówiono o niéj z uszanowaniem, gdyż życie czyste i święte do niego zmuszało, ale powszechny sąd za niższą ją umysłowo od hrabiego uznawał, gdyż w rzeczy wcale było przeciwnie. Ale Marya nie przechwalała się z sobą, owszem przyczyniła się do jak najkorzystniejszego wystawienia męża, który był karykaturą monomana, osłaniała i kryła jego śmieszności.

Bystre oko Hermana, który tak jak na nowo rodzinę swą poznawał, od razu tu przejrzało jasno: uczuł większy pociąg do bratowéj niż do brata, i z lepszym humorem przestąpił próg jéj cichego zakątka.

— Otoż tu—rzekł siadając—przynajmniéj nie czuć pustki, którą się ja brzydzę, bo jéj dość mam u siebie... Na dole aż straszno! tak jak u mnie! Tu drzwi się zamykają, okna jasne, chędogo, miło, zielono.

— To mój kąteczek mały i skromny, odpowiedziała hrabina. Jam przywykła do małego i ubogiego: tak mi z tém dobrze! Mój mąż poczciwy radby mnie

przepychem otoczył, ledwie mu się obronić mogę, jam prosta szlachcianka, i taką pozostałam dziś jeszcze. Jakoś mi ze starem sprzętem swobodniéj i w skromniejszém mieszkaniu lepiéj.

— A, to też tu i każdemu wygodniéj i lepiéj! odparł Herman: tam już pachnie ruiną.

— Tak ci się bracie zdało na pierwszy rzut oka. Są pamiątki, których się tknąć nie godzi... trochę zmieszana odparła bratowa—tam przecie wspanialéj... Ale ja proste mam upodobania, i może trochę dziwaczę, że nie umiem gustu poczciwego Rajmunda podzielać. Nałóg!

— A! wpani go jeszcze tłómaczysz!

— Ale proszę cię, on tego potrzebuje: możnaźby go o cokolwiek obwiniać?

— Zapewne—rzekł Herman—nic w tém złego nie ma, ale niedorzeczności dużo, a w życiu rodzą się z nich potém przykre następstwa.

Hrabina spuściła oczy.

— Nie mówmy o tém, pani bratowo.

— Tak, nie mówmy, przerwała żywo hrabina, starając się pokryć pomieszanie. Widzę z radością—dodała—że brat zdrów, i kiedy do nas przybyłeś, więc swobodny i dobréj myśli.

— Jam zawsze jeden—rzekł Herman—jak mnie dawniéj trochę znaliście: stary, nudny egoista, nic więcéj. Sam nie wiem, jakie uczucie mnie do was przygnało, może nudy. Chciałem zobaczyć, jak też wy we dwojgu żyjecie, kiedy mnie samemu tak ciężko.

— O! nam tu bardzo dobrze!

Ale jakaś łezka niedojrzana zakręciła się jéj w oku.

— Tak, ale to we dwoje tak wygląda, jakbyście po jednemu żyli: ty tu, on gdzieindziéj.

— Schodzimy się przecię, widujemy.

— I jest węzeł co was łączy, Lola — westchnął hrabia.

Milczenie na chwilę przerwało rozmowę, hrabina obawiała się wspomnieć mu o synu.

— O! Lolą to się pochwalić mogę, żywo dodała po chwili: dziecię miłe, kochane, śliczne, ideał dzieweczki. Zobaczysz ją, poznasz: roztropna, żywa, pracowita.

— Ale to córka; uleci to wam z domu jak ptaszę, rzekł Herman.

— I synby także nie siedział! odpowiedziała Marya.

— Tak! syn... odezwał się chmurno hrabia—syn, to jeszcze gorzéj!

I znowu umilkli.

Wtém wbiegła Lola, świeża a piękna młodością, weselem i szczęściem swojém, wpadając zaraz na starego stryjaszka, któremu zaczęła się przypatrywać z ciekawością nieskrywaną.

On także nie taił, że go zajmuje to dziecię, dalekim jakimś węzłem z nim połączone. Piękna blondyna zaczęła się niby krzątać około krosien, potém skoczyła uściskać matkę, potém zatrzymała się przed gościem i zaszczebiotała śmiejąc się, aż oboje starzy umilkli, bo im ten srebrny wesoły głosik mile brzmiał w uszach, i zamyślili się jakoś, może nad przyszłością, któréj nikt tém młodém weselem nie wyszczebiotał.

Stary nawet Herman uśmiechnął się, matka rozjaśniła, bo trzpiotowatość dziecięcia Loli była zaraźliwą, jedna z tych co za serce biorą, i trzeba chyba niedob-

rego człowieka, żeby od nich zazdrościwie posmutniał.

W tém drzwi się otworzyły, i sztywny gospodarz wszedł w nowym surducie, u którego klapki nawet jakaś orderowa uwiązana była wstążeczka,' w białym krawacie, w lakierowanych butach. Ukazanie się jego jak mrozem przejęło wszystkich, zamilkli, posmutnieli, i Lola nawet szczebiotać dłużéj przy nim nie śmiała.

Taki był ten człowiek, nie zupełnie zły, ale sucho samolubny; wrażenie, jakie uczynił na ludziach, zimnem się objawiało i trwogą: było to przeczucie, że i z siebie dla niego przyjdzie zrobić ofiarę.

Tym razem hrabia słodszym niż zwykle okazał się na przybycie brata, przynajmniéj miał do tego ochotę, chciał mu okazać swe szczęście domowe, i wystawiał je w świetle, w jakiém nigdy nie było. Czule przybliżył się do żony, troskliwie do córki, ale na obu ich twarzach odmalowało się zakłopotanie i zdziwienie. On też w téj roli nie swojéj długo nie wytrzymał, i począł zaraz prawić o sobie i swych wielkich projektach.

— A! rzekł nareszcie: zdaje mi się, że dziś, jutro, będę u celu. Jeszcze mi czegoś małego brakuje, a spodziewam się wynaleźć siłę, któréj nic nie wyczerpie.

— Cóż, *perpetuum mobile*? rzekł śmiejąc się Herman.

— Wszystko jest śmieszne dla ludzi, co nic zrozumieć nie chcą, odparł hrabia Rajmund, prostując się poważnie. Więc najprzód powiadam: że kiedy umysł ludzki uparcie czego całemi wiekami szuka, tak bardzo błądzić nie może; już to dowód, że rzecz

możliwa, że nawet konieczna, gdy przez wieki myśl do niéj kołacze nieustannie, niestrwożona ani szyderstwy, ani zawodami. Ja jestem pewien, że trafiłem na dobrą drogę, o jedno tylko chodzi: o zniesienie tarcia. To tarcie wszystko psuje, siłę pożera i unieważnia, a jest rzeczą niezrozumiałą, więcéj powiem, nielogiczną. Bo gdzież się ta siła podziewa, która przepada przez tarcie? musi gdzieś iść? Gdyby ją więc pochwycić tylko, zwrócić do źródła, ot i cała tajemnica, któréj ja dojść muszę. Często cała kwestya zależy na tém, aby ją jasno postawić.

Herman ruszył ramionami, Marya spuściła oczy, Lola szukała czegoś na krosienkach.

— Pan brat rozumiesz cokolwiek mechaniki? spytał Rajmund.

— Tak mało, że jak nic.

— Szkoda, pokazałbym w panu niektóre ciekawe moje wynalazki pomysły. Wzory posyłałem nawet do paryzkiéj Akademii Nauk, ale to gromada zazdrośników, nigdy mi nawet nie odpowiedzieli, choć posądzam, że tam jedną myśl mi ukradli. Zawsze taż sama historya: *sic vos non vobis...* — Westchnął.

Wtém kamerdyner w białych choć dziurawych rękawiczkach, z serwetą nieco podartą na ręku, wszedł oznajmić, że dano do stołu. A że nakryto w sali jadalnéj czyli portretowéj na dole, musiano zejść do niéj przez dosyć niewygodne korytarze.

Sala ta opuszczona jak inne, z podłogą nakształt posadzki Św. Marka powychylaną i nierówną, z porysowanemi ścianami, dość była, szczerze powiedziawszy, brudna, choć wielce pompatyczna.

Ściany zajmowały portrety przodków, zawieszone krzywo i nieforemnie.

Stół w pośrodku zastawiony, był jak na codzień noże trochę staranniéj, z wazą srebrną w pośrodku, koszem kwiatów i kandelabrami, ale w solniczkach rakło soli, w widelcach niektórych zębów, noże były tarte do szczętu ostrzeniem na cegle, a serwety latowały od zamążpójścia gospodyni. Na półmiskach rebrnych podano obiad zimny, niesmaczny, i w bardzo szczupłych rozmiarach. Żółtowski, który z pań, twem siadał do stołu, i panna Hersylia rezydentka-laleka jakaś kuzynka pani, często przez grzeczność wzajem sobie ostatniego ustępując kawałka, nie jedli wcale.

Mówiono mało, jedzono niewiele, bo Rajmund zimną swą powierzchownością odejmował mowę i apetyt. Liberya w wielkim komplecie otaczała stół, na który Herman, jakkolwiek do bardzo skromnego życia przywykły, poglądał ze smutkiem i podziwieniem. Pomimo srebra i wystawy, upadek domu i tu był bardzo widoczny.

Na kawę wszyscy przeszli do smutnego wielkiego salonu, na którego meblach i ścianach długie nudy wisieć się zdawały razem z pajęczynami. Panna Hersylia uciekła zaraz, Żółtowski nie czekał swojéj filiżanki, i rodzina została sam na sam. Po chwilce i Lola, otwarłszy drzwi do ogrodu, wymknęła się przez nie.

Gospodarz przechadzał się niespokojny; trzeba bowiem wiedzieć, że po obiedzie jaśniejsze miewał myśli, skutkiem zapewne jakiegoś fenomenu dygestyjnego i zwykł był udawać się zaraz do laboratoryum, a nie śmiał tak brata porzucić.

Kręcił się trochę usiłując pozostać, ale po chwili nie mógł przemódz nałogu, przeprosił Hermana, szepnął kilka słów żonie, zawrócił się i wyszedł. Gdy się

drzwi za nim zamknęły, Herman ramionami ruszył, bratowa udała, że nie widzi. Chwilę milczeli.

— Musisz się, kochana bratowo — rzekł po przestanku Herman—domyślać, że ja tu darmo nie przybyłem do was, po tylu latach niewidzenia. Jestem otwarty i szczery, nie lubię komplementów, i nie mówię ich nigdy: powiem ci od razu, że się nie mylisz. Miałem powód do téj podróży. Człek starzeje, upada, nie wie co go czeka; im starszy, tém robi się nudniejszy dla drugich i samemu ciężéj na świecie. Szczególniéj od niejakiego czasu źle mi bardzo. Pomyślałem, że trzebaby rozruszać machinę, podkurować się. Doktor mi radzi morskie kąpiele; pojadę do Odessy, może i do Krymu: mówią, że to ładny kraj. Ale znowu tyle znam życie i siebie, że wiem, jak to niebezpiecznie, sił mając mało, starać się o zdrowie, wychodząc ze swoich obyczajów. Albo starosta, albo kapucyn: mogę powrócić zdrowszy, a mogę tam gdzie i zostać. Nie chciałbym po sobie ludziom kłopotu zostawiać. Słyszałaś pewnie, wiesz, że miałem dziecię. Zdarzyło mi się, co się nikomu nie trafia, że nie śmierć mi je porwała, nie Bóg, ale ludzie. Nieszczęście dla mnie, głupstwo dla tego biedaka. Dziś sam nie wiem czy mam syna....

Wtém spostrzegłszy na twarzy hrabiny pomieszanie, wywołane głosem, jakim to mówił, przerwał nagle.

— Powiem ci krótko: zrobiłem testament, chcę go w twoich rękach zostawić.

— W moich?

— Tak jest. Widzisz sama, że bratu nie mogę, boby w papier jakąś machinkę obwinął, gdyby mu pilno było...

— A! i ty się z niego śmiejesz! rzekła hrabina z wyrzutem.

— Nie, ja się lituję nad nim, choć to ta bieda mieści z sobą razem i pociechę: nikt się tak nie bawi jak monomani tego rodzaju. Ale niemniéj to choroba...

— Mój bracie, przerwała Marya: zawsze to wyższy umysł oznacza...

— Jeśli nie zdziecinnienie umysłu... odparł nieubłagany Herman. Darmo go uniewinniać. Kiedy człowiek byt swój, żony i dziecka takim głupim fantazyom poświęca, trudno w bawełnę obwijać jego fiksacyę...

— Jesteś uprzedzony! żywo zawołała hrabina — a dla mnie to boleśnie słyszeć. Ludzie sądzą z daleka niesłusznie. Nie ma troskliwszego męża, lepszego ojca, czulszego nadeń człowieka; ale to człek cięźkiéj pracy i głębokiéj myśli, w drobnostki wchodzić nie może, nie ma na to czasu. Jeśliśmy trochę na interesach podupadli, to wina tylko mojéj nieudolności, bracie, mojéj nieumiejętności zajęcia się tém, mego dzieciństwa...

Herman ruszył ramionami.

— Ale to tak jest! powtórzyła Marya gorąco.

— Czyżby ci się czém zająć pozwolił?

— On! mnie! ale to najlepszy, najpowolniejszy z ludzi.

— No, niech będzie najlepszy i najpowolniejszy, rzekł Herman; ja, choć go kilkanaście lat nie widziałem, znam dobrze. Wracam do mojego. Przywiozłem ci testament i w twoje złożę go ręce; sam pojadę spokojny do Krymu: oto cały mój interes.

Myśl ścigania syna; do któréj przyznać się nie chciał, przyszła mu nagle; żywo ją wziął do serca,

okrył tylko pozorem choroby, a choć się taił sam prawie przed sobą, jakaś nadzieja znalezienia utraconego dziecięcia podtrzymywała go trochę.

— Jadę do domu, dodał. Muszę się wybierać w podróż; a to dla takiego jak ja piecucha niemała rzecz... potém ruszać w świat, ludzi śmieszyć.

Tak się skończyła pierwsza rozmowa Hermana z bratową; a że zwyczaj był rozchodzenia się po obiedzie, i gość też pożegnawszy panie, odszedł do swego pokoju. Schodzono się dopiero na herbatę; ale że czasu do wieczoru nie miał czem zająć hrabia i nudził się wyszedłszy ze swych obyczajów, wziął wkrótce laskę i ruszył przez ogród do mieszkania Żółtowskiego, z którym chciał jeszcze pomówić o interesach brata.

Stary Żółtowski mieszkał w domku ogrodowym, który przed laty dla jakiegoś paradnego ogrodnika był postawiony, a dziś wcale nieparadnemu rządcy wystarczał. Miał w nim parę izdebek, kancellaryę naprzeciwko, a że nadzwyczaj mało potrzebował, w téj zieleni i ciszy ogrodowéj wcale mu było dobrze; nałóg zresztą przywiązał go do téj skromnéj chaty.

Powiedzieliśmy już kilka słów o starym rządcy, który dla pani swéj kochanéj musiał męki znosić z hrabią, panem absolutnym, posądzającym, niekryjącym się z tém, że w rozum jego nie wierzy, a nawet poczciwość podejrzewa. Dla niéj to Żółtowski i pracę, i mienie uciułane poczciwie, rzucił w tę otchłań nieładu po cichu, lekceważony, poniewierany, dźwigając ciężar nad siły, aby ulżyć choć trochę biednéj kobiecie.

Domek w którym mieszkał, tak był ubożuchny jak on; a że go się pański ogród wstydził, schowany był

w klomby i krzaki.' Herman, który z czasów młodości pamiętał Zarubińce, łatwo wydeptaną przez trawniki ścieżynką trafił do niego.

Faworyt pudel Iżet, przezwany tak od cyfry Żółtowskiego, staruszek już podżyły, ale którego władze wiek niebardzo osłabił, roztropne i wierne zwierzę, którego posłannictwem było nosić latarkę w zębach, gdy Żółtowski nocą do domku powracał, a klucze na rzemyku we dnie; chłopak młody ze wsi, którego Żółtowski psuł i coraz brał innego na próbę, nie chcąc się przekonać, że metoda jakiéj używał do wychowania sługi, wcale nie była dobra: składali cały dwór rządcy. Na dzień do pracy przychodził do kancellaryi pisarz, młody człowiek, który po stolikach imię swéj ulubionéj kreślił, nie mając wielkich rzeczy do roboty.

Żółtowski pracowity nie bardzo go potrzebował, sam robiąc za wszystkich, w papierach grzebiąc się nieustannie. Pomocnik, prawdę rzekłszy, więcéj mu przeszkadzał niż pomagał.

Ale darmo nadrabiał głową, bo z tych interesów hrabiego Rajmunda nic dobrego zrobić nie było można, chyba podstępem i mimo samego pana. Wysilali się często z hrabiną na to, żeby coś korzystniejszego dla przyszłości, dla majątku wymyślić; ale fantazye pana, jego upór, mieszały im wszystkie szyki. Hrabinie jawnie nie wolno było się w nic wtrącać, Żółtowskiemu nic swoją głową robić; ratowali go tylko kradzionym sposobem. Z dzieckiem inaczéj postępować nie było można.

Troskliwy o swoje mienie, przywykły go bronić otwarcie, Herman nie bez myśli szedł do Żółtowskie-

go, chcąc się czegoś więcéj nad to, czego się domyślał, dowiedzieć o majątkowém położeniu brata.

Zastał Żółtowskiego odpoczywającego w starym wysiedzianym fotelu, u kominka z książką w ręku.

Pokoik był biedny, ale schludny, i wygodniejszy może od pałacowych. Było w nim troszkę życia, coś co człowieka z uczuciem oznajmowało, choć zobojętniałego dla świata. Na oknie para wazonów, na stoliku kilka książek, na ścianie z porwanemi strunami gitara z lepszych czasów, kilka sztychów, na które był przywykł patrzeć.

A ciepło było, zacisznie i słowik w bzach przyśpiewywał pod oknem. Zerwał się Żółtowski, tak dostojnego obaczywszy gościa, rzucił książkę, ustąpił fotelu u komina, a małomówny zawsze, począł się tylko krzątać, by jak najlepiéj przyjąć Hermana. Chłopaka jak zwykle nie było; Iżet tylko stał we drzwiach, patrząc na skłopotanie pana i nieznaną sobie postać, ku któréj nie wiedział czy się łasić, czy mruczeć.

Trzeba zaś wiedzieć, że choć Żółtowski z dawien dawna znał Hermana, choć z daleka dziwy mu o nim prawiono, z nienajlepszéj wystawując go strony, — miał przecię dla niego szacunek wielki z powodu fortuny, jaką zrobił, i rozumu, którego w utrzymaniu majątku dał dowody. Dla Żółtowskiego, który nieustannie z kłopotami pieniężnemi miał do czynienia, wielkim wydawał się ten człowiek, mający taką do interesów głowę, że go nikt jeszcze nigdy nie oszukał, a z krociów dorobił się milionów.

— No! i ty tu sobie eremitą, eremitą, mój Żółtosiu! rzekł siadając w jego fotelu bez ceremonii hrabia. Ale ci tu w pustelni téj dobrze, cicho, miło, a ja myślę, że dużo do roboty nie masz?

Żółtowski zawsze w strachu, żeby się z czém nie wygadać—gdyż niczego tak się nie obawiał, jak języka i paplarstwa, — zaczął rękami i ramionami gestykulować swoim obyczajem, na okazanie, że wcale miało się inaczéj.

— Ale cóż ty robisz, kiedy tu widzę u was wszystko po staremu, i po staremu golizna?

— A co golizna, to golizna! westchnął Żółtowski lakonicznie—i ztąd właśnie robota.

— Otóż, że mi téj waszéj hrabiny zal, powiedz-no mi, jak stoicie?

Żółtowski zaciął usta.

— Mam mówić? rzekł.

— A juściż nie wątpisz, że wam dobrze życzę, żem dla was bratem.

— Ale sekret stanu.

— Dla mnie?

— A co się dzieje w szkole...? spytał urywając po swojemu Żółtowski—nauka... całe życie.

— Żebyś ty jak chciał trzymać język za zebami, dodał Herman—nie trudno się tu domyślić, żeście w złych sosach.

Stary oczy spuścił tylko.

— O brata, to ci się przyznam, nie tak mi idzie, kończył przybyły: sam nawarzył, niech pije.

— Nigdy nie pije kto nawarzył—przerwał gospodarz—to wiadomo; warzą to zawsze dla drugich.

— A no! to prawda.

— Ale to dobre panisko, poprawił się Żółtowski.

— E! bo figlujesz stary ze mną! pogroził Herman. To na nic: gadaj jak jest.

Żółtowski zażył tabaki.

— Hrabina to kobieta! zawołał na pozór bez związku, unikając jaśniejszego tłómaczenia.

— Dalejże, daléj; to i ja wiem. Czy juz i jéj posagowe summy wsiąkły w tę gąbkę mechaniczną?

Żółtowski ruszył ramionami.

— Daleko tam jeszcze pociągniecie?

Stary podniósł oczy ku niebu i ruszył ramionami znowu, jakby chciał wyrazić, że nie wie co Opatrzność gotuje.

— Źle! hę? no, gadajże!

— A no, to niedobrze! niedobrze! wybuchnął Żółtowski. Już ostatkami gonimy.

— Cóż będzie daléj?

— Sprzedadzą.

— Hm! rzekł Herman: może to i lepiéj. Nie będzie marnował, a przekona się raz, że mu we łbie całe życie świtało.

Żółtowski roześmiał się i zaczął ogromnie machać rękami, bojąc się odezwać i objawić co myśli; ręce można sobie było jak chcąc tłómaczyć.

Nareszcie jakby zmuszony, rzekł prędko:

— E! tacy ludzie nigdy się nie przekonywają. Wina spadnie zawsze na mnie, com go słuchał, na żonę, na los, na Pana Boga, ale nigdy na niego.

— I w tém masz słuszność, Żółtowski; ale trzebaby pomyśleć, aby niewinnych od biedy ocalić. Zostanież tam co, gdyby im Zarubińce sprzedano?

— A! jużciż—odparł Żółtowski—zapewniony jest posag pani choć niecały, i ona taki ma swoją wioskę. Ocaliła to od długów nie wiem jak; hrabia rusza ramionami na nieufność, gniewa się, ale nic nie mówi. Okroi się coś, okroi i nam, ale nietyle ile po-

trzeba, by żyć naszym obyczajem, bo my lubimy po pańsku.

Zapędził się Żółtowski nad wszelkie swoje spodziewanie daleko, i przeląkł się ogromnie, gdy w téj chwili ktoś stuknął w szybę. Stary pobladł ze strachu.

W oknie od ogrodu ukazała się twarz, która zdawała się szukać ciekawemi oczyma gospodarza domu.

Herman spojrzał ciekawie; Żółtowski stał drżąc jak winowajca; przybysz ciągle w szybę stukał, a głos z za okna dał się słyszeć:

— Panie Janie! przyjmujesz?

— Odpowiedzże mu! zawołał hrabia. Kto to taki?

— E! to... to... rzekł skłopotany rządca—to sąsiad nasz, ale dziwak...

— Sąsiad? który?

— Sąsiad! krótko z niecierpliwością odezwał się Żółtowski, posuwając ku drzwiom — dziwak, ale poczciwe człeczysko. Ja go zaraz odprawię.

Ruszył ku drzwiom, ale Herman złapał go za rękę.

— Jeżeli dziwak, to chwała Bogu! rzekł — na co go masz odprawiać? Z dziwakami tylko żyć, bo pospolitych ludzi jest aż do zbytku; tego kleiku mamy codzień do sytu. To przynajmniéj nieco pieprzna potrawa. Dawaj mi go tu, nie odprawiaj.

— Ale, proszę hrabiego...

— Nie ma „ale," dawaj go tu; przynajmniéj się rozruszam: ja lubię dziwaków.

Jeszcze się targowali, gdy drzwi się otworzyły i ów zapowiedziany oryginał najprzód głowę przez nie wsunął, aby obejrzeć co się tam dzieje.

A głowa to była, którą Michał Anioł mógł za wzór wziąć sobie: wyrazista, energiczna, niepiękna, ale z takim stylem i majestatem przez naturę wy-

rzeźbiona, że gdyś na nią spojrzał, oczu od niéj oderwać nie mogłeś. Panowało jéj czoło wysokie, pogarbione, połamane sterczącemi z pod skóry kośćmi i guzami, narysowane twardo, jakby natura ostatniéj do niego nie przyłożyła ręki i rzuciła w świat zaledwie poczętą robotę. Po nad oczyma czarnemi, łuki brwi jak dwa sklepienia cień rzucały na te dwa duszy okienka; nos rzymski kantowaty, spuścisty, przypominał typy starych medalów cezarów; usta były małe, ale pełne charakteru. Po nad czaszką włos gęsty i obfity w nieładzie, w puklach ciemnych posrebrzanych rozrzucony, wyglądał jak las po burzy, z połamanemi gałęźmi i powyginanemi drzew ławami.

Ogół fizyognomii téj energiczny, znamionował wytrwałość i spokój, i dawał na raz pojęcie człowieka, którego świat i ludzie tyle nie obchodzili, by się chciał do nich stosować; który nosił w sobie dość zapewne życia i siły, by ich nie potrzebować od nikogo, nie troszczyć się i o to co wkoło szemrano.

Żółtowski ujrzawszy tę głowę zrobił minę zafrasowaną, która się przybyłemu wytłómaczyła, gdy ujrzał obok siedzącego Hermana, ale go obca postać nie zmieszała wcale.

— Przyjmujesz czy nie, stary? spytał gość. No, gadaj! bo sobie pójdę. Zwykłą sobie odbywając przechadzkę, zaszedłem do waszeci, a jeśli nie masz czasu, idę daléj.

— Ja nie przeszkadzam, przerwał odwracając się Herman; nie mamy interesu. A że Żółtowski języka w gębie, zobaczywszy pana, zapomniał, temu, spodziewam się, dziwować się nie będziesz.

Żółtowski rękami machał i śmiał się.

Drzwi otworzyły się całkowicie, i wszedł barezy-

sty, słuszny mężczyzna, w siwéj, krojem sukmanki zrobionéj kapocie, z kijem w ręku. Był to człowiek uderzającéj piękności postawy, lat średnich, ale zdrów, silny i wielce poważny. Głowa, którąśmy wprzód widzieli, doskonale harmonizowała z resztą osoby, mimo ubioru bardzo prostego, wspaniałéj wyrazem siły i spokoju.

Żółtowski choć niebardzo chętnie, musiał go prezentować.

— Mój przyjaciel, nasz sąsiad: Otto Marzycki... Hrabia Herman.

— Otto Marzycki! zawołał hrabia.

— Hermanek! wyrwało się z ust przybyłemu.

Popatrzali na siebie, lekkim pozdrawiając się ukłonem.

— Ale my się dobrze i dawno znamy! przerwał Herman,—jeżeli to za znajomość liczyć można, żeśmy do szkół chodzili razem, w trzech klassach wspólnie zbijali bąki, i choć w ciągłéj kłótni, w ciągłych byliśmy stosunkach. O! o! ależ to lat temu... chyba nie liczmy! Co się to z nami zrobiło? Inni dziś ludzie, tylko stary szyld, nazwisko zostało toż samo.

Otto szeroką dłoń wyciągnął ku hrabiemu.

— A to dla mnie ciekawe spotkanie! Imię brzmi po staremu, człek nowy. Zostałoż w was tam co starego kolegi?

— Złe wszystko, co do odrobiny, jak smoła przywrzało i nie puszcza; jeśli było co dobrego, nie wiem czy dziś już znajdziesz.

— Patrzcie! rzekł siadając Otto: ktoby był powiedział, że się zetkniemy znowu! Jam się o was dowiadywał nieraz: mówili mi, że żyjesz jak pustelnik, żeś się ogromnéj dorobił fortuny z grzybów poleskich.

— No, a ty Ottonie? bo po staremu mówmy do siebie...

— Ani myślę inaczéj! No jam także pustelnik, tylko ubogi, ale mi z tém dobrze.

— Ja zawsze powtarzam: każdy ma to, czego chce.

— I masz słuszność, nawet kiedy tego chce, czego żądać nie powinien. Miło mi was spotkać!

Podali sobie dłonie raz jeszcze; hrabia westchnął.

— Niedaleko ztąd mieszkasz? spytał.

— Tuż za górą, domek w sadzie i chat kilka: wioszczyna po ojcu. Nicem się nie dorobił, nic nie straciłem też.

— Żonaty jesteś? nie?

— Nie! Bóg nie chciał!

— A ty?

— Ja chciałem, ale mi ją wydarła śmierć, a mogile poślubiwszy wiarę, dotrzymuję jéj. A ty?

— Jam żonę stracił.

— Masz dzieci?

— Nikogo! odparł chmurno hrabia.

Zamilkli znowu.

— Dziwnie! dziwnie! rzekł Otto:—na jednéj ławie siedzieliśmy kolegami, dziś jeden prawie los dzielimy, obaj starzy, pustelnicy, samotni, skołatani; tylko jeden wlecze za sobą złoty łańcuch majątku, a drugi jak ptak—swobodny.

Spojrzał z góry na hrabiego, który w istocie przy nim się smutno i biednie wydawał, takim pokojem i swobodą jaśniała energiczna twarz Ottona.

— Nie jestże to sen dziwny, po latach tylu z chłopaków starymi się spotkać na drugim życia końcu, przynosząc z sobą wspomnienia dzieciństwa?

Żółtowski przytomny rozmowie, rad, że mu już mówić nie było potrzeba, stał i patrzał uśmiechając się.

Dwaj dawni koledzy z ciekawością zbliżali się ku sobie.

— Czy życie ci dotrzymało, co obiecywało? zapytał otwarcie Otto—rad jesteś z niego i z siebie?

— Ja życie miałem zawsze za jakieś zagadkowe szyderstwo; nie myliłem się: ciąży mi.

— W tém się różnimy: nie powiem, bym się do niego przywiązał, ale się z niém godzę zupełnie. Nie takie jest, jakiém je marzyły głowy młode, ale takie, jak wiek dojrzalszy zbudował.

— Sam jeden jesteś? spytał hrabia.

— Jeśli o rodzinę pytasz—sam; jeśli o przyjaciół—nie tak bardzo. Człowiek stworzony jest do ludzi; w odosobnieniu zupełném się psuje.

— Cóż robisz?

— Żyję, a życie urządziłem sobie wybornie. Chleb mam; spokój, o ile go świat dać może i rozum wyrobić... słabostkę wreszcie, którą żyję, bo na coś chorować potrzeba... Twój brat, hrabio, ma, jak wiesz, kosztowną febrę machin i inwencyj; ja także po ludzku choruję, tylko nie na tak drogą i uciążliwą słabość jak tamta. Według stawu grobla. Przypomnisz sobie zapewne, że w szkołach grywałem sobie na fleciku; pamiętasz może ów czarny, hebanowy, ze słoniową kością, który nieustannie miałem w kieszeni? Było w nim nasionko przyszłéj choroby. Późniéj zacząłem się uczyć na skrzypcach, na wiolonczelli, na fortepianie, potem muzyki w ogóle, potem stałem się nie wiedzieć jak — *fanatico per la musica!*

— A! a! zawołał szydersko hrabia: i jeździłeś za-

pewne po Europie, dając koncerta, zbierając laury, kleiłeś w pugilaresie drukowane pochwały dziennikarzy, opłacane śniadaniami, *pro aeterna rei memoria!* Winszuję!

Otto aż się porwał.

— Hrabio! dajże mi pokój! Wziąłeś mnie, widzę, sądząc z czupryny, za długowłosego kuglarza, który nie na to jest muzykiem, aby siebie poił melodyą, ale żeby nią drugich durzył. Nie cierpię popisów, nienawidzę szarlatanów, nie lubię fanfaronady w niczem. Muzykę jak kochankę mam dla siebie: nie wożę się z nią wcale po świecie.

— Przepraszam cię, alem myślał...

— Wiem, mogłeś myśleć, że i ja chciałem z niéj kręcić ów bicz z piasku, który się innym tak dobrze udaje. Ale tamci nie są muzycy: są spekulatorowie, którzy tak samoby jeździli po świecie z olejkami, z pomadą, menażeryą lub kosmoramą. Talent u nich być może, ale pojęcia, poszanowania sztuki nie ma; bo prawdziwy artysta woli mrzec z głodu, niż świętością frymarczyć.

— Masz słuszność, ale wszyscy oni...

— Nie wszyscy! przerwał Otto. Są tacy, którzy wolą na życie zarabiać nauką, po cichu, którzy w ostateczności chyba, z rumieńcem na czole, słyszeć się dają, gdy ich głód lub natręctwo zmusi do tego; są tacy, co czcząc muzykę, kochając ją, kryją się z nią jak ze skarbem... i to są tylko prawdziwi artyści! Jeżeli przepełni ich uczucie, które wylać potrzebują, nie patrzą jak i przed kim, byle sympatyczne ucho i duszę znaleźli, nie targują się o cenę biletów. Grają tak drzewom i lasom i prostemu chłopkowi, jakby ich królowie słuchali. To są artyści tylko; a ci, o których myś-

lałeś, rzemieślnicy muzyczni, kupczący w kościele, technicy i wirtuozy, sprzedający uczucie, którego nie mają, jak fabrykowane assygnaty.

— A no! bardzo się cieszę, że nie jesteś jednym z tysiąca tych, którzy zalewają Europę, dobijając sztukę.

— Tak! tak! kończył Otto: mogłeś myśleć po tylu latach, że i ja ze świętości zrobiłem frymark jak inni; ale chleb mam, a muzyka jest dla mnie skarbem, który za tak drogi uważam, że nie mogę nim handlować.

— A cóż na wsi robisz z muzyką?

— To, co słowiki w krzakach: gram sobie. A że sam jeden wystarczyć nie mogę, zwykle dom mam pełen młodych wypustków muzykalnych, którzy się około mnie snują, dylettantów i ubogich biedaków, co nie grając, nie wygrali. Tak życie płynie mi strumieniem dźwięków i brzęków, aby daléj: do żałobnego marszu Chopin'a. Hrabia zbierasz pieniądze, ja nóty; spodziewam się, żeśmy równo szczęśliwi.

Hrabia ruszył ramionami.

— Dość, że do szczęścia, choćby bardzo umiarkowanéj dozy, na ziemi—dodał—potrzeba zawsze jakiego bzika lub choroby; a kto się starał utrzymać zdrowym na umyśle i ciele, i odarł życie umyślnie z tych fraszek, nigdy nie dosięgnie nawet cienia szczęścia. Aby być trochę szczęśliwym, potrzeba być i śmiesznym, i nieco szalonym.

— Niezawodnie — rzekł Otto — tak jest: trzeba w coś wierzyć i coś kochać. Chlebem razowym powszedniego życia nikt się nie przekarmi; a to, co ty nazywasz bzikiem, jest poprostu wyjściem ze szranków życia codziennego, wychyleniem się w kraj ma-

rzeń i ideałów; tylko że jedni, jak ja, szukają ich w czystéj krainie snów melodyjnych, inni po ziemskich ścieżynach, na oko pnących się ku niebiosom—i niknących w chmurach.

— I nie ma szczęścia bez trochy bałamuctwa?

— Bo szczęście to nadzieja i marzenie — rzekł Otto — trzeba o tém z góry wiedzieć... nigdy rzeczywistość. Im sobie kto wyżéj je postawił, tém mu lepiéj, bo go nigdy nie dosięgnie i wiecznie wspinać się, marzyć i spodziewać będzie.

Dwaj starzy towarzysze wymieniwszy te słowa, usiedli jeszcze bliżéj siebie.

— Z bratem moim znąsz się, spodziewam? spytał Herman.

— Mało bardzo, jak nic; on dla mnie za wielki pan, bo i na to choruje trochę, i zdaje mu się, że może wyżéj głowę nosić dla tego, że idzie od staréj porcelany, gdy my się wiedziemy z nowego fajansu.

— Ale szanujże mi brata i nie śmiéj się z niego! sam śmiejąc się rzekł Herman.

— A, to nic! Najzacniejszy człowiek! ale gdyby ze mną żył, zdałoby mu się, że mi wielką robi łaskę, przyjmując ubogiego szlachetkę, a w istocie jabym się z nim nudził, nie wiedzieć dla czego. Ja wolę starego Żółtowskiego, i kwita.

— No, to i ja wolę starego pana Jana — odparł hrabia — choć i Żółtowskiemu brak piątéj klepki... rzekł uśmiechając się. Wyobraź sobie starego tego tchórza, który się boi gadać, i całe swe mienie po cichu wpakował w fantazye pana na to, by od niego cierpieć przymówki! A gdyby pan hrabia wszystko stracił i w dodatku winę ruiny zwalił na grzbiet plenipotenta, chlebaby kawałka nie miał na starość!

Żółtowski ręką machnął z góry na dół.

— Już gdyby to nieszczęście hrabiego spotkać miało—rzekł nagle—jabym go nie przeżył. Stary, nikogo nie mam; co mi tam!

— Truteń jesteś, powiadam ci — przerwał hrabia. Jedno szczęście twoje, że i ja mam bzika, który ci może posłużyć; lubię ludzi, co mają jakąś wadę lub śmieszność dobrze wydatną. Im grubsza narośl, tém lepiéj. Kocham Lacynę, że się upija w nocy, w dzień umizga i myśli, że mnie okpiwa; kocham Radwanowicza, prawiącego jak na mękach; kocham mego Pawła, który mnie łaje i fuka. Otoż do téj kollekcyi oryginałów, jakby Żółtowski nie miał się gdzie podziać, zapraszam do siebie: dalipan nieźle ci będzie.

Stary pan Jan obiema na to machnął rękoma, otarł łzę i poszedł do okna; Marzycki śmiać się począł.

— A no—rzekł—do tego twojego zbioru to i ja się kwalifikuję.

— Nie, bo muzyki nie lubię! rzekł hrabia.

— Jak to! ty muzyki nie lubisz?

— Nie cierpię!

— Więc można nie czuć! nie lubić muzyki! zawołał z zapałem Otto, łamiąc ręce—i przyznawać się do tego! Braknie ci więc jednego zmysłu, jednéj władzy, jednéj idei, którаby nowe otworzyła światy. Jesteś ułomny nieboraku.

— Ha! na to nic nie poradzę: kaleką już zostanę na wieki! rzekł uśmiechając się hrabia.

Gdy tak rozprawiali, hrabia Rajmund nacieszywszy się machinami swemi, pomyślał nareszcie o bracie, i pogonił za nim aż do Żółtowskiego, niespodzianie nachodząc ich wśród swobodnéj gawędy.

Ukazanie się jego było jak chłodny powiew na

rozgrzanych. Herman pierwszy umilkł; Otto wstał na powitanie zimny i prawie dumny; Żółtowski, który był wyszedł ze swéj roli pokornego sługi, zmieszał się, stanął wyprostowany i poczerwieniał jak złapany na grzechu.

Gospodarz bardzo zimno powitał Ottona, obejrzał się kwaśno po kątach tego biednego domowstwa, czując się w nieswoim żywiole, i przystąpił do brata, który dźwignął się z fotelu, jakby znudzony i znękany.

— Przychodzę po ciebie: hrabina czeka nas z herbatą.

— A ja tu ze starym kolegą gwarzyłem — odparł trochę złośliwie Herman;—wszak i ty musisz pamiętać Ottona?

— A jakże! tak jest! rzekł zimno kłaniając się hrabia. Mam przyjemność sąsiadować, chociaż nie raczy mnie odwiedzać.

Otto się uśmiechnął.

— Może choć dziś na herbatę pójdziesz z nami? dorzucił Herman.

Rajmund dodał:

— Gdybym mógł uprosić!

— Nie: mam u siebie spodziewanych gości—przerwał Otto—nie mogę: przepraszam bardzo.

Na tém stanęło.

— Mam jednak nadzieję—dodał po chwili Marzycki—że będąc o kilka kroków, hrabio Hermanie, odwiedzisz starego kolegę.

— A! jak ty nie, to i ja nie! Zresztą ja jutro jadę; śpieszę, bo mam podróż do kąpieli przed sobą.

— Więc znowu chyba za jakie lat dwadzieścia lub trzydzieści... do widzenia!—dodał Otto.

I milczący zasiadł w krześle. Hrabia Rajmund dał znak bratu, że na niego czeka, i obaj wyszli, zostawując Żółtowskiégo z Ottonem.

Po wyjściu braci, spojrzeli na siebie przyjaciele. Otto odetchnął swobodniéj; Żółtowski, który był spotniał, otarł czoło chustką i siadł zamyślony.

— Niespodziane spotkanie—rzekł Otto.—Co się to z tego człowieka zrobiło?

Żółtowski ruszył ramionami, wstrzymując silnie język za zębami; ale w końcu przywykły z Ottonem być szczerzej, wybuchnął:

— Oj to prawda! zawołał: człowiek ten to ogromna zagadka: egoista, samolub, skąpiec, zimny, jeszcze gorzéj się spotwarza sam niż jest; a niewiadomo: czujesz jednak, że w nim coś niezłego siedzi. Musisz wiedzieć jego historyę? Kochał się i nie ożenił dla tego że kochał; potém ożenił się nie kochając; żonę mówią, zamęczył swoim despotyzmem; syn mu gdzieś uciekł, bo go także chciał podług swojéj idei wychowywać, aż nie wytrzymał. Serce może i dobre, ale w głowie dzikie rzeczy.

Tu postrzegłszy się, że zadaleko wędrował, Żółtowski urwał nagle.

— Kończże! dodał Otto.

— Co tam! nie ma co gadać! Głowie się jego zdaje, że ona panować powinna, w tém bieda cała. Sercu nie wierzy, a jednak jest to co ma najlepszego, walczy z niém. Przysiągłbym, że w gruncie najpoczciwszy, choć na oko tyran i sknera.

— Czasem się to trafia, że człowiek tak się omyli, i to co ma najlepszego zmarnuje, aby w sobie dyabła wyhodować. Ręczę, że gdyby był muzykiem, wszyst-

koby poszło inaczéj: serceby mu się otworzyło szerzéj. Cała bieda, że nie lubi muzyki.

Żółtowski parsknął ze śmiechu.

— A no! powiesz, że to ćwieczek, niech i tak będzie: już mi go ze łba i obcęgami nie wyciągniesz, nie ma na to rady.

Stary rządca przelękły, że mógł być niedelikatnym, zrobił minę pełną powagi i skruchy.

W chwilę potém Otto szedł zamyślony do swego Robowa.

Tymczasem w salonie już nakryto do herbaty, i towarzystwo całe poważnie około okrągłego stolika zasiadło. Podwieczorek był trochę paradny dla gościa, z ciastkami widocznie umyślnie pieczonemi, z owocami, na saskiéj porcelanie, i ze wszystkiemi lokajami w liberyi. Ale mimo to herbatę dano zimną, owoce niedojrzałe, w bułkach był zakalec, masło wyglądało nieświeżo.

Hrabiemu wystarczała piękna fizyognomia stołu, Herman też dbał o to niewiele, gdyż był z systemu wstrzemięźliwy bardzo i nie obchodziły go wcale żadne gastronomiczne wymysły.

Hrabina nigdy w życiu nie wiedziała co jadła, Lola była wesoła i młoda, nie postrzegli więc nawet, czy gdzie czego nie brakło.

Skutkiem usposobienia wszystkich, podwieczorek przeszedł na rozmowie urywanéj i ledwie dającéj się posztukować, tak chłodnéj i zimnéj, jak hrabia był ponury i kwaśny.

Herman wspomniał, że nazajutrz odjechać musi.

— Jak to? jutro? ale to być nie może! zawołała Marya.

— U mnie co musi to może, kochana bratowo — rzekł Herman.

— I nie zechcesz nic widzieć? nie jesteś ciekawy?—przebąknął brat żywo. Chciałbym ci przecię coś z moich robót pokazać, pochwalić się...

— Ja się na tém nie poznam — uśmiechając się prawie pogardliwie rzekł Herman.

— Choć w istocie wątpię, byś się na nich poznał, bo tu do pewnego stopnia trzeba być oswojonym z rzeczą, aby ją ocenić—kończył hrabia—ale... A gdybyśmy wszyscy na chwilę poszli do laboratoryum?—zaproponował nagle.

Hrabina zmieszała się nieco, rumieniec twarz jéj okrył, Lola pobiegła niby kwiatki oglądać, Herman wstał z rezygnacyą.

— Chodźmy—rzekł.

— Zawsze przynajmniéj o pracy całego mojego życia mieć będziesz pojęcie—żywo dorzucił Rajmund, idąc przodem z niecierpliwością źle ukrywaną.

Ludzie zaczęli się uśmiechać otwierając drzwi, a gospodarz poprzedzając żonę i brata, śpieszył do téj części pałacu, która zawierała jego pracownię.

Głównie poświęcona jéj była wielka sala na dole, ale przyległe pokoje pozastawiane były także mnóztwem pyłem okrytych, niedonoszonych wynalazków, które czekały, jak mówił autor, chwili, coby ideę twórczą, uzupełniającą je, przyniosła.

To Kafarnaum przestraszało na pierwszy rzut oka, trudno się było przecisnąć wśród kół, drągów i najdzikszych jakichś apparatów, przypominających narzędzie tortur. Hrabina rumieniła się jak dziecię, udając wesołą, Lola szczebiotała z trochą przymusu, Her-

man szydersko się uśmiechał: ale za wszystkich rozpromieniony i szczęśliwy był gospodarz.

Wskazywał rękami, chwytał, obracał, rozprawiał, zapalał się.

— To jest pług nowego systemu, mówił, bardzo mu już małéj rzeczy braknie: wprawdzie nie orze jeszcze, ale przyjdzie chwila, w któréj go dokompletuję. Mam już ideę: jedno nic, będzie stanowił epokę. Model młyna bez kamieni... cale nowy system... walce, przyrząd ciekawy... zobaczycie! Chodzi tylko o wykonanie na wielką skalę: to złoty wynalazek, bylebym mógł go zbudować, ale mnie zawsze Żółtowski temi głupiemi pieniędzmi wstrzymuje. Powiada, że gmach sam ma sto tysięcy kosztować: cóż to znaczy, kiedy mliwo kilkakroć rocznie zrobić może? Ale to człowiek bez intelligencyi, bez najmniejszéj, i tchórz!

Szli tak coraz daléj, nowe oglądając dziwy, a że sala mało ich widać jeszcze zawierała, by dać pojęcie prac i trudów hrabiego, wprowadził ich do *sanctum sanctorum*, do gabinetu, w którém pierwsze swe pomysły rzucał na papier, gdzie miał rozwiązać się wielki problemat zniszczenia tarcia i udarowania świata nieśmiertelną siłą, nigdy się niezużywającą.

Ale ciekawszą od machin i modelików rzeczą był tu żywy, maleńki człowieczek w okularach, który coś przy stoliku dłubał. Zeszli go niespodzianie, tak, że ledwie miał czas kaftanik watowany, w którym pracował, opiąć nieco szczelniéj około siebie.

Człowieczek ten, była to *anima damnata* hrabiego, jego najukochańsza w świecie istota, jedyny, co go pojmował i rozumiał. Niegdyś prosty ślusarczyk, wzięty do szlifowania żélaznych kółek i opiłowywania

kruczków, Malczak zestarzał na posługach hrabiego dostawszy prawie równego mu obłąkania. Rajmund miał go za jedno ze swych dzieł, i w istocie głowę mu przewrócił. Malczak wierzył w hrabiego, on w Malczaka, kochali się, kłócili, a pan ostatecznie nabył przekonania, że to jest geniusz ukryty, sługa, że hrabia niepospolitym jest wynalazcą, lubo z oczu jego czasem jeszcze szyderstwo patrzało. Obaj bez siebie żyć nie mogli. Malczaka na dworze nie cierpiano, ale hrabia nietylko go osłaniał i bronił, lecz dopuszczając do ucha, uczynił wszechmocnym pośrednikiem.

Malczak mimo zdrobniałego nazwiska, które nosił, wcale już nie był młody: posiwiał, zesechł nad robotą, skurczył się, twarz miał pergaminową, żółtą, usta od natury skrzywione w skutek jakiegoś wrzodu, który mu twarz, gdy był dzieckiem, skaleczył. Skutkiem tego wykrzywienia; z jednéj strony widziany, zawsze miał minę szyderską, z drugiéj spokojną i nieznaczącą, nigdy dojść nie było można, czy śmiał się, czy płakał.

Łysina jego wyżółkła, plamista, resztą tylko włosów siwiejących była otoczona.

Rajmund wskazał go bratu po cichu, trącając go łokciem i szepcząc na ucho:

— Byłby geniusz, powiadam ci, gdyby wychowanie go rozwinęło: zadziwiające ma pomysły! zadziwiające! osobliwsze!

Herman skłonił głowę.

— Wynalazł — dodał — kołowrotek, którego tylko przez upór nie chcą ludzie używać, ale to jest arcydzieło! Jabym sam się nim chlubił! Mała rzecz, ale nic piękniejszego! Pokaż-no swój kołowrotek, Malczak!

Malczak powstał powoli, obojętnie, i opiąwszy znów

rozchodzący się kaftanik, którego nigdy nie zrzucał, poprawiwszy okulary, wzmocniwszy nogi w pantoflach, które stanowiły zwykłe jego obuwie ze starych bótów hrabiego wykrawane, wyciągnął z kątka coś nakształt kołowrotka, z powagą człowieka, który wierząc mocno w siebie, wcale się o uznanie nie troszczy.

— To trzeba takich głów głupich, jak tych naszych prostych ludzi—przerwał milczenie hrabia—żeby tego cudnego wynalazku nie zastosować, nie przyjąć, nie chwycić się. Wprawdzie ja mu tu jedno ważne dodałem ulepszenie, ale główna myśl jest jego: kołowrotek ten przędzie, zwija, mota, len oczesuje, kłaki składa i zbywającą siłą mógłby jeszcze coś robić, gdyby było potrzeba. Cała rzecz na tém, że ma kilka kół i trybów nadzwyczaj siłę oszczędzających...

Malczak przerwał:

— To jest taki kołowrotek, że kotby na nim prządł jedną łapą.

— To byłoby dobrodziejstwem dla ludzkości, gdyby nie przesądy.

Malczak pokazawszy narzędzie, rzucił je w kąt, i nie troszcząc się o przybyłych, siadł znowu za stół piłować. Hrabia znów szepnął bratu:

— To geniusz! mówię ci: on jeden mnie rozumie!

Cała ta genialność opierała się na tém, jedném, niestety! że Malczak hrabiemu pochlebiał, a był tak nieugiętego uporu, iż nawet pana nim przemódz umiał.

Na odchodzących Malczak już ani spojrzał, zajęty swą wielką pracą około zegara ekonomicznego, który był hrabia obmyślił. Miał on pokazywać więcéj rzeczy niż wszystkie dotąd znane, a między innemi święta wielkanocne i cenę zboża na targu. Jednéj rzeczy

brakło mu dotąd; iść nie chciał, wprost tylko przez jakiś upor dziwaczny.

Wszyscy jakoś smutni wyszli z tego przeglądu machin; jeden gospodarz promieniał, choć niebardzo był rad z Hermana, który się wstrzymywał od wszelkich pochwał i oznak współczucia. Ale przebieżenie myślą tylu ważnych wynalazków, nasycenie się własną chwałą, upojenie, tak go przejmowało, że bratu nawet obojętność jego wspaniałomyślnie przebaczał.

— Taki zawsze był los wielkich wynalazców, powtórzył wychodząc z sali: lekceważenie, szyderstwo, obojętność; potém dopiero ludzkość pada na kolana przed ich zwłokami. Miałem tu niedawno—dodał— professora mechaniki, nie mógł się wydziwić, że się do tego wziąłem, nic prawie się nie ucząc, że bez przygotowania do takich rzeczy siłą tylko pracy i zdolność doszedłem. Tak był zdumiony, że słowa nie mówił: języka w gębie zapomniał.

Herman nic także nie odpowiedział, i znowu przeszli do salonu, zkąd zaraz hrabia Rajmund wrócił do swego Malczaka, aby się z nim swobodnie nagadać.

Wieczór przeszedł dosyć smutnie. Szczebiotanie Loli tylko go nieco ożywiało; grała, śpiewała, zaczepiała milczącego stryjaszka, który na nią poglądał wzrokiem człowieka zdumionego, że ktoś tak młodo szczęśliwym być może.

Herman dobrał potém chwili, gdy zostali sam na sam z hrabiną, i wręczył jéj pakiet opieczętowany.

Był to testament jego.

Nazajutrz rano, nie żegnając się z nikim, Herman kazał zaprzęgać. Paweł co najśpieszniéj się wybrał, aby ich nie zatrzymano, i do dnia wyruszyli z Zarubiniec ku Horycy.

———

W Horycy, któréj Herman nie opuszczał ani na krok od lat wielu, po jego wyjeździe nastąpiło dziwne jakieś bezkrólewie. Wprawdzie ludzie przywykli do tego straszliwego okna, przez które poglądał na gospodarstwo niewidziany i wszystko kontrolował, z obawą jeszcze ku niemu oczy zwracali; ale Lacyna, Radwanowicz i pani Seredowiczowa, ekonom i panna Petronella, korzystając z chwilowéj swobody, całkiem się wyemancypowali.

Panna Petronella, która nigdy jeszcze we dworze daléj niż w sieniach nie była, zapragnęła gwałtownie zobaczyć pańskie pokoje, a Lacyna nie umiał jéj tego odmówić, biorąc na siebie śmiały ten postępek, o którym pan za powrotem mógł być zawiadomiony. Warował sobie tylko, ażeby tę wycieczkę odbyli we dwoje sam na sam, i tak oprowadził ją po całym dworze. Ciekawy Wicek, który snadź szpiegował Lacynę, utrzymywał, że nietyle oglądali pokoje, co szeptali i chychotali, że pan Lacyna bardzo jakoś był natarczywy względem panny Petronelli, i dwa razy bodaj czy jéj nie pocałował, bo się bardzo głośno śmiała i dała mu klapsa.

Radwanowicz część czasu na uczonych zajęciach spędzał w bibliotece, część w towarzystwie Lacyny, ekonoma i księdza, do którego aż do miasteczka chadzał, bo on tylko jego erudycyę jako tako ocenić umiał.

Pani Seredowiczowa odpoczywała, ekonom grał na skrzypcach, Lacyna coraz pilniéj przesiadywał na folwarku, parobcy dosyć niedbale swe obowiązki spełniali: słowem czuć się dawał brak pańskiego oka i powolne rozprzężenie. Im dłużéj trwało oddalenie hra-

biego, tém ten stan rozciągał się dalej i nie bezpieczniejsze przybierał rozmiary.

Tymczasem jednego poranku, gdy Lacyna wstał dosyć późno i nigdzie jeszcze zajrzeć nie miał czasu, tylko z desenikiem do panny Petronelli pośpieszył, gdy pani Seredowiczowa piła kawę w łóżku, a Radwanowicz kroczył do miasteczka powoli: żółty koczobryk hrabiego ukazał się na grobli, i nim wieść o przybyciu pana gruchnęła po dworze, już stał przed gankiem. Wszyscy schwytani zostali na gorącym uczynku wyuzdannego rozpróżnowania. Lacyny nie było: posłano po niego, a już hrabia siedział w oknie i śledził. Nieszczęśliwy Regentowicz od panny Petronelli co tchu pobiegł na placówkę, na którój od dwóch dni nie postał.

Trwoga była ogromna. Hrabia wyglądał chmurno i straszno.

Lacyna wpadł wreszcie nadrabiając miną, kręcąc wąsa, chrząkając, uśmiechnięty, ale w duszy i sumieniu bardzo niespokojny. Hrabia stał przed nim jak sędzia surowy, niezbłagany, i najprzód go od stop do głowy obejrzał.

Sama powierzchowność Regentowicza zdradzała jego przewinienia i występne zamiary: ubrany był bowiem nie tak jak ludzie do gospodarstwa i nadzoru się odziewają, ale jak mu wypadało do panny Petronelli, ku którój sercu szturm przypuszczał gwałtowny. Wąsy wyszwarcowane, kamizelka jaskrawa, spodnie migdałowego koloru, dawniéj tylko do kościoła w niedzielę używane, czysty kołnierzyk krochmalny, choć to nie był dzień świąteczny, zdradzały pana Lacynę. Buty nawet starannie wyglansowane dowodziły, że chodził niedaleko, bo ich wcale nawet nie zarosił.

Hrabia spojrzawszy nań uważnie, zaczął milczący złowrogo głową kiwać.

— Już mi wpan—rzekł—nic nie mów o gospodarstwie, bo o niém wiedzieć nie możesz...

— Ale dla czegoż?—oburzył się Regentowicz.

— Boś nigdzie niebył.

— Do dnia expresse, jw. panie, do dnia byłem. Ale przyznaje się, bo kłamać nie lubię, że potém zmieniłem odzienie.

— Siedziałeś u panny Petronelli.

Lacyna wąsa pokręcił.

— Więc powiedz mi, coby to było, gdybym ja na pół roku z domu wyjechał? Tybyś do dziewiątéj spał, ludzieby sobie kradli, a dom przewróciliby do góry nogami. Mniejsza już o to co ukradną, ale niedozór prowadzi do grzechu, do zepsucia, i kradzież i wszystko to na twojém, nie na ich sumieniu.

— Ależ się nic nie stało!

— Cóż ty mi mówisz! Gniada klacz zdechła.

— A juściż, coś kiedyś zdechnąć musi.

— No tak, lecz nie gniada, sześciolatka, kiedy jéj krwi w porę upuszczą, ale jegomość gdzieś się wałęsał, i po konowała w porę nie posłali.

Hrabia popatrzał na Lacynę, który ramionami ruszał.

— Panie Lacyno, to nic, ale amory ci z głowy nie wychodzą, i z tego wszystko złe. Chcesz się żenić? daléj co? Będziesz kawałka chleba potrzebował, a tak pracując nie zarobisz.

— Ale bo, co to panu w głowie!

— Nie mów, bo będziesz musiał kłamać, a ja niczém tak się nie brzydzę jak fałszem.

Wtém Radwanowicz zadyszany przybiegł powitać pana.

— O! witam professora! A i pan gdzieś byłeś na wędrówce?

— Tak jest, chodziłem do księdza Magnackiego, do starowiny. Po pańskim wyjeździe *solitudo magna*, pustynia afrykańska, step, tęsknota nieprzezwyciężona, szwajcarska, alpejska, która, jak wiadomo, chorobą jest. *Malum necessarium*. Zkąd: *Necessitas frangit legem*... *Salus populi*... i tym podobnie.

Tu się zakaszlał.

Hrabia splunął.

— Pięknieście tu—rzekł—gospodarowali bezemnie! Toż to słyszę Seredowiczowa nawet ani razu przy dojeniu krów nie była!

To śmiałe twierdzenie, które hrabia *a priori* rzucił, mające postać rzeczy już mu doniesionéj i zbadanéj, przeraziło szybkością, z jaką się rzecz dostała do uszu hrabiego. Lacyna pomyślał o wodce, którą wieczorami sprowadzał, Radwanowicz o pożyczonéj ukradkiem książce do miasteczka, na wszystkich skóra ścierpła.

— O ho! są szpiegi we dworze—zawołał w duchu Lacyna—to już nie ma wątpliwości... chłopcy donoszą... No! jeśli już ták, to żyć nie będzie można...

— Ja tam o Seredowiczowéj nic nie wiem, rzekł Regentowicz, a co do mnie należy kobiece gospodarstwo?

— Za pozwoleniem! odpowiedział hrabia: do ciebie nic nie należy i wszystko należy, ty jesteś okiem mojém. Powinieneś nic nie czyniąc, wiedzieć o wszystkiém. Do mnie należy i męzkie i kobiece gospo-

darstwo, zatém do ciebie, jako do wikaryusza mojego także...

Lacyna ani mruknął. Wtém wszedł zafrasowany Paweł, z którego twarzy patrzały nowe jakieś, złowrogie wiadomości.

— Otoż pan teraz będzie wiedział, co to z domu wyjeżdżać! zawołał.—Kobyła sześciolatka zdechła, to nic; para wołów zginęła, to nic; a mnie ktoś zamek wyłamał i kilka funtów tabaki zginęło... Parobcy pijani w powszedni dzień, w stajni konie niepoczyszczone... Otóż tobie droga! otóż to włóczęga niepotrzebna po świecie! Tak to zawsze kto domu nie pilnuje! tak to....

— Ależ cicho! cicho! rzekł hrabia do Pawła.

— A tak! teraz cicho! mruczał daléj stary sługa. Dla pana gniada klacz nic! para wołów nic, a co nakradli o tém wiedzieć nie będziecie; ale mnie tabaki szkoda bom ją sam wiercił! Teraz jeszcze jegomość będziesz na krzyże kawęczał, i nie mało czasu minie, nim się władzim i damy znowu rady.

Radwanowicz ośmielił się odezwać uśmiechając:

— Pessymista jest pan Paweł. Są takie usposobienia z żółci pochodzące, zkąd żółtaczka, żółte widzenie, cierpienie wątroby, *hepar*, daléj idzie *hepar sulphuris*, wątroba gęsi w pasztecie i oléj z wątroby rybiéj anti-skrofuliczny. Ale co chciałem mówić?...

— Dajcie mi spocząć, o wszystkiem późniéj! przerwał hrabia siadając przed ogniem, który się już palił w kominie. Pan Lacyna raczy choć późno pójść do stodół i obór; Radwanowicz wyszuka mi parę dzieł o Krymie; na obiad możecie przyjść.

To mówiąc odprawił pomieszanych, kazał popra-

wić ogień chłopcu i usiadł zamyślony. Pustka domu silniéj się uczuć dawała po podróży, nawet po Zarubińcach, gdzie biedny mechanik miał przecię żonę i dziecię. Tu nie było nikogo: cisza, pustkowie, ludzie obcy, którzy wisieli przy nim dla chleba, bez przywiązania, przeklinając może jego dziwactwa po cichu.

Wicek blady przyniósł oberemek drew na kominek i stanął u drzwi. Korciało go paplać. Hrabia spojrzał nań: widocznie chciał gadać a nie śmiał, aż po chwili powoli rozwiązały mu się usta.

— A! a! proszę pana! co to tu się działo, jak pana nie było!

— Doprawdy?

— To ja tylko jeden, proszę pana, com dniem i nocką koło domu siedział, aż mnie strach brał samemu; reszta to latało aż... Pan Lacyna ciągle siedział na folwarku, Radwanowicz u księdza i na miasteczku, drudzy także gdzie komu do głowy przyszło. A jednego dnia, proszę pana, to tu jeszcze Lacyna wziął se tę pannę z folwarku, i tak ją oprowadzał po wszystkich pokojach...

Hrabia odwrócił się uśmiechając.

— Doprawdy? jakże to było?

— Weszli, proszę pana, wielkiemi drzwiami, żeby ich nikt nie widział, potém wszędzie sobie odmykał i chodzili, wszystko ruszali, śmieli się, siadali po kanapach... Ja to wszystko widziałem.

— Byli i w tym pokoju?

— A jakże! tu najdłużéj jeszcze, a że mnie Lacyna nie widział, to siadł w oknie rozparłszy się, i udawał jaśnie pana, jak to patrzy po gospodarstwie, jak chodzi, jak gada, jak kolana pociera. A ta panna z folwarku śmiała się aż się dusiła....

Hrabia zwiesił głowę smutnie.

— Idź sobie... rzekł do chłopca. Ale wiesz Wicku co robisz, kiedy mi to mówisz niepytany?

— A cóż? proszę pana?—zmieszał się chłopak—ja mówię, bo tu pilnowałem, a jakby broń Boże jaka szkoda...

Hrabia spojrzał mu w oczy, i przekonawszy się z wejrzenia, że chłopak nie miał pojęcia swéj winy, odprawił go skinieniem.

Około pierwszéj dano znać, że obiad jest gotów. Wedle obyczaju przyszedł Lacyna i Radwanowicz, a Paweł z założonemi w tył rękami, choć nie służył do stołu, zwierzchni dozór sprawował nad Wickiem i Marudą.

Przyniesiono skromne jedzenie, proste i wcale niewytworne, ale obfite i zdrowe. Radwanowicz odmówił benedykcyę po łacinie, napili się staréj wódki, któréj Lacyna zawsze odmawiał, protestując, że nigdy nie pije, i usiedli.

— Osobliwsza rzecz—rzekł hrabia po chwili—jakie to wisusy z tych naszych sług... jak to się psuje, aby tylko spuścić z oka!

— A już to prawda! pośpieszył Lacyna: nie można bez rózgi i bez dyscypliny.

— Masz wpan słuszność, poparł gospodarz. I ten Wicek, który jest u mnie przy kominie...

— E! jużbyś pan nie wydziwiał! przerwał stary Paweł: toć to najlepszy ze wszystkich; cóż on zrobił?

— Ja tam nie wiem co zrobił — mówił daléj spokojnie hrabia, — ale na wiek swój rzadko rozumny. Wystawcie sobie taki chłystek, a musi już mieć jakieś amory na folwarku, i w czasie mojéj niebytności kogoś tu sobie zapraszał.

Lacyna pobladł, poczerwieniał, schylił się do talerza, i począł jeść bardzo żywo, nie podnosząc głowy.

— Są tego ślady, dodał hrabia; znalazłem w jednym pokoju kawałek wstążki, w drugim zgubiony nici kłębuszek, daléj nawet, co mnie zdziwiło, jakiś grzebuszek; widać sobie panienkę dobrał z waszecia.

Regentowicz o mało się nie zadławił.

— *Quid pro quo?* przerwał Radwanowicz, nic się nie domyślając—gdzież zaś? Wicek jest *inberbus*, młokos, *simplex servus*, proste pacholę; a osoby, które kłębuszek, wstążki i grzebuszki tu posiadają, wyliczyć się dadzą. Pozory częstokroć zwodzą, nić Aryadny, od tego kłębuszka; daléj labirynt, minotaurus, czyli [illegible]a bycza; zkąd walki byków w Hiszpanii i rostbif angielski.

— A! professorze! już też bez miłosierdzia kłamiesz! zawołał hrabia.

— Nie, za pozwoleniem, rozumiem... ale o czémże mówiliśmy? Minotaurus, kłębuszek—i Wicek. *Veni, vidi, vici*, zkąd i Wicek, choć sam o tém nie wie; ale jeśli nie on winowajca, to ktoż?

— Właśnie i ja o to pytam? dodał hrabia.

Lacyna był przygnębiony, ostatnim wysiłkiem chciał jeszcze odwrócić rozmowę.

— Proszę pana, ta gniada klacz...

— Ta gniada klacz tu po pokojach chodzić nie mogła — odezwał się hrabia — chyba kasztanowata.... Może stara Seredowiczowa?

— A ta! przerwał Paweł: jako żywo! od wyjazdu pańskiego nie ruszyła się ze swojéj izby, piła kawę nawet w łóżku i kazała sobie posługiwać dziewczętom, które zwykle świniom i krowom służą.

— Więc któż? nalegał gospodarz.

— Nie wiadomo.

— Et! to tego, *expresse* — zerwał się nagle Lacyna czując, że do niego piją—to są bajki i potwarze!

— Ależ kłębuszek?

— No, to może mój; to i ja mam zwyczaj nosić.

— A wstążka? spytał hrabia.

— *Exsprese* moja, i pamiątka po matce; musiałem zgubić chodząc.

— A grzebuszek?

— Od wąsów, mój osobisty—dodał szybko Regentowicz. Musiałem tu utrzymywać porządek, chodziłem raz wraz, tom się poogubiał.

— Jeżeli tak, to co innego, rzekł hrabia. Ale bo też nieprzyjemnieby mi było, gdyby się Wicek tego dopuścił. Nie lubię, żeby mi tu kto chodził podglądać.

Wszyscy zamilkli.

— Każdy szanuje wolę pańską—rzekł Radwanowicz chrząkając—wola... *voluntas... stat pro ratione...* a znowu *ratio non est oratio*, zkąd Cycerona oracye, kwintessencya wymowy! *Cicero*, groszek, od brodawki na nosie tak przezwany — zaś *Tullius* nie od tulenia, jakby mógł myśleć pan Lacyna—ale—co ja tam gadam!

— No, to nie gadaj! rzekł wstając od stołu hrabia.

I odwróciwszy się nagle, poszedł wzdychając do swego pokoju.

Taki był powrót do pustego domu.

Znowu tedy powoli wszystko weszło w dawne karby, znów Herman usiadł w swém oknie, a Lacyna ochłonąwszy ze strachu, jakim go nabawiło wytropienie śladów jego zakazanéj przechadzki z panną Pe-

tronellą, stanął znowu pod szafą do zdawania rapportów, w których co chwila na fantastycznych wymysłach był łapany. Paweł wyniósł się do swych niewodów i tabaki. Wicek zasiadł w przedpokoju na medytacyi, a Radwanowicz zatopił się w książkach, czerpiąc z nich erudycyę, która tak kalejdoskopowym sposobem układała się w jego głowie.

Przerażenie jednak i popłoch padł na starego Siermiężkiego, gdy mu hrabia stanowczo oświadczył, że stara się o pasport i wyjeżdża do Krymu.

Najprzód ten Krym, dla Pawła, leżał gdzieś niedaleko Syberyi, w sąsiedztwie Afryki, Ameryki, Azyi, które to kraje jedném pojęciem czegoś strasznego objęte były; powtóre czémś monstrualném mu się zdawało, aby pan jechał sam bez niego, a niepodobném, ażeby on się tam miał dostać. Myślał, że najprostszą i najlepszą rzeczą w świecie było: obu im w domu zostać. Po kilka razy na dzień przychodził do hrabiego, rozpoczynając żywe spory, dowodząc że to po prostu fiksacya, że na to nie pasportu, ale doktora potrzeba. Dodawał, że ich gdzieś w drodze dzicy ludzie zjedzą, morze pochłonie, wieloryby połkną, Tatarowie w niewolę uprowadzą i t. p.

Nic to jednak nie działało na Hermana, który z początku śmiał się i dowodził, potém milczał uparcie, aż Paweł doszedł do najwyższéj niecierpliwości właśnie przez to milczenie, które sobie za jakąś wzgardę uważał.

Czasem ledwie się za nim drzwi zamknęły, powracał w pięć minut nazad, a ta gorliwość i przywiązanie starego sługi nie mogły nie przejąć wdzięcznością.

Rozkazano jednak gotować się do drogi, i Paweł

widząc rzecz nieuchronną, chciał już cały dom zabierać, bo mu się wszystko zdawało nieodbicie potrzebném, gdy niespodziana okoliczność wszystkie projekta zmieniła.

Pewnego ranku, gdy Paweł wracał od Seredowiczowéj, która łaskę sobie jego skarbiąc, w milczeniu narzekań słuchała, ale do nich nie dopomagała, czując, że kawę pić będzie mogła w łóżku po wyjeździe hrabiego—w bramie zjawiły się piechotą z miasteczka przybywające dwie postacie nieznane.

W pierwszéj z nich poznał łatwo Paweł widzianego w Pińsku urzędnika w łapciach, Jana Piotra Mąkiewicza, który nie zmieniał ubrania, i tym razem znowu w wice-mundurze i kurpiach się zjawił w dziedzińcu horyckiego zamku. Snadź jeszcze na ów wielki cel kupienia butów przedsiewzięta składka, nie doszła summy zapewniającéj nabycie tak koniecznego obuwia. Ale pan Piotr nie był sam, za nim toczył się prawie karléj postaci, niezmiernie mały człowieczek z wielkim kijem, o dużéj głowie rozczochranéj, w czarnym surducie opiętym z twarzą otyłą i rumianą, wygoloną i nieproporcyonalnie długą do wzrostu, którego prawie część trzecią stanowiła. Oczy niezmiernie wypukłe i wysadzone na wierzch, wargi odęte i wielka powaga charakteryzowały przybysza, który zbyt krótkie mając nogi i nie mogąc zdążyć za szparko i lekko idącym w łapciach Mąkiewiczem, pocił się, i ogromne robiąc kroki, coraz to chustką czoło ocierał.

Zobaczywszy Pawła, obaj pośpieszyli na jego spotkanie, gdyż od bramy, obawa psów, mimo kijów, które mieli w ręku, opanowała ich widocznie, i radzi byli znaleźć obrońcę na wypadek napaści brytanów. Paweł

się zatrzymał, a Mąkiewicz tak żywo ruszył ku niemu, że towarzysz jego biegiem musiał go doganiać, oglądając się na psy, które o nich nie myślały wcale.

— Jw. hrabia w domu? spytał Mąkiewicz.

— Na co?

— O! na co! to już moja rzecz, odparł pan Piotr. Chciéj tylko, kochany panie, powiedzieć mu, że przybył tu umyślnie, w *wiadomym* mu (z przyciskiem) interesie Jan Piotr Mąkiewicz, były urzędnik kancellaryi, a z nim ktoś drugi—dodał oglądając się na małego towarzysza z wielką twarzą.

Paweł niewielką miał ochotę gości meldować, co postrzegłszy Mąkiewicz, dodał surowo:

— Proszę tylko prędzéj, bo rzecz jest największéj wagi dla samego pana, który mi ją polecił w czasie ostatniéj swéj w Pińsku bytności.

Doprowadziwszy w milczeniu dwuznacznem przybyłych do ganku, Siermiężki sam poszedł do pana, który grzał się u komina, siedząc jak zawsze zamyślony. Zaczął od tego, że budząc pana z zadumy, zastukał silnie.

— No? co tam?

— A ktoś tam przyjechał do pana.

— Któż to taki?

— A ten odartus w łapciach, co był w Pińsku; mówi, że w pańskim interesie wielkiéj wagi... i drugiego z sobą urwipołcia jeszcze przywiózł.

— Kto z Pińska? żywo zapytał Herman.

— W łapciach! ten w łapciach!

— Puścić go.

— Chyba przez tylne drzwi, bo zbrucze pokoje. I drugiego puścić.

— Jeśli chce, i drugiego.

— Znowu coś wydrą! szepnął Paweł wychodząc przez drugie drzwi i dając rozkaz Wickowi, aby wprowadził przybyłych.

W chwilę potém, kije postawiwszy w sieniach, Jan Piotr Mąkiewicz i nieznajomy gruby mężczyzna, weszli po cichu kłaniając się do pokoju, w którym Herman ich oczekiwał.

Mąkiewicz obejrzał się bystro, pokłonił i począł:

— Wybaczy jw. hrabia, że jestem natrętny, ale zawsze lubiłem i lubię poświęcać się dla dobra ogółu i chętnie z siebie robię ofiarę, tak, że mimo słabego zdrowia i niedostatku trwającego butów, przybyłem tu umyślnie do jw. pana.

— Mów prosto, czegoś przyjechał? rzekł hrabia.

— Natychmiast, ale najprzód jeszcze muszę jw. hrabiemu przyjaciela mojego odrekomendować, który z tychże co ja powodów podjął chętny trud służenia jw. panu... Pan Hilary Drychliński... jednorożec, jak u nas mówią—czyli jednodworzec, chociaż ani jednego dworu nie ma przez niesprawiedliwość losu, gdy dziad jego, jak wszystkim wiadomo, miał sześć chat, był possessionatus; ale metryki się popaliły i pan Hilary...

— Ale cóż mi tam do tego! Daléj! daléj!

— Zaraz jw. hrabio. Pan Hilary też tu umyślnie dla wiadomego interesu przybywa. Najęliśmy furmankę z Pińska, jeszcze nas zdarli i koń w drodze ustał; szliśmy piechotą: ztąd zmęczeni i wygłodniali, gdyż funduszów zabrakło na pokrzepienie, a złożone w moich rękach na cel dobroczynny, wyczerpane zostały. Gdybyś jw. pan raczył i kazał dać co przetrącić (a ciszéj dodał) i czém przepłókać...

Hrabia był mocno zniecierpliwiony, bystro spojrzał na obu, ale się wstrzymał z wybuchem gniewu.

— Ja czasu na próżne słowa nie mam, rzekł. Mów wpan co masz gadać, potém jeść i pić dać każę.

— Potém? a no! niech będzie i potém. Ciągnę więc moją relacyę daléj. Gdyś jw. hrabia raczył powierzyć mi tajemnicę serca swojego, tak byłem nią przejęty, że długi czas i spać i jeść nie mogłem (westchnął, kładnąc rękę na piersiach). Skutkiem medytacyi: co tu począć, aby się dowiedzieć prawdy? w nocy przychodzi mi na myśl Hilary Drychliński, który z Tatarami zna się dobrze i mógłby coś wiedzieć...

Herman zżymał się, ale słuchał, bo nic sposobu opowiadania Mąkiewicza, który z każdéj rzeczy dramat robić musiał, powściągnąć nie było w stanie.

— Ale najprzód potrzeba jw. hrabiemu wiedzieć, kto jest pan Hilary Drychliński. Mijając to, że niesprawiedliwie w komput jednodworców zapisany został, pan Hilary, mój przyjaciel, czego się przed całym światem nie zaprę, jadł chleb z różnych pieców.

— To już ja lepiéj opowiem—przerwał Drychliński hamując przyjaciela, i zająkując się trochę:—Co to długo gadać? at! zwyczajnie biedne człeczysko, co sobie chleba szuka i znaleźć nie może. Jwpan wie, jak komu nie idzie, to nie idzie; tak i ze mną. Byłem już licho nie wie co: trochę księdzem, trochę organistą, doboszem w wojsku, krawcem, gospodarzem, kupcem, nawet teraz niedawno po sól do krymu jeździłem. Ale mnie już to życie rozmaite dojadło, myślę znowu co innego począć, i spróbuję guwernerki.

— Widzi jw. hrabia—przerwał korzystając z chwili oddechu Mąkiewicz—że się plączę. Proszę mi pozwolić, ja gładziéj tę rzecz wyłuszczę. Mój przyjaciel, godny

pan Drychliński, choć jak go pan widzi, na oko ciężki, ale ruchliwy i niespokojnéj natury; byle jedno począł, drugie mu pachnie, wszędzie mu źle, coraz to nowe projekta. Już był i ekonomem, i świece robił, i pierniki sprzedawał, spodziewając się na nich w krótkim czasie zrobić milion fortuny, i teraz oto z téj przyczyny jeździł do Krymu, z którego wrócił zadłużywszy się na złotych piętnaście i groszy dziesięć. Aże, jak jw. hrabiemu wiadomo, supponować było można, iż niegdyś syn jego, czyli raczéj—poprawił się Mąkiewicz — ten młody szaławiła, który go obchodzi, miał uciec z Tatarami do Krymu, — przyszła mi myśl, że Drychliński może coś o tém wiedzieć... Więc jakem stał, bez czapki nawet, do pana Hilarego, który tylko co był z solą powrócił, i szczęśliwie bardzo. Dziwnem zrządzeniem, właśnie miał o tém niejaką wiadomość.

— Jakąż? jaką? gadajcie!... porwał się hrabia.

— Ale zaraz, jw. hrabio; rzecz potrzebuje być wysłuchaną dokładnie. Gdy tam do tego to Krymu przybył Drychliński, mieszkał u Tatara, i okropną go tam baraniną, ryżem i różnemi paskudztwami karmili... no, ale to do rzeczy, widzi mi się, już nie należy. Aż jednego razu powiada mu Tatar, po swojemu, bo on się tam i języka ich trochę nauczył, (do wszystkiego sprytny aż strach): „Mirzo czy Murzo Drychliński!“ gdyż go tak tytułòwali wiedząc, że był szlachcicem— „a jest tu młokos z waszych krajów, który słyszę „uciekł od rodziców i ma być wielkiéj familii: chłopak „osobliwszy!“ Jak mu to panie powiedzieli...

— Tak ja—przerwał Drychliński żywo—tak ja sobie powiadam. „A no! dowiedziećby się o niego?“ Jedziemy tedy spacerem do tego Tatara, konno, bo to

tam inaczéj ani ruszyć, przez okrutne góry. Tatar wychodzi: *Salem alejkum*, siwiuteńki jak gołąb', oczu mu we łbie ani widać, tak daleko siedzą. Przyjmuje nas kawą: gadu, gadu, trochę na migi, przynoszą i konfitury z miodem i wodę—taki zwyczaj...

— Ale gadajcież na miłość bożą! krzyknął hrabia—widziałeś go? jest tam?

— Zaraz, jw. panie! Mówi tedy ów siwy Tatar wzdychając, że był u niego taki a taki, że go chciał za syna przyjąć, że chłopiec rok tam czy coś wałęsał się z nim, po górach konno hasał, aż go wreszcie taka ogarnęła tęsknica, taki smutek, iż dłużéj wytrzymać nie mógł, i z czumakami porwawszy się, choć go namawiali, prosili, złote góry obiecywali, nazad do kraju ruszył. Jeszcze go, słyszę, potém widzieli w Bałcie, a już daléj bez śladu przepadł.

Herman, który chwytał każde słowo chciwie, dosłuchawszy, głowę spuścił na piersi.

— To pewna—rzekł przerywając Jan Piotr Mąkiewicz—że on już gdzieś tu w kraju, i że go w Krymie nie ma. Mnie o to chodziło, punkt kapitalny. A że mam głowę na karku, więc ja do Drychlińskiego, z jakiemi on czumaki pojechał, aby po nici dojść do kłębka, a Drychliński...

— Ale dajże mi gadać! przerwał mały jednodworzec. Czumacy to byli nie prawdziwi czumacy, ale wprost chłopi od Krasiłowa...

Hrabia zniecierpliwiony ruszył ramionami, opowiadacze umikli.

— Spodziewam się, dodał Mąkiewicz: iż jw. hrabia zechcesz przyznać, żem mu służył jak należało na Jana Piotra Mąkiewicza, szlachcica i urzędnika, który głowę nosi na karku nie dla proporcyi, i wynagro-

dzisz hojnie mego przyjaciela pana Hilarego i mnie, jako po wspaniałości pańskiej i ważności przedmiotu, tak blizko serce jego obchodzącego, wnosić się godzi. Bo, nie licząc furmana i dyety naszéj w czas tak drogi, gdy jajko po groszu płacić potrzeba, ja i pan Hilary oderwaliśmy się od swych zajęć, co niemałą dla obu nas stanowi stratę, gdyż mógłbym był na cel wielki, jaki sobie założyłem, zebrać przynajmniéj...

Hrabia ręką machnął; chmurna była twarz jego. Zawołał Wicka.

— Niech przyjdzie Lacyna.

— O tém wszystkiem—rzekł—ani słowa tu przed ludźmi, dla czego i z czém przyjechaliście. Powiecie im co chcecie: rozumiesz Mąkiewicz?

— A i ja rozumiem! odparł Drychliński. To rzecz wiadoma: trzymaj język za zębami.

— Macie wpanowie za waszą fatygę—rzekł hrabia, dobywając grosza i żywo im go oddając.

Mąkiewicz choć sowicie wynagrodzony, spojrzał na to, co miał w dłoni.

— Jeszczebym się ośmielił zwrócić uwagę na tę furkę, która nas niby przywiozła i odwiezie.

Hrabia dorzucił coś jeszcze, pragnąc się pozbyć co najprędzéj natrętów, zmuszony cierpieć ich, choć widocznie zniecierpliwiony. Wtém i Lacyna wtoczył się, stukając kijem, czerwony, z nastrzępionym wąsem i zaiskrzonemi oczyma.

— Proś ich wpan na śniadanie do siebie, rzekł mu hrabia; nakarm, napój i niech z Bogiem jadą.

To mówiąc odwrócił się szybko, i nie zważając na ukłony, siadł zadumany głęboko. Lacyna mrugnął, aby w cichości wybrali się z nim do jego mieszkania.

Jak pobudzona była ciekawość jego i całego dwo-

ru, przybyciem tych obcych figur i długą ich sam na sam konferencyą z hrabią, nie potrzebujemy opisywać. Spodziewał się Regentowicz przy wódce coś z nich dobyć, ale się na tém omylił. Jan Piotr Mąkiewicz, który pod rozmaitemi pozorami wychylił około dziesięciu kieliszków wódki w małych odstępach, zaczerpnął w nich tylko siły wymowy do odmalowania swego wysokiego powołania i poświęcenia się dla dobra publicznego. A że tu nic się utargować nie spodziewał wolał być tajemniczym i missyę swą pokryć nieprzebitą zasłoną.

Drychliński, także tylko pił, wzdychał i prawił o niepojętych zrządzeniach losu, jakich doświadczał, czém był i czém miał być w życiu, ubolewając, że mu się nigdy nic nie udawało, nawet świece, które ze zgniłego łoju robić próbował.

Śniadanie, do którego powołany był także wymowny Radwanowicz, przeciągnęło się bardzo długo choć hrabia kilkakroć przysyłał Pawła, aby się dowiedzieć, czy już sobie pojechali. Wreszcie Jan Piotr Mąkiewicz uznał za słuszne pomyśleć o odwrocie, wytargowawszy butelkę starki na drogę, i razem z przyjacielem Drychlińskim, po cichu przebywszy dziedziniec w obawie psów, ruszyli ku miasteczku.

Hrabiemu od podróży krymskiéj odpadła zaraz ochota. Wiadomość o synu, jakkolwiek niedostateczna, ale jakiś pozór prawdy mająca, nie wiedzieć dla czego uspokoiła go nieco, wlała mu jakąś choć oddaloną nadzieję.

Nie przyznając się do tego sam przed sobą, myślał w duszy, iż jeszcze syna odzyskać potrafi.

W tym wieku chorującym na mierność i strzegącym się oryginalności jak grzechu, gdy skutkiem sarkazmów i wychowania zacierającego w człowieku, coby się przezeń z właściwéj mu natury objawić mogło, wszyscyśmy jednakowi licem, strojem, życiem, wadami, a nikt sobą być nie ma odwagi: wszelka oryginalność uderza silnie i zwraca oczy. Znudzeni jednostajnością tego, co nas otacza, szukamy jéj i pragniemy w drugich, choć nie mamy w sobie.

Otto Marzycki, któregośmy już w mieszkaniu starego milczka Żółtowskiego widzieli, był jednym z tych ludzi oryginalnych, i choć o ubogim a małoznacznym niktby nie mówił i niktby nań nie zważał inaczéj, może aż nadto zwracano nań oczy z powodu, że się trochę wyróżniał od pospolitego tłumu.

Otto był takim, jakim się odmalował w kilku słowach: dziwakiem wedle świata, ale w duszy prostym człowiekiem, idącym za prawdą jak ją czuł i widział. Nie starał się on wcale o tę oryginalność, był sobą tylko, ale inaczéj od drugich pojmował życie.

Za młodu odumarła go matka, jedynakiem pozostał u ojca, który go bardzo kochał. Więc choć to był szlachcic niezamożny na kilkunastu chatach z małym kapitalikiem żyjący, ale gospodarz doskonały, oszczędny i zapaśny, potrafił dać synowi wychowanie jak tylko mógł najstaranniejsze. Traf chciał, że i Otto był bardzo pojętny, i ludzie go uczyli dobréj woli, tak, że młody chłopak wykwitł prześlicznie, wielkie ojcu robiąc nadzieje. Jedno tylko było nieszczęście, że skłonność miał do poezyi, do sztuki, a nic stateczniejszego, jak ojciec mawiał, przedsiębrać nie chciał. Uczył się dobrze, ale nauki do życia zastosowywać nie myślał.

— Czémże ty będziesz? pytał go nieraz staruszek—bo-ty możesz być czém zechcesz.

— A to Bóg wie... odpowiadał zawsze Otto. Chciałbym spokojnie żyć na wsi w małym dworku, pod zielonemi drzew gałęźmi, z tobą ojcze, ze wspomnieniami matki, z muzyką.

— To dobrze; ależ potrzeba coś robić, pracować.

Na to Otto odpowiadał ruszając ramionami:

— Ale cóż ja potrafię? Do niczego tak wielkiéj nie mam ochoty.

— Bóg da, że to z czasem przyjdzie... mówił pocieszając się ojciec. Człowiek tak zawsze, błądzi szuka, aż trafi na coś do czego jest stworzony.

I urywali rozmowę, a Otto grał na skrzypcach do dnia białego, lub porwawszy książkę, zaczytywał się do drugiego wieczoru, nie mogąc jéj porzucić.

Nie był to jednak miękki sobie artysta, coby chorował na wyobraźnię, śnił i czekał aż go marzenia przyjdą opleść same białemi rękami. Pracował nad sobą i nad ulubioną swą muzyką. Niepokój duszy u niego popychał do zastanowienia i zajęcia, a zastanowienie krążyło w sferze idei niedostępnych zwykle jego wiekowi; pracą najulubieńszą było myślenie i sztuka, bez zastosowania do życia. Otto jednak powoli wyrobił sobie teoryę, do swojego postępowania i upodobań stosowną. Zdało mu się, że człowiekowi bardzo mało wystarczyć może, byle potrzebę duszy zaspokoił. Sprzeczali się o to zawsze z ojcem, który majątek uważał po staremu za wielką dźwignię do szczęścia, Otto za wielką do niego przeszkodę.

— Na co mi wiele? mówił mu: kątek cichy spokój święty, trochę melodyi prostéj, dużo snów o drugim świecie, ot i życie. Życie nasze trwa tak krótko,

że pracować na to wiek, aby się potém pocieszyć godzinę, że się coś ma—nie warto.

— Ale kiedy to daje niezależność? powiadał ojciec.

— Jak komu! Ja zawsze będę niezależnym—mówił Otto—bo na małém poprzestanę, bo o tych, co więcéj mają, nie dbam, bo o suknię nie stoję, bo mi tytuł niepotrzebny, bo przekonany jestem, że tylko przesądy czynią nas zależnymi.

— Ale świata nie przemienisz.

— Więc siebie zrobię takim, jakim świat miećbym chciał.

Ojciec tyle kochał syna, że nie chciał go zmuszać do czegokolwiekbądź; szło więc daléj po dawnemu. Otto śnił, czytał, muzykował i śmiało w życie spoglądał; ojciec się trochę niepokojąc czekał.

Skończywszy szkoły świetnie, bo mu nauka szła łatwo, Otto pojechał do uniwersytetu, wziął stopień, powrócił do domu z doskonałemi skrzypcami Guarnarego, i siadł przy ojcu z książkami i nótami.

Stary ojciec za niego i za siebie gospodarzył: ale przekonawszy się o nieprzepartéj naturze syna, nie chciał go nawracać i namawiać dłużéj: pozostawił jakim był, myśląc przynajmniéj, że się stanie wielkim i głośnym artystą, jednym z tych wirtuozów, co jeżdżą zbierając smyczkiem grosze i wianki po drodze. I w tém się stary omylił, bo Otto brzydził się sztuką jak kuglarstwo jakieś pokazywaną za pieniądze, koncertami, występami, a gdy najbardziéj był natchniony, zamykał się sam, uciekał, aby go nic nie odrywało od jego myśli i uczucia. Mawiał zawsze, że artysta co gra dla popisu, nigdy w pełni idei dźwiękiem wydać nie może, bo słuchacze, na których się ogląda, któ-

rych się lęka, kradną mu ciepło z piersi, odejmują z rąk siłę.

Ilekroć go proszono o muzykę, odmawiał.

— Tylko szejne-katarynkę nakręcić można kiedy się zechce, i postawiwszy grać kazać; artysta czeka aż nań z nieba powieje natchnienie. Ale o danéj godzinie kazać mu grać, być natchnionym, zachwycającym, jest to świętokradztwo, jest to szydzić z niego lub zmuszać go do kłamstwa.

Brzydził się Otto wszelkiemi popisy, ale miał swoje dziwactwa. Czasem wśród nabożeństwa w kościołku, odpychał organistę i siadał grać, gwałtowną czując tego potrzebę, i grał naówczas cudownie. Niekiedy mimo przytomnych ludzi obojętnych i nie znawców chwytał swe skrzypce, zapominając o tych, co go słuchali, jakby ich na świecie nie było: śpiewał co mu w duszy grało.

Takim był ów dziwak Otto, który, wyznajmy to ze smutkiem, wcale nie wyrobił się na wirtuoza. Myśli w nim kipiały, wrzały, wylewały się z niego, ale ich z ową artystyczną doskonałością formy, którą posiadają zimniejsi grajkowie, nie mógł wypowiedzieć, chyba gdy był natchniony. Bóg odmówił mu tego daru wyrzeczenia pięknie i silnie zawsze i wszystkiego, który często spływa na tych, co nie mając co powiedzieć, ślicznie prawią drobnostki. Grał szorstko, gwałtownie, jakby walczył z narzędziem, które duszy jego pragnieniom odpowiedzieć nie mogło; często łamał smyczek, lub od fortepianu, odpychając go, wstawał.

Naówczas oczy napełniały mu się łzami, siadał z założonemi rękami, milczący jak człowiek, którego gniecie w piersi zawarte słowo, niemogące się usty wypowiedzieć.

Ojciec był z wielkiém dla niego uwielbieniem. Choć prosty człowiek, całą jednak wyższość syna rozumiał, przeczuwał, i bolał, ciężkie dla niego przewidując życie.

Tak się staruszek pochylił, zawiądł, i choć się trzymał uparcie swoich zajęć, bo czuł się potrzebnym Ottonowi, sił mu na końcu nie stało.

Ale gdy przyszło umierać, spokojniejszy jakoś zamknął powieki, bo przysposobił na miejsce swoje zastępcę, co gospodarstwo i kuchnię życia miał dźwignąć za jego syna.

Uznawszy Ottona za zbyt wielkiego, niemogącego się znajmować drobnostkami powszedniemi, stary marzył tylko o tém w ostatnich latach, by miał się kim zastąpić przy synu. Była to jego myśl ciągła, nieodstępna, jego nieustanne zaprzątnienie; nie mówił nic, ale krzątał się bardzo. Wybierał ludzi, uczył ich, układał, mylił się i zawodził, aż w końcu trafił na jednego, którego mu się udało tak wyrobić, jak sobie życzył.

Był to daleki jego krewny, człek lat średnich, który całe życie na cudzém pracował, a nic dorobić się nie mógł, gdyż do zbytku poczciwy, a niebardzo przebiegły, zawsze padał ofiarą mniéj skrupulatnych a chytrzejszych od siebie.

Tego człowieka, niewielkich talentów, ale dobrego serca, stary Marzycki postanowił przerobić zupełnie, wdrożyć w tryb zajęć swoich, aby go po sobie zostawić zastępcą. Była to natura miękka, bierna, powolna, a serce złote.

Pan Zacharyasz, niepozorny, mały, suchy, chudziutki, niewielkiego o sobie mniemania, nic dla siebie też niewymagający, byleby mu modlić się nie przeszkadzano po cichu, bo po całych dniach szeptał chodząc,

z niedostępną koronką i książeczką—dał się staremu Marzyckiemu urobić jak tamten chciał.

Marzycki prowadził go wszędzie za sobą jak cień po gospodarstwie, na wszystko zostawiał przepisy, na wszelki możliwy przypadek radę, wszystkie mu swe przelał teorye, doświadczenie całe, i zrobił z niego odbicie siebie samego. Zacharyaszek pozbył się własnych myśli, tak mu stary nieużyteczność ich dowieść potrafił, a zarazem nabił mu głowę wielkiém posłannictwem, jakie spełnia.

— Widzisz kochany braciszku, mówił do niego: Ottonek to marzyciel i człek z innego świata; chleba-by kawałka nie miał, gdyby się sam rządził. Jemu potrzeba takiego, coby jak ja po cichu nań pracował i gotowe mu podawał. To twoja rzecz być musi: ja ci wszystko zostawię, tylko mnie słuchaj.

I Zacharyaszek jak posłuszna papuga wyuczył się co mistrz przykazał; a tak dobrze i wiernie spełniał przepisy, że już za życia, pod koniec puściwszy go na próbę, stary Marzycki mógł się przekonać z pociechą że go nie zawiedzie zastępca. Gospodarstwo, interesa, kłopoty przejął pan Zacharyasz, którego w domu nie widać było nigdzie, ale który wszystkiem władał po cichu.

Przy wielkiéj pracowitości był to człek znowu tak bezinteresowny, tak małych potrzeb dla siebie, że nic prawie nie kosztował. Nie brał pensyi, nie zbierał sobie nic, wszystko nazywał swojém; ale gdy mu przyszło guziki u staréj kapoty odnowić, szedł po dwa złote do Marzyckiego, i tłómaczył się z tego wydatku jak z największéj rozpusty. Przejęty tém, że wszystko potrzeba było dla Ottonka poświęcić, obojętny na wygody dla siebie, na przyszłość swoją, prosty ten

człowiek był wcielonêm poświęceniem. W dodatku nietylko nieprzeceniał swéj ofiary, ale miał się za szczęśliwego, że znalazł kąt i opiekę, i czuł się jeszcze obowiązanym.

Pan Zacharyasz mały i skulony, z głową trochę przekrzywioną na karku, przesuwał się jak cień ukradkiem po domu i gospodarstwie, nie mówił prawie lub mówił tylko po cichu, chodził na palcach i ukrywał się z sobą. Otto kochał go jak brata, on jak dziecię własne Ottona, ale się spotykali rzadko, a spotkawszy się tak daleko od siebie znajdowali pojęciami, że nigdy pogadać nawet dłużéj nie mogli. Żyli wcale w różnych od siebie sferach.

Takiego zastępcę długą lat pracą przysposobiwszy na swe miejsce stary, zasnął spokojny, zostawując Ottona na jego opiece. Mogiła tego poczciwego ojca niedaleko Robowa, wioseczki Marzyckich, usypana na cmentarzu, była jednêm z miejsc, w których Otto najchętniéj długie godziny przepędzał. Chadzał tam codzień prawie, siadywał przy niéj, i jakby jeszcze z ojcem duszą rozmawiał, powracał uspokojony i weselszy. Po śmierci tego przyjaciela, Otto długo cierpiał bardzo, dom mu opustoszał, wszystko poszło nie w smak, nudził się, tęsknił, płakał. A że za życia ojca jeszcze bywał często w sąsiedniéj wiosce u Małowickich, którzy z Marzyckimi żyli w przyjaznych stosunkach, tam i późniéj chronił się i przesiadywał, gdy mu w domu było ciasno i duszno.

Małowiccy mieli część w blizkiéj osadzie znaczniejszą od Robowa, dobrze zagospodarowaną, a byli to ludzie wedle serca naszego Ottona. Sam stary, szlachcic prosty, wiejskiém wykarmiony powietrzem, poczciwy, otwarty, serdeczny, jeszcze pamięcią i oby-

czajem dawniejszych sięgał czasów. Wesoły pracowity hreczkosiéj, stworzony na żołnierza, choć nim nie był, Małowicki ujmował każdego sercem, które biło tak, że chyba ślepy go nie widział, chyba kamienny nie czuł. Wąsaty, barczysty, typem był owych naszych dawnych gospodarzy, którzy nic w świecie nie widzą nad stan swój, nad życie swoje.

Miasta nie cierpiał, mieszczanami się brzydził, a gdy mu przyszło wyjechać na czas do miasteczka, uciekał z niego pierwszéj wolnéj godziny, jako od powietrza. Wesół był z natury i lubił śmiać się, smutek przepędzał jedném tém naszém:

— Jakoś to będzie!

Była to w nim niezdająca sobie sprawy z siebie wiara w Opatrzność niezwalczona. Małowicki ożenił się był z miłości z ubogą panienką, która przez lat kilka była nauczycielką przy dzieciach w sąsiedztwie, sierotą, ale bardzo starannie wychowaną, i jak wszystkie sieroty, trochę wyegzaltowaną.

Małżeństwo to było idealne, pełne przywiązania ku sobie, kochające się jak para gołębi, śmieszne trochę dla świata, ale dla siebie dziwnie do szczęścia dobrane. Ludzie już niezbyt młodzi, przeżyli lat dwadzieścia bez chmurki, bez ostygnienia, a wypróbowana ich miłość zdawała się wzmacniać jeszcze i rosnąć.

Mieli tylko córkę i syna.

Natalka, dziecię ich ukochane, śliczne było jak aniołek, a wyuczone czułości wykołysane w tém gniazdku, gdzie nigdy sporu nie słyszało i nic nie widziało prócz pieszczot i uśmiechów, wyrosło na ptaszynę serdeczną.

Atmosfera, w któréj oddycha człowiek, niestety!

mimo sił jego wewnętrznych, niezmiernie wielki wpływ nań wywiera. Są takie robaczki, co żyjąc liśćmi zielonemi stają się zielone, rosnąc na różowych kwiatkach, czerwonego nabierają koloru: trochę to tak i z ludźmi, mimo ich samoistności. Potrzeba wiedzieć o wpływie, który nas może zepsuć i przekształcić, aby mu się oprzeć; trzeba, by on był całkiem przeciwny naturze naszéj, aby opór wyrodził: inaczéj powoli mu się ulega.

Przy kochających się rodzicach, Natalka wyrosła z taką czułością w sercu, gotową świat cały pokochać, że spojrzawszy tylko na nią, człek stawał się lepszym i wierzył we wszystko dobre.

Piękna jak aniołek, z blond włosami, z oczyma niebieskiemi, z rumianą twarzyczką, nie była ona dzieweczką rozdziwaczoną chorobliwą czułością, ale wesołą istotą, która tylko dobre widzi, dobre czuje i w dobre wierzy, a goryczy i zawodów nie kosztowała. Wesele uśmiechało się z jéj oczu, promieniało na jéj czole. Jeżeli czasem od świata walki i nędzy echo dalekie obiło się o jéj uszy, trzeba ją było widzieć zdumioną, niedowierzającą, niemogącą pojąć, co ten akkord dysharmonijny oznaczał.

Wychowanie Natalki było staranne, a umysłowi jéj dodawać sił się zdawało wewnętrzne usposobienie sił nowych. Czyściéj, daléj, lepiéj widziała od drugich, szczególniéj dobre strony, jasne życia oblicza. Dziewczę pieszczone, w cichym kątku zamknięte, miało pojęcie o świecie tylko z tego zielonego listka, którym się karmiło.

Już dorastającą Natalkę poznał Otto Marzycki, a dwie te dusze krewne odrazu poczuły się dla sie-

bie stworzone. Rzadko, może raz w lat seciny trafi się na świecie podobna miłość jak ich dwojga, czysta, dziecinna, rozmarzona, poetyczna, a nie płaczliwa i łzawa, ale anielsko-wesoła. Temu świętemu uczuciu nic nie stało na przeszkodzie: poznali się, pokochali serdecznie, a rodzice patrzali na nich z taką pociechą serdeczną, z jaką się pogląda na piękny szczęścia obrazek.

Wioska Robów od Małowickich tak była blizko, że Otto i Natalka codzień się niemal widywali. Na tę miłość dwojga kochanków i z niebios anioły mogły się patrzeć nie rumieniąc, tak była czysta i święta. Otto napawał ją muzyką, ona go wesołą poezyą młodych uśmiechów i słówek skrzydlatych. Namiętność ich nie rozdrażniona niczém, nie rozgwałtowniona, płynęła spokojnie bez burzy i porywów, jak pieśń uroczysta. A kiedy się z sobą spotkali, kiedy podali sobie ręce, kiedy jéj lekki rumieniec, jego łzawe oko świadczyły, że tęsknili ku sobie,—wnet uspokojeni po chwili, znowu żeglowali po czystém zwierciedle, którego wody zawsze jasny błękit pokrywał.

Ich miłość zdawała się im spełnieniem odwiecznego wyroku.

Był to widok cudowny—wesela, szczęścia niezamąconego niczém, przyszłości jasnéj i pogodnéj. Otto ani się śpieszył przeciwko nowemu życiu, ani chciał jéj wyrwać z téj dziewiczéj swobody, w któréj jak ptaszek ulatywała. Nie było mowy o jutrze, nie było jutra.

Rodzice Natalii zostawili im zupełną swobodę; pewni charakteru Ottona, powierzali mu ją jak bratu. Niewinne dziecię nie kryło się wcale z przywiązaniem. Dni bez chmur otaczały ich ciszą uroczystą,

Ale świat nie ma długich dni wesela; w naturze i życiu człowieka, wszystko przerywa burza, kończy noc ciemna. W chwili kiedy już Otto marzył o swym domku z Natalią, co go sama powoli urządzała; kiedy drożynę między Robowem a Jeziorką wysadzali różami, aby nią chodzić do rodziców; gdy się cieszyli tém pewném szczęściem, jakby ono tylko przedłużeniem tego co mieli być musiało, oboje czyści oboje spokojni i pewni, że żadna siła bicia ich serc wstrzymać nie może,—Natalia zachorowała. Niespodzianie z téj pełnéj zdrowia twarzyczki znikł rumieniec, kaszel odezwał się w piersi, i nierychło dopatrzono się niebezpieczeństwa, gdy już wstało widmem groźném, gdy przeciw niemu nie było ratunku. Śliczne dziecię dostało suchot, ale nie cierpiało wiele, nie poczuło się chorém: marząc o zdrowiu i szczęściu, zagasło tak powoli jak lampka wieczorna. Nie śmiano jéj truć tych chwil ostatnich, ukrywano chorobę śmiertelną. Do ostatka uśmiechały się jéj twarze rodziców i twarz Ottona, który czuł, że życie jego z ostatnim tchem jéj pójść powinno.

Ale gdy białe ciało aniołka złożono wśród kwiatów na ostatniéj pościółce, gdy Otto przy niém uklęknął, zapragnąwszy z nią umrzeć,—Bóg skazał go na życie. W niemniéj i milczącéj rozpaczy wyglądał śmierci i doprosić się jéj nie mógł.

Uczucia w téj piersi marmurowéj były potężne, ale życie silniejsze od nich jeszcze; chłonęły je jak morze zalewa skalę, nie mogąc roztopić w sobie. Ani skargi, ani jęku nie wydał Otto po śmierci téj, która dla niego zamknęła życie; najstraszniejszą w nim była ta niemota boleści, to oko bez łzy, ten stan na pozór nieczułego kamienia, który jednak ożywiała jakaś wola

i rezygnacya potężna. On sam zajmował się pogrzebem, on sam grób jéj budował, mogiłę sypał, kwiatami ją obsadzał, i jak wprzódy grób ojca, tak potém jéj i ojca mogiła stała się dla niego celem codziennych wycieczek. Z rozpaczy milczącéj a zamkniętéj w sobie, która się nigdy nie skarżyła przed obycymi i kryć dumnie zdawała z sobą, czas powoli zrobił poważną boleść człowieka, który nie narzeka, bo wie, że toby nie pomogło, ani porządku świata nie zmieniło. Otto pozostał wierny temu uczuciu, które ze stanu gwałtownego przeszło i skrystalizowało się na wieki. Wspomnienie w nim pozostało tak żywe, jakby wczoraj dopiero zebrał je z błoni życia; owszem, wyobraźnia jak obrazek święty stroiła je i upiększniała, z wizerunków przeszłości czyniąc ideały coraz promienitsze i piękniejsze. Wszystko ziemskie z nich opadło; jaśniały żywemi barwami ideałów i poezyi.

Z tym bólem w sercu, ze czcią mogił kochanych, Otto pozostał do siwych włosów. Zabiegała mu drogę niejedna twarz uśmiechnięta, niejedno oczko łzawe, wabiąc weselem i smutkiem; niejedno serce poczciwe zabiło dla niego więcéj niż litością: ale Otto był wierny żałobie swéj i miłości. Któraż zresztą kobieta mogła stanąć w sercu jego obok téj istoty anielskiéj, na powietrznéj, smętnéj, jaką pamiętał witającą go uśmiechem przy skonaniu, w trumience ze złożonemi rękami modlącą się za niego po śmierci!...

Muzyka, która była jego namiętnością i powołaniem dawniéj, stała się teraz pocieszycielką i tłómaczem nieokreślonych żalów, wspomnień, nadziei. Natura jéj czyni ją właśnie najlepszą powiernicą boleści.

Otto znajdował, że żadne słowo, żaden język nie mógł tak wypowiedzieć uczucia jak dźwięk, który

w nieokreślonym swym wyrazie jest hieroglifem dla jednych, dla drugich całe życie w drgnieniu i jęku wypowiada.

Otto cały się oddał muzyce.

Pan Zacharyasz chodził, krzątał się, gospodarzył, utrzymywał porządek, myślał o chlebie powszednim; Marzycki nic się w to nie wdając, żył jak był już przywykł w rozmarzeniu i dźwiękach. Samotna codzień przechadzka do grobu ojca i Natalki, u których często godzinami modlił się i dumał, czasem odwiedziny starego przyjaciela Żółtowskiego, którego kochał za poświęcenie, prostotę serca i milczenie nawet; reszta dnia w domu przy fortepianie i skrzypcach.

Dom Ottona, stare dworzysko pod słomą, z wysokim dachem, pochylone, w cienisty sad zasunięte, miało fizyognomię szlacheckich domów dawnych, które codzień dziś ustępują miejsca wykwintnym a kruchym lepiankom. Dziad jeszcze pobudował go, dzisiejszy dziedzic jak mógł życie swe starał się w nim pomieścić. W jednym pokoiku od ogrodu, do którego mało kto był przypuszczany, mieszkał otoczony pamiątkami Otto. Obawiał się on śmieszności, i krył się ze skarbami, które składały listki zeschłe, wstążki zbladłe, kartki pożółkłe. Były to dzieje lat młodości, którą przedłużał, starając się jéj być wiernym. Tam wisiał potret ojca, matki i Natalki w białéj sukience, z pączkiem białego jaśminu w ręku. Ostatni brzydko dosyć malowany przez naiwnego nieuka, miał przecie ten cudem pochwycony wyraz anielski dziewiczéj twarzy, którego często uczeńsze dzieła nie mają. Pod nim stały dwie daty: pierwszego poznania dziewczęcia i jéj śmierci.

Reszta domu składała się z pokojów, które w ciągu

roku zajmowali nieustannie goście ubodzy, artyści różni, a wielka sala jadalna służyła do muzyki. Fortepian, nóty, mały organek, skrzypce, wiolonczelle, różne narzędzia muzyczne w nieładzie rozrzucone, cały ten pokój zajmowały.

Tu niemal cały dzień schodził Ottonowi i jego towarzyszom, a Robów nigdy nie był pusty.

Zawsze jakaś bieda, talent, młodość marząca, garnęły się pod skrzydła ubogiego człowieka, który ostatni grosz dzielił z biedniejszym, a nadewszystko umiał wlewać siłę, nadzieję i zdrową zasilić radą.

Szumne owe błyskotliwe talenta, którym dobrze na świecie, bo się z sobą popisywać umieją i do popisu tylko są stworzone, nigdy prawie nie garnęły się pod strzechę Ottona; bo Otto jak kochał muzykę, tak znowu wirtuozów pełnych samolubstwa i zepsutych oklaskami nie cierpiał.

Zbolałe dusze i nieuznane talenta mieniały się tu ciągle: nieraz przychodził człowiek odarty, bojaźliwy po naukę, którą cierpliwie dawał mu przytulając litościwie Otto. Muzykalne zresztą kształcenie było jednym z mniejszych darów jego; więcéj daleko znaczyło nasienie poczciwe, które rzucał pełną dłonią w dusze młodych ludzi, cześć sztuki, którą ich umiał natchnąć, poczucie jéj powołania i godności, zamiłowanie ubóstwa, które podnosił do wyżyn męczeństwa.

Sam czysty i prawy, gdy tylko postrzegł i poczuł w zbliżającym się do siebie skrzywione pojęcia, a co gorsza, serce już zepsute, żądzę i pragnienie chluby, oklasków, zazdrość zjadliwą,—cofał dłoń swą i zimno żegnał przybysza. W téj atmosferze zdrowéj, istoty tylko zdrowe, mieszkać i żyć mogły; inni wytrzymać nie umieli: zarażony musiał się wyleczyć lub uciekać.

Dom jego był zawsze pełen, nigdy mu gości nie brakło: bo jest wielu, co cierpią i łakną prawdy. Otto mało pytał o przeszłość i przyszłość, nie narzucał się z radą; czuł, że ona wytrysnąć była powinna nie z ust chłodnych, ale z gorącego serca, z przykładu, z życia.

W chwili właśnie, gdyśmy go spotkali u Żółtowskiego, Marzycki nie był sam jeden. W Robowie było aż trzech biedaków, którzy chlebem jego razowym tuczyli swą młodość i krzepili wesele. Życie tam było niezmiernie proste, niewytworniejsze w święto niżeli w dni pewszednie, obyczaj prawie ubogi, tak jak bywało za ojca; ale choć chleb był czarny i krupnik prosty na stole, najświeższe utwory geniuszu, najdroższe płody wielkich mistrzów, w zbytkownéj liczbie się tu rozlegały. Kosztem zbytku ciała kupowano konieczny dla duszy zbytek.

Na dni kilkanaście przed odwiedzinami hrabiego Hermana w Zarubińcach, do jednego już tylko pozostałego od lat trzech towarzysza Ottona, który się stał prawie domowym, przybyli dwaj jeszcze.

Dawniejszy ów wychowaniec Ottona był niejaki Martynko, syn ekonoma, którego gospodarz sam wykształcił i miał nadzieję na znakomitego wyrobić muzyka. Biedne chłopczysko ledwie było szkoły nieźle skończyło, gdy go muzyka pochwyciła; a że rodzice ubodzy, téj passyi przezwyciężyć nie mogli i kształcić go nie mieli za co, oddali Ottonowi, który wychowanie jego muzykalne począł od *a*, *b*, *c*, a teraz kończył je, rozwijając duszę, która przez palce, już wprawne, grać miała.

Otto mawiał zawsze:

— Co mi z tego, że kto gra pięknie? Cóż on zagrać potrafi, jeśli w nim samym gra namiętność, gra

dziwactwo, a żadna myśl wielka i święta nie mieszka? Co mi z artysty, który kalligrafuje pięknie, a trzech wierszy nie wymyśli? Wielki artysta musi to posiać w swéj duszy, co ma w niéj późniéj grać dźwiękiem Kwiat ten, nim wykwitnie, powinien rosnąć i zielenić się wprzódy.

Martynko nadał mu się dobrze do takiego wychowania. Był to chłopak cichy, skromny, pobożny, bojaźliwy, chorowity, ale w duszy czysty i z organizacyą artysty: nie tego co ma wiecznie grać czego nie rozumie, ale takiego, co czuje więcéj niż przez całe życie wygrać potrafi. Otto wpłynął nań potężnie i zrobił z niego fenomenalnego muzyka co do wprawy i umiejętności, jak on sam nielubiącego się popisywać i profanować swéj sztuki lada przed kim, grającego sobie i Bogu. Olbrzymie też na nim pokładał nadzieję.

Od niejakiego czasu, dziwnym składem rzeczy, sam Martynko tylko gościł w Robowie, gdy jednego wieczoru, wózek z blizkiego miasteczka przywiózł na raz dwóch młodych chłopaków.

Jeden z nich był, co zresztą łacno na pierwszy rzut oka poznać było można, wirtuoz z rodzaju długowłosych, których trocha łatwości i talentu, a wczesne w czternastym lub piętnastym roku oklaski, psują i uspasabiają na kuglarzy. Maks Fermer już od lat kilku dawał koncerta po większych i mniejszych miastach, już zbierał wieńce wawrzynów, już pełny miał pugilares gazeciarskich pochwał, a album pełne wierszy i sonetów parafialnych; zaczynających się od:

Mistrzu, któryś...

a kończących się na:

niezrównany, bozki!

W tém wszystkiém wiele było o kraju, narodzie, o sztuce i geniuszu... ale sensu mało.

Maks Fermer grał na wiolonczelli, grał fantastycznie, żywo, z nadrobionem uczuciem; ale taki był z niego muzyk jak bywają poeci, co sześć wierszy gotowi zawsze zrodzić przy kieliszku. Muzyki nie uczył się, nie umiał wcale: grał po większéj części swoje własne kompozycye dość niezdarne i niebardzo logiczne, ale bardzo effektowe, i zdawało mu się, że jeśli nie przeszedł Servais'a i Romberg'a, to dla tego tylko, że się jeszcze na nim nie poznano.

A że był ładnym chłopcem i pierwsze swe popisy prowincyonalne odbywał w tych szczęśliwych miejscowościach, które łakome były na wirtuozów, bo zasłyszały coś o Lisztowskich entuzyazmach i spazmach, jakie się z nich rodziły, i chciały dać dowód, że i one spazmy i wieńce sypać potrafią—więc od razu okrzyczany został za genialnego. Dla tego rodzaju znawców dość, żeby nie było sensu, a będzie geniusz.

Jak grał to grał Maks, ale śmiało umiał wynijść, skłonić się, świat traktował z góry, z ową pewnością siebie, która zawsze zwycięża; miał czarne oczy tryumfujące, i z razu mu się, szczególniéj po małych miasteczkaah, niesłychanie wiodło. Był już pewniusieńki, że z tryumfu w tryumf pójdzie *ad sidera!*

Pojechał więc daléj i ogłosił koncert, ale wpadł w atmosferę oziębioną przez skrzypków, wiolonczellistów i dwunastu cudownych pianistów, którzy wszelki zapał i dwuzłotówki wyczerpali. Grał więc przed prawie pustemi ławkami, i odtąd po kilkakrotnych próbach zawsze nieszczęśliwych, z pustą kieszenią i zakrwiawioném sercem wyrzekłszy na świat anathema, jak niepoznany geniusz, oddał się narzekaniu na głu-

potę kraju, brak cywilizacyi, uczucia, na barbarzyństwo i t. d. Wybierał się nawet za granicę, gdyż tam dopiero miał być oceniony, ale fundusze nie dozwoliły mu jeszcze do skutku przyprowadzić tego zamiaru. Rola jego teraźniejsza dość smutna, miała dla patrzących z boku wiele komiczności; słysząc go wzgardliwie plującego na wszystko i pokręcającego wąsik do góry, niepodobna się było wstrzymać od śmiechu, zwłaszcza kto wiedział, że kilka pustych koncertów spowodowało tę mizantropię tak gwałtowną.

Jak ludzi i świat, tak arcydzieła i mistrzów, Maks lekce sobie ważył, należąc (choć sam o tém nie wiedział) do muzyków przyszłosci, radykalistów, którzy nie spojrzawszy nawet w to, co po za nimi zostało, śmiało jak plewę całe skarby dawne odrzucają.

Ostatkiem goniąc, Fermer znajdował się właśnie w miasteczku sąsiedniém, gdy w cukierni, w któréj go garstka pseudo-miłośników muzyki otaczała, spotkał się z drugim takim oryginałem jak sam, ale daleko szlachetniejszym i szczerszym.

Był to młodzieniec pięknéj twarzy, wysokiego wzrostu, blondyn, którego twarz jaśniała jakąś dumą i nieukróconą swobodą, ubrany w kożuszek prosty, opalony: zdziczały, ale śmiały jak dziki człowiek.

Poznali się z nim przy szklance ponczu i razem sobie poczęli na świat, którego ledwie koniec nosa widzieli, narzekać, przeklinać go i wyśmiewać.

Nastąpiła serdeczna przyjaźń, wyznania, ułamkowe biografie bohaterów, i liga potężna, wiekuista. Młody ów lew nazywał się Janko Zbój, i powiadał, że był szlachcicem z Podola, ubogim sierotą, który w świat się puścił szukać czego nie zgubił, bo mu tam w domu było niedobrze.

Janko Zbój osobliwsze wykładał teorye, które wszakże Maksowi przypadły do smaku swą oryginalnością. Utrzymywał on, że cywilizacya psuje ludzi, że stan napół dziki jest najszczęśliwszy, bo daje hart duszy; śmiał się z salonów i ich zwyczajów, i dodawał, że choć go los i urodzenie do nich przeznaczyło, dobrowolnie się ich wyrzekł. W Janku znać było chłopca niezepsutego jeszcze, ale dziwnie rozbujanego, niecierpliwego na wszelkie powagi i przymus moralny, potrzebującego się wyszumieć pianą młodości gorącéj, niepohamowanéj. Na pięknéj jego twarzy, któréj rysy uwagę każdego zwracały, płonęła jakby wzgarda ku bezsilnym rozpieszczeńcom, co go otaczali; hardy, mocen sobą, zdawał się wyzywać do boju choćby całe zastępy.

Nie było w nim wykształcenia wielkiego, ale jakby resztki starannego wychowania, które umysł zbuntowany po swojemu użył, rozniósł i rozrzucił. Poezyą młodości i siły złociły się jego usta, oko płonęło.

Obok Maksa, który miał się za żywego Apollina belwederskiego, z powodu, że dwie guwernantki rozkochał i od jednéj wdowy dostał pierścionek na pamiątkę, Janko Zbój wyglądał jak Herkules, ale Herkules młody jeszcze, z całym życia zasobem wziętym z kolebki, w któréj dusił węże.

Zasiadłszy nad ponczem, całą noc gwarzyli młodzi. Janko szydził, Maks mu potakiwał i rzucał na kraj przekleństwa. Podpiwszy trochę, poprzyjaźnili się serdecznie; a gdy się jeszcze okazało, że Janko był trochę fortepianistą, ułożyli na prędce projekt jechania razem. Zbój był gotowym akompaniatorem dla Maksa, który go wspaniałomyślnie do trzeciéj części z koncertów przypuścił. Janko warował sobie tylko

żeby mu fraka pożyczał do sali, bo tego nie miał i jako piętnem niewoli się nim brzydził.

Ogłosił tedy zaraz koncert wielki, który dał im czystego dochodu złotych czterdzieści. Drugi nieco liczniejszy, gdyż Janko tłukł fortepian bez litości, a Maks piłował wiolonczellę aż się skry sypały, zarobił sto kilkadziesiąt. Ktoś rzucił bukiet Maksowi, ale było silne podejrzenie, że on go sobie sam kupił i tę owacyę niezręcznie spreparował. Żyli z tych dwóchset złotych w miasteczku dwa tygodnie, zapraszani do wielu domów, ugaszczani, noszeni na rękach, ale się im w końcu sprzykrzyło, gdy Maks postrzegł, że się w nim nikt nie kocha, a Jankowi kładzenie fraka było nieznośne.

Zasłyszawszy o Ottonie, i nająwszy ostatkiem grosza furmankę, przyjechali wreszcie do Robowa..

Maks pewien był, że tu przynajmniéj przyjęty zostanie z zapałem, i uznał za słuszne przybrać minę zrażonego geniuszu, który lada chwila może świat pozbawić swych promieni; z goryczą i szyderstwem przedstawił się Ottonowi, na któym tyle tylko widomego zrobił wrażenia, że ramionami ruszył. Janko przyjechał w kożuszku, i w nim pozostał, grając rolę podrzędną.

Zbój choć grał na fortepianie, nie miał żadnéj do artyzmu i muzyki pretensyi. Ucho miał dobre, ręce twarde, wprawy mało: znać było, że się bardzo zaniedbał, i choć miał talent, nie przypuszczał go w sobie, śmiejąc się sam z tych, co na koncertach brali go za coś.

W tym względzie był on przeciwnym Maksowi biegunem, który o sobie żywił pojęcie potężne. Zadziwił

się nieco Fermer, że go zaraz nie proszono grać, a jeszcze bardziéj, gdy potém gra jego żadnego nie wzbudziła entuzyazmu. Otto wysłuchał go z jakąś poważnie litościwą fizyognomią i usiadł wzdychając; Martynko spuścił głowę i zarumienił się, nie śmiejąc w oczy spojrzeć wirtuozowi, który sam uczuł się jakoś śmiesznym, i mocno go to zabolało.

Grał bowiem dla otrzymania od razu stanowczego zwycięztwa swą wielką fantazyę pod tytułem: *Niebo i Piekło*, w któréj nagromadził mnóztwo figlów i effektów, ale sensu w niéj niebyło ani za grosz, a logiki za szeląg. Była to łatanina przypomnianych tematów, waryacye bez związku z sobą, sztuczki i foremki różnego kalibru.

Maks uważał to za arcydzieło, chociaż i dziełem nawet nazwać się nie mogło. Otto nie przywykły do takiéj kociéj muzyki, pisanéj bez znajomości sztuki i natchnienia, milczał.

Wreszcie spytany przez autora, rzekł otwarcie:

— Nie zrozumiałem.

— W istocie—odparł Maks—nie jest to łatwe do zrozumienia; jest to pierwszy zarys olbrzymiéj epopei muzycznéj.

Martynko, który znał się z wielkim stylem i prostotą Haydnowskiego Stworzenia Świata i Siedmiu Słów Boleści, uciekł do drugiego pokoju, obawiając się parsknąć.

Maks mimo dość zimnego przyjęcia, pozostał w Robowie, bo nie miał co nadal począć z sobą. Jankowi tu dobrze było, choć w wielu rzeczach nie zgadzali się z Ottonem, bo Zbój był apostołem dzikości i swobody nieukróconéj, a Otto tyle znał świat, że się nie mógł podobnemi teoryami zabawiać; coś było w tém

rozbujałém dziecku sympatycznego, w jego sile miłego i dobrego, szlachetnego w instynktach. Zresztą, jako muzyk, śmiał się sam z siebie, głośno mówił, że nic nie umie, i tém sobie ujął Ottona.

— Co ty chcesz z sobą zrobić? spytał go w kilka dni potém Otto.

— Ja? odparł Janko—albo ja wiem?

— Przecięż musisz jeść, trzeba coś robić.

— A no, to będę konie pasał—rzekł Janko—jeśli nic innego nie potrafię; jeszcze to może jedno z najlepszych... Powietrze, słońce, lasy, i w kożuszku chodzić można, a nikomu się nie kłaniać, i dosiadłszy źrebca wychulać się na nim do zmordowania...

— Cożeś ty dotąd robił?

Twarz Janka się zachmurzyła.

— A cóż? Sierota, wałęsałem się po świecie; trochę mnie z początku uczyli, trochęm się na gwałt podduczył; potém nie stało opiekunów, poszedłem w świat, ot tak sobie bez grosza, tom różnie zarabiał: koniem najeżdżał, myśliwstwo u hrabiego utrzymywałem, to się tam coś zapracowało. Potém zjadło się co miało, więc wałęsałem się; a teraz pójdę gdzie służyć, byle z bydłem a nie z ludźmi mieć do czynienia i być swobodnym. Z hrabią rozstaliśmy się, bo myślał, że płacąc wolno mu było mówić do mnie niegrzecznie i grubijańsko: odpłaciłem mu tąż samą monetą, i kwita. Co daléj będzie, nie wiem. Może wiecie gdzie jakie stado i miejsce koniuszego?

— Nie wiem—rzekł Otto,—ale cię na to szkoda.

— A mnie samemu nie. Cóż to złego? byle był chleb, a niewoli nie było, bo téj nie wytrzymam. Zresztą wy ludzie frakowi tego nie zrozumiecie.

— Ja to dobrze rozumiem.

— Jam dusza stepowa, dodał Janko: mnie milsza kozacza swoboda nad wszystko.

Obaj tedy ci przybylce jak raz usadowili się w Robowie, ani myśleli ztąd ruszyć. Najgłówniejszą tego przyczyną było, że jak Maks wielki, tak Janko, nie mieli o czém wyjechać, wyczerpawszy ostatnie zapasy. Ale Janko pierwszy się śmiał z tego, a wielki geniusz Fermer starał się to smutne położenie różnemi pokrywać kłamstwami. Obojętność towarzysza wprowadziła go wreszcie na tór udawania pogardy dla grosza i *podłego kruszcu;* ale to mu jakoś nie szło.

Martynko patrzał na to nowe zjawisko wielkiemi oczyma człowieka, który nigdy nic podobnego nie widział i nie marzył. Gruntowną mając naukę, pracowity i skromny jak Otto mistrz jego, biedny chłopiec nie pojmował, aby taka zarozumiałość lęgnąć się mogła wśród takiego nieuctwa, i żeby oboje razem szły w świat tak śmiało, głosząc o sobie dziwy.

Janko przynajmniéj nic nie umiejąc, sam z siebie żartował, muzykę swoją lekceważył choć istotną do niéj miał zdatnność; śmiał się z téj roli wirtuoza, którą mu narzucono. Ale Maks nawet sam na sam z nim nie wychodził z poszanowania dla swojego geniuszu i komedyi, w którą się już tak wdrożył, że ją musiał grać całe życie.

Obaj ci ludzie z różnych powodów zajęli gospodarza, który od pierwszego wieczoru poznał ich charakter i mógł wróżyć o przyszłości.

Żal mu było tego Maksa z takiém szaloném zuchwalstwem idącego w świat bez nauki, a może bez talentu i ochoty nawet do tego, co czynił; żal więcéj jeszcze Janka, który poznany bliżéj, na poczciwe, popsute tylko i rozpuszczone chłopię wyglądał. Ostatni

prostotą swą i szczerością ujął go za serce. Sam on zwał się duszą stepową, i dziwne miał jakieś wstręty do życia cywilizowanego, a popęd do samopaśnego choćby nędzą okupionego żywota. O przyszłość dbał jak najmniéj, nie obchodziła go ona wcale, dobijać się niczego nie myślał; w końcu jego wszystkich marzeń była nieograniczona jakaś swoboda Araba, który ugania się po pustyni sam jeden, ale jak ptak wolny. Choć mało znał innego życia warunków, takie ono w nim budziło wstręty, że wolałby był przywdziać nędzę i łachmany, niż frak z pełnemi kieszeniami złota. Z tego punktu zapatrywał się on na świat, szydząc z niego niekiedy niesłusznie, czasem bardzo trafnie.

Nigdy może mniéj sobie charakterami pokrewne dusze, jak Maksa i Zbója, nie połączyły się z sobą: Maks był cały kuglarzem, Janko nie umiał kłamać i brzydził się wszelkim fałszem. Tylko mizantropię jego wygodnie było na chwilę przywdziać Maksowi, póki był goły i pamiętał ostatnie chybione koncerta, i w tym punkcie stykali się z sobą, że obaj na świat dziwne prawili dziwy.

Maks przy wielkiéj śmiałości miał zdolności mało; Janko przy nieuctwie łatwe objęcie, umysł bystry, rozum zdrowy i chęć nawet do pracy, byleby ta nie była ujęta w formy konieczne, w godziny naznaczone, w niewolnicze klamry.

Nieproszeni goście siedzieli spokojnie w Robowie. Pierwszego zaraz wieczoru dawszy miarę tego co umiał Maks, widząc jak małe na słuchaczach uczynił wrażenie, pokrył w sobie to co uczuł, a że w istocie muzyki nie lubił bardzo, już późniéj popisywać się nie chciał, odzywając się nawet z groźbą, że pozbawi świat

wielkiego artysty i pójdzie inną drogą, kiedy tu uznania nie znalazł.

Najdziwniejszem było, że Janko, który sąd miał dosyć zdrowy, nie umiał się wcale poznać na towarzyszu: brał go za geniusz i dawał sobie wmówić wszystko co Maks chciał.

Wieczorem, gdy po długiéj gawędzie szli drugiego dnia na spoczynek, Maks, któremu szło o to, by zbadać czy nie stracił uroku w oczach towarzysza, ziewnął ogromnie i odezwał się rzucając na łóżko:

— Co ty mówisz o tym domu?

— A cóż, to serdeczny jakiś człowiek ten Marzycki, i lubi muzykę.

— Tak! zimny, pedant! Zdaje mi się, że do genialnych pomysłów nigdy się wznieść nie potrafi, nie ma ognia świętego! nie! Uważałeś jak słuchali, gdym im grał! Zrobiło to wrażenie, nie można powiedzieć, ale jakby pierwszy raz coś podobnego o jego uszy się odbiło, stał osłupiały—zimny! To jeden z tych ludzi—ja się znam—którzy wszystko mierzą łokciem starych prawideł: dusza jego nigdy nie podniesie się ku ideałowi, ku tym strefom, w których mieszkają wybrani. Proszę cię, przysuń mi tytuń...

A życie jakie tu prowadzą! dodał Maks: — chleb czarny, jaka strawa! wino kwaśne! lura! dom i meble, co to za graty! Człowiek jednak ma być nie ubogi! Ja tu długo nie myślę gościć—rzekł kończąc—mam jeden projekt tylko: potrzeba mi, żeby ten człowiek swoim wpływem koncert nam na wsi urządził; zbierze się coś grosza i w świat! Jabym się tu na śmierć zanudził: to gorsze od klasztoru!

Janko westchnął.

— Nie ze wszystkiém—rzekł—godzę się z tobą;

bo mnie tu dobrze, a Otto jakoś mi przypadł do serca.

— Poziome, poziome istoty! mruczał zapalając fajkę Maks: jabym tu zastygł, ja tu wiolonczelli w rękę nie wezmę; dla kogo grać? dla kogo?

— No! dla siebie! odparł Janko.

— Dusza moja gra nieustanną pieśnią, dodał Fermer niedbale; nie potrzebuję na to wiolonczelli. Jestem sam muzyką aż do szpiku kości.

W kilka dni potém lepiéj się jeszcze okazało nieuctwo genialnego artysty. Otto, który nad wszystkie muzyki przenosił zbiorową, urządził Trio Mendelsohna, sadzając Martynka do fortepianu.

Maks, który grywał tylko swoje fantazye, barkarolle, kaprysy i t. p. rzeczy, z razu zaciął się na tę propozycyę; nie miał ochoty, bolała go głowa. Potém poczuł, że mu nie wypada przyznać się tak niejako do nieudolności; powiedział, że rzecz zna i grać może.

— Tylko żem tego bardzo dawno nie grał — dodał,—bom przywykł własne tylko myśli oddawać; chcę pozostać oryginalnym: ale spróbujemy.

Janko był kontent, pewien, że się tu dopiero wyższość przyjaciela okaże. Rozłożono nóty, poczęto, ale w dziesięć taktów Maks się zaraz zgubił; powtórzono, nie szło; spróbowano czego innego, okazało się, że źle czyta, że nie może się utrzymać w takcie, że— ostatecznie nic nie umie. Przeszli do rzeczy łatwiejszych, ale i tamte się nie powiodły. Janko był zdumiony, że geniusz tak sobie nie mógł dać rady; Maks wszakże udawał, że wcale fantazyi nie stracił.

— Taka muzyka—rzekł—to niewola; umysł wyższy nie może się nagiąć do niéj: on potrzebuje jak

ptak szeroko rozwinąć skrzydła, lecieć gdzie go oczy poniosą. To dobre dla zimnych ludzi, którzy są zawsze panami siebie.

To rzekłszy odrzucił nóty wzgardliwie, i począł jakąś swoją kompozycyę, któréj nie wiadomo, nielogiczność czy dziwactwo bardziéj podziwiać było potrzeba. Martynko musiał znów uciekać do przedpokoju, aby się w głos nie rozśmiać.

W istocie nietylko muzyka, ale muzyk wyglądał pociesznie, z włosem zarzuconym na tył, z zawiniętemi rękawami, z miną niby natchnioną, któréj nadawał wyraz dziko namiętny lub tęsknie rozmarzony.

Otto z założonemi na piersi rękami smutnie patrzał nań z wyrazem politowania. Maks chciał koniecznie rozbudzić w nim entuzyazm, ale słowa z niego dobyć nie mógł, ani najmniejszéj oznaki współczucia.

Nareszcie gdy z podziwem Janka długo się ucierał z wiolonczellą, chcąc za poprzednie fiasko zapłacić, a Ottona poruszyć nie mógł,—odrzucił instrument i padł w postaci bohatera po bitwie, na kanapę, rozkazując Jankowi przynieść sobie szklankę wody.

Otto widocznie pomieszany, milczał. Maks poczuł wreszcie, że tu komedya żadna nie pójdzie, ale nie wychodząc ze swéj roli, napił się wody, odrzucił włosy, i ze spuszczoną głową, jakby pod brzemieniem myśli i uczuć, wyszedł do ogrodu, mówiąc po cichu:

— „By duszę nastroić do natury śpiewu!"

— A co? jak gra? zawołał Janek, gdy tamten wyszedł—jak on gra?

Otto i Martynko spojrzeli sobie w oczy. Blady chłopak nie mógł już dłużéj wytrzymać, bo miał tę wadę, że był śmieszek, i nagle parsknął. Potém za-

szedł się okrutnie, uciekł do kąta, i rękami się zasłoniwszy, począł na dobre śmiać się do rozpuku.

— Co mu sie stało? zapytał Zbój.

— A cóż! to effekt spazmatyczny: gra twojego Maksa!

— Martynko nie jest w stanie zrozumieć go chyba, rumieniąc się Janko. To geniusz.

Otto zbliżył się ku niemu i położył mu rękę na ramieniu.

— Kochany Janku—rzekł:—reguła ogólna, że geniusze najłatwiéj się pojąć dają. Geniusz dlatego jest geniuszem, że to, co ty masz w duszy, dobywa ci z niéj i uwydatnia lepiéj, niżbyś ty potrafił; geniusz nie jest dziwactwem, jest wielkością prostoty pełną. Maks wcale nie gra, tylko rzępoli, nic nie umie, mógłby mieć talent, ale go zabił zarozumiałością. Szkoda go! ucząc się, mógłby dojść do czegoś.

— Wszystkim ona potrzebna, odparł Otto; nikt nie zdobywa umiejętności bez potu i trudu, wszędzie inicyowanym być potrzeba, jak do starych eleuzyńskich tajemnic. Muzyka jest sztuką i umiejętnością razem: kto w niéj na sztukmistrzowstwie samém poprzestał, do niczego nie dojdzie.

— No! to ja tam tego nie rozumiem! zawołał Janko. Ale gorąco gra, szalenie, to mi po duszy chodzi!

— Na co geniuszowi nauka?

— Wierzę, boś głodny wrażeń i pożywasz ladajaką nawet strawę z chciwością wygłodniałego człowieka... rzekł uśmiechając się gospodarz. Maksa to jednak daleko nie zaprowadzi; bo to nie jest muzyka, tylko granie, a i granie jeszcze nie najlepszego gatunku...

Jankowi przeszło wprawdzie przez myśl, że zazdrość przemówić mogła przez gospodarza; ale nie skory

do posądzeń o złe, odepchnął ją ze wstrętem. Gdy potém jego znowu do gry zachęcać poczęto, i z pomocą jego skromności niektóre części przeszły dosyć dobrze, a Janko parę pięknych rzeczy sumiennie i z uczuciem odegranych wysłuchał, znajdując niezmierną między niemi a grą Maksa różnicę,—wątpliwość wkradła się do jego duszy, czy istotnie Fermer był tak wielkim i genialnym człowiekiem, jak mu się z początku wydawało?

Muzyka ta nowa, głębsze, potężniejsze na nim robiła wrażenie. Zdawało mu się, że jaśniej w niej myśl czytał, i zamiast burzy i rozdrażnienia, spokój zostawiała w jego duszy.

Zawachał się i zachwiał.

Maks wieczorem nie omieszkał mu znowu szepnąć:

— Pedanci tacy! nie warto grać dla nich... Ta głupia ich muzyka klassyczna, pęta i więzi, to lichoty! to rokoko! Mógłbym był grać, gdybym chciał, bo to tam nic trudnego nie ma dla mnie; ale umyślniem porzucił, bo mi się dusza burzyła w tych więzach... To dla mnie fraszki! Ale suchè, nudne! wiory! nic więcéj...

Janko milczał.

— Otto bardzo dobry człowiek—dodał Maks ręką przyczesując bujne włosy—ale jest w nim trochę zazdrości. Gry takiéj jak moja nigdy w życiu nie słyszał, czuł jéj wyższość, a uznać jéj nie chce, bo wie, że nigdy ani on sam, ani jego wychowanek Martynek, ślepa kura, do tego nie dojdą... At! głupstwo! dodał Maks patetycznie: mnie tylko potrzeba się dobyć z tego kąta obrzydliwego na większy świat, w jaśniejsze strefy; tam dopiero ludzie wyższych usposobień i ukształcenia, mogą się poznać na mnie. W świat! w szeroki

świat! rzekł bijąc się w piersi: czuję w sobie siłę do poborykania się z nim, i zwyciężę. Do Paryża mi tylko, a raz stąpnąwszy nogą na ten bruk, nie będę potrzebował nikogo. Ale jak ztąd się wydobyć?

W tém był sęk. Maks nienawidząc, musiał ciągle marzyć o podłym kruszcu, który go miał wyzwolić; ale projekta jego koncertowe były tak niepraktyczne, że myśleć nawet o urzeczywistnieniu ich nie było podobna.

Otto, jak wszystkim w swoim domu, zostawił mu zupełną swobodę. Życie szło u niego zawsze jednym trybem. Maks z niém pogodzić się nie mógł; muzyka cudza nudziła go, własna o tyle tylko zajmowała, o ile wywoływała oklaski. Spędzał dni z cygarem w ustach na kanapie leżąc podparty na ręku, w marzeniach o Paryżu. Wiolonczelli nie tknął nawet. Janko, który coraz więcéj przywiązywał się do gospodarza i jego muzyki, nie opuszczał na chwilę salki, w któréj grywano; sam ile mógł należał do tego, i w skutek téj zmiany smaku, stracił znacznie łaskę u Maksa, który się z niego zaczął prześmiewać.

Mówiliśmy już, że Robów od Zarubiniec przedzielała przestrzeń bardzo niewielka. Otto chadzał często do Żółtowskiego, którego lubił poczciwość i prostotę. Raz w téj przechadzce, Maks gawędząc przeprowadzał go z Jankiem; mieli powrócić z pół drogi, ale się tak zagadali, że doszli prawie do fórtki ogrodowéj.

Gmach pałacowy, wspaniałe mury pańskiéj rezydencyi, które Janka odstręczały i straszyły, Maksa pociągnęły ku sobie magnetyczną siłą. Czuł on, że jego talent pasożytnéj natury musiał gdzieś przylgnąć do pańskich podwoi i do pańskiego przyrosnąć żywota,

aby przy nich żyć darmo, płacąc małpią monetą, jak mówią Francuzi.

Spojrzawszy na mury zarubienickie, Maks westchnął pożądliwie, myśląc jakby się to tam dostać. Muzyka dla niego nie była nigdy celem, była środkiem; uprawiać jéj w cichościby nie potrafił, bo w duszy była mu obojętna, ale ją uważał za dobre narzędzie łatwego postawienia się w świecie na przyzwoitéj stopie i zarabiania pieniędzy w sposób, że zdawał się biorąc je, robić łaskę tym, co dawali, spełniającym tylko względem sztuki święty obowiązek, płacącym dań należną talentowi.

W chwili, gdy mieli się rozejść u furty ogrodowéj, wracająca z przechadzki hrabina i Lola nadeszły właśnie. Znały one trochę Ottona, ale uderzyły te panie twarze towarzyszów, które musiały ciekawość obudzić i zrobić wrażenie. Maks był ubrany po artystowsku, jaskrawo i krzycząco; Janko bardzo prosto. Obie twarze były piękne i znaczące, osobliwie ostatniego, pełna wyrazu męzkiéj energii i siły. Lola zarumieniła się cała, z ciekawością dziecięcą wpatrując się w tę gruppę mężczyzn, wśród któréj postawą i charakterem poważnym odznaczał się Otto Marzycki.

Janko nie spojrzawsz nawet na przybyłe panie, postrzegłszy tylko suknie ich jedwabne, natychmiast pierzchnął w bok, gdyż nienawiść jego ku wszystkiemu cywilizowanemu dochodziła do tego stopnia, że i kobiet salonowych, jak je zwał, znieść nie mógł. Maks przeciwnie nastrzępił się cały, nabrał miny, uśmiechu, i choć nigdy nie przestawał grać komedyi, jeszcze zamaszyściéj w téj chwili począł udawać Liszt'a, by oczy niewiast zwrócić na siebie.

Był już pewien, że dystyngowaną swą postawą,

niebieską chustką i fularem, pierścionkami, któremi okryte miał palce, ściągnie na siebie dam oczy i wejdzie z niemi w pałacowe przybytki, gdy hrabina z Lolą znikły szybko, wchodząc w głąb ogrodu.

Otto, który spostrzegł wrażenie, jakie to spotkanie zrobiło na Maksie, uśmiechnął się, i wskazując mu ścieżkę do Robowa, sam zabierał się iść do Żółtowskiego, ale Maks go wstrzymał.

— Na miłość Boga! co to są za panie?

— Hrabina i jéj córka.

— Co za dystynkcya! jaka piękność! I pan mieszkając pod bokiem nie starasz się ich poznać!

— Znam je, ale w pańskich domach nie bywam.

— Jestem pewien—dodał Maks poprawiając włosy—żeśmy na nich niejakie uczynili wrażenie. Uważaliście rumieniec dziewicy? Tu w téj pustyni spotkanie podobnych nam istot, nie może przejść niepostrzeżenie; spytają przecię o nas. Spodziewam się, że w takim przypadku nie zapomnisz nas, to jest mnie polecić. Chętnie, bardzo chętnie zrobiłbym znajomość.

— Na Boga! co ten człowiek plecie!—przerwał Janek. Nie rekomendujcież tylko mnie: ja za nic iść tam nie chcę i nie pójdę!

— No, to mniejsza, ale gdyby życzyły sobie mnie słyszeć...

Otto ruszył ramionami.

— Spodziewam się, rzekł Maks żywo: że mi do tego drogi nie zagrodzisz. Jestem pewien, że na tych czystych duszach niewieścich zrobiłbym wrażenie.

— No! no! chodźmy-no, chodźmy—przerwał niecierpliwiąc się Janko, który tak obawiał się, aby go nie pochwycono do pałacu, jak tamten zaproszenia pragnął.

Odeszli wreszcie.

Od téj chwili, choć z obawą, aby Otto nie śmiał się z niego, ukrywając myśl swoją, Maks powziął zamiar dostania się koniecznie do pałacu. Zrażało go nieco to, co słyszał o hrabi; ale gotów był na trochę upokorzenia nawet, byle do tego upragnionego pałacowego świata się dostać. Nie mówiąc nic Jankowi, ani gospodarzowi, pod pozorem rozmyślań i tęsknoty poetycznéj, wysuwał się ukradkiem na ścieżynkę do Zarubiniec wiodącą, i szukał zręczności nowego spotkania z paniami.

Los służył mu nad spodziewanie. Hrabina z córką codzień chodziła właśnie w tę stronę; bo droga wysadzana lipami między Zarubińcami a Robowem, które dawniéj stanowiły jeden majątek, była bardzo miłą przechadzką. Doszedłszy téj tajemnicy, Maks w kilka dni potém czatował już na panie.

Wiekuisty komedyant, wprzód sobie dobrze ułożył, jak się ma przed temi paniami pokazać. Wiedział, że na kobietach, istotach czułych i wrażliwych, nic nie robi większego wrażenia nad smutek i rozpacz; choć więc smutkiem się brzydził i na własny użytek wcale go nie miał, przybrał go jako strój pokaźny na to oczekiwane spotkanie. Zdało mu się, że i książka zwłaszcza francuzka, trzymana w ręku lub rzucona niedbale na ziemię, jeśliby siąść wypadło, wcale nie byłaby od rzeczy.

Strój jak najwykwintniejszy, ale z pewném zaniedbaniem ułożony, włosy nieco rozwiane, brew namarszczona, postawa teatralna, dawno w umyśle jego przygotowane były. Chciał koniecznie mocne uczynić wrażenie. Z góry nawet ułożył sobie słowa, jakie miał

wyrzec — obraz życia swojego, który mógł wystawić w danych okolicznościach: zagadkowy, tajemniczy, straszliwy... z czarną przeszłością.

Stare to sztuki, ale niestety! ludzie jak ryby zawsze na jednego robaczka i wędkę łapać się dają.

O przyzwoitéj do przechadzki godzinie, Maks wymkąwszy się z Robowa, wcześnie w lipowéj alei przygotował się do spotkania z hrabiną. Z głową w dół spuszczoną, z oczyma wlepionemi w ziemię, z książką ściśniętą w dłoni jakby namiętną rozpaczą skurczonéj, szedł świata nie widząc niby, przed siebie.

Hrabina była zamyślona istotnie czy zamodlona może, tak, że tego nie postrzegła; Lola chmurkę jakąś goniła po niebie, i nie widziała co się dzieje na ziemi. Maks doskonale obrachował się, aby prawie wpaść na nie i trochę przestraszyć, krzyknąć, zacząć przepraszać i w ten sposób zawiązać rozmowę.

Stało się słowo w słowo jak sobie obmyślił; ale hrabina o parę kroków postrzegła Maksa i nagle usunęła się z córką na bok, a artysta pogrążony w zadumie, w chwili gdy miał się z niemi spotkać, zmuszony logicznie rolę swą grać do końca, minął je z oczyma wlepionemi w padół płaczu.

Jednak jakby od przechodzących niewiast powiało nań przeczuciem, nagle podniósł głowę brzemienną myślami tęsknemi, ocucił się i westchnął silnie, a ujrzawszy panie (chociaż od kwadransa wprzód je widział) wydał lekki okrzyk zdziwienia: tak stało w programie.

Tu nastąpił ukłon czystéj grzeczności należnéj niewiastom. Hrabina oddawszy go, usiłowała ominąć natręta; ale wielki artysta stanął jakby osłupiały, przyłożył dramatycznie rękę do czoła, i uśmiechając się,

począł przepraszać sam nie wiedząc za co—że śmiał... że mógł...

Nie było w tém sensu; ale hrabina, dobra kobieta, nie przypuszczająca nigdy udawania i komedyi, wzięła jego grzeczności, smutek, nieprzyzwoitość za dobrą monetę. Młodzian chmurny wzbudził w niéj litość: przeczuwała w nim nieszczęśliwą, od losu prześladowaną istotę.

Gdy więc Maks kołując zręcznie, począł przepraszać nie wiedzieć za co, hrabina nie pozbyła go się milczeniem, ale miłosiernie pozwoliła mu zawiązać rozmowę.

— Gdybym był wiedział, że pani hrabinie przerwę jéj, zapewne ulubioną, przechadzkę—dodał zaraz—nie ośmieliłbym się nigdy udać w tę stronę. Lecz—dodał śpiesząc zaraz popisać się z tém co wedle jego mniemania najskuteczniéj ująć mogło — lecz duszom zranionym jak moja, ludziom od losu prześladowanym, samotność jest potrzebą, natura jedyną pociechą...

Hrabina i Lola spojrzały nań ciekawie.

— To jabym go winna przeprosić—odpowiedziała Marya—żem mu tak drogą przerwała samotność; dla mnie ona nie jest tak konieczną.

— A! pani, my wydziedziczeni—chwytając rozmowę co żywiéj dodał Maks—my nieszczęśliwe dzieci, sieroty losu, mamyż prawo do jakiéj litości? My nie mamy do niczego prawa — nawet do powietrza, którém oddychamy.

Uśmiechnął się szydersko, boleśnie, a uśmiechu tego znał dobrze wagę, bo go wprzód we zwierciedle próbował ku temu celowi, i zamilkł idąc jakby mimowolnie z hrabiną.

— Pan nie jesteś z tych stron? spytała dobra kobieta zmuszona coś powiedzieć.

— Ja? nie; jestem tu zbłąkanym wędrowcem, w gościnie u przyjaciela. Chciałem wpośród téj ciszy wiejskiéj odpocząć po gwarze wielkiego świata, po zimnych tłumu oklaskach, po wszystkiém, co istnienie artysty czyni męczarnią.

— Pan jesteś artystą?

— Muzykiem? — podchwyciła Lola, która bardzo muzykę lubiła.

— Tak jest pani, szczycę się tém nazwaniem, które jest zarazem ciężarem i chlubą.

Chwila milczenia. Maks poprawił włosy i wydał westchnienie, które mu się zdawało na dobie, bo miało świadczyć o ciężkiém brzemieniu, jakie dźwigał na duszy. W jego przekonaniu oznaczało ono, jak wielkim ciężarem jest geniusz, a chciał wydać się geniuszem. Hrabina w prostocie ducha nie była wcale od tego, by go za geniusz poczytać, bo takim właśnie z książek wyobrażała sobie wielkiego artystę.

Niestety! książki bredzą, geniusz inaczéj wygląda. Jest prosty, chmurny, jest silny i wybucha nie dla tego, by uczynić wrażenie, ale mimowoli, gdy dotkną tego co dla niego jest święte, gdy drgnie w nim struna serdeczna. Tai się on z wielkością swoją, wstydzi tego, co ma najdroższego, lubi samotność, ale o niéj nie rozprawia, a gdy płacze, łzy swe kryje. Geniusz jest prawdą; nigdy rachubą i komedyą.

Maks był tylko fałszywą monetą artysty i genialnego człowieka; ale często połysk ją czyni od najprawdziwszéj piękniejszą na oko. I tu się może tak zdało na chwilę.

Maks potrafił zająć hrabinę; nie szczędził też ku temu środków. W miarę jak robił wrażenie i domyślał

się, że je czyni, bił w to co je wywołało, usiłując powiększyć. Lola ciekawie, z zajęciem dziecinném, ale z obawą i bez sympatyi spoglądała na niego, czego równie dostrzegł artysta. Przez matkę więc starał się utorować drogę do córki, ku któréj głównie zwracały się jego marzenia. Wiadomo od dawna, że wszyscy wielcy artyści tego rodzaju śnią zawsze o ożenieniach z hrabiankami, a żenią się najczęściéj z lada kuglarką, co ich zręcznie ogmatwać umie, lub z pierwszą lepszą wypłowiałą pięknością.

Maks bardzo bacznie i ostrożnie kierował ku córce rozmowę i oczy, pierwsze miejsce dając wszakże saméj hrabinie.

Marya była do zbytku dobrą, prostą i wierzącą kobietą; mała znajomość świata i serce poczciwe czyniły ją niepodejrzliwą, powiedzmy raczéj nieostrożną w najwyższym stopniu.

Lolę instynkt jakiś odpychał od czarnowłosego awanturnika; wstydziła się zań chwilami, czuła, że ktoby tyle cierpiał, nie mówiłby tak o sobie i swoich boleściach deklamatorsko i bezwstydnie. Prawdziwe cierpienie jest wstydliwe.

Całém staraniem Maksa było tak zręcznie zająć sobą, poprowadzić rozmowę, aby mieć powód wkręcenia się do pałacu. Nie wiedział, jak hrabia był trudny w tym względzie, ani że żona nie ośmieliłaby się nigdy sama bez wiedzy jego kogokolwiek zaprosić.

W rozmowie, mówiąc o sobie, rzucił myśl jakby był szczęśliwy dać się słyszeć hrabinie, jak miłoby mu było przed osobą tak wysoce ukształconą wylać swe myśli muzykalne, które tak mała liczba wybranych pojąć i ocenić jest zdolna. Hrabina jednak uporczywie milczała, i gdy przyszli do furtki ogrodowéj,

choć to była godzina herbaty, pożegnała go grzecznie, dając do zrozumienia, że się tu rozstać muszą.

Z razu Maks był gniewny i wściekły, bo wyszafował cały swój arsenał napróżno, i nic, jak się zdawało, nie zrobił; ale spojrzawszy na odchodzące niewiasty, powiedział sobie, że się to na tém nie skończy, i wracając do Robowa osnuł sobie w ciągu drogi opis tego spotkania w taki sposób, by się niém mógł przechwalać przed Ottonem i Jankiem. Choć nierad w duszy, przybrał umyślnie największy entuzyazm dla hrabiny, humor człowieka uszczęśliwionego. Lola niecierpliwiła go swoim chłodem, bo mu żadnego nie okazała współczucia, ale i to wypadło całkiem wystawić inaczéj.

Zastał wszystkich w ganku; Janek im coś rozpowiadał o życiu na Ukrainie i stepach.

— E! bo to nie ma życia jak tam, mówił. Jak zajrzysz, świat stoi otworem, inne powietrze, inaczéj buja oko, pierś swobodniéj oddycha, a lud tak prosty i szczery, tak po staremu braterski! Kiedy wróg, to na zabój, i dłoni ci nie poda; kiedy druh, to w ogień i wodę—a tu!!

— Wstydźże się panie Janku! odparł Otto; a tuż u nas inaczéj? albo my ci to kłamiemy?

— A najprzód zowiesz mnie panem Janem, a jam wcale nie pan: Janko Zbój, sierota, dziecię mogił i stepu, proste chłopię. Na wyraz „pan," ciarki chodzą po mnie.

— A toż po bratersku? spytał Otto.

— Mylisz się: ja się nie wzdrygam na panów, ale się boję być panem.

Na te słowa nadszedł właśnie Maks zadumany, i padł na ławę w milczeniu.

Po twarzy jego tak ułożonéj, aby malowała wielkie doznane wrażenie, poznać było łatwo, że dla tego tylko milczał, iż chciał, aby go na opowiadanie wyciągano, które ogromne uczynić powinno było wrażenie.

W takich razach Maks instynktowo naśladował ruch zwykły wielkich ludzi obciążonych brzemieniem myśli: tarł czoło, zarzucał włosy, i lwią grzywę żelaznemi targał rękami. Ale Otto nie pytał, Martynko nie śmiał, i Janko dopiero po chwili go zagadnął:

— No! cóż ci to Maks?

— Nic mi, nic.. Każ mi dać wody, proszę... Zawsze mnie wielkie doznane wrażenie o taki stan przyprawia.

— No? czyś psa wściekłego spotkał? zapytał Otto.

— Może bydło wracające z pola? zagadnął Janko.

— Proszę was... dajcież mi pokój!

To „*dajcie mi pokój*" zachęcało do pytań, budziło ciekawość.

— Doprawdy? cóż ci to jest? czy sekret?

Maks chwilę pomilczał, potém westchnął głęboko, i jakby przymuszony dodał wpół do siebie:

— Nie — alem miał spotkanie, które głębokie piętno zostawiło w duszy.

— Tu? w lipowéj ulicy? spotkanie?... podchwycił Janko.

— Tu! — rzekł Otto ruszając ramionami — no, to chyba z hrabiną!

— Rzeczywiście spotkałem hrabinę, odparł Maks poważnie. Miałem szczęście zbliżyć się do niéj, poznać ją lepiéj. Dusze wyższe łatwo się porozumiewają. Co za rozum! ile uczucia! Co to za anioł ta jéj córka! co za dystynkcya!

— Jak to? tyś gadał z niemi? zawołał Janko zdziwiony.

— Ty wiesz—rzekł poważnie Maks—że natarczywy nie jestem, i niebardzo lubię nowe znajomości, unikam ich nawet. Spotkawszy je chciałem minąć, ale mnie same zatrzymały. Pomimo że to kąt głuchy, podobno imię moje nie było im obce; uważam to z hrabiny, która bardzo uprzejmie starała się mnie zbliżyć ku sobie. Zapraszano mnie nawet do pałacu, ale odmówiłem.

— Hrabina zapraszała cię do pałacu! przerwał Otto uśmiechając się—ona!

— Cóż dziwnego! nie zapominaj, że jestem artystą.

— Ona! co bez męża nie śmie do nikogo przemówić w salonie.

— Powiadam ci, że mnie usilnie zapraszano, gadaliśmy z godzinę, rzuciłem niektóre myśli mogące zrobić wrażenie... Lola, śliczna Lola, była zajęta bardzo; lubi snadź muzykę. Matka mogła to uczynić dla córki.

Otto zamilkł widząc jawnie, że to wierutne kłamstwo; Janko poczciwy za dobrą wziąwszy monetę, zadziwił się mocno.

— To jeszcze szczęście jakieś, że zaproszenia odmówiłeś, choć samą znajomością jużeś na siebie włożył nadaremne pęta.

Maks ruszył ramionami.

— Odmówiłem dziś—rzekł—byłem nieusposobiony, ale kiedyś może tam pojadę! zobaczę! dodał udając obojętnego. Przyznam się, że chcę ochłonąć po wrażeniu, jakie na mnie zrobił ten anioł, śliczna Lola. Przeczuwam miłość! boję się jéj! zarody rozpaczy i śmierci w niéj leżą!

Cała ta scena była tak niezręcznie ułożona, że nawet poczciwy Janko poczuł jakieś niedowiarstwo raz pierwszy, i zimno spojrzał na towarzysza, na którego Otto patrzał z coraz większém politowaniem.

Stworzony na komedyanta któremu, na świecie najlepiéj, bo choć go z razu wygwiżdżą, w końcu coraz wprawniejszą grą oklasków się dorobią,—Maks w samych swych początkowych niepowodzeniach miał pobudki do dalszego, kształcenia się. Z każdéj omyłki własnéj korzystał, brał miarę z wrażenia, jakie wywierał, by nie stać się nadto przesadnym. Gdy na twarzy Ottona postrzegł chłód i niewiarę, zrozumiał zaraz, że miarkę przebrać musiał, i uparcie zamilkł.

Janko patrzał nań zdumiony, ruszając ramionami.

Odchodząc Maks szepnął mu na ucho:

— Wyucz mi się dobrze akkompaniamentu, bo z pewnością zagramy koncert w Zarubińcach.

Ufał w to jak najmocniéj Maks, i postanowił dojść do tego drogą, którą sobie z góry oznaczył, choć późniéj kierunek jéj zmienić musiał.

Mówił sobie, że postara się raz drugi spotkać z hrabiną, że wciśnie się do pałacu, że odmaluje się tam jako potomek wielkiéj rodziny upadłéj, prześladowany od losu, że tym sposobem obudzi w niéj litość, i skłoni do zajęcia się wielkim koncertem, na który do Zarubiniec całe sąsiedztwo sprosićby była można.

Janko wprawdzie, gdy mu to dał do zrozumienia, najmocniéj zaprotestował przeciwko wdzianiu fraka i wejściu do pałacu; stanowczo powiedział, że tam grać nie chce i nie będzie; ale Maks tylko na to głową pokiwał.

Projekta te nie zupełnie się wszakże powiodły. Hr

bina już więcéj w lipową aleę na przechadzkę umyślnie chodzić nie chciała, przez litość, aby biednemu samotnikowi tak potrzebnéj nie przerywać ciszy. Maksowi gonić za nią gdzieindziéj nie wypadało. Rzeczy więc zostały w niepokojącém *status quo.*

Maks coraz głębiéj się zamyślał; trzeba było szukać innych sposobów. Zaczął dowiadywać się o hrabi, i postanowił wprost nań uderzyć.

Było to trudne, ale odwaga mury łamie. Nie spowiadał się nikomu z niedorzecznego projektu; Janko nawet nie wiedział o niczém.

Zakochać się w hrabiance i być od niéj szalenie ukochanym, mało się już Maks spodziewał: potrzebował daleko gwałtowniéj napełnić worek pusty, by się wyrwać z téj okolicy i dostać w ów świat, który się jego wyobraźni jak port wybawienia malował. Tam go czekały wawrzyny, oklaski—i potoki złota.

Nie brakło mu przebiegłości, gdy chciał czego dokazać, i dał jéj dowód najlepszy, dostając się do pałacu sposobem przez siebie wynalezionym, gdy stracił nadzieję spotkania hrabiny i użycia jéj do tego.

Wspomnieliśmy już o Malczaku, owym wszechmocnym pomocniku hrabiego, który pochlebiając słabości jego, niezmierną nad nim pozyskał władzę. Ta istota niepozorna, z krzywą gębą, brudno ubrana, mało widoczna, straszną jednak potęgą była w Zarubińcach; obawiali się jéj Żółtowski, hrabina, nie mówię już o sługach. Malczak umiał co chciał powoli wmówić w hrabiego; a był, jak wszyscy trochę od natury pokrzywdzeni, na umyśle wyposażeni lepiéj, złośliwy, zazdrosny, kwaśny. Pewien, że hrabia obejść się bez niego nie potrafi, korzystał ze swojego położenia w sposób bardzo zręczny, i póty nudził, kłócił się,

milczał, chorował, gdy chciał czego dopiąć, póki hrabia mu nie uległ i nie zezwolił na to czego żądał.

Spojrzawszy na tę lichą figurkę, gdy przypadkiem przechodziła mimo pałacu, boso, w pantoflach, w watoowanym zimą i latem kaftaniku, w okularach mosiężnych, skuloną, krzywą, brudną—uwierzyć było ciężko, jaką rolę odegrywała na tym dworze, w którym jéj widać nawet nie było. Hrabia tak wierzył w geniusz Malczaka jak we swój własny; używał go nietylko do inwencyi mechanicznych, ale we wszystkich radził się sprawach.

Stary filut znał swą siłę i śmiało jéj nadużywał; byłby nawet mógł się stać bardzo szkodliwym, gdyby nie jedna słabostka. Skąpy był i chciwy, tak, że go zawsze kupić było można,—i kupowali go też wszyscy począwszy od sług do pani, kto czém mógł. Hrabina dawała mu prezenciki, bo inaczéj ciągleby na przekór jéj męża nastrajał; Żółtowski przymilał się jak umiał, by, jak powiadał, gębę mu zatkać; słudzy maleńkie robili przysłużki: Malczak mrucząc wszystko przyjmował.

Do Malczaka nic właściwie nie należało, ale i nic się nie działo bez niego; wiedział o wszystkiém, donosił wszystko, a że był zły i zgryźliwy, cieszyło go gdy mógł ukąsić.

Pracując razem z hrabią, miał ciągle zręczność podsuwać mu plotki, jakie chciał, cedzić je po trosze i przyprawiać stosownie, aby zrobiły pożądane wrażenie. To umiał lepiéj od ślusarki. Jeżeli się co od razu nie wzięło, za drugim lub trzecim razem wmówił pewnie co chciał.

Potęga Malczaka rosła z dniem każdym, grosz musiał także gromadzić się w kieszeni; ale tego znać nie

było, bo stary pozostał sobie brudny, odarty, w pantoflach i watówce zatłuszczonéj, nie zmieniając obyczaju.

Wiedziano, że hrabiego oszukuje bezwstydnie, że go okrada na tych machinach i przyrządach, które razem robią, że wyłudza u niego pieniądze; ale to się odbywało cicho, tonęło jak w morzu. Malczak starym zwyczajem musiał grosz uzbierany zakopywać gdzieś w garnuszku, udawał ubogiego, a gdy mu nowéj odzieży było potrzeba, szedł o nią prosić hrabiego, jakby jéj nie miał nawet sprawić za co.

Jak tam Maks potrafił dowiedzieć się o stanowisku zajmowaném przez Malczaka, jak do niego trafić umiał, nie wiemy; to pewna, że dostał się do izdebki wszechmogącego ślusarza, że z nim gadał z godzinę, i że tegoż dnia Malczak zaczął hrabiemu rozpowiadać jakieś dziwy i historye o podupadłym hrabi, który został basetlistą, i jest w bardzo przykrém położeniu, nie mając prawie butów.

Hrabia miał wiele uczucia kastowego i krew szanował bardzo; począł więc opowiadania Malczaka słuchać z uwagą wielką.

— Jak to? cóż to jest? kto to taki?

— A, to historja osobliwsza! rzekł Maciejek. Mnie to opowiadali pod wielkim sekretem. Słyszę jakiś hrabiowski syn, tylko że odmienił nazwisko; nauczył się tęgo grać na basetli, i ot jak dorabia się biedaczysko chleba. A słyszę gra tak, że aż strach, ale biedny, bo to tém się trudno czego dorobić.

— Gdzież on jest? a to ciekawa rzecz! wyrzekł hrabia, wierząc, że taki człowiek wielkiego rodu, jeśli się wziął do basetli, musi naturalnie grać ogromnie.

— W Robowie, słyszę, u Marzyckiego na łaska-

wym chlebie. Nie śmie się pokazywać, człowieczyna biedny i skromny, boi się, żeby go nie poznali.

— Jak się zowie?

— Nie wiadomo, bo przemienił nazwisko.

— Pewno wziął matczyne?

— A pewnie matczyne... Ot pan—dodał po chwili Malczak—mógłby jemu dopomódz łatwo.

— Ja? ja? a to jak?

— A coby to panu szkodziło, gdyby pan pozwolił tu jemu zagrać u siebie. Z sąsiedztwa zjechaliby się może posłuchać za biletami, a biedaczysko cośby zarobił, i panby pańskie dziecko podźwignął.

Hrabia odwrócił się ku niemu mocno tém pomysłem zdziwiony.

— Jednak to osobliwsza rzecz ten Malczak! zawołał: kiedy ja o nim mówię, że to geniusz, nikt mi wierzyć nie chce.. No, zkądże tobie myśl taka? powiedz—dodał—zkądże się u ciebie biorą te inwencye, osobliwszy człowiecze?

Malczak przywykły do tych admiracyj, spuścił głowę i śmiał się, krzywiąc gębę a mrużąc oko nad warsztatem, bo łatwowierność hrabiego nawet jego śmieszyła.

— A coby to panu szkodziło tak zrobić? zapytał Malczak.

— Pewnie że nie, ale ja go nie znam, sam mu się pierwszy napraszać nie będę, on nie będzie śmiał znowu.

— E! to i poznać się łatwo, aby pan chciał tylko! Gdyby kiedy pan wyszedł drogą ku Robowi, lipami, mógłby się z nim spotkać, bo on tam często się przechadza... Panby go zagadnął, a już reszta toby się sama zrobiła.

Hrabia, jak ludzie przywykli pieścić się myślą swoja, wciąż tylko powtarzał:

— To człowiek genialny we wszystkiém ten mój Malczak! Co za pomysły! jaka głowa! nawet w tych rzeczach.

I począwszy rozważać następstwa tego, co mu Malczak proponował, skłonnym będąc do zapatrywania się na całą tę sprawę z jak najlepszéj strony, znalazł wszystko możliwém, a z wielu względów płodném w najlepsze skutki.

Życie hrabiego z powodu zaprzątnienia tém dziwactwem, które on szumnie nazywał swojém posłannictwem, upływało bardzo samotnie. Zarubińce mało sprowadzały gości, nie miały stosunków ze światem. Czuł hrabia, że to osamotnienie ze wszech względów było dla niego ciężkie, ale tyle miał dumy, że się szlachcie nie kłaniał, szukać jéj nie miał czasu, panowie zaś pierzchli od niego, przekonawszy się z jednéj strony o śmiesznościach i dziwactwie, z drugiéj o złym stanie interesów jego. Nie żyło się więc z nikim, a że hrabia miał w sobie pychę arystokratyczną i państwo potrzebujące dworu i oczu, bolał na to osamotnienie.

Zręczność właśnie zdarzała się wynijść z niego świetnie, pociągnąć ludzi, okazać się mecenasem sztuki, obrońcą uciśnionego od losu człowieka.

Jednym z powodów tego zatęsknienia do świata było i to, że Lola dorastała prawie bez towarzystwa, a hrabia troszczył się już o jéj przyszłe losy.

Należało prędzéj czy późniéj dom otworzyć, nie można było lepiéj niż w ten sposób, koncertem i balem.

Pałac mógł wygodnie pomieścić całe sąsiedztwo, o przyjęcie nie było się co troszczyć. Hrabia kazał zaraz przywołać do siebie Żółtowskiego, który i nielubiony i w przykrych z hrabią stosunkach zostając, każdego takiego powołania obawiał się, bo nigdy jesz-

cze z panem rozmówić się nie mógł. Obaj sobie kłamać musieli.

Coraz rzadziéj wzywany rządca, zdziwił się i poczuł, że musi być potrzeba pieniędzy, bo tylko w takich razach udawano się do niego. Westchnął, podumał, w głowę się poskrobał i poszedł wolnym krokiem.

Doświadczywszy już, że Żółtowski wcale się nie zna na mechanice i wynalazków jego cenić nie umie, hrabia nie przyjmował go nigdy w laboratoryum, co było osobliwą łaski oznąką, ale zawsze w swoim pokoju. I na ten raz przeszedł do sypialnego, gdy mu dano znać, że nań rządca czeka.

Staruszek stał milczący niedaleko drzwi.

— A! otoż dobrze, rzekł wchodząc poważnie hrabia: chciałem się widzieć z waćpanem... tylko, że zawsze wątpię czy się z sobą potrafimy porozumieć.

Żółtowski drżał, by od niego nie zażądano pieniędzy, ukłonił się milczący, i czekał. Z hrabią mniéj jeszcze mówił niż z innymi, tak się lękał związać i wygadać.

— Jest tam—rzekł hrabia—w Robowie jakiś nowy muzykus.

Stary spodziewając się zaczęcia z cale innéj beczki, stanął osłupiały.

— Muzyk? tam zawsze—rzekł—jest muzyk i muzyka.

— Ale wpan nie wiesz... ma to być człowiek pełen talentu; mówią, nieszczęśliwy, z wielkiéj familii... ukrywający się młodzieniec.

Żółtowski ruszył ramionami.

— Wpan nigdy nie wiesz tego co mi potrzeba: to jest, słyszę, człowiek bardzo godzien współczucia.

— A może być! rzekł Żółtowski wzdychając.

— Chciałbym go poznać. Wpan jesteś dobrze

z Ottonem Marzyckim, rozpytaj się tam o niego. Słyszałem, że tai swoje imię prawdziwe, a wielkiéj jest familii; rodziny arystokratyczne mają wszystkie względem siebie obowiązki: należałoby mu dopomódz. Wiem, że prostego daru nie przyjmie; dusza musi być harda, jak być powinien ten, co się urodził w dobrym domu. Moglibyśmy mu rękę podać w sposób przyzwoity, delikatny.

Żółtowski pątrzał i słuchał zdziwiony.

— Już ja o tém pomyślę, dodał hrabia; tylko mi się wpan postaraj zaprosić go do siebie, lub coś podobnego, abym ja go tam u ciebie zastał. Rozumiesz?

Słowa nie mówiąc, stary się zakręcił, pokłonił i wyszedł powoli, niespełna rozumiejąc o co chodziło.

Malczak słuchał pode drzwiami, a gdy hrabia wracał do laboratoryum, pośpieszył żywo za warsztat, aby się nie domyślił téj ciekawości, i począł prędko a zapalczywie piłować.

Skutkiem tego wszystkiego było, że w kilka dni potém Żółtowski zaprosił gości z Robowa do siebie, naturalnie wszystkich, ale Janko Zbój został w domu i Otto tylko z Maksem przyjęli wezwanie.

Maks wedle swego zwyczaju ubrał się jak najświetniéj, pozawieszał dewizki, powkładał pierścionki, zrobił co mógł, by się wydać wspaniale, a włos zlany wonnościami rozpuścił na barki w Lisztowskim nieładzie.

Zbój żadnemi argumentami pociągnąć się nie dał.

— A ja tam po co? spytał ruszając ramionami. Stary Żółtowski nie gada, wolę pójść w pole lub posiedzieć sobie u fortepianu, albo z Martynkiem pogawędzić. Mnie tu wasze dwory, wieczory i przyjęcia nie pachną wcale.

Maks, który już przewidywał na czém się to skoń-

czy, i plan, miał dobrze osnuty, a do niego koniecznie potrzebował Janka, uśmiechnął się w przekonaniu, że gdy będzie potrzeba, pociągnie choćby do pałacu. Nie nalegał już teraz więcéj. Poszli więc z Ottonem do domku ogrodowego, gdzie wkrótce po ich przybyciu zjawił się hrabia; przywitał się z sąsiadem Ottonem grzecznie, lecz dosyć chłodno, a całą swą uwagę zwrócił na Maksa.

Fermer dosyć źle grał rolę swoją tajemniczego człowieka, nie miał wcale miny pańskiéj, raczéj kuglarską; ale gdy się co chce widzieć w kim, widzi się łatwo. Hrabia niewiele znał ludzi, wziął więc za dobrą monetę napuszonego wiolonczellistę, włosy jego, śmiałość i całą komedyę.

Po chwili nieznaczącéj rozmowy, hrabia Rajmund przeciwko wszelkiemu prawdopodobieństwu, nie mogąc samego Maksa zaprosić, obu z Ottonem zabrał z sobą do pałacu. Marzycki nie pojmował co mu się stało: podobne szczęście już go od lat kilku nie spotykało; poszedł jednak z obojętnością, która towarzyszyła mu wszędzie. Maks tryumfował! Wstępując na próg domu, czuł, że już doszedł czego chciał, że reszta zależeć będzie od jego zręczności i umiejętnego prowadzenia sprawy.

Zaledwie kilka słów mieliśmy czas powiedzieć o Janku, do którego powrócić musimy, ażeby z nim poznać się bliżéj.

Ci, co z nim teraz żyli, niewiele wiedzieli o jego przeszłości, bo nierad o niéj wspominał; ale pomimo tajemnicy, jaką się okrywał, charakter jego otwarty, twarz jasna i poczciwa tak mu serca jednały, że nikt

nie przypuszczał, by coś ciemnego w téj duszy młodéj mieszkać mogło.

Otto szczególniéj sympatycznie się czuł ku niemu pociągniony tą młodością bujną, tą miłością swobody i niezależności, szczerotą i prostotą, które znamionują poczciwość. Gdy mu tych dwóch wędrowników tak niespodzianie przypłynęło do Robowa, duszą jego poznała zaraz w jednym pospolitego ale zręcznego człowieka, w drugim istotę, która pragnęła dobra, przeczuwała lepsze życie i instynktem szlachetnym szła ku jaśniejszym strefom. Na pospolitych ludziach Maks robił większe wrażenie, bo był niezłym aktorem; Janko dla głębiéj patrzącego oka przedstawiał ciekawe studyum, nieuderzające z razu, ale codzień nowemi pociągające zasoby. Szczególniéj ta obojętność na przyszłość, to zamiłowanie niezależności, oswojenie się i ukochanie ubóztwa, uśmiech na wszystko co mogło go spotkać, cieszyły Ottona, który w nich widział znamiona prawdziwie pięknéj duszy i charakteru. Sama ta łatwowierność i ślepota, z jaką przywiązał się do Maksa, wierząc pięknym jego słowom i udanemu zapałowi, w oczach Marzyckiego były zasługą, bo tak się nie daje wziąć na lep pospolitszy, ale ostrożny i przewidujący człowieczek. Wiara i ufność są cechą ludzi, którzy na nie zasługują sami.

Skromność, lekceważenie siebie, dodawały w oczach Marzyckiego wartości młodemu człowiekowi, widocznie zaniedbanemu, w którym czuć było wychowanie przerwane, niedopełnione, ale zarazem zarody najpiękniejsze i popędy, które skierować tylko potrzeba było poczciwie, by na dobrą powiodły go drogę.

Ze wszech miar nierad był Otto, widząc, że tak młoda, niezepsuta istota wpadła w ręce Maksa, któ-

ry całego świata dla siebie tylko używał, i posługiwał się każdym nie troszcząc się wcale, choćby go miał zgubić. Wiedział, że dla takich jak Maks ludzi nie ma nic świętego: ani młodość, ani ufność, ani ofiara chętna; że pnąc się wywracają i gubią z krwią zimną, co im zawadzać lub dopomódz może. Pragnął więc bardzo rozerwać ten węzeł, który chwilowo połączył dwie istoty na to tylko, by jedna padła drugiéj ofiarą. W obejściu zresztą przyjaciół rzecz już była widoczna, że Maks uważa Janka niemal za sługę, rzuca nim jak piłką, a za oczy wyśmiewa się i szydzi z jego prostoty.

Tamtemu niewiele było potrzeba: trochę tylko swobody, którą uważając za pierwszy życia warunek, chętnie z dobréj woli potém poświęcał; jakiego takiego kawałka chleba, czasem przyjaznego słowa, trochę muzyki, którą coraz bardziéj lubił, trochę samotności, a nadewszystko téj pewności, że nic go nie spęta, nic nie zmusi kłamać twarzą i mową, lub czynić czegoby serce i wola nie dyktowały. Z temi niebezpiecznemi usposobieniami łatwo przewidzieć było można, jaki los czeka Janka: musiał on ze swą wiarą w ludzi i miłością swobody nędzę znosić, a kochając prawdę, cierpieć.

Jak się w pałacu odbyło przyjęcie, krótko tylko powiemy. Hrabina i Lola niezmiernie zostały zdziwione, gdy przy herbacie niespodzianie zastały już zaproszonych Ottona i Maksa. Kto i jak mógł ich ściągnąć do dworu, gdzie nikt nie bywał prawie, pojąć im było trudno; trudniéj zrozumieć fantazyę hrabiego, przyjmującego ludzi bez imienia i znaczenia, sąsiada dotąd obojętnego, i wędrownego nieznajomego muzyka.

Hrabina choć litowała się nad Maksem, wcale nie

uczuła ku niemu sympatyi za pierwszém widzeniem się na przechadzce; ale śmiałością swoją narzucił jéj się, zdumiał, zmusił do zajęcia. Teraz gdy ujrzała, że i mąż jéj podległ jakimś czarom, nie mogła już sobie wytłómaczyć inaczéj tego wszystkiego, tylko istotną chyba wartością człowieka, na któréj poznać się nie umiała.

Zresztą wszystko to pozostało dla niéj tajemnicą.

Maks dla kogo innego, bardziéj nawykłego do lepszego towarzystwa, byłby się zaraz zdradził swem kuglarstwem i fanfaronadą; ale hrabia odwykły od ludzi, brał wszystko za dobre, stracił miarę porównania, wydawało mu się to śmiałością człowieka, który czuje się powołanym do czegoś wyższego. Otto był milczący i przygnębiony.

— A! mówił w duszy: wszędzie i zawsze komedya, zuchwalstwo, obłuda, wyżéj idą niż skromność i prostota.

Mundus vult decipi, ergo.. decipiatur: hrabia sam uprzedził żądanie Maksa, zaproponował koncert u siebie, ofiarując się gorąco nim zająć. Żona nigdy go od dawna nie widziała tak namiętnie zajętego obcą mechanice rzeczą; dla niéj coraz się stawał mniéj wytłómaczonym.

— Chyba Malczaka przekupił! mówiła w duchu, uśmiechając się z téj dzikiéj myśli.

Nie przypuszczała, by tak blizką była odgadnienia...

Otto niewiele więcéj rozumiał.

Hrabia półsłówkami, ostrożnie kilka razy Maksa o jego rodzinę zaczepił, ale ostrożny muzyk zbywał go pełném tajemnic milczeniem, lub odpowiadał w taki sposób, ażeby nie zbić posługujących mu domysłów.

Wywijał się zręcznie westchnieniami, dwuznacznikami, i dał do zrozumienia, że musi zamknąć w sobie pełną tajemnic przeszłość.

Przy pierwszéj zaraz bytności w pałacu wszystko się ukartowało: hrabia sam nastawał, usuwając przeszkody; Maks odszedł upojony i szczęśliwy.

Jedno mu tylko nie dogadzało, to, że widocznie, w miarę jak hrabia mocniéj się nim zajmował, hrabina stygła i oddalała się ostrożnie, wcale nie myśląc odpowiedzieć mu wejrzeniem, westchnieniem i uczuciem, którego się po czułém jéj sercu spodziewał. Zdawało mu się, że podbiwszy tyle służebnych dziewczek po hotelach małych mieścin, ma we wzroku siłę niezwalczoną, a w grzywie potęgę Samsonowską.

Lola także, instynktem młodości poczuwszy fałsz, oddaliła się od niego.

Gdy po dość długiéj konferencyi wyszli z pałacu wieczorem, a hrabia ścisnął nawet rękę Maksa przy pożegnaniu, zwycięzca tak podrósł nagle i wyolbrzymiał, że Ottonowi, który mu pieszo do Robowa towarzyszył, śmiać się z niego chciało. Noc szczęściem pokryła szyderski wyraz jego twarzy. W istocie Maks szalał, gadał bez związku i do samego ganku w Robowie ust nie zamknął. A że już mniéj stał o dach u Ottona, czując opiekę hrabiego, począł nawet z właściwą tego rodzaju ludziom zmiennością, traktować Marzyckiego prawie protekcyonalnie. Nie mógł mu w duszy darować jego wyższości, którą czuł sam, i choć jej zaprzeczał słowy, w sumieniu jednak musiał ją przyznawać.

Otto milczał. Rys ten ostatni, nagła zmiana tonu, wyraziściéj mu jeszcze malowały charakter człowieka.

— Przyznasz pan, mówił prędko Maks: że talent ma coś w sobie, co go objawia nawet oczom nieusposobionym do widzenia; ma gwiazdę, co go wiedzie. Sam pan uważaj: znasz hrabiego, mówiliśmy nieraz o nim, a jednak! Cóż pan powiesz na to niespodziewane znalezienie się?

— Ja, nic a nic... odparł Otto, ruszając ramionami.

— No, ale przecię jak pan to wytłómaczysz?

— Nie będę tłómaczył.

— Ja wykładam to przeznaczeniem! wierzę w losy, jestem fatalistą! wołał w zapale Maks. Czuję, że się tu gotuje coś stanowczego w mojém życiu... zobaczysz pan! Ten koncert będzie stanowił epokę w niém! Co mi pan radzisz grać?

I przeskakując myślą do czego innego, dodał:

— Nie prawdaż, że choć to na wsi, krawat muszę włożyć biały? Frak można ciemno-zielony... włosy zleję *huile antique*... kamizelka jest wielką kwestyą.

— Największą to, co będziesz grał, mój kochany, odparł Otto, ruszając ramionami z niecierpliwością. Na kamizelkę twoją nikt, ręczę, patrzeć nie będzie.

Maks zżymnął się.

— A! co do grania, rzekł: wszystko jedno co im się zagra. Ci ludzie na niczém się nie poznają; byle śmiało, porywisto, od ucha; byle przesądnie, a wycieniować do mdłości: oni będą klaskali!

— Ale na Boga! przerwał Otto: czyż to powołanie artysty grać byle co, dla tego, że słuchacze się nie poznają i nie rozróżnią dobrego od złego! Karmić ich fałszem dla tego, że o prawdzie nie wiedzą! Wszak-ci zadaniem artysty jest kształcić, podnosić, uczyć, rozrzewniać; wszak grasz nietyle dla nich, co dla sztuki i dla siebie? Wreszcie mylisz się bardzo, sądząc, że

się nie poznają na tém co piękne. Maluczkich, mądrych piękności nie zrozumieją, chyba inicyowani; ale wielkie a proste pojmą wszyscy, jeśli nie głową, to sercem.

— A, co mi tam! zawołał pseudo-artysta: pojmą nie pojmą! Tu chodzi tylko o oklaski, a oklaski, dowiedziona rzecz, zyskuje się tylko przesadą, sztuczkami więcéj niż sztuką, figlami, chustką, miną i fryzurą równie jak smyczkiem.

Otto się zmarszczył na tę teoryę.

— To już i nie muzyka i nie sztuka, rzekł poważnie: to kuglarstwo i sztuka produkowania się, poprostu umiejętnego sprzedawania siebie, w co ja się nie wdaję. Graj sobie i rób jak chcesz...

— O! ja ich poprowadzę jak zechcę! roześmiał się Maks uniesiony; zagram im na jednéj strunie, albo tylną stroną smyczka, i będą uszczęśliwieni.

— Daj mi pokój! ofuknął Otto groźnie.

Wchodzili właśnie do domu, u którego ganku oczekiwali ich Martynko i Janek; a Maks usłyszawszy z dala głos Zbója, zawołał:

— Dobry wieczór!

— Witajcież nam goście! rzekł śpiesząc naprzeciw nim Janko. Cożeście tak długo Żółtowskiego męczyli? czy on was?

— Bawiliśmy, ale z przeproszeniem nie tam gdzie sądzisz...

— No! a gdzież?

— W pałacu.

— W pałacu? podchwycił Janek niespokojny, u hrabiego?

— Byliśmy tam na herbacie! rzekł lekko przechwalając się Fermer.

— Jak to! i mój ojciec? podchwycił Martynko, który tak Ottona nazywał.

— A no, i ja, odparł Otto; widać winienem to szczęśliwym wpływom pana Maksa.

— Nie dość na tém, przerwał Maks: dajemy koncert w pałacu w Zarubińcach.

Janek stanął wryty, przeczuwając co to mogło pociągnąć za sobą dla niego.

— Słyszysz, Janku! koncert w pałacu! dodał Fermer.

— Tak, słyszę, rzekł zimno Zbój: słyszę i cieszę się; dla ciebie doskonała rzecz, szukasz gwałtem kłopotu, upokorzenia i służebnictwa. Będziesz im grał, ukłonią ci się, wyśmieją, potém stracisz coś czasu i coś grosza, zjesz trochę wstydu... i pójdziesz odprawiony z kwitkiem.

— Takiego panofoba, jak ten, jeszczem nie widział! odezwał się Otto uśmiechając.

— Tylko mnie źle nazywasz, przerwał Janko: ja nie jestem wcale panofobem, ale kocham swobodę. Lubię być z równymi i niższymi, bo ci mnie nie upokarzają jak tamci; ja im ani z przekonań, ani z obyczajów, ani z uczuć i słów nie potrzebuję czynić ofiary. Co myślę to mówię, co chcę to robię. Tam inaczéj wcale: wchodząc na ich próg, przyjmuję ich prawa, jestem niewolnikiem, a niewolą wszelką brzydzi się dusza moja. Kawałek chleba razowego pod gołém niebem raczéj, niż ciasteczko w złotej klatce.

— Ten ma serce! rzekł Otto.

— Prawisz jak student, rozśmiał się Maks; deklamujesz nic więcéj. Jednak do pałacu zajrzeć będziesz musiał nie dziś, to jutro; a najprzód któż jeśli nie ty będzie mi akompaniował?

— Ja? tobie? w pałacu? przed ludźmi? cofnął się Janko.

— A któż?

— Kto zechce; nie wiem... ale nie ja...

— Zobaczymy. Przecięż byś nie życzył sobie, żeby dla śmiesznych twoich uprzedzeń koncert mi się rozchwiał, a jam był pozbawiony jedynego sposobu wydobycia się z téj fałszywéj pozycyi? Otoż to człowiek! dodał: gada, gada, a gdy przyjdzie najlżejszą ofiarę dla przyjaciela uczynić, dla próżnostki, dla dumy, dla fantazyi gotów poświęcić przyjaźń!

— Ale nie dla próżnostki! nie dla dumy! Dla tego, żem człek prosty, ale hardy, i upokorzeń pić za pieniądze nie będę, nie mogę, nie chcę! Wolno ci się kłaniać, aby tam jeść i brać co zechcesz, ale nie mnie, bo się tém brzydzę; a kto czyni to, czém się sam brzydzi, dla zysku, podły jest.

— Wszakbyś nie dla zysku to uczynił, bo ja ci z koncertu mogę ani grosza nie dać—ale dla przyjaźni.

— Cóż mi to za przyjaźń, która dla swojego zachcenia na krzyż przebija? to dowód serca?

Maks zamilkł na chwilę, ale widać było z jego filuternego uśmiechu, że znajdzie sposób przezwyciężenia wstrętu w Janku. Zbój odszedł zaraz chmurny i milczący.

— Mógłby ci towarzyszyć Martynko, żeby jego nie męczyć... poddał Otto.

— Ja do niego przywykłem, rzekł Maks zimno.

— To on się do ciebie zastosuje.

Maks nie chciał się przyznać do istotnego powodu, którym była nieudolność jego, dla Janka dająca się łacniéj wytłómaczyć i ukryć niż dla Martynka. Kiwnął tylko głową, szepcząc:

— Wpan nie widzisz, że ja to w istocie czynię dla Janka: on zdziczeje zupełnie, jego potrzeba gwałtem pchać między ludzi, bo pójdzie do niedźwiedzi.

— Nie sądzę, żeby się to na co zdało, odpowiedział Otto. Szanować należy jego charakter, trochę dziki, ale szlachetny.

Na tém stanęło, ale wieczorem późnym, gdy spać poszli, Maks tak stękał, użalał się, tak wmawiał, prosił i dowodził obowiązków przyjaźni, że nazajutrz Janko pochmurny, gniewny prawie, ze ściętemi usty, siadł powtarzać akompaniamenta. Fermer zamiast ocenić tę ofiarę, śmiał się po cichu, wskazując go palcem, a wreszcie nie mogąc wytrzymać, rzekł głośno:

— A co? mówiłem ci przecię, że grać będziesz?

Dosłyszał téj przechwałki Janko, i zerwał się cały wrzący od fortepianu.

— Tak, będę grał dla ciebie, odezwał się powoli usiłując się uspokoić; ale to ostatni akt mojego zaprzedania i niewoli. Potém żegnam cię i żegnam was. Mam tego dosyć, nie chcę się więcéj narażać na frak i białe rękawiczki, które dla mnie są liberyą fałszu i chomątem zaprzedania. Dość tego! i bywajcie zdrowi!

Maks począł się śmiać, bo teraz już ciągle był w jak najlepszym humorze.

— Śmiéj się, jeśli masz ochotę, powtórzył Janko; ale że zrobię jak mówię, możesz być pewien.

Tym razem oczy jego pałające, usta zbladłe, czoło chmurne, dowodziły, że nie żartował.

— Wpanu już nie będę potrzebny, rzekł do Maksa. Będziesz miał pożądany grosz na drogę, i znajdziesz sobie lepszego niż ja akompaniatora; a mnie swoboda miła, ja sobie znowu w świat!

Odwrócił się i zamilkł.

Maks, który się do nikogo nie przywiązywał sercem, wysłuchał groźby obojętnie, rachując nawet, że z tém mu może być lepiéj; chodziło tylko, aby Janko doczekał koncertu i udziału w nim nie odmówił. Raz mając pieniądze, nie wątpił, że sobie bez niego da radę, a przyjaźni i przyjaciół nie rozumiał.

Otto nie chciał mieć żadnego udziału w tym wieczorze muzykalnym czy koncercie wiejskim, który się składał wedle programu z samych rzeczy przez Maksa skomponowanych, ułożonych, przerobionych, lub po prostu okradzionych.

Patrzał i ruszał ramionami tylko.

Hrabia na chwilę zapomniał o swych machinach dla owego festynu; nawet Malezak użyty został do porady w urządzeniu uroczystości. Listy zapraszające rozesłano dokoła znajomym i nieznajomym; hrabina musiała oddać kilka wizyt; hrabia Rajmund wybrał się do znakomitszych obywateli osobiście. Sposobiono wieczór świetny, jakiego dawno nie pamiętały Zarubińce.

A że pretekst do zabawy, do obmowy, do ploteczek jest rzeczą, zwłaszcza na wsi, zawsze bardzo pożądaną, — całe sąsiedztwo już na tydzień przed dniem oznaczonym dóbijało się o bilety zapraszające, a posłańcy i goście nieustannie się w ganku krzyżowali. Ci, którzy hrabiego nie znali, przyjeżdżali mu się prezentować, robiono małe ustępstwa; a ci, którym od dawna hrabia nie oddał wizyty, nie rachując się, sami pierwsi przybywali, przypominając dawne stosunki.

Hrabia poczuł, że mecenasowanie sztuce ma swą dobrą stronę. Hrabina bojąc się nowéj a kosztownéj

dla męża choroby, trochę płakała i bardzo się modliła po cichu.

Lola, która myśl każdą matki z oczu jéj umiała odgadnąć, choć bawiła się nadzieją wieczoru, przyjęciem tém świetném i czémś dla siebie prawie nieznaném, bo Zarubińce były bardzo ciche, podzielała przeczucie jakieś, miała obawy niewytłómaczone, traciła prawie ochotę do balu i ciekawość. Straszyło ją też może wystąpienie tak publiczne, sądy ludzi, oczy ludzi, i ten świat, który z dala tak się wydaje zawsze groźny, bo go potrzeba umieć rozebrać, ażeby go zbytnio i nad miarę nie ważyć.

Dosyć, że w Zarubińcach na chwilę wszystko się zmieniło, i począwszy od Malczaka, zajętego wszystkiém, co do niego nie należało, a najbardziéj zbieraniem plotek i szpiegowaniem ludzi, aż do hrabiego, który czuł heroizm swój i poświęcenie, aż do Żółtowskiego, pojmującego śmieszność tego nagłego występu, mającego za sobą wielkie koszta pociągnąć,—wszystko się ruszało, kłopotało, pracowało, jak w przeddzień wielkiego jakiegoś czynu.

W sąsiedztwie niemniéj było zajęcia, gawęd, domysłów i tłómaczeń rozlicznych. Jeśli czynność hrabiego dla blizkich niebardzo była pojętna, cóż dopiero dla dalszych i mniéj znajomych? Szukano do niéj i znajdowano najdziksze powody, a skutkiem podszeptów Malczaka i puszczanych wieści, Maks obudzał ciekawość niezmierną jak tajemnicze jakieś zjawisko... Artysta wielki, nieoceniony, prześladowany od losu... boć to musiało być coś potężnego, gdy hrabiego nawet z jego odrętwienia i machineryi wywiodło. Od razu postawiło go to na stopniu Liszt'a, z owych czasów, kiedy to po raz pierwszy do nas zawitał, a kobiety,

entuzyazmy, uwielbienia, szały doszły do rodzaju manii, która do dziś dnia nie daje spokojnie usnąć wirtuozom, napróżno wysilającym się, by obudzić podobną wrzawę, i choć połowę ściągnąć pieniędzy i pamiątek...

Jedną z najżywiéj zajmujących się całą tą sprawą, była sąsiadka Zarubiniec, półkownikowa Amelia Zborska, typ niewieści dość pospolity, których tyle chodzi po świecie żywym, że ich w powieści uniknąć trudno. Pani półkownikowa Amelia miała, między nami mówiąc, lat około czterdziestu, choć zaledwie do nadchodzących trzydziestu, i to z westchnieniem nad niesprawiedliwością losu, który ją niemi obarczył tak niespodzianie, przyznawała się w poufałém gronie. Amelia nigdy nie była piękna, ale też brzydką nazwać jéj nie dawało staranie, jakie miała o swojéj twarzyczce, a nadewszystko o nieporównanéj swéj figurze. Figura półkownikowéj, o któréj piękności dobrze wiedziała, bo gorsety sprowadzała dla niéj z Paryża, uchodziła na mil kilkadziesiąt w około za arcydzieło stworzenia; szczególniéj zachwycający był stanik czyli talia, jak mówiono dawniéj, który dwie niewielkie rączki objąć mogły.

Tradycya pewna chodziła, że półkownikowa idąc za mąż, opasywała się bransoletką; innni utrzymywali—partya sceptyków—że naszyjnikiem.

Stanik ten wprawdzie z wiekiem, który powoli kształty wypełnił, coraz się stawał okrąglejszym i mniéj prawdopodobną czynił mitologiczną ową bransoletkę; ale pracowano nad nim aż do mdłości, aby pozostał choć cieniem i przypomnieniem tego, czém był niegdyś. Amelia dbała niezmiernie o swą piękność, mniéj o dowcip, a jeszcze mniéj o resztę.

Spragniona życia, którego skosztowała bardzo ma-

ło, zawsze jeszcze spodziewała się i miłości i przyszłości, jakiéjś, ufając w to, że serce ma bardzo młode.

Zaślubiona nader wcześnie półkownikowi Zborskiemu, który był stary, gruby, ale bardzo bogaty, miała tylko jednego syna, gdzieś daleko w nieznanych wychowującego się krajach, i przez niektórych uważanego za mythus. Ten jednak nigdy się nie pokazywał, nie mówiono nawet o nim przez grzeczność; a sama zawsze półkownikowa w nadziei połączenia losu swego z człowiekiem wedle serca wybranym, oczekiwała go, przedłużając młodość jak mogła.

Nie będziemy wcale pochlebiali, kréśląc obraz półkownikowéj. Po cichu powiemy nawet: że była troszeczkę ospowata; że oczka miała szare, maleńkie, włosy barwy niepewnéj i nieobfite, co zresztą kunszt fryzyerski umiał cudownie pokrywać przed światem; cerę bladą i od dawna nieodznaczającą się świeżością. Ale choć natura odmówiła jéj wielu wdzięków, które hojnie często szafuje lada komu, nawet prostym dziewczętom,—półkownikowa sztuką umiała zastępować wyrządzone sobie krzywdy. Większéj nad nią elegantki nie było na kraj cały; nikt dobrańszemi nie zlewał się woniami, jaskrawszych nie nosił kapeluszy z piórami, kwiatami, koronkami i wstęgami, większéj ilości bransolet nie dźwigał, i pilniéj z zagranicą w rzeczach mody nie korrespondował.

Starając się uchodzącą młodość przedłużyć, Amelia mówiła młodo, uśmiechała się młodo, chodziła, marzyła, wzdychała młodo i dziewiczo. Sławy jéj nic nigdy nie tknęło, choć dom zawsze miała pełny, a grzeczność jéj i uprzejmość zwabiały mnóztwo gości. Ale kochana i lubiona półkownikowa tak była szczęśli-

wa, że mimo majątku, talii i perfum od Guerlain'a, nikt z nią jednak ożenić się nie myślał. Wzdychali niektórzy młodzi, ale przekonawszy się o zasadach Ameli, ustępowali powoli z placu, widząc, że choć chętnie wdawała się w lekkie początki romansów, nigdy nie upewniwszy się o intencyach, nie chciała posunąć się daléj nad dwuznaczne ściśnięcie ręki. Z razu wysoko patrzała półkownikowa, zdając się do tego mieć wszelkie prawo: chciała urodzenia, majątku, młodości, dowcipu, a nadewszystko miłości szalonéj, bo tego bażanta nigdy jeszcze nie kosztowała. Powoli jednak, po rozwadze, którą dały lata, poczęła z ceny spuszczać: darowała najprzód urodzenie jako istny zbytek, niezgadzający się już z pojęciami wieku; potém wyrzekła się w narzeczonym majątku wielkiego, bo sama dosyć miała na dwoje, a nawet na czworo; w ostatku dowcip i wychowanie poczęła uważać za nietak koniecznie jak z razu myślała... Zostało: byle młodość, byle serce, i rozumie się, byle miłość! Na tych ostatnich warunkach stanęła już mocno i szukała.

Ale młodość, miłość i serce nie tak się łatwo znajduje!

Domyślić się już łatwo z tego obrazku, że półkownikowa śpiewała dawniéj, ale od pewnego bnlu gardła, w którym jéj doktór Szemere Węgier, plaster jakiś doradził, głos zupełnie straciła, że grała bardzo pięknie, dopóki w jeden palec nie ukłóła się śpilką; że zresztą lubiła dotąd muzykę passyami, literaturę namiętnie, że jéj ideałem był wielki artysta.

Zdawało się jéj, że miłość artysty, poety, musi to być przysmak rajski: o niéj marzyła jak o niedoścignioném szczęściu.

— Być żoną, być kochanką wielkiego człowieka!.. szeptała po cichu i po cichu wzdychała.

Nikt nie wiedział o tém jéj marzeniu; a jednak gdy Liszt przybył do Kamieńca, półkownikowa dla słyszenia i widzenia go zrobiła trzydzieści mil po okrótném błocie, i miała przyjemność z gorąca i uczucia zemdleć na jego koncercie, co jednak, przy znacznéj liczbie podobnych mdłości, nie zwróciło na nią oka.

Półkownikowa od dawna znajoma była hrabinie, ale jakoś z sobą nie sympatyzowały: hrabina była zbyt prosta i szczera, ta nazbyt egzaltowana, więc się zrozumieć nie mogły. Od niejakiego nawet czasu Amelia przestała bywać w Zarubińcach.

Lecz wieść o tajemniczym grajku, o olbrzymim koncercie, napełniła półkownikową strachem, żeby o niéj nie zapomniano; pojechała więc co prędzéj pierwsza do Zarubiniec po bilety na ów festiwal muzykalny. Mówię: bilety, gdyż półkownikowa wzięła ich kilka dla całego swojego dworu, krewnych i znajomych, figur niemych, które u niéj na drugim planie i tle obrazu występowały, strzegąc pilnie młodéj wdowy.

W Zarubińcach przyjęta grzecznie przez hrabinę, od gospodarza zaczerpnąwszy dziwnych wieści i domysłów o nieznanym artyście powróciła do domu rozmarzona niezmiernie.

Hrabia, jak wszyscy, którzy coś niezwyczajnego sobie przedsiębiorą, dużo mówił o Maksie, przesadzał ogromnie, i coraz więcéj przydawał szczegółów o nim, biorąc je nie wiedzieć zkąd, tak, że w końcu z Fermera utworzył istotnie bohatera, w świetne, fantazyjne przybierając go barwy i wynosząc coraz wyżéj.

Najdziwniejsza to, że co wczoraj sam wymyślił, w to nazajutrz najświęciéj już wierzył.

Na umyśle półkownikowéj zrobiło to takie wrażenie, że posłała zaraz umyślnie po strój nowy do parafialnéj stolicy.

Tymczasem zbliżał się dzień wielki, dzień uroczysty...

I jak było zawczasu przepowiedziano, Maks wymógł na Janku, że grać będzie; a że nie miał Janko fraka ani chustki, ani żadnéj rzeczy, która salonu jest, złożono się na jego ubranie. Próbując tych odzieży niezwykłych a wątłych, gdy szeroką chciał tchnąć piersią, Zbój o mało ich na sobie westchnieniem nie podarł.

I choć postanowił już z siebie uczynić ofiarę, gdy ona coraz stawała się bliższą, Janko serce tracił, kilkakroć wahał się, chciał uciekać, tak jemu, co się nie lękał ani wilka, ani konia dzikiego, straszne były oczy niewiast i oświecone pańskie salony, po których śliskiéj posadzce stąpać nie umiał. Chmurą okryte miał czoło i chodził zasępiony.

Kilka razy nawet, po namyśle, zaklinał Maksa, aby go od téj wielkiéj próby uwolnił; buntował się widocznie. Ale proszony, zaklinany, w końcu zapewniony, że raz ten pierwszy wystąpienia publicznego będzie ostatnim, zebrał się na niezmierną odwagę stanąć wśród wystrojonego tłumu, i co gorsza popisywać się przed nim.

Maks, który stworzony już był na kuglarza, zupełnie zdawał się być w swoim żywiole. Odgadywał grunt, po którym stąpał, wyrastał coraz bujniéj, włosy na tył zarzucał, zamaszyściéj coraz głowę dźwigał i mówił oczyma i twarzą:

— Oto mnie macie: klękajcie i czcijcie!

Nareszcie nadeszła chwila oczekiwana.

Był to dzień wiosny, ale już zielonéj, już jak lato gorącéj, która w kalendarzu jeszcze uchodzi za wiosnę, ale piecze, pali i niczém się już nie różni od swojego następcy. Cały dzień przypiekało okrutnie, ale choć żaden powiew wiatru nie łagodził skwaru, wieczorem zebrało się na prześliczną pogodę. Słońce zaszło na tle niebios rozgrzaném, ale czystém, bez chmurki, bez obłoczku, a obfita rosa zlała spragnioną ziemię i wycieńczone zioła.

Miało się ku wieczorowi, gdy zabrawszy nuty, wiolonczellę i papiery, wszyscy mieszkańcy Robowa wybrali się wielkim szarabanem do pałacu w Zarubińcach.

Otto nawet pociągnął z sobą Martynka, który równie jak Janko nieprzywykły do świata, wzdrygał się jechać; ale otrzymawszy obietnicę, że będzie mógł stać w kącie, odważył się na ten krok bohaterski. Maks zajęty był, niespokojny, ale wyznać potrzeba, że więcéj może zaprzątał się ubraniem i węzłém chustki, niż przyszłą grą swoją.

Otto uśmiechał się poważnie i milcząco; Janko był blady i drżał. Ten strach przy atletycznéj postawie jego, dziwne mu dawał oblicze białego posągu.

Gdy tu pakowano w szaraban wszystkie przybory koncertowe, w Zarubińcach hrabia usiłował dowieść, że po pańsku wystąpić umie. Całe sąsiedztwo było już sproszone, uczta ogromna w pogotowiu; słudzy postrojeni w liberye, z dodanymi ze wsi chłopkami, których w starszą odzież poprzybierano, stawiając w mniéj wydatnych miejscach, krzątali się około ostatka. Malczak nawet zrzucił zatłuszczony watowy kaf-

tanik i miał projekt słuchać we drzwiach muzyki, ubrawszy się w szarą kapotę, którą tylko na Wielkanoc wdziewał, podpasaną czerwonym paskiem jeszcze z lat błogiéj przeszłości, zachowanym starannie. Na nogi też wdział nie owe zwykłe obcięte bóty-pantofle, ale własne obówie, w którém mu było równie pięknie jak niewygodnie.

Niebezpieczna to rzecz przyzwyczajać się do wszelkiego rodzaju obciętych pantofli.

Oświecenie wielkiego gmachu niemałe nasuwało trudności. Hrabia chciał koniecznie, aby i dziedziniec był illuminowany, co dopełniono pożyczając kilkuset lamp pogrzebowych od księdza proboszcza; ale z salonami nie tak sobie łatwo dać było radę, tu lichtarze kościelne służyć nie mogły. Pałac wyszedł z trądycyi i lichtarzów, a w kartofle i butelki oprawiać świec nie wypadało.

Do głównych sal znalazły się acz różnego kalibru, wzrostu i barwy świeczniki, ale gdy sieni i boczne pokoje kredencerz obliczył i porównał z siłami rozporządzalnemi lichtarzów, okazało się, że załoga na te przestrzenie była zupełnie niedostateczna. Wprawdzie do dalszych izb użyto mosiężnych, wielkiemi z papieru pokrywami osłonionych, ale do najodleglejszych musiano mizerne z drzewa *ad hoc* wytoczyć. Gdzie niegdzie zbyt rażące nagości, dekoracyą zieloną liści i gałęzi poubierano.

W istocie pałac po nocy, przy tém oświetleniu, wyglądał jak stara zalotnica na bal przystrojona: z daleka był ponętny, a nikt szanownym jego dziurom, tynkom opadłym, roztrzaskanym murom i zaciekłym plamom nie miał czasu przypatrywać się szczegółowie. I było wspaniale a pięknie w téj chwili, dopiero nazajutrz

miało być nago i brzydko, jak zawsze po balu, jak zawsze po ziemskiéj radości i szale.

Sam koncert miał się odbyć na dole, w ogromnéj sali środkowéj, któréj drzwi na ogród wychodziły, połączonéj z dwiema bocznemi przez ogromne umyślnie poroztwierane podwoje, aby i szary koniec słuchaczów miał się gdzie z boku pomieścić.

Od strony ganku ogrodowego była uczyniona estrada, na któréj stał fortepian, pulpit i rzęsisto płonące świeczniki. Dokoła krzesła, fotele, stoliki, ławki, kanapy opasywały przybytek rodzajem obozu z różnorodnych złożonego żywiołów, a zapełniały się już powoli gronem niewiast i mężczyzn. Sam hrabia, jako gospodarz, niedaleko drzwi wybrał sobie stanowisko, aby tu gości przyjmować. Włożył na ten dzień biały krawat i dawno niegdyś otrzymany order Jerozolimski w miniaturze, tajemniczo zatopiony w fałdach fraka. Hrabina skromnie, czarno ubrana, siedziała znużona jakoś bliżéj estrady, a Lola chodziła uśmiechając się wesoło temu niezwykłemu dla siebie widowisku, którego szał powoli ją ogarniał.

Jedna z najpierwéj przybyłych była półkownikowa Amelia, która sobą cały salon zaperfumowała, zajęła suknią pół kanapy i zwróciła powszechną uwagę Malczaka i trzech już u drzwi wyprostowanych lokajów. Serce jéj biło mocno: miała raz przecię ujrzeć, usłyszeć wielkiego artystę — boć Maks, któremu hrabia dawał swój pałac, opiekę, był niezawodnie olbrzymim artystą.

U drzwi bardzo zręcznie postawiono starego zaufanego kamerdynera z biletami, który je uprzejmie wchodzącym podawał razem ze srebrną tacką, na któ-

réj już kilka półimperyałów leżało. Mniéj pięciu rubli nikt się dać nie ośmielił, dawano jednak i więcéj.

Od przyjazdu półkownikowéj ciągle ktoś nowy przybywał, turkotało nieustannie, salon wypełniał się coraz wrzawliwszém towarzystwem, jak to na wsi bywa, w sukniach najrozmaitszego kroju i z twarzami różnoplemiennemi, ale wesołemi, ożywionemi, tchnącemi poczciwą szczerotą. Panie cisnęły się do hrabiny, która o ile możności sadzała je w pierwszym rzędzie, gdyż drugi już obiecywał z góry mieścić samych obrażonych, a trzeci i czwarty oppozycyę i malkontentów.

Wszystkich wszakże posadzić w pierwszym rzędzie było niepodobieństwem; hrabina z córką obrały sobie miejsca w ostatnim.

Na dziewiątą naznaczona była godzina rozpoczęcia koncertu; lecz zegar wybił ją, a w sali szumiało i wrzało jeszcze, i ciągle ktoś nowy od ganku przybywał.

W bocznym pokoju Maks z zimną krwią stroił wiolonczellę; Janek stał oparty o stół, nieprzytomny i blady.

Otto chodził po sali z rękami w kieszeniach.

Wielki artysta umyślił objawić się zgromadzeniu dopiero w chwili rozpoczęcia, wejść nagle przez otwarte na oścież podwoje, i zrobić piorunujące wrażenie. Zlany był wonnościami, *huile antique*, kolońską wódką, paczulą, chustkę zaś miał tak zawiązaną, że jeden jéj koniec gubił się za uchem, drugi na ramieniu się kołysał; odłożone rękawy fraka ukazywały z pod spodu rękawki koszuli białéj jak śnieg, spięte dwoma guzami bronzowemi wielkiego effektu.

Nie zapomniał także o dewizkach, o śpilce, ani o fularze olbrzymim, którym otrzeć miał uznojone czoło.

W pierwszym rzędzie widzów, którzy już uprzedzeni o blizkiém rozpoczęciu, sadowić się zaczynali, tęskna i niespokojna miejsce zajmowała Amelia, wachlując się od gorąca, które jéj twarz paliło, grożąc zagładą misternym oblicza malowaniom i natarciu. Szal biały, umyślnie rzucony na kanapę, służył za tło, na którém kibić jéj osia malować się miała i odbijała wyraziście. Nie była piękna, szkoda mówić, ale pokaźniejsza od najpiękniejszych, i tak pachnąca! Jakieś przeczucie mówiło jéj do ucha, że ten dzień w życiu ma dla niéj stanowić epokę.

Wybił zegar pół do dziesiątéj, wszyscy zasiedli. Ci, co nie znaleźli miejsc stanęli wryci, szmer lekki poprzedził ukazanie się bohatera, drzwi z trzaskiem się otwarły, i z włosami zarzuconemi na barki, z wiolonczellą ujętą przez chustkę wdzięcznie, z postawą Herkulesa mającego walczyć z hydrą, wszedł Maks Fermer, a za nim pokorny i nieśmiały Janko.

Pierwszy stawił się wielkim, zwycięzkim potężnym; drugi szedł strwożony jak piękny posąg, blady, ze spuszczonemi oczyma.

Słuchaczów tłumy otwarły się przed nimi szeroko; milczenie i cisza trwały chwilę; aż gdy mistrz wszedł na estradę, dany znak z kątka był hasłem powitania go grzmotem rzęsistych oklasków. Trzy razy skłonił się poważnie, dziękując za nie; za trzecim razém rękę położył na sercu wielki artysta i ujął wiolonczellę.

Otto w kątku zakryty, śmiał się patrząc na Martynka; Martynek ruszał ramionami.

— Otóż to tak ludzie dorabiają się sławy! szepnął mu Otto: nie prácą, ale trzema wyuczonemi figlami,

które pokazują z za firanek, z wielką pompą, przy latarniach i trąbach.

— A! panie! odparł Martynek: ależ on nic nie umie!

— Co to szkodzi? Tu nie o umiejętność idzie, ale o sztukę produkowania się za biletami. Zobaczysz jakie mu sypać będą oklaski, jak ztąd wyjdzie uwieńczony. Cała rzecz musztarda; o sztukę mięsa nie idzie wcale.

Chwila uroczystéj jak przed burzą ciszy poprzedziła strumień dźwięków... W téj chwili dwa wielkie zaszły wypadki: wzrok Maksa zwycięzki (i tém mocniéj zwycięzki, że hrabia świeżo przyniósł mu od drzwi całą kupkę papierów i imperyałów, których miał pełne kieszenie, bo ich nikomu powierzyć nie chciał) padł na uciszonych słuchaczów—a wejrzenie ciekawe, płomienne, spragnione półkownikowéj utkwiło w artyście,—i dwa te promienie oczu, brzemienne żądzami, zetknęły się z sobą, starły, magnetycznie porozumiały. Wdowa uczuła, że Maks jest bardzo pięknym mężczyzną i mógłby jéj za ideał wystarczyć; Maks zrozumiał, że potrzebowała, aby ją ktoś wziął sobie... Z pozycyi na kanapie, bransolet, sukni, zapachów, wniósł, że zajmuje niepoślednie pod względem majątkowym położenie w okolicy. W oka mgnieniu pojął, że obowiązkiem jego jest korzystać z okoliczności i podbić ją sobie, i choć przed nim stało kilkadziesiąt młodszych i piękniejszych twarzy, zwrócił zaraz wzrok zdumiony, oczarowany, uparty na jedną Amelię, jakby jéj mówił:

— Gwiazdo przeczuta na chmurném niebie mojém, witam cię!

Gwiazda błysnęła mu odpowiadając:

— Mistrzu! jam twoja! ja czekałam na ciebie!

— Ale jeśli ma męża, to się okrutnie oszukam! rzekł Maks w duchu, strojąc wiolonczellę... Rozwody są kosztowne, prawie niepodobne. Mniejsza o to: mam pieniądze, pójdę daléj!

— Jeżeli się darmo skompromituję—myślała półkownikowa—pierwszy raz w życiu!.. No! to pojedzie sobie ztąd i śmiać się będę z niego, i nikt mi nie będzie mógł nic zarzucić! A! być kochanką zapału, być żoną natchnienia, być towarzyszką mistrza tonów, ulubienicą poezyi: co za szczęście!

W tejże chwili drugi dramat cichy, ale innego rodzaju, szczery i święty jak modlitwa, odegrało czworo innych oczu w tejże sali. Biedny Janko wszedł na estradę drżący tak, że mu omal nuty z rąk nie wypadły, nie śmiejąc oczy podnieść.

Skromne jego ubranie i podrzędne stanowisko niczyjego nie zwróciły oka; tylko Lola jakimś przypadkiem wzrok dziewiczy skierowała ku niemu nieśmiało, i już go zwrócić od téj twarzy oblanéj rumieńcem bólu i wstydu nie mogła. A Janko, gdy podniósł powiekę załzawioną, trafem jakimś źrenicę powiódł ku niéj, i olśniony pięknością dziewczęcia, utkwił w niéj oczy przestraszone jakby nieziemskiém zjawiskiem.

Tam była komedya, tu życie, a we wszystkich tych piersiach biły serca równie żywo;—tylko w sercu Janka i Loli zamiast niepokoju zrodził się jakiś smutek błogi, nieopisane bojaźni, szczęścia, ubłogosławienia uczucie, którém wschodzi pierwsza w życiu wielka a święta miłość.

Lola odwróciła twarz zapłonioną, Janko jeszcze bardziéj drżący poszedł do fortepianu dać *a* tryumfatorowi, który zabierał się grać swój kaprys z tema-

tów narodowych, to jest zszywankę czterech piosenek, między któremi tyle tylko było związku, że wszystkie na jednych się grały strunach.

Cisza ogromna, długa, przepaścista cisza... potém Janko uderzył akkord, Maks podniósł głowę do sufitu jakby w niebie szukał natchnienia, i rozpoczął się ów kaprys, słuchany z taką wiarą poczciwą, z takiém uczuciem świeżém, jakie się już tylko na wsi spotykają.

Półkownikowa była promieniejąca,—a gdy ostatnia nóta zadrgała w powietrzu, pierwsza poczęła sypać oklaski, tak, że artysta nie mógł nastarczyć ukłonów. W sali entuzyazm był potężny.

— Ależ gra! ale gra! a niech go dyabli wezmą jak gra! wołali wszyscy. Uważałeś waćpan, jak on to robi, co to palcem jakoś brzdęk, a potém jak świśnie... przysięgniesz, że gra nie na basetli, ale na fleciku... Chyba on tam co ma schowanego we środku?.. Ależ gra!

I pytać już nie ma co, że druga, trzecia kompozycya poszły *crescendo* z coraz większym entuzyazmem, tak, że w końcu uniesiona Amelia rzuciła bukiet swój do nóg zwycięzcy, który go podjął i na sercu umieścił. Oczy ich spotkały się znowu: jéj ze wzrokiem Maksa, jego z bransoletkami złotemi, świecącemi od pereł i rubinów.

Lola stała w kątku i w główce się jéj kręciło; a Janko chciał co prędzéj skończyć i uciekać, tak mu było duszno, tak zimny go pot oblewał.

Wtém gdy już ostatnią fantazyę z tematu: „*Wlazł kotek na płotek*" miał właśnie Maks rozpocząć—fantazyę, w któréj miauczenie kota tak doskonale naśladował, że mu w marcu żywe koty z dachów odpowiadały,—fatalny wypadek przerwał dotąd najwspanialéj idący koncert.

Zaturkotała raz jeszcze przed gankiem i wkrótce potém głos dał się słyszeć w przedpokoju:

— A cóż to jest? wesele czy pogrzeb?

Żółtowski, który stał przy drzwiach, poznał zaraz głos brata pańskiego, hrabiego Hermana, i wybiegł przeciw niemu.

W sieniach stał w istocie zdumiony illuminacyą Herman, w kapocie szaréj, prawie gniewny i dosyć kwaśny.

— Cóż to za bale dajecie? spytał.

— To koncert, jw. hrabio.

— Co? koncept? A to głupi koncept mospanie, kto pieniędzy nie ma, dawać takie wieczory!

Wtém i hrabia Rajmund nadszedł.

Ten uściskawszy brata nie dał mu rzec słowa i broniącego się podróżnym strojem wprowadził do salonu siłą, bo tuż, tuż miało się rozpocząć owo sławne miauczenie kota i można je było stracić.

Naturalnie bogatemu Hermanowi zrobiono co rychléj miejsce dogodne, aby choć tu miauczenie dobrze słyszał, wprost naprzeciw fortepianu i naprzeciw artystów.

Lecz gdy ta wielka postać stanęła w szeregu głową górując nad inne, Janko podniósł na nią wzrok przypadkiem, osłupiał, ręce mu na fortepian opadły, zerwał się nagle, porwał chustkę, zasłonił twarz i szybko wybiegł przez drzwi ogrodowe.

Stało się to w oka mgnieniu, ale hrabia Herman doznał w tejże chwili jakiegoś wzruszenia, drgnął, poruszył się, usta otworzył i jak skamieniały pozostał.

Zaczęto szeptać w sali, że akkompaniującemu krew rzuciła się nosem; posłano w ślad za nim z wodą, po-

biegł Otto, Martynko, ale Janka ani słychu — jak w wodę wpadł.

Minęło pół godziny, godzina, nie powracał; zaczęto się niepokoić o niego. Maks niecierpliwił się: nie o człowieka mu chodziło, ale o „Wlazłego kotka", do którego nie było komu wtórować — to było najukochańsze jego arcydzieło.

Zżymał się i gniewał. Ostatnia sztuka miała dopełnić tryumfu, była ognistym snopem fajerwerku, wielką bitwą, decydującą kampanię... Pozwoliłby był Jankowi choćby skonać przy ostatnim akkordzie; ale zniknąć przed tą fantazyą było najokropniejszą niewdzięcznością, najstraszniejszą w oczach jego zbrodnią. Nie wiem już coby się było z nim stało, gdyby Martynek z kąta, z rozkazu Ottona nie wyszedł zakłopotany i przecisnąwszy się przez tłum pokornie, nie siadł towarzyszyć *prima vista* z pozostawionych nut Maksowi, co zresztą nie było tak trudne, bo akkompaniament nie grzeszył ani wyszukanym kontrapunktem, ani wielką rozmaitością modulacyi.

Wrażenie, jakiego słuchacze doznali, słysząc najprzód ten temat tak popularny i znany od dzieciństwa każdemu, podniesiony do ideału wykonaniem, potém przerobiony dziwacznie, coraz dziwaczniéj kręcony, z towarzyszeniem miauczenia kota, szczebiotania ptaka, beczenia kozy, skrzypienia drzwi i t. p., a na tle tego wszystkiego ów *narodowy* (jak go Maks nazywał) temat ciągle się odzywający, z wydaném wreszcie *mruganiem* kotka, które muzyka imitacyjna doskonale przypominała—było nie do opisania.

Rzecz, prawdę powiedziawszy, nie miała najmniejszego sensu, ale cała się składała ze sztuczek, figlów,

koziełków i dziwactw. Słuchacze doszli do szału: klaskano, tupano, wołano, płakano, śmiano się, a półkownikowa nie mając już drugiego bukietu, o mało sama siebie nie rzuciła pod nogi genialnego mistrza! Opętanie było niewysłowione, tryumf zupełny, tak, że doskonale pojęty i uczuty, Maks czuł się w obowiązku nagrodzić zgromadzenie odegraniem kompozycyi swéj krakowiaka w piętnastu częściach, nazwanego przezeń „Wojną Chocimską”.

Wszyscy jednozgodnie uznali, że hrabia miał słuszność, protegując tak nadzwyczajnego talentu muzyka, który miał przejść Serwais'a, Romberg'a i całą wiolenczellistów gromadę, przeszłych, współczesnych, przyszłych. Po cichu szeptano o pochodzeniu jego od udzielnych książąt. Zachwyt był niezmierny, Otto jeden stał i uśmiechał się chłodno, gorzko, z politowaniem.

Maks powracający z bukietem, aby się przebrać i odetchnąć po trudzie i wysiłku, mijając Ottona, uderzony zimnym twarzy jego wyrazem, wstrzymał się chwilę.

— Widzisz pan, rzekł z dumą: nasza publiczność ma instynkt, ma poczucie piękna; trafić jéj tylko potrzeba do serca, umieć przemówić do niéj.

Otto kiwnął głową.

— Ale co się stało z Jankiem?

— Nie ma go?

— Nie ma.

— E! to dziwak: musiał pójść pieszo do Robowa.

— Cóż? krew mu poszła z nosa?

— Tak sądzę.

Na tém się skończyło, i nikt więcéj nie pomyślał o Janku. Ale gdy po koncercie zaczęto salon urzą-

dzać do balu i goście się rozeszli po bocznych pokojach, hrabina pośpieszyła zbliżyć się do mężowskiego brata, którego znalazła stojącego słupem, ze wzrokiem jeszcze skierowanym ku miejscu przy fortepianie, gdzie Janka zobaczył.

Kto to był? zapytał gwałtownie Herman.

— O kogo pytasz?

— Ten młody człowiek: kto to był?

— Nie wiem.

— Ale ktoś wie, ktoś przecię wiedzieć musi, kto to był taki?...

— Zaraz się zapytamy...

Posłano po Żółtowskiego: ten ruszył ramionami, odwołując się do Ottona.

Przyszedł powołany Marzycki.

— Jak się masz, hrabio?

— Kto był ten młody człowiek, który odszedł? zapytał żywo Herman.

— Ja go nie znam dobrze, odparł Otto. Zowie się Janko Zbój; przybył do mnie z Maksem, z tym wiolonczellistą, którego słyszałeś; dobre jakieś, biedne, ale dumne i nieunoszone chłopię. Potrzebaby się Maksa zapytać.

— Więc chodźmy do niego — dodał niespokojnie hrabia,—chodźmy do niego.

Maks spoczywał i dumał, a szczerze powiedziawszy, robił rachunek tego, co miał w kieszeniach: summy, która przechodziła o wiele jego najzuchwalsze nadzieje. Jeszcze był nie doszedł do końca assygnatek, a już przeszło trzy tysiące złotych naliczył, i owoc ten mozolnéj pracy schował szybko do kieszeni, posłyszawszy nadchodzących, przybierających minę potrzebną wycieńczonego wzruszeniem człowieka.

Ocierał pot z czoła i wzdychał.

Hrabia raz nań spojrzawszy, poznał w nim komedyanta, bo dobrze umiał ludzi oceniać i nie dawał się wziąć na pozory. Gra zresztą już go do tego sądu przygotowała.

— Przepraszam pana, rzekł poważnie: jestem bratem gospodarza—Herman Góra.

Muzyk skłonił się skromnie, pewien, że brat gospodarza przyszedł, aby go z blizka uwielbiać, może aby mu co ofiarować na pamiątkę lub zaprosić do siebie. Po chwili przybrał minę wspaniałą wielkiego mistrza, na którego ramionach cięży geniusz chmurą brzemienną, niewygodny gość nadziemski.

— Pozwól mi pan się spytać, kto był ten pański towarzysz, który odszedł z powodu słabości, czy nie wiem dla czego wśrod grania?

— A! Janek... E! to dobre sobie chłopczysko — rzekł od niechcenia Maks—biedny chłopak... W moich podróżach artystycznych spotkałem go, a postrzegłszy w nim niejaki talent, chciałem go zaprotegować, wyciągnąłem mu dłoń przyjazną... Jakiś czas jeździliśmy razem.

— Ale któż to jest? powtórzył hrabia.

— Prawdziwie, ja zawsze tak jestem zajęty sztuką, a tak mało zwracam uwagi na ludzi—odparł ruszając ramionami Maks — żem go szczegółowie nie rozpytywał. Młode chłopię, wychowanie niedokończone, poczciwy, prosty... ale nic wielkiego! nic nadzwyczajnego! Ja się łatwo przywiązuję; to moja słabość: zawsze mieć kogoś muszę w opiece.

— Robi to honor jego sercu! rzekł hrabia z francuzka; ale nie wiesz pan zkąd jest rodem?

— Zdaje mi się, o ile miarkować mogę, z Podola; ale najłatwiéj jego samego jutro o to spytać będzie można...

Herman zasępił się, skłonił i powoli wyszedł.

We drzwiach spotkał go brat w białym krawacie, stąpający pod równia prawie ogromnego tryumfu ciężarem jak Maks. Wieczór był prześliczny, szlachta poczciwa rozentuzyazmowana do takiego stopnia, że kilku po nocy iść chciało oglądać machiny hrabiego, co go nadzwyczaj ucieszyło.

— Co ci to? spytał brata.

— Nic: trochę ciekawości.

— Potrzebowałeś czego?

— Chciałem się o coś dowiedzieć.

Żółtowski odstąpił, odsunęli się jakoś wszyscy, Herman gorączkowo pociągnął brata ku oknu.

— Widziałeś tego młodego człowieka?

— Któremu krew poszła z nosa?

— Tak jest.

— Znasz go?

— Nie...

— To mój syn! to syn mój! zawołał żywo Herman; to dziecko moje! powtórzył.

Rajmund osłupiał.

— Twój syn! to być nie może!

— On sam! on! jam go poznał!

— Śni ci się! to biedny jakiś chłopak z Podola, czy tam nie wiem zkąd. Jakżebyś zresztą poznać go mógł po tylu latach?

— Moje dziecko! ale jabym je poznał wśród miliona ludzi! ja je mam w oczach, jak gdybym widział wczoraj! To Bóg mnie tu prowadził, abym je zna-

lazł. To on! nie ma najmniejszéj wątpliwości. Spotkałem wzrok jego: poznawszy mnie zadrżał, zmieszał się i uciekł... Potrzeba gonić! biedz, odzyskać go! Dawaj mi ludzi, koni—ja go mieć muszę!

— Wszystko co chcesz jest na twoje rozkazy, rzekł Rajmund zimno, śpiesząc z powrotem do gości. Ale nie róbmy z tego historyi, bo się z nas śmiać będą! na miłość Boga!

— A niech się sobie śmieją! ofunkął się Herman.

Powstrzymywać starego było niepodobna prawie; postrzegł jednak Herman, że skłopotany i czém inném zajęty brat zapału jego nie dzieli, i zwrócił się do Żółtowskiego, którego pociągnął z sobą do drugiego pokoju.

— Stary—rzekł gorąco—ratuj mnie i dziecko! Ten chłopak to mój syn.

Milczek, który się już nieco domyślał, od razu pojął wszystko.

— Na Boga! odpowiedział: jeśli to był pański syn, a uciekł, nie gońże go, bo zapędzisz nie wiem dokąd. Nie ścigać potrzeba, ale zmusić, żeby sam powrócił... Ale jakaż pewność? zkąd wiadomość? Czy to być może!

— Zkąd pewność? ja ją tu czuję! zawołał Herman porywając się za piersi. Ja wiem, że to był on, jam go od razu poznał i on mnie także. Ucieczka jego nie co innego oznacza.

— Jeśli tak, hrabio, na miłego Boga, dajże pokój pogoni! dodał rozważnie Żółtowski.

Stary zamyślił się.

— Cóż począć?

— Ja wyszlę kogoś tajemnie. Wróć pan do salonu i siedź spokojnie.

I namyśliwszy się nieco, stary zamilkł, zwracając się ku drzwiom.

— A! dobrze ci tak mówić! rzucił za nim hrabia; ale jam go lat tyle nie widział, a to dziecko moje!

— Chceszże je pan na wieki utracić? zapytał Żółtowski.

Hrabia padł na kanapę, zadumał się chwilę i powstał z większą jeszcze żywością.

— Bądź co bądź—rzekł—nie mogę to tak opuścić: jedźmy, idźmy, poszléjmy: nie może być daléj niż w Robowie, tam go znajdziemy.

Nie można go było przekonać i uspokoić. W chwil gdy bal rozpoczynał się w salonach, gdy hrabia i goście przekonani byli, że przybyły poszedł odpocząć—on, Żółtowski i kilku ludzi z nimi pędzili co żywo do Robowa. Otto wysłał był już przodem Martynka, który inną pogoń, choć pieszo, ale naprost idąc uprzedził.

Otto domyślił się zaraz wszystkiego i przeczuwał, że hrabia się nie myli; a obawiając się, by Janko daléj w świat nie ruszył, polecił Martynkowi, aby go ukrył gdzie niedaleko i nie dopuszczał mu uciekać.

W chwili gdy Martynko zdyszany dopadł dworku i wprost wbiegł do izdebki, w któréj Janek z Maksem mieszkał, Janko już upakowany, z tłomoczkiem na plecach i kijem w ręku, prawie był na wychodném. Stał z oczyma obłąkanemi, drżący i wystraszony.

— Co ci się stało? dokądże to wyruszasz? zawołał przytrzymując go Martynko.

— Idę, muszę... nie wstrzymuj mnie... każda chwila droga! odparł gorączkowo Janek.

I poczciwe chłopię, które się było sercem przywią-

zało do Martynka, schwyciło go za szyję, ściskając ze łzami.

— Ale mów, co ci się stało? dla czego uszedłeś? co robisz na Boga!

— Późniéj dowiesz się o wszystkiém. Powiem ci tylko, że jakiekolwiek są pozory, jam doprawdy niewinien tyle ile się zdaje: jam nic nie zrobił złego, ale uchodzić muszę. Chcą mnie zakuć w kajdany: ja nie mogę, nie zniosę niewoli, serce mi pęknie od niéj.

I ze wzrokiem przelękłym odpychał od siebie Martynka, torując sobie drogę, ale chłopak wstrzymywał go poczciwym uściskiem.

— Słuchaj, rzekł: ja się ciebie o nic nie pytam nic nie wiem i wiedzieć nie chcę; nie mam do tego prawa. Powiem ci tylko co Otto powiedzieć kazał; wysłuchaj mnie, uczynisz sobie co zechcesz. Jakiekolwiek są powody, dla których tak nagle uszedłeś z pałacu, Otto się lęka, abyś nie biegł kryć się gdzieś daléj... Dokądże udasz się bez grosza, bez opieki, sam jeden? My cię kochamy, obronimy, nie damy lecić na zgubę.

— A zakujecie w niewolę!...

— Nie. Posłuchajże: Otto ci ofiaruje schronienie takie, w którém nikt o tobie wiedzieć nie będzie. Chodź ze mną: daję ci słowo Ottona i moje, że możesz tam zostać spokojny.

Janko zawahał się, łzy błysnęły mu w oczach.

— Juściż wybyście mnie zdradzić nie chcieli?

— My! na Boga! znasz mnie, znasz ojca!

— A więc, co prędzéj, co prędzéj; czuję pogoń za sobą.

Nikt szczęściem we dworku w Robowie powracającego Martynka nie widział. Chłopak pochwycił za

rękę Janka i drzwiami od ogrodu wywiódł go z domu. Noc była ciemna. Ścieżką znajomą przedarli się przez gąszcze drzew owocowych i wybrali w pole. Opodal za łanem zboża była na skraju lasu pasieka, gdzie Otto, którego często najeżdżano, potrzebując czasem samotności, chronił się niekiedy na jaki dzień, aby być sam z sobą i myślami.

Miał tam dla siebie zbudowaną prostą chatę chłopską, ukrytą w drzewach, o któréj tylko miejscowi wiedzieli. Kawał dobry drogi dzielił ją od Robowa. Ku niéj to młodzi ludzie skierowali się żywo, słysząc już po za sobą turkot bryczek, które zarubienicką drogą ku dworkowi pędziły. W istocie, stary Herman niecierpliwy z Żółtowskim i kilku ludźmi wpadali do Robowa właśnie, gdy Martynko z towarzyszem byli już na pół drogi do pasieki.

Otto namyśliwszy się, pogonił za nimi i przyłączył się także, drugą bryczką ich doścignąwszy; obawiał się bowiem, aby w jego domu nie stało się co czegoby późniéj mógł żałować.

Razem prawie wszyscy weszli do domu, i rozbudzeni słudzy wybiegli naprzeciw nim; hrabia wrzał z niecierpliwości.

— Jakże się on teraz zowie? zapytał Żółtowskiego; bo nawet nie wiem o kogo pytać.

— Ani ja!

Zaspany stary sługa Ottona wysunął się z kredensu, przecierając oczy.

— Był tu kto? powrócił?

— A no! wrócił!

— Kto?

— On, gość: pan Janek...

— To on? zapytał hrabia Żółtowskiego.

— Zdaje się.

— Jak wyglądał?

— Wysoki, blondyn... ten, co z panem Maksem przyjechał.

— To on! Gdzież jest?

— Powrócił... musi tu być.

— Gdzie?

— Może w swoim pokoju.

— Prowadź nas.

Stary pośpieszył za służącym. Drzwi izby stały. otworem, świeca paliła się na stoliku; świeżo rozrzucone łóżko, podarte papiery, zebrane rzeczy świadczyły, że ten, kogo szukali, domyślając się pogoni, uszedł przed nią.

Dokąd? niepodobna było odgadnąć.

Hrabia padł na krzesło, złamany i zbolały. Żółtowski z załamanemi rękami stanął zamyślony, nie mając odwagi wymówić słowa.

— Sam tu był? zapytał sługi hrabia.

— A sam.

— Gdzież podziać się mógł? po nocy, nieznajomy... dokąd poszedł? jak znajdzie drogę? Moglibyśmy gonić.

— Ale gdzie zaś gonić! odparł Zółtowski; to się na nic nie zdało. On ma sto dróg, my jedną, to stara prawda. Nie złapiemy go już, panie hrabio, pozwól to sobie powiedzieć... darmo.

Ale zaraz ukąsił się w język, czując, że za nadto się rozgadał.

— No, mów śmiało, zawołał hrabia.

— Co panu przyjdzie z dziecka, które gwałtem pochwycisz i przytrzymasz, jeśli gość miło wiązać nie będzie?

— Masz słuszność! ale cóż począć? dać mu ginąć?

— A może znajdą się środki... rzekł Żółtowski. Wszakże jadąc tu, wcale się go pan widzieć nie spodziewałeś, nie wiedziałeś nawet o życiu dziecięcia. Bóg ci je dał zobaczyć, dość na tém; resztę zostaw temu samemu Bogu. Niech go tęsknota i miłość sama przyciągnie do domu i do ciebie.

I skinął na sługę stojącego ciekawie u drzwi, aby odszedł.

— Ja nie lubię mówić, wysilając się dodał: słowo, to najniebezpieczniejsza rzecz w świecie. Wyleci ptaszkiem, nie wciągniesz go wołèm, to stara jezuicka, ale dobra maksyma. No, ale na ten raz i mnie się gęba rozwiąże... Hrabio! uspokój się, pomyśl na miły Bóg, co robisz?

— Widziałeś go! widsiałeś, przerwał Herman—jaki piękny! jaka szlachetna twarz, jaka postawa, jak znać, że w jego żyłach poczciwa krew płynie!.. A! rzekł hrabia łamiąc ręce kościste: myślałem, że się go wyrzec potrafię, żem się go już zaparł i zapomniał; a gdy ujrzał, krew mi buchnęła do serca, poznałem go od razu, i on poznał mnie. Lecz byłemże ja dla niego tak strasznym tyranem, tak nielitościwym ojcem? Nie czułże on serca we mnie ani dla mnie... A! Bóg mnie skarał straszliwie... Gońmy go, pochwyćmy, a wówczas...

Gdy ta scena odbywała się w izdebce, Martynko ledwie Janka do chaty w pasiece wepchnąwszy, i powierzywszy staréj żonie pasiecznika, z poleceniem, aby nikt w świecie o nim nie wiedział,—sam pomiarkował, że mu powrócić trzeba i udawać jako wprost przyszedł z Zarubiniec. Wpadł więc do izdebki, i tra-

fił właśnie na to, gdy hrabia rozwodził swe żale. Przybycie obcego nawet wstrzymać go nie mogło.

— Ja nie chcę go mieć, aby uczynić niewolnikiem, wołał: chcę go tylko zobaczyć, chcę znowu przez niego wejść w życie, zyskać nadzieję, nic więcéj... Chcę, by dziecko moje nie żebrało chleba. Tyś go znał? pytał porywczo zwracając się Martynka.

— Kogo, panie?

— Janka tego?...

— A jakże! oni-ć tu już są od dawna.

— Jakżeż z nim?

— O! jak najlepiéj, bo to najpoczciwszy chłopiec w świecie, zawołał Martynko.

— Nie możesz zmiarkowoć, gdzie się podział?

— Jakto, podział? alboż...

— Mówią, że był tu przed chwilą, zabrał rzeczy i uszedł.

Martynko choć nieprzywykły kłamać, udał zdziwionego wcale nieźle: otworzył oczy, pokiwał głową.

—Dla czegożby od nas uciekał? spytał, cóż to było złego? czegożby się lękał?

— Ojca! ojca! gorżko nie zważając na nic zawołał hrabia, bijąc się po czole. Tak, to mój syn nie ma wątpliwości.

Porwał za rękę Martynka.

— Słuchaj, rzekł porywczo: tyś go znał, byłeś z nim w przyjaźni, może potrafisz poczuć, odgadnąć, dojść, wyśledzić, gdzie się on podział. Uczyń, ażebym go zobaczył, żebym z nim mógł pomówić.

Martynko milczał.

— Tyś ubogi... rzekł hrabia.

— Nic nie mam.

— Dam ci co zechcesz... dam ci...

— Ale, panie, ja darmo zrobiłbym co można. Czegoż on jednak ucieka?

— Bo mnie się lęka, niewdzięczny! bo się boi własnego ojca! i poszedł na nędzę dobrowolnie, byleby nie być ze mną. Oddaj mi go, dam ci spokój i chleb na całe życie. Powiedz mu, że ja nic nie chcę, tylko go widzieć, tylko...

Martynkowi łzy stanęły w oczach, ale milczał.

— Tyś go znał, powtórzył hrabia.

— Znałem go, panie.

— Mówże mi o nim, jak on jest?

— Ale panie, to ptak, co lubi tak swobodę, wodę zdrojową, powietrze wolne, sukmankę, że dla nich oddałby skarby świata. Dziś gdy przyszło, z pozwoleniem pana, posługując temu kuglarzowi, ubrać się we frak i pójść grać do pałacu, co on się biedaczysko nażymał, namęczył, napłakał!

— A zrobił to przecię! zawołał hrabia, któremu oczy się iskrzyły.

— Musiał, dla przyjaciela.

— Poczciwe serce: nie prawdaż?

— Ale to serce złote, to dusza prosta i szczera, co obłudy nie zna i nie pojmuje.

— Jakże mu się działo? z czego on żył? pytał hrabia coraz natarczywiéj.

— Nie, o ja tego nie wiem... Służył podobno, był gdzieś koniuszym; teraz to i grosza nie miał, i znowu się w służbę wybierał.

Hrabia wstał i począł przechadzać się żywo.

— Gdybyś ty zanim pogonił, rzekł po chwili: onby się ciebie nie zląkł, on ci wierzy... nie prawdaż?

— Być może.

— Gdybyś starał mu się wmówić, że mu nic nie grozi odemnie, że ja go nie myślę więzić.

Hrabia nie przeczuwał wcale, jak dobrze trafił, zwracając się do Martynka; ale biedny chłopiec, któremu się zdało, że doszli do jego tajemnicy, drżał cały. Herman zbliżył się do niego.

— Siadaj, jedź, zawołał—goń za nim: ja powrócę do Zarubiniec.

— Panie, odparł Martynek z prostotą poczciwą: ja jestem cały na usługi twoje, ale nie będę zdrajcą i ponętą, którą puszczają naprzód, by zwierza do klatki wprowadzić.

— A któż tego żąda po tobie? Ja nie chcę nic! ja go właśnie takim mieć chciałem, jakim dzisiaj znajduję!—Patrzeć chcę tylko na niego i kochać; oszczędzić mu bólu, starania, nędzy, które wiodą do złego. Nie okuję go przecięż; ale drżę, by gnany strachem nie zapędził się gdzie daleko. Może zginąć, może się spodlić... ratuj mnie i jego!

— Tak; ale ja... nie wiem gdzie go szukać.

— Próbuj, jedź, czyń co ci się podoba... pomóż mi!

— Panie, ja nie potrafię.

Hrabia znowu upadł w krzesło milczący, i łzy potoczyły mu się po twarzy. Martynek patrzał, drżał, ale wytrzymał.

Żyłtowski, który nań z daleka z uwagą poglądał, może się czego domyślał; kto wie, może odgadł wszystko, ale ust nie otworzył.

— Cóż tu począć? odezwał się Martynek. Gdzie mnie poszlecie, gotów jestem...

— Jak ci się zdaje, dokąd się mógł udać?

— Jak ja go znam, niełatwo odgadnąć... rzekł

chłopak. Mógł się w las rzucić bez drogi; niczego się nie lęka; fantazye ma dziwne.

— Odważny? spytał hrabia.

— A! panie, mężny i silny jak lew!...

— Takim go mieć chciałem! A niewygody?

— Ależ to dziecko stepu i dusza kozacza, jak się sam nazywa.

To cud, to moje dziecię! I stracić je! Gdzież on? gdzie on? mówcie! ratujcie! wołał Herman.

— Jego, panie i szukać darmo, i znaleźć trudno, chyba trafem. Jeśli mi każecie próbować, spróbuję, ale nie ręczę, odparł Martynko, kłamiąc coraz śmieléj.

— Potrzebować będziesz pieniędzy, przerwał hrabia—i ty, i on jeśli go znajdziesz... bierz...

Przywyknienie do skąpstwa wstrzymało hrabiego.

— Słuchaj, Żółtowski, rzekł zapytując go wejrzeniem: czy Martynkowi zaufać można?

Na to stary ruchem odpowiedział, że jest nieposzlakowanéj uczciwości.

— Ile mam dać?

— Co pan chcesz! odparł Żółtowski.,

— Daj mi pan z pięćdziesiąt złotych, rzekł Martynko namyślając się; potem się obrachujemy.

— Głupiś, dzieciaku! zawołał hrabia: masz tysiąc, nie żałuj! płać, przepłacaj, najmuj, śledź, bylebyś mi go odszukał, a gdy znajdziesz...

— Jeśli go znajdę?

— Daj mi znać, żebym mu przysłał ile zechce. Ja go nie zobaczę, póki się sam nie przekona, żem dla niego nie myślał być tyranem, że jest wolny i będzie wolny...

Martynko przelękły obracał w rękach pieniądze.

— Ale jakże? zaraz?

— Jedź natychmiast, śpiesz... szukaj, nie dawaj mu się oddalić... Lub nie: powiedz mi jeszcze co o nim.

— Cóż powiem panu? Serdeczny chłopiec...

— Ma rozum?

— Ojciec Otto mówi o nim... on kocha go także bardzo...

— A, prawda, spytam Ottona. Ty wybieraj się i jedź co rychléj, a pozwólcie mi tu zostać w téj izdebce, w któréj są jeszcze ślady po nim, biedném dziecięciu...

— Ot, jeszcze kij jego w kącie! rzekł Martynko: sam go tu wystrugał.

Herman pochwycił w drżące ręce kawał drzewa, ścisnął gwałtownie i oczy weń wlepił, jakby z niego miał coś o tym, który go nosił, wydobyć, dowiedzieć się. Znowu dwie łzy błysnęły mu na powiekach.

Wtém wszedł Otto, który z dala dotąd trzymając się, czatował. Hrabia rzucił się ku niemu.

— Siadaj, rzekł: ty mi więcéj, ty mi lepiéj o nim rozpowiesz.

Żółtowski mrugnął na Martynka i wyszli z nim razem, zostawując ich sam na sam. Otto usiadł spokojnie, siwiejące włosy przerzucając ręką żylastą.

— Mówmy jak starzy towarzysze szkolnéj ławy, odezwał się Herman. Znasz mnie i moje dzieje; Bóg zrządził, że jego poznałeś: powiedz mi, zaklinam cię, czem on jest? Żyłeś z nim, potrafiłeś ocenić.

— Nie wiem czy jest synem twoim, choć ta ucieczka czegoś dowodzi, rzekł Otto; nie myślę kim jest, ale to chłopak wielkich nadziei. Dusza najpoczciwsza, szczera, prosta, uczuć szlachetniejszych trudno... tylko dzieciak. Sierota rozmiłowany w swéj swobo-

dzie, jarzma, które społeczeństwo wkłada, nałożyć nie chce i nosić nie umie. Ja, com je także ciągle z karku otrząsał, nie będę tu dobrym sędzią; dla mnie on jest ideałem, choć przyznam ci się, nie wiem co życie jeszcze zrobi z niego. Z takich ludzi rodzą się i bohaterowie, i rozbójnicy Szyllera; wielkie charaktery i wielkie zbrodnie... Jest z czego uczynić posąg Apollina i Satyra.

— A kochać on umie? spytał hrabia.

— Do zbytku: dowodem to, że taką lalkę na sprężynach jak ten Maks pokochał, pomagał mu, służył i dał się zawojować. Widziałeś dziś Fermera, gdy oblókł rolę natchnionego, grając „Wlazłego kotka...” a przecież Janko go kochał.

— To źle! to źle! miękki więc jest!

— Nie, ale umie kochać i potrzebuje się poświęcać.

— I będzie ofiarą, mimo wszystkiego, rzekł hrabia zamyślony; będzie ofiarą, nic go nie wybawi. Tacy ludzie są wyjątkowi i zawsze im źle na świecie. On zginie biedny. Właśnie chciałem, hartując go, tego uniknąć; ale dziéj się wola boża.

Rozmawiali tak długo jeszcze, bo hrabia z pokoju tego wynijść nie chciał—i dzień świtał, gdy nareszcie Otto namówił starego, aby się położył. Paweł stary zrozpaczony, dawno przybywszy z Zarubiniec, posłał był łóżko, i czekał i drzemiąc i płacząc nad pościelą, nie pojmując co się spokojnemu panu stało.

W pałacu tymczasem nie mogły ujść baczności przybyłych sąsiadów ruchy, które zaszły w sali. Wieść o związku jakimś między ucieczką Janka a nagłym wyjazdem hrabiego przetworzyła się w dziwną bajkę: szeptano sobie o osobliwszym jakimś wypadku, który jedni drugim podawali, coraz poczwarniejsze tworząc

z niego opowiadania. Dodało to trochę ożywienia i gorączki zabawie, ale wielu też powarzyło i napełniło niepokojem, bo nic pewnego dowiedzieć się nie było można.

Tylko Maks i półkownikowa, których zaraz zapoznano z sobą, wcale nie zważali na to, co się w koło nich działo.

Amelia mdlała z niecierpliwości, żeby się zbliżyć do wielkiego artysty; Maks czuł, że się spotkał z fortuną na rozdrożu, i że chodzi tylko o to, aby ją pochwycić za włosy, to jest za serce. Oboje równie obawiali się zawodu i drżeli zbliżając się do siebie.

Maks, jako bardzo porządny człowiek, choć artysta, po formalnéj prezentacyi, nim daléj zaszli, pod pozorem wody poszedł rozpytać się dobrze, co to za jedna ta pani półkownikowa. Trafił na młodego człowieka dowcipnisia, który mu ją w dwóch słowach odmalował.

— Ja panu powiem, rzekł: to jest wdowa po półkowniku Z..... i po czterdziestu latach umarłych; ale że nigdy nie była ładną, nie jest dziś brzydszą niż przed dwudziestu laty i podobno już na to rachować można, że nie zbrzydnie i nie postarzeje. Widziałeś pan jéj figurę? stanik klassyczny, ręka i nózia skulpturalne, ubiera się jak moda, tańcuje jak niemiecka sentymentalna baletniczka, szepleni trochę mówiąc, lubi zapachy, nigdy nie miała widocznego kochanka, ale i to dodać potrzeba, że ma gdzieś niewidocznego także synka po nieboszczyku pułkowniku... Majątek czysty, dobrze urządzony, wart półmiliona komu niepotrzeba, może więcéj; w brylantach, tyftykach i innych precyozach i remanentach, nie licząc różu i bielidła, jest pewnie jakie sto tysięcy jeszcze. Młoda sercem, ospowata po dniu...

To mówiąc, ukłonił się i na pięcie wykręciwszy się zniknął.

Główne punkta dawały informacyę zadawalającą dla Maksa, który zaraz powrócił do wdowy przybierając minę artysty, dla którego świat stał się pieprzem i assafetydą. Zwykły to kolor tych, co się chcą uczynić zajmującymi, nim się raczą dać w sobie zakochać. Oprócz tego Maks udawał człowieka mocno od losu prześladowanego, dziecko rodziny niegdyś znakomitéj i zamożnéj i t. d.

Resztę miał dopełnić w miarę objawiającéj się potrzeby.

Amelia ze swéj strony umiała grać rolę doskonale wyuczoną w praktyce lat kilkunastu, kobiety czułéj, bardzo nerwowéj, potrzebującéj kochać a dotąd nigdy nie kochanéj, mającéj zaoszczędzone w głębi serca nieprzebrane źródła affektów.

Dość im się było zbliżyć, przemówić, porozumieć, aby zgodzić się z sobą. Wieczór był stanowczy.

Maks przypatrzył się, że choć ospowata, wcale jest niebrzydka i dość miła; ona, że jest młody, ładny i egzaltowany, wzięła bowiem artystyczną blagę za dobrą monetę. Mówili z sobą tylko ciągle i prawie wyłącznie, i półkownikowa zaraz go nazajutrz do siebie zaprosiła.

Reszta nocy zeszła na skokach, do których z widocznćm nadskakiwaniem służył Maks półkownikowéj, puszczając się z nią w walce i polki, w których żywe bicie czułego jéj serca mógł na uczynku pochwycić.

Hrabia szlachtę przyjmował serdecznie i karmił a poił natarczywie, co dało wielu do myślenia, że ma zupełną kwalifikacyę na marszałka, i mógłby nim być

bardzo. Pani domu i Lola gościnne były, ale jakby pomieszane i smutne. Dziewczęciu stał w oczach ów blondyn z takiém wejrzeniem poczciwém i słodkiém, który znikł nagle, i rumieniła się przed sobą myśląc o nim. Hrabina sama wolała zawsze ciszę, modlitwę i pokoik z oknem na ogród i bzy swoje; tłum jéj wcale nie bawił, wzdychała do samotności, do któréj nawykła.

Nadedniem już goście się rozjechali, a Maks pomógłszy półkownikowéj wsiąść do karety, którą obejrzał okiem przyszłego już właściciela, pożegnawszy gospodarza, rozmarzony nadziejami, poleciał spocząć do Robowa.

Wszyscy spali i cisza panowała w małym dworku; wieśniacy tylko ze dniem do pracy wstawać poczynali i gdzie niegdzie żurawie studzień piszczały, lub krówka wypuszczona na podwórko porykiwała ku stadu, z którém wyjść miała na rosę.

Po nad ziemią lekki opar się unosił, i ze mgły téj wpół przezroczystéj, krajobraz wychodził cudnemi sinawemi barwami przedwschodu odziany. Na Maksie drzemiącym po winie, po koncercie, po rozmowie z półkownikową, owacyach i nagłem zbogaceniu, natura nie czyniła wrażenia. Brał się tylko co chwila za kieszenie i przemyślał, co ma wieczorem mówić uroczéj wdówce, aby ją podbić zupełnie.

Zsiadł przed gankiem napół pijany i wtaczał się we drzwi, gdy na ławce postrzegł Ottona, który nie mogąc zasnąć, sam jeden siedział z głową o kolumnę opartą.

— A to co jest? zapytał.

— Siedzę i odpoczywam, rzekł Otto. Ale idź ci-

cho, bo mamy gościa, hrabiego Hermana, który niedawno się położył; nie przerywaj mu snu, proszę.

— A on tu co robi?

— Ciasno było w pałacu, przyjechał do mnie.

— No, a Janek się znalazł?

— Nie ma go.

— Cóż to jest? uciekł? z jakiego powodu?

— Nic nie wiem.

— To coś niepojętego!

I przysiadł Maks na ławie, szukając powodu do wywnętrzenia i przechwałek.

— Czy zabrał i rzeczy z sobą?

— Zabrał i poszedł po nocy.

— Wszakżem mu nic nie zrobił?

— To fantazya jakaś.

— Dzień cudów i dziwów. Mógł przecię poczekać, żeby się koncert skończył, i pożegnać ze mną; ale to zawsze pół-waryata!

Nie lubiąc kłamać i pół gębkiem chwalić, chciał Otto uniknąć mowy o koncercie; ale artysta tak wiele pił pochwał, które, jak inne napoje fermentujące budzą pragnienie, że musiał pożądać ich jeszcze; sam więc zwrócił rozmowę na tryumfy swoje.

— A tak! rzekł: mówiłem i powtarzam, jest u nas poczucie piękna; dowodem moje wczorajsze wystąpienie przed tém wieśniactwem prostém, nieuczoném a uczucia pełném, od którego byłem tak gorąco zrozumiany. Tego wieczoru nigdy nie zapomnę. Wiesz, że około sześciuset rubli się zebrało! Olbrzymio!

Otto się uśmiechnął.

— I w dodatku—rzekł Maks—rozkochałem się.

— No, to się rozumie, że w półkownikowéj, przerwał Otto.

— Zkąd wiesz?

— Bo to jest jedyna kobieta, na któréj miłość wszyscy ludzie młodzi, prócz mnie, chorują zawsze po pierwszém widzeniu od dziesięciu dni do dwóch miesięcy.

Maks się obraził.

— Kobieta niepoznana!

— Kobieta bardzo zacna, ale chora...

— Co? reumatyzm? spytał na seryo Maks.

— Nie, choroba sercowa: chce być kochaną jedynie, wyłącznie, gwałtownie i wiekuiście.

— Ma słuszność, taka tylko miłość jest miłością.

— Niezawodnie, ale ten kwiat nie wyrasta i nie kwitnie w czterdziestu leciech, chyba zasiany w dwudziestu... za późno...

— Nie, rzekł Maks, nie: zawsze czas kochać.

— No, to co innego! odparł szydersko Otto.

— Jak to, co innego?

— Wiesz, że ma pół miliona...

— Najprzód, nie wiem; powtóre, to mi uwłacza...

— Och! dajże pokój; to pochwała twego rozsądku, uśmiechnął się Otto.

A! ci zimni ludzie! ci zimni ludzie! zawołał Maks, bijąc się w czoło.

Otto, który codzień chodził na cmentarz do grobów narzeczonéj i ojca, choć nikt o tém nie wiedział, uśmiechnął się szydersko.

— Dam ci dobrą radę, odrzekł po chwili.

— Jaką?

— Półkownikowa potrzebuje pójść za mąż koniecznie; jeszcze pół roku, rok najdaléj, a wyda się za młodego ekonoma lub pisarza gorzelnianego. Ożeń się

z nią, a będziesz mógł próżnować i muzykę porzucić: to dla ciebie dobra partya.

Maks zagryzł usta, zniósł ten sarkazm i poszedł gniewny, mrucząc do swojego pokoju.

Tu rzucił się na łóżko, dumając o Anieli, i usnął.

Amelia też nie miała w życiu szczęśliwszéj chwili nad podróż swą z Zarubiniec do Danowa... Wpół drzemiąca, wpół marząca na jawie, napół i we śnie, przez całą drogę widziała przy sobie artystę, który jéj szeptał pół-słowa czarowne, jakich się dźwięku nie zapomina nigdy.

— „Melciu droga, ja cię kocham, ja wiecznie kochać cię będę... jam twój... Drogą życia kwiecistą pójdziemy daléj razem z dłonią w dłoni, z okiem w oku... Ty wsparta na mojém ramieniu, wsłuchana w pieśń moją; ja wpatrzony w twe oczy...”

— Stało się, rzekła wysiadając senna w ganku: jeśli on zechce, jeśli mnie zrozumie, będę jego! Niech świat mówi co chce, niech ludzie rzucają kamieniami! i mnie się kropla szczęścia z czary, któréj usta nie tknęły, należy...

I odpinając bransolety, rzuciła się w fotel, szepcząc po cichu.

— Ten lub żaden!

Biedna, a! jakże wybrała!

W ciemnym gaju, wśród którego opasana plecionym płotem, tarniną obwarowanym, stała w sadzie owocowym pasieka, Janek przed chatą przechadzał się niespokojny. Słońce wschodziło na świecie, złote je-

go promienie na wierzchołkach drzew się czepiały, gdzie niegdzie przerzynając gąszcze, lśniły się na zlanych obfitą rosą liściach traw i ziół leśnych; ale w pasiece mrok był jeszcze i chłód poranka, a każdy krok na trawie znać było w otrzęsionych z rosy listkach.

Pszczoły już gadały, już się budziły robotnice, już je wabił zapach rozkwitłych łąk i ziół, i ule okryte na chwilę czarnemi ruchomemi plamkami, wnet opustoszeć miała. W gaju ptactwo już także było przy pracy dziennéj, słowik nocnego strażnika dośpiewywał pieśni, dzięcioł kuł nieborak próchno, drobne ptaszęta szły na żer w pole, silniejsze na łowy, a ci, co nocą płondrują, do jam i dziur wracali.

Dzień wschodził pogodny. Janek, co ledwie był trochę usnął na sianie, które mu podesłano, niespokojny krążył przed chatą. Nie czuł się tu bezpiecznym. W polu, na równinie, w ruchu, byłby wytrwał; ale tu zdawało mu się, że jest zamknięty. Chata trąciła niewolę, ukrywaniem się, bojaźnią; poczciwa dusza męczyła się tym stanem.

— To on był, to on! mówił do siebie Janko; wszakżem powinien był przeczuć, że w domu brata mogę go spotkać, choć tam od dawna nie bywał. To on! toż same oblicze zwiędłe, straszne, surowe, tylko starsze; lata na wyżółkłém czole wypisały mu jego sieroctwo... Też same usta, które mi się nigdy, nawet w kolebce, nie uśmiechnęły; co mi groziły i szydziły ze mnie; to samo oko straszne i piekące... To on! to on!

I obok téj twarzy, z mgły wspomnień, jak w krajuobrazie z za tumanów sioło zielone, wstawała druga twarz uśmiechnięta, tak piękna, czysta, święta, łagod-

ności i dziewictwa pełna, jakby nie z czarnéj ziemi wyrosła... Jednak nie wiedział nawet kto ona była, ale tak mu się wpiętnowała w pamięć, w serce, że może jéj był winien, iż od razu uciec nie potrafił.

— Ja tu ją może jeszcze znajdę, zobaczę, mówił do siebie; bo drugiéj takiéj na świecie nie ma i być nie może.

Twarz pięknéj Loli i oblicze ojca przelatywały przed nim jak dwa sny biały i czarny: drżał i bał się, i coś go nazad ciągnęło.

— Potrzeba było uciekać, mówił do siebie: daleko, w tę Ukrainę stepową, między dzieci pustyni, i znowu tam na dzikich hasać koniach, spać na gołéj ziemi zabić w sobie marzenia, zapomnieć, zapracować się. Tamby mnie nikt nie dogonił, nie poznał, nie znalazł. I tam są oczy niewieście i serca kobiece, i toż życie w szaréj sukmanie, co tu w odzieży jasnéj, tylko prostsze i bliższe Boga i szczersze. Nie! tu nie moje miejsce, tam! Ztąd iść trzeba: tu duszno i straszno!

Mówił tak chodząc, gdy zaszeleściało w krzakach, i nim się zdołał ukryć, przelękły jak zbrodniarz, ukazał się poczciwy Martynko, zmokły, oblany rosą, i skutkiem nocnych przygód, do których nie był przywykły, z febrą okrutną, co go właśnie trząść poczynała.

Zbladły, jeszcze się biedak brzydszy i biedniejszy niż kiedy wydawał,—aż Janek poznawszy, poskoczył ku niemu przestraszony, wołając:

— Co ci to jest?

— Ot! nic, tylko febry dostałem.

— Co ci zrobić na to?

— Nic, chodźmy do chaty, bo mi zimno, bardzo zimno... ale przejdzie gorączka i lepiéj mi będzie.

Uśmiechnął się, pokrywając cierpienie, poczciwy chłopak.

— A co słychać? zapytał Janek.

— Nic.

— Gonili za mną?

— Nie.

— Nie? pewnie?

— Możesz mi wierzyć. Płakali po tobie, nie ścigali cię wcale.

— Płakali! zawołał Janek: po mnie! kto?

— Ojciec.

Janek się uśmiechnął.

— O! rzekł cicho: tych oczu nigdy łza nie nawiedziła.

— Mylisz się. Ale wnijdźmy-no. Ja sam łzy widziałem.

Janek zamilkł, ale z nieufnością widoczną wszedł za Martynkiem do chaty.

— Słuchaj, rzekł: jeśliś tu po to przyszedł, żeby mnie nawracać, to czas stracony; zanadto blizkie jest jeszcze moje dzieciństwo, nie mogę o niem zapomnieć. Darmo: nie mów mi o tem!

— Ale ja wcale nawracać cię nie myślę, lecz i kłamać nie mogę odparł Martynek.

Wszedłszy do chaty, Janko zaprzątnął się około chorego, położył go, okrył, otulił i pobiegł ognia rozpalić, aby mu co ciepłego zgotować. W tych razach, jak to Maks doświadczył, Janko był jedyny, czynny, niezmordowany, wesół, gdy mógł pracować i służyć komu.

Martynek aż płakał upokorzony, ale wstać nie mógł, bo febra coraz go mocniéj rozbierała.

— Mój Janku, rzekł w ostatku po długiém milczeniu: wyrzucałbym sobie, gdybym co skrywał przed tobą.

Janek pobladł.

— Opowiem ci jak było wczoraj, dodał chory; trzeba żebyś wiedział wszystko. Bądź spokojny nie byłem zdrajcą i nie będę.

Tak począwszy, Martynko opowiedział gorąco całą swą ze stryjem rozmowę, powtórzył słowa jego, opisał łzy i wzruszenie. Syn słuchał go z uwagą, z ciekawością; ale na twarzy jego, po któréj raz długa łza przebiegła, nie widać było skruchy i żalu. Martynek kończąc, wyciągnął ku niemu rękę, podając mu pieniądze ojca, ale Janko je odtrącił.

— Teraz ty mnie posłuchaj, rzekł powoli: co się stało, odstać się nie może. Jam dziś już syn biedy i niedoli, a nie paniątko tam jakieś; powrócić do nich nie chcę, nie potrafię, bobym nie wyżył z nimi. Jam znękaniem wypchnięty z tego świata, wyszedł i poślubił sobie inny... W pośród nich czuję się obcy nie swój, zmęczony; dopiero gdy dłoń podam uznojonemu wieśniakowi, gdy z nim siądę gwarzyć na mogile, gdy w lesie głuchym słucham śpiewu bożych dzieci, jestem w swoim żywiole i szczęśliwy... Mów co chcesz! u nich miłości nie ma; wiesz co jest? próżność tylko. Myślą: „To ostatni imienia spadkobierca, przelejmy nań troski nasze, imię, nędzę i niewolę, włóżmy nań pęta, któreśmy sami nosili.” Starzec schodzi do mogiły, odpędził co kochał, zostaje sam, chce mieć kogoś, by dręczyć i komuby spadek swéj dumy i osamotnienia przekazać. Ja nie chcę ich przyjąć; szczęśliwy jestem jak jestem; grosza nie tknę, bom go nie zapracował, bo ten grosz związałby mnie i spętał na wieki.

— A! gdybyś ty widział łzy starca! rzekł Martynko.

— Łzy... i ja płakałem, odparł chłopak; a łzy z różnych źródeł płyną! Jam już urósł sierotą i sierotą zostanę. Chował mnie na włóczęgę, co się nie zlęknie niedoli ni pracy... otóż mnie takim ma.

Janko chodził żywo po izbie.

— Ale ty mnie nie zdradzisz? rzekł do chorego.

— Ja? możeszże posądzać?

— Nie! nie! ty nadto jesteś biedny!... Kto wie? może gdyby tu przyszli do mnie, uległbym, upadł, dał się związać i zabrać, ale życia zmienić nie chcę: tak mi lepiéj. Myślałem nieraz: „Jam swobodny, jam sam sobą, tu nic nie krępuje ni myśli, ni woli... tam...“ Ty jeszcze wzdychasz do tego świata, bo go nie znasz, ja go odpycham, bom skosztował.

— Dziecko, szaleńcze!

— Tyle w człowieku dobrego, co szaleństwa, rzekł Janek. U was się szałem nazywa, co wychodzi z powszedniego kręgu i płaszczyzny. Ale ja nic od nich nie chcę.

— Oni chcą od ciebie nie tak wiele jak sądzisz!

— Jakiém prawem? przerwał Janko. Cierpiałem jak cierpi dzikie zwierzę, co odejść od gniazda nie może: dziś dostałem skrzydeł, odleciałem... w świat... Bóg tylko jeden ma prawo spytać mnie: dokąd i po co?

Nie można było mówić z nim więcéj.

— Bądźże spokojny, rzekł Martynko: siedź tu, ja cię pewnie nie zdradzę.

Potém poczęli gwarzyć po młodemu swobodniéj, o ile choroba pozwalał jednemu, drugiemu obawa i wzruszenie.

Przed oczyma Janka przelatywała ciągle ta twarz dziewicza prześliczna, o któréj zapomnieć nie mógł.

— Powiedzże mi co o Maksie? spytał Janko.

— Maks pan, kieszenie ma pełne złota i upił się pochwałami do sytu. Na dziś wieczór zaprosiła go jakaś półkownikowa.

— O! serce ma z wosku! rozśmiał się chłopak: zaraz się zakocha w niéj szalenie.

Ale przypomniawszy sobie wrażenie, jakie na nim zrobiła nieznajoma, spuścił głowę i umilkł zawstydzony.

Dotąd dziki Janko nie znał tego uczucia, choć przebiegł swobodny kawał świata, a ładnego chłopaka tysiąc razy wabiły dziewcząt oczy i uśmiechy. Nieraz już czarne, ogniste wejrzenie niepokoiło go temi obietnicami, które się nigdy nie dotrzymują; nieraz w drżącéj dłoni miał malutką rączkę, która mu się narzucała ściśnięciem; ale naówczas zawsze strach go jakiś ogarniał, jakby prosząc o miłość, życia od niego żądano. Uciekał przelękły, tęsknił, zapomniał oczu, uśmiechu i dłoni, która magnetycznie taki weń ogień przelała. Pojęcie jego o miłości było takie, jakiego się czyste a poczciwe chłopię w kozaczych stepach mogło wyuczyć z piosenki; wiedział o niem tyle, co wie śpiewka dziewicza, co mówi bajka i podanie. O ucho jego nie obiło się szyderstwo swawolne, którego, słysząc je nawet, nie bardzo rozumiał; ale się wsłuchał w owe tęskne dumy, w których chmury noszą poselstwa kochanka, ptaki wieści krwawe, cały świat dzieli ich bóle i łzy. W tych pieśniach zawsze miłość i uścisk kończą się śmiercią i mogiłą, i dwie dusze płacząc, ścigają się potém za grobem, męczą tęskniąc ku sobie. W pieśniach ludu niezepsutego

jest nawet owa miłość niepodobna, którą czasem spotykamy w książkach naszych; ten sam ideał, tylko tam piękniéj ubrany, tu prozaiczniejszy i zimniejszy.

Janko pojmował miłość tylko taką, stepową, wielką, jedną, niezmierną, ale więcéj się jej obawiał niż pragnął. Dusza jego bała się nawet tych pęt, które na nas kładzie uczucie...

„Gdyby dwoje skrzydeł na barki, gdyby zaraz jedna szata z chmury i precz ze świata ze skarbem ulecić w górę... myślał czasami. Ale żyć, by codzień się psuło to, co chwila uczyniła już tak doskonałem, że większém i piękniejszém być nie może; żyć, by miłości dać zwiędnąć i zatonąć w ziemskim kale... a! to lepiéj nie kochać!"

On chciał... ale to było dziecię stepu—a co marzą orły na mogiłach, krucy w chmurach i ludy młode i młodzieńcy budzący się do życia, tego pióro z trupiego wyrwane skrzydła, nie spisze. To pioruny piszą na niebie, to jęczą lasy w noc głuchą, tego wybyście, panie i panowie moi, nie zrozumieli.

A jednak ilekroć dziecko stepu chciało pójść nazad w ten swój świat, wnet je ku ohydzonemu ciągnęła na twarz zjawiona, i przykuwała uśmiechem, jakby mówiła do niego:

— Ja umrę po tobie w tęsknicy.

Coś było w głębi tego uczucia niosącego z sobą przekonanie, że się ono opłaci wzajemnością, że się nie urodziło samo, że źrenica, co je zapaliła, szukała widma przed sobą i zapłonęła tęsknotą, bólem, pragnieniem.

— Dobrze więc, rzekł Martynko: rób sobie co chcesz; ale po cóż masz od nas, co cię kochamy, uciekać, kiedy tu nic ci nie grozi?

— Jak to? myślisz, że zostać tu mogę? To historya nadto głośna, zwróciła na mnie oczy... niepodobna...

— Historyi żadnéj nikt nie wie; ty z nami możesz pozostać tak swobodny i spokojny jak w stepie. Czyż ci tu z nami nie lepiéj?

Janko się zadumał.

— Przecięż wszyscy wiedzą, domyślają się przynajmniéj kto jestem?

— Nikt, prócz mnie... Żółtowski może. Twój ojciec nie chcąc ciężyć nad tobą, jutro powraca do domu. Po cóż uciekać, gdy nikt nie ściga; gdyś nieraz mówił, że ci tu dobrze, żeś się do nas przywiązał; gdy wiesz, że Otto kocha cię jak dziecko własne, ja—jak brata jeżeli taki biedak jak ja ma prawo kochać hrabiątko?

— O! dajże mi pokój! Ja tę skórę tygrysią, co do mnie ludziom przystąpić nie dawała, zrzuciłem już dawno; jam prosty chłopek, co chcesz, tylko nie hrabia. Ale przypuściwszy, że mnie nawet nie okują w kajdany fraka i rękawiczek, co ja tu będę robił?

— A co tam, dokąd lecisz? spytał Martynko.

— Pójdę konie ujeżdżać znowu.

— To i tu coś podobnego ci znajdziemy; a czyż nie pochlebiając sobie, Otto, a choćby ja, po koniach i bydle, nie byliśmy ci na to potrzebni?

— Ale ja się tu boję!

— Dziecko jesteś.

— Ty nie wiesz co klatka: jam w niéj mieszkał! Ale zawsze zostanę i spocznę, a potém zobaczymy.

Martynek coraz silniejszych dostawał dreszczów, więc się skończyła rozmowa, bo Janek postrzegł, jak się na nią zmagać musiał i wyszędł przed chatę, czując, że mu w niéj było duszno jak w więzieniu.

U hrabiny nazajutrz po uroczystości, znowu się rozpoczęło życie dawne, spokojne i ciche. Mąż ożywiony na chwilę niezwykłém zaprzątnieniem, powrócił do swoich machin i Malczaka, który miał tę zgryzotę, że mu Maks nie dotrzymał obietnicy sowitego datku i zbył go bardzo oszczędnym podarkiem. Ukryto przed kobietami całą historyę kuzynka, którą i dla innych starano się wytłómaczyć, opowiadając o nagłéj jego chorobie. Śpieszne oddalenie się hrabiego Hermana do Robowa składano na jego dziwactwo, trochę na ciasnotę i niewygodę Zarubiniec. Żółtowski tak zręcznie jakoś potrafił to milczeniem i rzucanemi półsłówkami ufarbować, że po długich szeptach i domysłach, wszyscy się przekonali, iż to, co brali za dramat, było bardzo prostém *qui pro quo*. Więc choć tam po sąsiedztwie sobie gwarzono, w pałacu już było cicho. Hrabia Rajmund ruszając ramionami, obojętnie pracował około swojego młyna bez kamieni, hrabina się modliła, Lola nie domyślała niczego.

Ale wczorajszy wieczór dla Loli tyle był obfity w wypadki, że nazajutrz po nim nie mogła być tak spokojna jak matka, która wróciła do swoich pacierzy, podlewała swe kwiatki, szeptała różaniec i z radością wchodziła znowu w owe ciche, jednostajne życie, które samo tylko zranioną duszę ukołysać może.

We dwie siedziały w pokoju; matka modliła się po cichu; żywa Lola wciąż ją zarzucała pytaniami. Wspomnienia wieczoru snuły się jéj po głowie jak fantazmata snu gorączkowego.

— Moja mamo, ale bo ty mnie słuchać nie chcesz.

— Owszem Lolciu, mów.

— Uważała mama, jak ten pan Maks grał? Czy to było pięknie, nie wiem; ale mnie się zdaje, że

prawdziwa, wielka i piękna muzyka powinna być spokojna, majestatyczna, prosta jakaś, uskrzydlona i wyanielona, jak powiada poeta, a nie taka roztrzpiotana i płocha.

— To prawda, moje dziecko.

— Bo jużciż muzyka, co gra nam do tańca, to grajki, to granie, to świergotanie nie muzyka. A potém, mamciu... ale mamcia znów nie słucha?

— Ale owszem, słucham Lolciu; jakaś ty dziwna! I pocałowała ją w głowę.

— A potém, co?

— A potém ten pan, ja nie wiem czy on tak bardzo czuł, ale mnie się zdaje, że on trochę grał komedyę i smyczkiem i sobą?

— Może go już tak Bóg stworzył.

— Bo gdy kto czuje, to z uczuciem prawdziwém przychodzi, mamciu kochana, i bojaźń, i wstyd, i rumieniec. Ja przynajmniej czuję, gdy mi się na łzy zbiera, gdy mnie co wzruszy, gdy się gorąco modlę, to mi twarz pali i chciałabym schować się pod ziemię z tym skarbem wesela czy boleści. Ale tak wystąpić, rozedrzeć pierś i pokazywać ją za pieniądze!... Moja mamciu. słyszy mama?

— Ale słyszę i cieszę się, bo masz słuszność.

— Więc on nie pięknie grał?

— I mnie się to nie bardzo podobało.

— A dla czegóż półkownikowa mdlała?

— Ale czyż mdlała?

— Widziałam, była w ekstazie!

— Ale bo widzisz, dziecko moje, są dusze tak podrażnione życiem...

— Doprawdy, są tajemnice, których ja nigdy nie

pojmę. Więc na takie dusze i fałsz działa jak prawda i udanie jak uczucie?

— Te dusze są jak rany, które i uderzenie i pogłaskanie równo boli.

— A! jak to mamcia ślicznie powiedziała!

— Ślicznie? gdzież tam! i uśmiechnęła się hrabina, całując w czoło dziecię. Nie pięknie, ale może prawdziwie. Gdy się rana zasklepi, a była głęboka, późniéj już traci czucie na razy i pieszczoty.

— Smutna to rzecz życie! westchnęła Lola, myśląc o młodym chłopaku.

— Ale co to się stało temu drugiemu, moja mamo? czego on uciekł?

— Nikt tego nie wie, zdaje się, że zachorował.

— Czy mama go uważała?

— Trochę, z daleka.

— Jaki on był piękny, kiedy wyszedł taki drżący, taki różowy cały, a taki silny i tchnący jakąś prawdą! Przy nim ten Maks zupełnie wyglądał jak ów kuglarz, mama wie, co to tu kiedyś sztuki pokazywał *eins*, *zwei*, *drei*... nawet rękawy miał tak zatoczone jak on.

Hrabina zaczęła się śmiać mocno.

— Jeszczem tak pięknego mężczyzny nigdy nie widziała w życiu, rzekła naiwnie Lola, przywykła z każdéj swéj myśli przed matką się tłómaczyć. Przysięgłabym, że musi być poczciwy i dobry.

— Moja Lolciu, co ty też pleciesz!

— A juściżby mi się tak niepodobał, gdyby był nic dobrego! dokończyła śmiejąc się Lola.

— A! ty główko szalona!

— Moja mamciu, ja ci się pewnie modlić nie daje: każ mi milczeć!

— To prawda ale ja lubię szczebiotanie twoje.

— I ty się tyle modlisz, mamciu, że doprawdy ja się boję, aby już za nadto dusza twoja na tych skrzydłach modlitwy od nas nie odleciała.

— Moje dziécię...

— A co ja jeszcze mamci powiem... oto, że mi się ta biedna półkownikowa jakoś bardzo nie podobała: wydała mi się jak Maks. Wszakżé to ja byłam dzieckiem, gdy ją pamiętam takuteńką jak teraz, więc ma lat...

— Ale co tam, Lolu!

— Ale nie, policzmy: ma czterdzieści pewnie.

— Ja tam nie wiem.

— Jakto mamcia nie wie? Mamcia wie doskonale, tylko nie chce powiedzieć... Taka stara, a chce być młodą; mnie się zdaje, że to nieprzyzwoicie. Bo na cóż jéj to? na cóż młodym chcieć ich młodość zabierać?

— Cóż im to szkodzi?

— A jaże, mamciu, szkodzi! Jużciż naprzykład gdyby sobie była starsza, toby się w niej nikt nie kochał, a tak może się kto rozmiłować, coby mógł młodszą, dla siebie stworzoną, ukochać.

— Lolciu, co ty pleciesz!

Hrabina zamknęła książkę, położyła różaniec, nie było sposobu się modlić. Przysiadła się do córki.

— Moje dziecko—rzekła smutnie—ja nie lubię, gdy ty tak mówisz o tém kochaniu.

— Ale dla czegoż ja, mamciu droga, nie mam o niém mówić, kiedy myślę?

— A na cóż dziecko myśli?

— Alboż ja wiem! muszę! przychodzi mi to — ot

sama nie wiem jak, z kwiatka, z powietrza, z listka, co leci, z ptaszka, co śpiewa. Czasami wstaję ze snu z tą myślą, a przecięż anioł stróż stał nademną; modlę się, i w modlitwie są słowa...

— Pleciesz, pleciucho droga!

— Alboż to co złego?

— Nie! ale zaprzątnąwszy sobie tém głowę, i serce podrażnisz, jak półkownikowa.

— Ale nie! tak, nigdy!

— Pewnie, z takich trzpiotowatych główek jak twoja, rosną potem biedne kobiecięta jak tamta...

— No, ale cóż to złego? wszędzie a wszędzie jest ta miłość.

— To prawda, jest jéj nadto.

— No? a mamcia nie kochała papy?

— I kocham go jeszcze.

— Ale dawniéj? to było inaczéj?

— Nie, tak samo.

— To bardzo ładnie, ale nie tak jak w książkach, i nie tak jak ja myślę.

— Ale książki kłamią, moje dziecko, i ty się bałamucisz.

— Jakto? wszystkie książki kłamią?

— O! wszystkie.

— To się na nas zmówiły te niepoczciwe książczyska! odparła Lola z uśmiechem: to spisek jakiś! Jakże można tak oszukiwać? Alboż nie ma takich pięknych miłości? Mnie się zdaje, że być mogą. O! doprawdy, mamciu kochana, mogą, mogą! Ale ja wiem, że ty tak mówisz, bojąc się tylko, żebym ja nie zakochała się w kim bardzo a bardzo.

— Lolciu!

— Lola musi mówić czasem nie do rzeczy, kiedy

ją mamcia nauczyła wszystko powiadać co myśli: a! nie trzeba było do tego przyzwyczajać!

I roześmiały się obie.

— A to ci powiem po cichu, dodała Lola tuląc się do matki: że gdyby kto taki ładny jak ten wczorajszy, co mu krew z nosa poszła, bardzo długo był ze mną, gotowabym go pokochać.

— Tak, dla pięknéj twarzy, dziecko moje.

— Ale nie! gdyby był równie grzeczny i dobry jak piękny. A ja mamci przysięgam, że z taką twarzą złym być nie można.

— Pleciesz! Wszakże i w tych książkach, o których mówisz, czytałaś nieraz o ślicznych twarzach na czarnych duszach.

— Kiedy one kłamią! roześmiała się Lola: a kłamstwo się czuje i szpeci.

Na tę macierzyńską rozmowę wszedł hrabia, który czasem żonę odwiedzał w pewnych dnia godzinach; ale na ten raz nie sam, lecz z bratem Hermanem, bladym, milczącym, przygnębionym i smutnym, w którego twarz spojrzawszy, widać było boleść wielką.

— Cóż to jest? chory jesteś? spytała go troskliwie hrabina.

— Zachcieliście. Od wczoraj nie dobrze się czuję. Wpadłem tu na wasz bal, to mnie jakoś rozbiło: musiałem uciec do Robowa, żeby odpocząć trochę; ale i tam nie wydobrzałem, czuję się ciągle źle...

— Powinieneś u nas dłużéj pozostać i wypocząć więcéj, rzekł hrabia.

— Możeby co stryjowi podać? Herbaty, rumianku, wody z sokiem czy cukrem? z pomarańczowemi kroplami? spytała Lola.

— Nic, moja panno, nic... Ot tak w téj atmosferze spokoju pobędę i lepiéj mi się zaraz zrobi!

— A więc zostawiam cię tu, rzekł Rajmund: bardzo przepraszam, że odchodzę, ale my z moim genialnym Malczakiem kujemy ostatnie już kółko wielkiego wynalazku. Zaraz do was powrócę, jestem niespokojny o rozmiar. O! zobaczycie co to będzie za cudo!

Wyszedł pośpiesznie; Herman uśmiechnął się z politowaniem.

— Papa to się doprawdy zamęcza, odezwała się Lola: nie można go powstrzymać od pracy. Nie wiem na co to jemu! Nieraz to się aż rozchoruje.

— Na co to jemu? a cóżby robił, moje dziecko? spytał Herman. My wszyscy coś robić musimy, męczyć się, weselić, kuć kółka, strzępić szarpie, płakać lub śmiać się... Kto nie ma co robić, ten sobie jak ojciec wyszukuje zajęcia: matka żyje modlitwą, ojciec machiną.

— A ja to jeszcze nic nie robię, dorzuciła Lola: dopawdy nic a nic; może mi dla tego tak tęskno czasami?

— Jakże nic? a kwiatki? a krosienka?

— Ale co to za robota, kiedy w nią człowiek serce nie kładzie!... to sobie tymczasowa zabawka.

Stryj się uśmiechnął, matka westchnęła. Lola stanęła naprzeciw starego; jéj biedaczce ten młody chłopak z głowy nie wychodził.

— Uważał wczoraj stryjcio, tego młodego człowieka? spytała.

— Którego?

— Tego, co zachorował i uciekł.

Herman zarumienił się trochę i skinął tylko głową.

— Prawda, że to twarz piękna i szlachetna? odezwała się Lola: że taka twarz musi...?

— Lolciu, pleciesz znowu! przerwała matka.

— Nie można tego stryjciowi powiedzieć?

— Mów, owszem...

— Mnie się on bardzo podobał! rzekło dziewczę naiwnie.

Herman spojrzał na nią dziwnie i westchnął.

— Żal mi go było! Czy nie wiedzą w Robowie, co mu się stało?

— Nie wiem, odparł stryj sucho.

— To szkoda! Żółtowski pewnie wie; muszę się dowiedzieć: tylko że on nigdy nic nie mówi... Jaka to szkoda! jak się uprze...

Szczęściem tę rozmowę, która zaczynała grozić zbytniemi zwierzeniami przerwano nagle, dając znać, że czas do stołu.

Jeśli kto, to poczciwy stary Paweł Siermiężki był od niejakiego czasu mocno niespokojny i strapiony, z powodu zmiany w sposobie życia pana, którego przygody podzielić musiał.

Wszystkim w Horycy dobrze z tém było, że się pan z domu oddalał. Lacyna pędził różowe wieczory u nóg panny Petronelli; klucznica Seredowiczowa do godziny dziesiątéj spoczywała pod pierzyną, kawę sobie do łóżka rozkazując przynosić; ekonom po całych dniach grał na skrzypcach; Radwanowicz chodził do księdza proboszcza i wstępował po drodze do przy-

jaciół sprzedających różne napoje, do których miał słabość.

Trzeba bowiem wiedzieć, że professor wódki nie pijał, że się nią nawet brzydził, uważał ją za zgrozę, za rzecz zbydlęcającą, za właściwość chłopską; ale miód, piwo i wino, a nawet likwor słodki miał za trunek szlachetny, uczciwemu człowiekowi nietylko przyzwoity, ale nawet dla zdrowia *et exhilarationis causa*, jak powiadał, potrzebny. W tém teorya jego różniła się radykalnie od systematu potajemnie wyznawanego przez Lacynę, który w czystą tylko wódkę i spirytus wierzył, resztę mając za pomyje, lekarstwa i oszustwo, fabrykacye i trucizny. Nawet w wódce ingredencyo żadnych nie przypuszczał i znał tylko *aquavitae*, czyli prostą kotłówkę.

A to, między nawiasami—w Horycy szło wszystko jak po maśle. Paweł jednak, który namiętnie pół dnia tarł tabakę i wiązał niewody, jeśli się z panem nie kłócił, w drodze, na obczyźnie pozbawiony był tych rekreacyj; męczył się stary ruchem i pracą, i gderał na wyjazd z domu. Prosił go usilnie Herman, ażeby w Horycy pozostał; ale z tego o mało do kłótni nie przyszło, bo opuścić pana było to abdykować, a Paweł należał do tych, którzy chcą dotrwać do końca na stanowisku.

— A czy to ja już tam panu dojadłem, czy co? zowołał Paweł. Toć ja pana jeszczem wyniańczył, a chcesz żebym na starość dał komu innemu koło ciebie chodzić! O! tak! włóczysz się ty, to i ja się będę włóczył! Po co? tego ja nie wiem; ale ciebie nie porzucę.

I powlókł się Paweł znowu do Zarubieniec; gdy

hrabiemu przyszła fantazya ruszyć z domu, a gorzkie przez całą drogę robiąc wymówki, z placu nie ustąpił.

Na tym sławnym noclegu w Robowie, ile nagderał, wypowiedzieć trudno. Pan milczał i znosił.

Teraz Paweł z tabakierką w ręku, osmutniały stał we drzwiach domu i myślał o tabace, którą znowu mu jaki zły człowiek mógł ukraść. On tak tarł tabakę jak hrabia Rajmund robił machiny. Najprzód szło mu dosyć nieszczęśliwie; powtóre sam choć miłośnik jéj, zażywać musiał cudzą, bo do swojego nosa zastosować jéj nie umiał, a to odejmowało reputacyę.

Dochodził on od lat dwudziestu urządzania tabaki na sposób owéj sławnéj pińskiéj; utrzymywał nawet, że gdy się na niéj ludzie poznają, dorobi się majątku: ale mu nie szło i nie szło. Winien był skład okoliczności zawsze: to liść za zielony, to za stary, to naczynie, to popiół, to deszcz, to pogoda, a tabaki zażywać nie było można. Schła ona i marniała, nikt zużytkować jéj nie miał odwagi: raz za słaba, to za mocna, zbyt przesolona lub przefarbowana, miała wady, których się pozbyć nie było podobna. Czasem Paweł dla miłości bożéj robił z niéj jałmużnę żebrakom, których nosy wprawiały w podejrzenie, że zażywaćby ją mogli; ale i ci, jak twierdził Lacyna, za bramą jéj skosztowawszy, wysypywali na śmieci. Dosyć było pochwalić jego tabakę, by zostać Pawła przyjacielem; dość ją zganić, by sobie w jego oczach zaszkodzić i być nawet podejrzanym o niedobry charakter. Znający już tę słabość, kosztem opuchnienia nosa przekupowali go sobie.

Ale dziś nawet sięgnienie do tabakierki i prośba o funt tabaki nie byłyby ujęły Pawła, który był zajęty w duchu łajaniem swojego pana.

— Bo czemuby to nie siedziało u siebie, w ciepłym kącie? Na starość mu się włóczyć zachciało! A! już nie ma nic gorszego, nad to, gdy w starym piecu dyabeł pali.

Nieszczęściem nie było nawet przed kim wylać się z żalami: dopiero w wieczór tego dnia zetknęli się z Malczakiem. Malczak już miał na sobie watowany kaftanik i obcięte bóty, był jak w domu; wyszedł na próg, gdy się ściemniło.

— Dobry wieczór.

— Dobry wieczór.

— Co to Wpanu panie Pawle? jakoś nie swój?

— At! bo zły jestem.

— No! na kogoż?

— A na pana!

— E! to prosta rzecz! Jam na swojego ciągle zły, a milczę!

— Et! bo z nimi i dyabeł nie wytrzyma!

— No! ja tam na mojegobym się tak nie skarżył, ale mu dopiero teraz, gdy się zestarzał, siły stracił, gdy ledwie się włóczy, przychodzą jakieś niebywałe fantazye! Wystarczyć mu nie mogę! Jem się z nim, jem...

— A no! toć i ja tak! tylko że mój to w końcu musi mi ustąpić; jak się uprę, jak cały dzień nie będę gadał, albo zacznę tylko mruczeć pod nosem, to w końcu musi zrobić co ja zechcę.

— No! ja tak nie umiem... Ale, prawdę powiedziawszy, to taki człowiek, że z nim sobie nie dać rady nikomu; całe życie twardy był jak kamień: ani ugryźć! Tak i kochankę stracił, i żonę i bodaj... syna.

— Cóż? taki zły?

— Ale nie! gdzie zaś! poczciwy z kościami, dobry, ale bestya taki uparty, że jak sobie co postanowi...

— E! bo wy jemu ustępujecie.

— A no! toć muszę, kiedy on mi nie chce...

— Nie umiecie się wziąć do tego... Spojrzcie-no tylko: wy wyglądacie jakbyście robili co chcieli, ja jakobym kąty wycierał; a jak zechcę, to zawsze na swojém postawię.

— Niechbym ja ci dał swoje miejsce, ino na miesiąc—rzekł Paweł wzdychając—a żebyś ty go tak kochał jak ja...

— A, ba! a po cóż go kochacie?

— A wy?

— E! ja swego nie cierpię, i dla tego nim trzęsę—rzekł po cichu mrugając twarzą skrzywioną Malczak.

Popatrzeli w milczeniu na siebie.

— Już na to rady nie ma! westchnął Paweł.

— To go porzucić.

— A co ja będę bez niego robił? On mi dawno daje chleb łaskawy, ale ja tego nie chcę: jam go od pieluch wyniańczył.

Gdy tak rozmawiają, zbliżył się ku nim właśnie ten, o którym była mowa. Paweł trącił Malczaka, Malczak syknął na Pawła; zamilkli.

Herman szedł bardzo powoli, z dziwnym na twarzy wyrazem. Paweł, który tylko co na niego gderał, został tém zdziwiony. Nagła jakaś zmiana wypiętnowała się na tém obliczu hrabi, zwykle silną wolą i energią nacechowaném. Bladość żółta powlokła miejscami rysy, które plamami gdzieindziéj rumieniec gorączkowy zapalał. Szedł z usty zaciętemi, jak gdyby cierpiał mocno. Paweł, który go znał od dzieciństwa, a nigdy takim nie widział, zdjęty litością, zapomniaw-

szy już o urazie, jaką miał, pośpieszył suwając nogami, które mu nie służyły, i zbliżył się ku niemu.

Malczak obyczajem swoim udał, że odchodzi, ale przystanął za drzwiami, aby rozmowy posłuchać.

— O! o! już ja widzę, że panu coś jest! zawołał Paweł. Ot, nie mówiłem? a po co było jeździć? a ziębić się, a gryźć, jakby to jegomość był tak młody, albo tak zdrów, że masz zdrowia na szafunek! Przysięgam, że chory! i tu jeszcze, nie w domu! A jak ja tu jegomości dam rady? U siebie to ja pan, a tu...

— Cicho, cicho, Pawle: istotnie czuję się niebardzo dobrze.

— A co? nie mówiłem? Mnie kłóło i gadało, że my tu jeszcze zachorować gotowi! Pawle, nie puszczaj go, bo ci biedy narobi na śród drogi! A co! nie tak?

— Cicho! cicho! to przejdzie; ale mi bardzo niedobrze!

— Ot i bieda, którą przeczuwałem! Wiedziałem, że tak będzie! Ot tobie robota! wołał Paweł łamiąc ręce. A gdzie tu nawet poczciwego rumianku dostać, i tego do czego jegomość przywykł? Gdybym ja nie pamiętał o wszystkiém i nie wziął z sobą apteczki...

— Mnie nic nie trzeba, tylko spokojności, odpoczynku—rzekł Herman ciągle twarzą okazując boleść, która go trawiła. Chodźmy do mojego pokoju, zawołasz mi Żółtowskiego... Nic nie mów innym; jeśli się już kto będzie pytał, powiedz: To mała rzecz...

Mieszkanie Hermana było na dole, a choć Pawełek i ognia na kominie wcześnie był przygotował, wiedząc jak go pan lubi, i łóżko był usłał tak, że w głowy było wysoko, i woda z cukrem przez niego przyrządzona stała na stole, choć pokój zdawał się wygod-

ny, Herman wszedłszy poczuł jakieś dreszcze w zatęchłém powietrzu pałacowém.

Okryto mu nogi, siadł w krześle, i z oczyma w ogień wlepionemi pozostał tak nieruchomy. Rumieńce coraz ustępowały bladości, wewnętrzne snadź jakieś męczyły go bole, bo kilka razy syknął. Paweł w rozpaczy, bezprzytomny prawie, pobiegł do dworku Żółtowskiego, w drodze nie rozpoznając drzew od ludzi, bo dwa razy do kasztana zagadał.

— A! panie mój miły—zawołał wpadając do izdebki—panu mojemu się coś stało, chory. Jakeście łaskawi, szléjcie po doktora! Okrutny strach mnie przejmuje. Mówiłem mu, żeby się nie włóczył; ale stary uparty pojechał po biedę, i ma. Nie wiem co mu takiego, ale chory, mocno chory; kiedy zatnie zęby a pobladnie i trzęsie się, ja wiem, że źle...

Żółtowski porwał się zaraz i pobiegł za Pawłem. Przyszedłszy, znaleźli Hermana jak go Siermiężki porzucił w krześle; ale mowę miał zmienioną, i zdawał się walczyć siłą woli z owładającą nim coraz gwałtowniéj chorobą.

Skinął na Pawła, żeby odszedł, i pochwycił za rękę Żółtowskiego.

— Proszę cię—rzekł z cicha—dowiedz mi się, co się tam z nim dzieje.

— Chory pan jesteś?

— Trochę... ale dowiedz mi się o niego. Miał Martynko go szukać... Niechaj mu powiedzą, żem chory i bardzo chory: może go to skłoni...

Nie dokończył, dając tylko znak Żółtowskiemu, który go dobrze zrozumiał.

— Poszlę po doktora...

— Nie potrzeba, to nic, przejdzie. Dowiedz się tylko o cię proszę.

I wyciągnął się pogrążając w krześle, ręką wskazał drzwi Żółtowskiemu z prośbą o pośpiech.

Paweł się tymczasem krzątał niespokojny, popłakiwał a łajał pana, to bolejąc nad nim, to przeklinając upór jego...

We dworze z przyspasabianych leków zaraz wszyscy dowiedzieli się o słabości, i gdy się wieść o niéj ro zeszła, brat i bratowa pośpieszyli do drzwi Hermana.

Rajmund bardzo był nierad temu, jak każdéj rzeczy co go ze zwykłego stanu wyprowadzała. Bratowa z poczciwém swém sercem, szczerze chciała przynieść mu ulgę: ale ich wszystkich odprawił Herman, uśmiechając się dziwnie i zbywając potrzebą odpoczynku. Zostali więc sam na sam z Pawłem, który mruczał...

Hrabia wpatrzywszy się w ogień, po swojemu milczał uparcie.

Żółtowski nie tracąc czasu, pojechał zaraz do Robowa, ale tam nie znalazł Martynka, który był właśnie w pasiece, dokąd potrzebne przybory, po odbyciu paroksyzmu febry, znosił z troskliwością przyjaciela, chcąc biedną chatę uczynić wygodniejszą. W pół godziny dopiero czasu spędzonego na rozmowie z Ottonem, rozpytującym o starego kolegę, przybiegł Martynko zmęczony chorobą i chodzeniem, osłabiony i zbolały.

— A cóż tam?

— Nic... troche̜m chory.

— Więc go szukać nie możesz?

Martynko milcząc ruszył ramionami, tu mu ciężko było kłamać.

— To nieszczęście,—a tu się nam stary rozchoro-

wał na biedę, i niczém mu leki, bo to o syna chodzi... A gdzie my go wyszukamy!

Martynko spuścił oczy, i choć dwa razy był już w pasiece dnia tego, poczuł, że przyjdzie mu się wlec raz trzeci.

— Czyż tak chory? zapytał cicho.

— On, ja wiem, lada dla czego się nie położy, nie stęknie z pieszczot. Musi być źle koło niego.. Wszystko to ze wzruszenia, z niepokoju... Nie będziemy mieli czém go uspokoić.

— Powiedzcie mu — przerwał Otto — że Martynko już ruszył w pogoń, ale jeszcze nie powrócił; choć kłamstwem pobożném dacie mu przynajmniéj nadzieję. Dodaj, że skoro wieści jakiéj dostaniemy, ja mu sam przyjdę ją oznajmić.

Z tém Żółtowski musiał wkrótce powrócić do Zarubiniec, gdzie nań oczekiwano. Herman, jak z wieczoru siedział w krześle, nie myśląc się kłaść, czekał; ale na twarzy jego znać było postęp choroby. Chwilami, co mu się nigdy nie trafiało, gadał sam do siebie, i jak się Pawłowi zdawało, niezupełnie przytomnie.

Na każde takie odezwanie się, Paweł chrząkał z kąta, aby mu przerwać i nie dopuścić bredzić, co mu się potężném na gorączkę zdawało lekarstwem.

Gdy wszedł Żółtowski, hrabia oprzytomniał zaraz.

— A cóż? zapytał.

— Jeszcze nic: Martynko nie powrócił.

— Nie! więc zginie! mruknął stary; zginie!—i spuścił głowę.

— Ale nie — odparł skłopotany Żółtowski — nie może on nam uciec; szukamy go wszyscy: bądź pan spokojny.

— Ja jestem spokojny—odparł hrabia podnosząc głowę—wiem co mnie czeka. Przez lat tyle oswoiłem się z moim bolem; stwardniałem na wszystko; wypadek ten mną zachwiał, wzrószył, zniepokoił daremnie... Potrzeba wrócić do pierwszéj obojętności, i powrócę.

Żółtowski milczał, Paweł zbliżył się ku niemu ostrożnie, i udając, że mimo przechodzi dla wzięcia szklanki ze stołu, wskazując palcem hrabiego, szepnął mu w ucho:

— Już bredził!

— Co ty tam szepczesz, Pawle?

— Nic: pytałem się o wanienkę na nogi, jakby czasem na wypadek była potrzebna.

Żółtowski popatrzał na obu.

— Posłałem po doktora, bądź spokojny—rzekł do Pawła; a hrabiego zapytał:

— Każesz mi pan tu trochę zostać z sobą?

— O! nie, nie! wiesz, że do ludzi nie przywykłem, prócz tych kilku, co mi tam w domu służą... samotnik jestem... Idź spać...

Wszystko to minie, dodał. Gdyby jednak co nadeszło nie tracąc czasu dawaj mi znać natychmiast.

Żółtowski wycofywał się powoli, ale mu na myśl przyszło, że lepiéj doktora zwiastować.

— Do nas tu co tydzień przyjeżdża doktór Szemere, Węgier, stary poczciwy włóczęga; gdyby przypadkiem przybył do naszych chorych... możeby...

— Ale dajże mi pokój z doktorem! czy to który z nich leczy? Ty wierzysz jeszcze w doktorów, Żółtówski? zawołał śmiejąc się. Doktór każdy najlepszy jest dla siebie, zresztą na złamaną nogę lub nabitego guza; ale na to co we mnie siedzi i boli, taki głupi

jak i ja; tyle będzie wiedział co ja lub mniéj jeszcze; tylko mnie znudzi w dodatku.

— O! Szemere nasz nie nudny wcale—odparł Żółtowski,—przeciwnie aż nadto zabawny.

— Tém gorzéj, nie cierpię zabawnych. Dajcie mi z nim pokój.

Żółtowski pokiwał głową i odszedł.

Prawdą a Bogiem, Szemere już był w domu; chodziło o to tylko, jak go wprowadzić; nie wątpiono bowiem, że sobie z hrabią da radę, byle raz wszedł i usiadł.

Był to dziwnego rodzaju człowiek, już średniego wieku, z rodziców Węgrów u nas zrodzony, bardzo przywiązany do kraju, a stworzony na doktora. Pan Bóg obdarzył go niezmiernie brzydką, ospowatą fizyognomią, czarną i tak jakoś ulepioną, że na niéj jak na ciemnym papierze wyblakłego atramentu, żadnego wrażenia wyczytać nie było można. Oczka małe, nosek mały, usta niewyraźne, twarz miał dosyć otyłą i rozlaną; trochę włosów mało co od lica ogorzałego ciemniejszych kręcilo się po łysinie; zresztą postawa pospolita była: ramiona szerokie, kształty zaokrąglone, ręce tłuste, nogi krótkie, przytém ubranie niepozorne, nie odznaczały wcale doktora Szemerego. Ale gdzie się pokazał, wyróżniał się w największym tłumie, bo jaśniał poczciwym wyrazem twarzy i wesołością, któréj zapas niewyczerpany z sobą nosił. Żartowano z niego, żartował on z drugich, a każdy mógł być pewien przystępując do niego, że się przy nim rozchmurzy. Wesołość ta nie była udaną wcale, pochodziła z temperamentu, z usposobienia, ze spokoju duszy. W wielkich razach chwilę popłakał, zakrywając się

chustką, w kącie; ale zaraz potém przybierał swą obowiązkową pierwszą wesołość, i szedł tak daléj drogą życia, ciesząc, ratując, i służąc jak mógł wszystkim.

Szemere nie był żonaty i nie myślał się wcale żenić szydząc pierwszy ze swéj twarzy, która się nikomu podobać nie mogła. Pomimo ogromnéj klientelli, nie był bogaty, bo i nie wymagał wiele, i rozdawał dużo. Życie mu szło jak je sobie urządził: cicho, jednostajnie, skromnie. Wszędzie lubiony i chwytany, gość rzadki w domu własnym, nie dbał o swój kąt i czas spędzał na wózku i w gościnie; a tak mu wszędzie było dobrze, że zasiedziawszy się byle gdzie, już prawie wybrać się nie umiał, póki go nie wyciągnięto.

Jako lekarz choć wielkiéj nauki, niebardzo jéj dowierzał; pilnował, radził, ale więcéj w siłę ducha, w proste leki i środki, w naturę, niż w wymyślone specyfiki ufał.

Łagodny, leczył raczéj słowem niż lekarstwem. Kochano go też wszędzie od chatek do pałaców, a choć nie był to człowiek bardzo wielkiego tonu i ogłady, wszędzie serce jego robiło mu miejsce poczciwe. Nie parł się zbyt wysoko, ale zepchnąć się też nie dał zbyt nizko.

Rodzaj filozofa, zawsze uśmiechnięty, wesół, prosty i szczery, duchem tak stał wysoko, że nikt go poniżyć nie mógł.

Szemere inaczéj panem Józefem zwany, bo go pod tém imieniem lepiéj znano w okolicy, do godziny już był u hrabiny; szukano tylko sposobu wprowadzenia go do Hermana.

— Ale to najprostsza rzecz w świecie, rzekł

wreszcie sam doktor: ja jestem Eskulap z professyi, głodny na chorych, natrętny; mogę nie wychodząc z mojego charakteru i z charakteru stanu mego, wpaść obcesem na hrabiego, aby zobaczyć co mu jest. Złóżcie to na mnie: pogniewa się, to go rozśmieszę. Przytém zdaje mi się, że i my znać się musimy, bośmy do jednych szkół chodzili; a choć to stare dzieje, ale Otto, on, ja, na jednéj ławie siedzieliśmy i nazywali mnie, pamiętam, z powodu pięknéj mojéj twarzy dziadkiem z piernika. Nie bójcie się państwo: byle mnie kto tam wprowadził, resztę biorę na moje barki.

Posłano po Żółtowskiego, który wszedł zaraz do pokoju hrabiny, gdzie się narady odbywały.

— Mój Żółtosiu, jak to tam doktora wprowadzić?

— A! nie wiem... innego tam doktora potrzeba.

— Jaki z ciebie, mój Żółtowski, stary tchórz! Ot ja ci powiem jak to zrobić... Idź mu powiedz: przyjechał doktor Szemerre, nudziarz okrótny, który praktykuje gorączkowo w swojéj sztuce; dowiedział się o chorym, i bez pozwolenia prze się tu gwałtem: gotów drzwi wyłamać... Dodaj, że to może przez chciwość, czy co tam chcesz, ogadać możesz; pozwalam... resztę ja biorę na siebie.

Żółtowski wyszedł zakłopotany, i po chwili powrócił.

— A co?

— Kiwa głową i niecierpliwi się.

— Nic nie mówi?

— Nic.

— A no! *qui tacet...*

I zabrał się żywo, całując rękę hrabiny, pośpieszając z Żółtowskim.

U drzwi hrabiego poprawił trochę włosów, obciągnął kamizelkę i wszedł na palcach za Żółtowskim, który go o kilka kroków uprzedził.

Herman jeszcze siedział w krześle naprzeciw komina.

— Otoż doktor gwałtem się uparł—rzekł Żółtowski nieśmiało.

Hrabia się podniósł.

— Ale do czego mi to?

— Do nóg upadam—odezwał się wsuwając pan Józef—sługa, służeczka... Dowiedziawszy się o chorym, darujesz hrabio, musiałem spełnić obowiązek. Przysięgamy na to, że leczyć będziemy, i *volens nolens* musisz uledz fakultetowi. Ale najprzód mam honor przypomnieć mu dziadka piernikowego, którym jestem. Ha! nie pamiętasz hrabio? na jednéj siedzieliśmy ławie... tylko ja na brzeżku.

— A! Józef Szemere!—zawołał Herman podnosząc nieco głowę—pamiętam... Ale po cożeś przyszedł mnie nudzić?

— Bo to mój obowiązek. Doktor nie może być zabawny. toby nawet szkodziło jego lekarstwom: skutek ich na znudzonym daleko silniejszy.

Hrabia rzucił głową z niecierpliwością, ale już Szemere ujął go silnie za rękę i pulsu się dobadywał.

Puls był gorączkowy i niespokojny. Puścił rękę.

— Jak pan jesteś zwykle? co cierpisz? jakie masz zdrowie?

— Dobre: daj mi pokój...

Szemere patrzał pilno.

— Ej! *plica*—rzekł—podagra, żółć. . komplikacyj do licha... Coś uspakajającego... Co tam pan zwykle bierzesz?

— Nic: morzę się głodem, leczę dyetą.

— Czasem wyborna rzecz, ale w późnym wieku... Tylko że to my niestarzy? Ej, hrabio! pamiętasz, jakeście mi to śpiącemu twarz kredą popisali w różne figle, utrzymując potém, że przez omyłkę wzięliście mię za czarną tablicę. Patrzcie-no, i od tego nie wybielałem; tylko mi się na starość skóra pomarszczyła gorzéj.

A po chwili dodał:

— Nie napiłbyś się co chłodzącego?

— Nie, nie; nic! tylko spokoju! odpowiedział hrabia.

— A rozmowa?

— Nie mogę mówić: niecierpliwi mnie.

— A jutro pozwolisz się odwiedzić?

Herman kiwnął głową. Szemere wysunął się po cichu ruszając ramionami.

— Co to jest? spytał go Żółtowski.

— Co jest, przyznam ci się, dobrze nie wiem — odpowiedział doktór—ale nic pocieszającego. Gorączka silna. Zgryz się czy zgniewał?

— Sądzę, że oboje razem.

— Dla starego to źle: często taka rzecz zabija. A co to tam takiego? nie możnamby znać powodu?

Żółtowski zamilkł jak kamień; Szemere popatrzał i nie pytał.

Noc przeszła dosyć spokojnie, ale w pokoju chorego nie zaszła żadna zmiana. Mimo nalegań Pawła, nie chciał się położyć i pozostał w fotelu. Dokładano drewek do ognia, a stary biedny Siermiężki drzemiąc pilnował pana, nie chcąc się dać wyręczyć, mimo jego nalegań.

Siadł w kącie na stołku z tabakierką, zwiesił głowę na piersi, a że go sen morzył, więc to usypiał głęboko i chrapaniem się zdradzał, to nagle przebudzał się

i trzeźwił tabaką, mrucząc, rozcierając, otrząsając, aby utrzymać się przytomnym.

Było coś strasznego w téj postaci starca nieruchoméj, wyprostowanéj, siedzącéj w krześle z okiem w ogień wlepioném, czuwającéj i wstrząsającéj się na każdy ruch i szelest, oczekującéj i obawiającéj się czegoś, na któréj czole troska głębokie ryła skiby.

Obok ten chudy, maleńki, siedzący w kątku staruszek, niespokojny, ze łzą w oku, czatujący na skinienie, którego błyski ognia wyprowadzały z cieniów, a po chwili znowu ogarniała ciemność, dopełniał dziwnego obrazu. Cała tak noc minęła w milczeniu, a dla hrabiego w bezsenności; nic do ust nie wziął, o nic nie prosił, tylko gdy ogień dogasał, Paweł dorzucał głownię, zbliżając się na palcach, próbował zawiązać rozmowę i znowu cisza następowała a wśród niéj wyrywało się kilka słów bez związku z ust Hermana, i rozbudzały Pawła, który wzdychał i chrząkał.

— Życia już nie przerobić! Jest wina, ale dla czegoż za nią dziecię ma pokutować? Niechby on był ocalony, tylko on; niechby powrócił. Ale darmo, i to darmo, spełni się wszystko: on nie powróci...

Gdy się to dzieje w Zarubińcach, Martynko dowiedziawszy się o chorobie hrabiego, choć sam zmęczony febrą, po raz trzeci wybrał się do pasieki.

Znalazł znowu Janka przed chatą na przyzbie, bo w izbie duszno mu zawsze było, oddychającego wieczorném powietrzem w towarzystwie dwóch psów pa-

siecznika, które już był sobie przyswoił, z oczyma w niebie, duszą w dumaniach.

— A! to ty? Poczciwy przyjacielu! cóż cię tu znowu przygnało? czy jakie niebezpieczeństwo? po co się włóczysz chory?

— Paroksyzm już minął.

— Masz co nowego?

— Niedobrze: ojciec twój nagle prawie zachorzał mocno...

Janko zamilkł, spuszczając głowę.

— Ja nie mam ojca—rzekł smutnie—ja nie mam ojca... Ojciec mój zowie się niewolą i upokorzeniem. Jam sierota.

— Słówko tylko—rzekł poczciwy Martynko, zbliżając się i biorąc go za rękę, a patrząc mu w oczy. Ty nie masz ojca, ale on jeszcze ma syna; on cierpi, on boleje, on chory, on umrzeć może... a ty mówisz, że nie masz ojca?

— Któż ci powiedział, że on jest moim ojcem? Węzły między nami zerwane, ja chcę być swobodnym, jam już przywykł do tego, i za nic nie zmienię życia. Czémże mi zapłacicie niewolę? imieniem, którego nie potrzebuję... jestem Janko Zbój; bogactwem? którego nie chcę, bo mi dosyć czarnego chleba i szaréj sukni, a pieszczot ojca i matki mi nie dacie. Dość tego!

— No, to dosyć! rzekł Martynko powoli; dosyć na dziś, ale zważ Janku, że co człowiek czyni dla siebie, nie nakarmi jego duszy. Człowiek jest dla ludzi: lżéjby ci było, gdybyś co uczynił dla starca; masz obowiązki...

Janko się porwał.

— Jakie obowiązki? zawołał. Nie rozumiem cię!

Życie, to ciężar, który mi dał do dźwigania; a daléj męki, upokorzenia, niewola: za cóż mam mu być wdzięczen?

— Za miłość jego ku tobie, odparł Martynko. Ja jestem proste i niepojętne stworzenie, ale ja to inaczéj jakoś widzę. Tyś rozumniejszy odemnie, ale możesz i mnie posłuchać: niech powiem co myślę.

— Miłość może być różna: on kochał mnie dla siebie.

— Mylisz się, on chciał ci dać szczęście jak je sam pojmował, to, w którém widział zbawienie; tyś nowicyatu tego szczęścia wytrzymać nie mógł... czyja wina? Jednak wyznaj z ręką na piersi: czyż nie jemu winieneś, żeś silny, że umiesz nędzę znosić i nie boisz się tego, czego unikając drugiby się upodlił?

Janko milczał.

— Czyń jak ci się podoba, zawołał Martynko: ja muszę mówić co myślę. Dać skonać starcowi dla tego, by sobie uchować to, co zowiesz swobodą,—cóż to jest, jeżeli nie najszaleńszy egoizm, uświęcony dziką miłością niezależności, a w rzeczy dumą tylko jakąś i rozpustą fantazyi. Ja cię kocham, Janku, ale nie rozumiem.

— Zrozumiesz mnie lepiéj może, gdy ci się wytłómaczę, odparł chłopak wstając. Ja nie od ojca uciekam. Może zdobyłbym się na ofiarę dla niego, wymógłbym na sobie poświęcenie; ja uchodzę od tego świata, z którym on mnie zwiąże i okuje. Znasz ty ten świat? Nie, boś dziecko poczciwego dworku, gdzie jeszcze panuje prostota, na którego straży stoi człowiek z wielkiém sercem, z wielką duszą; ale nie masz nawet przeczucia tego, co czeka ludzi noszących więzy

tytułu, majątku, imienia i stosunków. Jam dzikie stworzenie, ale mam instynkt zachowawczy, który mi powiada, co mnie tam czeka. Dziś ja śmiało wyznaję moją wiarę i przekonanie, mówię co myślę, robię jak czuję i nie oglądam się na nic; wdziewając tylko suknię ich, jużbym włożył obyczaj. Tam nic powiedzieć nie wolno: prawda zowie się nieobyczajnością; popieranie swojego zdania, brakiem wychowania; zwyczaj zmusza cię do podłości; stosunki, do podawania ręki temu, kogo nie szanujesz; tam sto razy na dzień kłamać musisz twarzą, usty, czynem, mową, humorem; tam całe życie jest szeregiem kłamstw jednym. Na to oburza się moja natura, wzdryga serce; chcę pozostać sierotą, ubogim, ale swobodnym i sobą. Nie innéj ja żądam swobody, tylko módz zawsze mówić prawdę i postępować jak ona każe.

— Dla czegożbyś tam właśnie o nią walczyć nie mógł i wyznawać jéj nie miał?

— Bom może za słaby, i czuję to, rzekł Janko; boby mnie powoli spętały więzy złote, ułagodziły uśmiechy, zawstydziła obyczajność ich gładka i blada; bobym z razu burzył się, potém ostygł i cierpiał, nareszcie stracił wiarę we wszystko i spytał: „Co jest prawda?" nie wiedząc już, czém ona jest...

Chcę być człowiekiem...

— Czemuż tam wśród nich człowiekiem być nie masz?

— Mówię ci, żem słaby.

— Ty! uśmiechnął się Martynko—ty?

— Tak, ja.. jak my wszyscy. Całą siłą człowieka jest nie pić, gdy napój go odurza; nie walczyć z tém, co go ma obalić. Wszyscyśmy tacy: najsilniejszy charakter rzuć w ten odmęt fałszu, a ufarbujesz go na

czarno jak w kotle farbiarza; najczystszą cnotę daj w zapasy z maluczkiemi podłostkami, a zjedzą ją jak mole nieznacznie.

Martynko mu przerwał.

— Takby było może—rzekł—gdybyś nie wiedział, że tak być musi; ale mi się zda, że kto wie, co mu zagraża, potrafi zawsze niebezpieczeństwa uniknąć. Walka dodałaby ci siły.

— Na chwilę; ale wszystko się wyczerpuje...

— Zresztą i o tym świecie ty masz, zdaje mi się, fałszywe wyobrażenie; ja go znam z tego tylko, co Otto o nim mówi, co słyszałem, ale lepiéj o nim trzymam. Czyż nie ma tam ani charakterów, ani ludzi, ani wielkich umysłów, ani serc uczucia pełnych?

— A! są może, może były, rzekł Janko; ja nie wiem. Ale w tych warunkach, w jakich żyć muszą, to męczarnie, to w końcu zmalenie, osłupienie, milczenie, bezwładność, śmierć. Chodzą oni po tym świecie pokazywani palcami, wyszydzani po cichu, omijani z daleka, nie mając do kogo przemówić słowa, widma i upiory. Alem ja młody, ja potrzebuję życia, powietrza, swobody, natury; ja chcę żyć, ja mam prawo.

Martynko się uśmiechnął, patrząc z dziwem i tęsknotą na Janka.

— Masz prawo! Każdy z nas—rzekł—ma jedno tylko prawo, z którém się urodził: prawo żyć i cierpieć!

— Dla czego cierpieć?

— Bo szczęście nie byłoby życiem, powiada Otto—dodał Martynko, jak zawsze opierając się na słowach mistrza,—bo szczęście, to widzenie niebios przeniesione na ziemię, roślina z cieplejszéj strefy, która tu u nas choć się przyjmuje, nie kwitnie...

— O! o! jużeś stary! odparł Janko klepiąc go po ramieniu—stary! stary! a ja jestem młody i chcę takim być, pozostać tak długo jak tylko można.

Zamilkli oba. Martynko silił się biedny, mimo osłabienia, na argumenta i przekonywania, ale już tracił nadzieję. Nareszcie dodał po chwili:

— Tak! uczynisz—rzekł—co zechcesz; ale gdyby starzec wołając ciebie umarł, umierając przeklął, nie chodziłożby za tobą jak widmo przeklęctwo ojca? nie ciężyłoby ci całe życie? Cóż zabroni ci potém zerwać ze światem, a poślubić pustynię i żywot swobodny? Któż ci zabroni być sobą?

— Ha! może ja sam—rzekł Janko smutnie.

Ale te słowa wymówił złamany i padł na przyzbę, podpierając głowę rękami. Włosy jego długie opadły mu strumieniem na barki, łzy zakręciły się w oczach. Zakrył twarz, na któréj widać było niepewność i cierpienie.

Martynko jeszcze chciał mówić, ale go już Zbój nie słuchał; poszedł myślą daleko.

Czuł przybyły, że nalegając dłużéj, nic nie dokaże, i przebywszy chwilę jeszcze z przyjacielem, opuścił go wlokąc się nazad do Robowa złamany i chory. Tu przybywszy położyć się musiał, tak go reszta sił opuściła, a myśl jedna ciągle kołowała mu po głowie.

— Co tu począć? jak tamtego starca pocieszyć? jak Janka nie zdradzając, ocalić?

Długo w nocy mówił z Ottonem, naradzali się, spierali, a nazajutrz rano Marzycki poszedł do Żółtowskiego. Staruszek siedział u siebie i papiery jakieś przeglądał.

— Jak się ma Herman?

— Bardzo źle.

— Jest niebezpieczeństwo?

— Nie wiem, doktór nadrabia wesołością, ale w rzeczy zafrasowany, nie wie co począć. Hrabia Rajmund rozpacza, myśląc wcześnie o kłopocie, jaki mu zrobi Herman, jeśli nagle zamrze i dom zamąci.

— Zawsze egoista.

— Szemere powiada, że choroba tu rzecz dodatkowa, która przyszła z tego, że duch nie panuje ciału, równowagi utrzymać nie może. Jego zabija myśl o straconém dziecięciu.

— Chciałby je odzyskać, aby męczyć znowu?...

— Ale bo...

Żółtowski ukąsił się w język.

— Co tu mówić o tém czego nie znacie! W gruncie dusza poczciwa, ale dziecko kochał po swojemu.

— Wada wszystkich miłości, prócz kobiecéj... No! ale gdyby syna odzyskał, jak myślicie, coby robił? spytał Otto.

— Najprzód, niechybnieby ozdrowiał! odparł Żółtowski, patrząc mu w oczy i bojąc się za nadto powiedzieć.

Marzycki zamyślony począł chodzić po pokoju.

— Zaprowadź-no mnie do niego.

— Nikogo nie przyjmuje.

— Ale mnie przyjmie.

Żółtowski zawachał się, ale poszli razem.

W pałacu cicho było zawsze, teraz jak w grobie, u drzwi stał tylko Malczak w pantoflach, lecz skrył się zaraz, gdy przychodzących zobaczył.

W przedpokoju Hermana siedział Paweł i gderał pod nosem, ale popłakiwał razem, a chustką kraciastą ocierając łzy i tabakę razem, dziwnie sobie twarz po-

pisał. Widząc przybywających, wstał powoli i piersią chciał bronić przystępu do pana.

— Nie można—rzekł.

— No, no! puść nas! odpowiedział usuwając go Żółtowski.

— Nie!—zawołał Paweł cicho, ale bardzo stanowczo.

— Cóż? śpi?

— Nie.

— No, to lepiéj mu będzie, gdy go rozerwiemy.

— Nie,—on się tak wysumuje, wytrawi, i jak to nie pomoże, to nic. Ja jego znam od dziecka. Bywało jak mu co nie dopisze, to się zamknie na cztery dni, nie je, nie pije, nie gada do ludzi, nie wstaje z krzesła; potém raptem otworzy drzwi i wyjdzie rzeźwy, jakby nic. Jemu się trzeba dać przetrawić.

— Ale może my mu skuteczniejsze od tego i prędsze niesiemy lekarstwo, rzekł Otto Puść, mój stary. Tak to się przebolewa w młodości, ale nam! o! nie! Za każdą bitwą taką traci się część siły co zwycięża, potém już nie ma sposobu. Jeśli nie puścisz, będziesz żałował, stary.

Paweł napół przekonany, zawahał się.

— Wejdźmy, rzekł Otto. Bądź spokojny, gwałtu mu nie zrobimy.

— A no... to uważajcież sami—odpowiedział Paweł kręcąc tabakierkę, i powoli podsuwając się ku drzwiom, które uchylił ostrożnie.

— Dziéj się wola boża; ale mu się nie sprzeciwiajcie.

Hrabia wciąż siedział tak w krześle jak go porzucili oczy wlepiwszy w komin i ogień, który dla niego był,

jakąś rozrywką, i działał nań jakoś magnetycznie. Nie zwrócił się ku nim, gdy weszli. Twarz jego nagle wychudła, żółta, oczy wpadłe, nic dobrego nie wróżyły; samo głębokie zamyślenie zwiastowało, że boleść go opanowała.

Otto podał mu rękę, nie chcąc widzieć cierpienia.

— Co ci to, kochany Hermanie?

— Nic, teraz już nic.

— Powinienbyś się dźwignąć, zmusić, to czasem pomaga. Trzeba gwałt sobie zadać. Ja znam takie upadki ducha.

Hrabia się uśmiechnął, odwrócił i ruszył ramionami.

— Ty tego nie znasz, rzekł; bom i ja tego nie znał, co mnie teraz napadło. Człowiek całe życie broni się wszelkim słabościom, aż gdy podupadnie, na raz się one mszczą na nim, obsiadując go ze wszystkich stron. Któż tam jest drugi? spytał rozglądając się. A! Żółtowski! No, siadajcież, a nie śmiejcie się ze mnie.

— Rzecz wcale nie do śmiechu, odezwał się Otto.

— Owszem, śmieszna, gdy się ją weźmie tak, jakem ja ją niedawno sam uważał. Stary, żył sam i dobrze mu było z naładowanemi workami; na raz napadła go tęsknota, głupi! Po kimże? po dziecku, które się go zaparło; po więzach, od których całe życie starał się być wolnym; po kłopotach i biedzie...

— Ale to uczucie święte...

— Jak dziś u mnie, to tylko może chimery chorego człowieka, któremu się czegoś z nudów zachciało.

Żółtowski ruszył ramionami; Otto zaprzeczył.

— W tém nie ma nic dziwacznego... chcesz sobie tylko dziwnie to tłómaczyć. Psujesz sobie życie

i dręczysz serce takiém wynaturzaniem się. Uczucie święte i prawe, na co się go zapierać? Żeś długo żył bez niego, to się nie chwali.

— A wiecież co cierpiałem? spytał stary z cicha, spuszczając głowę.

— Jakże pan się dziś czujesz? przerwał umyślnie Żółtowski.

— Prawdziwie sam nie wiem... Wasz doktór widzi w tém chorobę, chce dać pigułki, namawia na *calmansy*, a serca niemi głupiego nie ochłodzić.

Zamilkli trochę.

— Nie wiecie nic jeszcze? spytał hrabia po chwili. Wrócił ten chłopak?

Otto długo myślał, nim odpowiedział. Milczenie jego zdawało się coś zapowiadać; stary poruszył się i podniósł; widać było, że go ożywiała nadzieja.

— No, mów! wiesz co?

— Posłuchaj-no—przerwał Otto. Jakiekolwiek są twoje o tém pojęcia, jakkolwiek i ja potępiam dziecko płoche, nie możemy jednak oba nie poszanować w niém charakteru i męzkiéj siły.

— Mówże-no, mów, bez wstępów! przedmowy się domyślę! machając ręką, rzekł stary. Znaleźliście go?

— Znaleźli! rzekł Otto spokojnie.

Na te słowa, choć dotąd siedział złamany, hrabia podniósł się nagle, pchnięty jakby sprężyną, wyprostował się, i cały drżący wlepił oczy w Ottona.

— Znaleźli — powtórzył Otto, — ale dla ciebie on stracony, jeśli mi wprzód nie dasz słowa.

— Dziwny jesteś! cóż? widząc mnie, boisz się jeszcze o niego?

— Nie, ale to dziwne dziecko; poznałem je; choć w błędzie jest, pobłażyć mu potrzeba.

— Ma charakter i tego mi dosyć; oddaję mu sprawiedliwość, nie obawiaj się.

— Nie lękam się o dziś, boję o jutro...

— A! jutro nie nasze! westchnął Herman – jutro, mgły i ciemności. Powiedz mi najprzód gdzie on jest? co robi? wstrzymaliście go? przyjdzie tu?

— Najprzód rozmówmy się otwarcie.. rzekł Otto. Wiem gdzie jest, ale ci tego, nie obwarowawszy się, nie powiem... Wstrzymaliśmy go, przyjść jednak nie chce czy nie może.

— Jeszcze się mnie boi?

Otto milczał.

— A więc pozwólcie ja pójdę do niego, rzekł stary. Trzebać mi przecię dziecko odzyskać; potrzebuję go, chcę mieć, powinienem. Chodźmy!

I choć nogi pod nim drżały, stał z wlepionemi w Ottona oczyma, jakby go chciał wyrwać ztąd zaraz i za sobą pociągnąć.

— Chodźmy, powtórzył.

Otto się nie poruszył.

— Pójdziemy—rzekł—ale wprzód musimy pomówić otwarcie i szczerze... Syn twój wie o tém, żeś go poznał, że chcesz go odzyskać; wie, żeś chory, a boi się jeszcze powrócić do ciebie. Nie wiem jak się z nim obchodziłeś, że stracił dla ciebie serce; ale ja nie chcę go wydać na nowe męki, które tobieby życie skróciły, jemu zatruły.

— Ale ja nic nie chcę, tylko go odzyskać! zawołał Herman. Więc i ty mnie masz za jakiegoś tyrana? Człowiecze! wierzysz temu?

— Widzę, słyszę i wierzyć muszę. Zaprowadzę cię do niego, ale pod jednym warunkiem... dodał Otto.

— Zgadzam się na wszystko... ale go zobaczę?

— Zostawisz mu wszelką swobodę.

— Nie myślałem i nie chcę go zamykać; uczyni co zechce.

— Wiem, że się obawia żyć w świecie, który zna trochę ze złéj, trochę z prawdziwéj jego strony. Jest to dusza, któréj potrzeba oddychać wolném powietrzem pól i swobodą wiejską; nie zmuszaj go do zmiany życia.

— Ale niech czyni co mu się podoba! Przystaję, zgadzam się na wszystko... Idźmy!

— O! o! za pozwoleniem! przerwał Żółtowski: ja pana tak nie puszczę bez doktora; to wszystko dobrze, ale pan sił nie masz... potrzeba się poradzić... może poczekać...

— I! radzić się doktora! ruszając ramionami rzekł szydersko Herman: dajcież mi pokój!

Żółtowski mrugnął na Ottona.

— A! nie, nie; od tego nie odstąpimy.

Hrabia zżymał się, ale już i Żółtowski i Paweł, który coś podsłuchał, pobiegli do Węgra, zabawiającego hrabinę opowiadaniem o dalszym ciągu koncertu, to jest o przygodach Maksa i półkownikowéj. Korzystając z odejścia Loli, która pobiegła do ogrodu po ulubione kwiaty dla matki, doktor trochę się zabawiał kosztem wdowy i jéj ideału.

— Ale to już całe sąsiedztwo wie, pani dobrodziejko, mówił — tak nagła i impetyczna miłość ich oboje napadła, że się jéj oprzeć nie mogli. Opowiadają, że się jéj formalnie oświadczył w formie *andante amoroso*, że go przyjęła *con gioia*, i że jakoby nawet zaręczyny wkrótce nastąpić mają.

— Doktorze, jesteś nieznośnie złośliwy!

— Ja, pani? Gdybyś pani posłuchała co inni mówią, mogłabyś moją dyskrecyę ocenić. Bo drudzy opowiadają, że ona jemu się oświadczyła pierwsza, że trzeciego dnia dali sobie słowo i posłano zaraz po indult do księdza pasterza; aby co najprędzéj szczęścia skosztować.

— Doktorze! wiesz przecię jak ludzie łatwo prawią niestworzone rzeczy...

— Na ten raz ja, przyznaje się, skłonny jestem wierzyć.

— Ja, nie.

Żółtowski wszedł właśnie, i ażeby nie mówić, mrugnął na doktora, który wstał i pośpieszył ku niemu.

— A co? nie gorzéj nasz chory?

Żółtowski kiwnął głową.

— Na co wam doktor potrzebny? przerwała hrabina.

— Żeby powiedział, czy może jechać?

— Jechać!

— Niech pani będzie spokojna, odpowiedział krótko po swojemu stary: wszystko będzie dobrze. Chodźno, doktorze...

Szemere pośpieszył żywo.

— Taka rzecz, rzekł po drodze Żółtowski: że on chce i potrzebuje jechać... Otoż... czy mu to nie zaszkodzi?

— To zależy... zobaczymy.

Weszli. Hrabia zniecierpliwiony zwłoką, stał prawie drżący.

— Doktorze! zawołał postrzegłszy go w progu: bierz puls, czy każ sobie język pokazać, a gadaj prędko, że jechać mogę, bo moim siłom i ochocie mniéj

wierzą niż twojéj nauce; jak gdyby człowiekowi, który *chce*, mogło kiedy zabraknąć siły.

— To teorya doskonała, odparł Szemere; ale wola dobywa tylko z człowieka co w nim jest, póki jest,— z próżnego nie naleje...

To prawda, że ona umie najlepiéj wycisnąć zaoszczędzoną siłę; ale gdy jéj nie ma...

— Ależ powiedz im przecię, że ja ją mam; bo gdzieżby się podziała? Oszczędzałem przez lat tyle, nie zużyłem; muszę mieć.

— Ha! ha! rzekł doktór; to także tajemnica natury, że wiele rzeczy w człowieku nadużycie niszczy, a wiele nieużycie zamarza.

— To już uczone brednie.

— Opinie są wolne... chyląc głowę odparł Szemere; siły się wyrabiają, ale zobaczymy nie wyrokując *a priori*. Przejdź no się pan po pokoju, daj mi puls.

Hrabia spełnił polecenie, z oznakami niecierpliwości.

— A teraz jeszcze—rzekł doktór—muszę popełnić niedyskrecyę. Proszę mi powiedzieć, jakiego rodzaju jest cel podróży? czy stan pogorszyć, czy polepszyć może?

Otto podchwycił:

— Powinien polepszyć.

— Hm! wołałbym, żebyś pan tak prędko nie jechał; ale zważywszy, że na upór lekarstwa nie masz, a hrabia pewnie jesteś uparty...

— Bardzo! dorzucił Herman.

— Nie było się nawet o co pytać.

— Więc jedziemy! Pawle — zawołał na starego — natychmiast jedziemy.

Siermiężki wpadł drepcząc z zapytaniem:

— Do domu?

— Nie! Jedziemy... i obróciwszy się rzekł do Ottona: — Dokąd? — rzekł.

— Do mnie.

— Trzebąby się ubrać.

— Nie, nie, jechać! natychmiast jechać!

— Jest zaprzężona bryczka moja, ale...

— Całe życie jeździłem bryczkami; siadajmy...

— Ale możeby się pożegnać? spytał Żółtowski.

— Wszak wrócimy — dodał niecierpliwie Herman.

Doktór patrzał i głową tylko poruszał. Oprzeć się energii, z jaką natychmiast domagał się jechać Herman, nie było podobna. W kwadrans już siedział na bryczce, i choć pochylony i widocznie cierpiący, powoli sunął się do Robowa, sykając tylko na to, że konie wstrzymywano, ażeby nie strząsł się bardzo.

— Jest tu? spytał dojeżdżając do dworu Ottona.

— Nie, ale go zaraz znajdziemy. Hrabio, jeszcze raz słowo: bez żadnych wymówek i swoboda zupełna.

— Jestem ojcem i mam serce ojca! odparł Herman: wierzaj mi.

W Robowie było pusto. Martynko leżał chory, Maks siedział teraz od rana do wieczoru u półkownikowéj... ani żywéj duszy.

Stary wysiadł żywo, ale go siły zawiodły, i ledwie przeszedłszy pokój, musiał odpocząć, tak się czuł osłabionym; krótka podróż zwiększyła znacznie gorączkę.

— Oczekiwanie—rzekł do Ottona—zje mnie gorzéj niż samo spotkanie. Złe czy dobre, co ma być, niech się stanie.

— Natychmiast! Ale Martynko choć chory chce cię widzieć: ubiera się, przyjdzie zaraz.

Po chwilce wszedł biedny chłopak, choć blady i znękany febrą, któréj drugi paroksyzm właśnie go był pochwycił; oczy jego zaczerwienione dowodziły łez nieoschłych jeszcze; zbliżył się, i schylając ujął starego za rękę.

— Drogi mój panie, rzekł: jam się ulitował nad tobą; nie uczyńże mnie zdrajcą, który pęta kładzie na zbiegłego niewolnika... Wydaję go na miłość twoją, ale nie na nienawiść i zemstę... Pomnij, że to dusza chora, że to dziecię sierota, co cierpiało wiele, że to jedyny syn twój.

— O Boże! za kogoż wy mnie macie, z temi waszemi zaklęciami! wykrzyknął hrabia łamiąc ręce.

— A oto są pieniądze wasze... dodał Martynko składając je przy nim. Musiałem je wziąć, by nie obudzić podejrzeń; ale zatrzymywać dłużéj nie mogę.

— Zostaw je sobie.

— Nie, rzekł chłopak — nie! Przyjąłbym dar od pana, bom ubogi i młody, miałbym go za ojcowską pomoc; ale dziś, tak nie mogę... Byłyby to srebrniki za sprzedane łzy przyjaciela. Gdyby nie ojciec—dodał wskazując Ottona, nie uczyniłbym tego nigdy.—On mi kazał, jemu jestem posłuszny; pełnię ślepo wolę tego, któregom przywykł za rodzica uważać...

To mówiąc, zapłakany powoli wysunął się z pokoju.

— Miałem słuszność przecię, rzekł na pół do siebie Herman. Choć mnie nie zrozumiano. Otoż jak wychowuje nieszczęście, zła dola, ubóztwo, na które syna wystawiałem umyślnie! Żaden z tych paniczów miękko chowanych, nie odrzuciłby grosza, choćby za nie wiem jaką usługę...

Nic mu nie odpowiedziano.

— A teraz—rzekł Otto—w Imię Boże, jedźmy. Mo-

żemy bryczką podjechać pod samą pasiekę, w któréj jest syn twój; daléj przejdziemy piechotą.

— Pieszo, bryczką, jak chcecie, aby prędzéj, aby prędzéj! odezwał się chwytając hrabia, który wsparty na lasce, słowa nie mówiąc, śpieszył za swym przewodnikiem.

Wieczór już był, gdy się do pasieki zbliżali. Janek a raczéj Juraś (bo tak dawniéj go nazywano) usnął był znużony na posłaniu z siana w ubogiéj chacie.

Wcisnęli się powoli do paskieki przez ogródek, i Otto wiodąc za sobą niecierpliwego ojca, wszedł po cichu do jedynéj przyciemnionéj izby, w któréj Juraś spoczywał głębokim snem ujęty.

Stary, który się stawał coraz bledszy, któremu oddechu brakło, który się mieszał, wstrzymywał, śpieszył i znowu cofał, jakby z jakiejś bojaźni, rad był, gdy ujrzał dziecko swe uśpione. Miał czas ochłonąć i przyjść do siebie.

Szmer otwierających się drzwi i wchodzących osób nie obudził Jurasia. Piękne rysy jego, oblane spokojem, otoczone jasnych włosów puklami, ciało męzkiéj i silnéj budowy, przypominające dawnych średniowiecznych rycerzy, wpadły w oczy hrabiemu, który stanął i zapatrzył się na syna, a łzy po bladéj popłynęły mu twarzy. Otto milczał, z obawą oczekując przebudzenia, usiłując wyczytać ze starca, co pocznie i jak przemówi do dziecka.

Długą chwilę spoczywał tak Juraś, potém lekko drgnął, powiódł ręką po białém czole, otworzył oczy, i ujrzawszy ojca przed sobą, osłupiał. Zerwał się na pół, patrząc i niedowierzając jeszcze: sen to czy jawa?

— To ja jestem, dziecko moje... rzekł wreszcie ci-

chym i drżącym głosem Herman. Tyś nie chciał do mnie, ja przychodzę do ciebie; nie żeby ci odebrać wolę, ale aby cię całkiem oswobodzić. Byłeś dzieckiem, chciałem cię żelazną ręką na męża ukształcić: dziś jesteś mężczyzną i podaję ci dłoń jak bratu. Nie bój się mnie, nie uciekaj. Ja sam jeden na świecie: miejże litość nademną. Nie obawiaj się: niczém, nawet miłością moją cię nie zwiąże...

I głosu mu zabrakło. Stanął, badając czy wyrazy jego uczyniły jakie na synu wrażenie, szukając w twarzy jego nadziei.

Surowy ten, nieubłagany człowiek, dziś znękany i zbolały, błagający dziecię własne, przedstawiał obraz, który łzy wycisnął z oczu Ottona.

Juraś uczuł się tak poruszonym, że mu słów zabrakło w początku; ale twarz jego malowała, że to uczucie dumy i niepodległości, które trzymało go dotąd, potargane odpadło z serca.

Powstał powoli i pochylił się milczący do nóg ojca, który głowę jego chwycił jak spragniony porywa naczynie z napojem, długo mu odmawianym, i przycisnął ją do piersi łkając, zanosząc się od płaczu.

W téjże chwili siły go opuściły, zachwiał się, i Otto ledwie pośpieszył przystawić mu ławę, na którą upadł.

Obaj milczeli. Ojciec drżący trzymał go za rękę; Juraś zmieszany, rozczulony, bojaźliwy, patrzał nań, lękając się przemówić słowa.

— Więc ja mam syna!... zawołał nareszcie stary, chwytając go znowu w objęcia. Ale nie! poprawił się: wiem wszystko Jurasiu; nie obawiaj się, swobodnym będziesz, uczynisz co zechcesz, pójdziesz gdzie ci się podoba, nie wstrzymam cię, nie spętam; będziesz

żył w takim kręgu, jaki sobie obierzesz. Bądź mi tylko synem, niech cię widzę, niech twoja przyszłość łączy mnie ze światem i żywymi ludźmi, bom ja dziś trup i niedogasły popiół tylko... Nigdy ci nie wspomnę przeszłości.

— Nie, nie! to nadto! odezwał się nareszcie złamany chłopiec, którego ta dobroć i ofiary złamały — nie! jam winien, srodze winien, i życiem mojem obowiązany jestem zapłacić to szaleństwo, które popełniłem będąc dziecięciem. Duma tylko nie dozwalała mi powrócić, obawa słusznego gniewu twojego, mój ojcze... Jam winien, ty nic; tyś ojciec, tyś czuł przy sobie prawo wyrobienia powierzonéj ci duszy tak, jak ci się zdało lepiéj... Jam był szaleńcem; przebacz mi, daruj!

— Nie mówmy o przeszłości ani słowa! odparł hrabia. Ale się już mnie nie obawiasz?

— Nie mój ojcze.

— I opowiesz mi szczerze, otwarcie, coś przecierpiał, co przebyłeś, gdzieś się błąkał, czegoś doświadczył? Wszakże choć przeszłość twoja należy do mnie, gdy z teraźniejszości nic ci wziąć nie chcę i nie mogę. Oto świadek uroczystego przyrzeczenia, Jurasiu — dodał, wskazując Ottona: — niech on słyszy ten ślub mój, że ci daję zupełną swobodę.

— Ojcze mój, ja powiem teraz: nie mówmy o tém.

— A! jaki on piękny! zdrów! silny! rzekł wpatrując się w niego hrabia.

— Bo bieda i niedostatek najlepiéj wychowują, odparł Juraś. Wyszedłem, dzięki tobie, od razu zahartowany, a tam gdziem był, musiałem albo się zepsuć zupełnie, albo za łaską bożą takim dębem dzikim wyrosnąć, jakim mnie widzisz, ojcze.

— Tylkoż, kiedy Bóg dał tak wszystko dobrze skończyć — przerwał Otto — nie siedźmy już dłużéj w téj biednéj chacie, gdzie i ojcu choremu nie najlepiéj, i synowi duszno.

— Jam już do chat przywykł! rzekł Juraś.

— Ale nie ojciec.

— Więc jedźmy do Zarubiniec.

— Do Zarubiniec? — zawołał Juraś — a! ojcze, znowu do tego strasznego pałacu.

— To do mnie — przerwał Otto — do chaty...

— Gdzie on zechce... dodał hrabia. Gwałtem nie ciągnę go nigdzie. Dałem słowo i dotrzymam. Nie zmuszam do żadnego życia; ale należałoby choć na chwilę stryjowi, stryjence, siostrze się pokazać. Kobiety zwłaszcza poczciwe i dobre istoty. Ale jeżeli ci to...

— Nie! nie! zawołał Juraś mężnie: bądź co bądź, mogłem to zrobić dla Maksa, jakżebym nie uczynił dla ojca? Tylko mi tam nie każcie mieszkać, nie każcie żyć, ani przebierać się i stroić.

— Masz własną wolę, zrobisz jak ci się podoba; w domu stryja jak we własnym możesz być swobodny.

— No, to już moja ofiara odrzucona! rzekł Otto.

— Ale nie, kochany przyjacielu! przerwał rzucając mu się na szyję Juraś. U ciebie mi było tak dobrze!

— Mogę ci słowo powiedzieć? spytał ojciec.

— O! co chcesz, ojcze...

— Więc od razu szczerze. Wiem, że się boisz świata; dowód to, że się do niego będziesz stosował. To źle: wnijdź weń nie jako bojaźliwe pacholę, ale jako człowiek ze swojém przekonaniem, obyczajem, myślą, słowem; rozśmieją się może, poszanują pewnie.

Zrozumieją cię czy nie—dodał—ale nikt nie poważy ci się urągać. Tylko ekscentryczność, która jest rachubą i komedyą, wzbudza szyderstwo i niewiarę; ale szczere i poczciwe wylanie się z charakterem nigdy. Wszędzie możesz i powinieneś być sobą...

— I będę! rzekł Juraś, podnosząc głowę.

Ojciec pocałował go w czoło.

— A nie uciekaj mi już — dodał wzruszony.

— Nie! ale nie obcinajcie mi skrzydeł. Wolny pójdę wszędzie za tobą; spętany nie zniosę więzów.

— Nie bój się, jeszcze raz: jesteś panem swéj woli i życia, jam już przyjaciel nie ojciec. Pojmuję to, że są charaktery i ludzie, którzy w zawisłości wiecznéj żyć nie mogą. Idźmy razem...

I uderzył go po ramieniu.

Weselsi wychodzili z chatki, a Otto uradowany uśmiechnął się, poglądając na to spokojne zakończenie dramatu, który dniem wprzódy nie obiecywał tak spokojną rozwiązać się sceną.

Ale szczęście ziemskie błysk to tylko i chwila. Jasny promień słońca zachodzącego padał na twarze ich rozrzewnione i pogodne, gdy wychodzili. Hrabia, który dotąd siłą wielkiego wzruszenia tylko utrzymywał sie, począł się znowu chwiać na nogach i pochylił osłabły. Otto przytrzymał go, ale na twarzy postrzegł bladość straszną i zmianę jakąś nagłą, niezmierną.

W téjże chwili starzec chwycił się za piersi i poczuł jakby wyziew mogiły przelatujący po nim; oczy stanęły mu słupem, usta wysilone otwarły się na jakiś wyraz, którego wymówić nie mogły, ręka zwróciła się ku synowi i opadła bezwładna. Został ruszony paraliżem, który weń jak piorun uderzył. Otto z Jurasiem

porwali go, ale już nieruchomego i ze łzą w oku kostniejącego im w dłoniach.

Przestrach niemy po chwili wesela objął ich tak nagle, tak rażąco, jakby cios, który starca dotknął, razem ich wszystkich zagarnął.

Zmieszani, potrwożeni, nie wiedzieli co począć z martwym na pół Hermanem na ręku, który miotał się częścią ciała niezdrętwiałą jeszcze, usiłując wyrwać się z objęcia śmierci, a ciężał już na nich trupem bezwładnym.

Juraś załamał ręce...

— Ja go utrzymam — krzyknął Otto — ty leć po konie! Nie traćmy chwili; do Zarubiniec co prędzéj, do doktora. Lub nie! siadaj na koń, biegniéj po niego, niech śpieszy przeciwko nam, na pół drogi. Jedno tylko krwi upuszczenie ratować może.

— Ale jakże mogę ojca opuścić? Nie wiem drogi! zawołał Juraś.

— Masz słuszność! straciłem głowę... zawołał Otto. Ty go bierz, weź... ja lecę!

Na krzyki bolesne o ratunek przywlókł się o kiju stary pasiecznik, chłopak jego i żona, a postrzegłszy na poły martwego starca, ostąpili go przelękli.

Juraś z przytomnością nawykłego do przygód człowieka, chłopaka posłał po konie, ojca złożył powoli na przyźbie, gdy chory rękami pół martwemi chwytał go i od siebie nie puszczał; sam urządzać zaczął nosze, które na prędce zrobiono z tapczana, i choć sam rozpłakany i przejęty, potrafił starca uspokoić słowy serdecznemi i troskliwością niezmordowaną.

Otto znikł. Z trzech koni od bryczki niedaleko stojącéj, pochwycił jednego, obciął sznury i oklep puścił się do Zarubiniec przez pola i wąwozy, bez drogi,

dając od razu czuć zwierzęciu, że ostatnich z niego sił dobędzie.

Dwa konie pozostałe miały wieźć starca, drogą na Robów; ale nim usłano łoże, nim ręce syna dźwignęły go na posłanie i głowę przycisnęły tak do piersi, by na nich bezpiecznie spoczęła, wieczór się zrobił i noc prawie.

Z tym pochodem prawie pogrzebowym noga za nogą posunęli się powoli...

Starzec nie mógł dobyć głosu; szklisty wzrok jego tylko szukał syna, a ręka nie chciała puścić dłoni; w uścisku i milczeniu, wśród ciemności, długa jak wiek rozpoczęła się ta podróż męcząca dla obu. Woźnica kierując się jak mógł w mroku, zwrócił na większy gościniec ku Zarubińcom; ale choć konie pośpieszały niekiedy w równiejszych miejscach, każda chwila zdawała się godziną. Juraś nie mogąc ani usłyszeć, ni zobaczyć ojca, truchlał dobadując się w nim ostatków gasnącego życia. Potrzeba było stawać, odpoczywać, poprawiać, a zrzuciwszy z siebie suknie, chłopak czém mógł okrywał chorego, by go chłód nocny nie owionął.

Na pół prawie odległości dzielącéj Robów od Zarubiniec, spotkali wreszcie wysłaną po nich karetę, doktora, Ottona i biedną hrabinę, która z różańcem, flaszkami i łzami, sama koniecznie chciała jechać przeciwko Hermanowi.

Doktór pośpieszył do chorego. Zdawało się, że puszczenie krwi będzie konieczne: natychmiast przecięto żyły, ale widocznéj ulgi nie doznał starzec...

Hrabina, która już o wszystkiem uwiadomiona była przez Ottona, podała rękę Jurasiowi, pocałowała go

płacząc w czoło, i nie mówiąc słowa, z nim razem przy chorym umieściła się w powozie.

Pochód cały znowu pociągnął daléj, spotykając po drodze ciekawych, którzy powychodzili przeciwko niemu.

Jednym z najpierwszych był Paweł, przebudzony ze snu straszliwą wieścią. Bez czapki, załzawiony, leciał do swojego pana, na ustach mając wciąż jedne, machinalnie powtarzane słowa:

— A! mój drogi pan, mój drogi pan!

Gdy się kareta ku niemu zbliżyła, stary nie zważając na konie i koła, dopadł jéj i rzucił się ze stopni na nogi hrabiego, który ujrzawszy go, drgnął i oczyma wskazał na Jurasia.

Pawła musiano zabrać także do powozu, za którym wlec się nie mógł stary, a opuścić go nie chciał.

Północ już była, gdy kareta stanęła przede drzwiami pałacu, u których czekał na nią hrabia Rajmund z nieodstępnym Malczakiem.

Posłyszawszy turkot, nadbiegła i Lola.

Potęgą przeczuć czy przeznaczenia, młodości czy serca, w téj chwili tak strasznéj, jakże się to stało, że oczy dziewczęcia nie spotkały chorego, nie znalazły od razu matki, ale najprzód ujrzały Jurasia, ów sen, owo widzenie wieczorne...? Na widok jego zadrżała; dreszcz ją przebiegł; zarumieniła się...

Nie wiedziała jeszcze kogo poznała.

Powoli zniesiono starca do przygotowanego pokoju, wszyscy się rozpierzchli, pozostał tylko u łoża Juraś, doktór i Otto, zmęczony gonitwą nocną, ponury i przygnębiony.

— Doktorze, odezwał się po chwili, odciągając go na bok: jak myślisz? co będzie?

— Bóg to wie jeden: ludzie w tym stanie męczą się czasem długie lata, lub umierają w godzin kilka... Na wszystko gotowym być potrzeba.

— Jest więc groźba śmierci? spytał Otto.

— Prawie pewność... odparł doktór.

— Jestże jaki ratunek, któregoby użyć można jeszcze?

— Spróbujemy wszystkiego, a najprzód drugiego, trzeciego, innego lekarza; proszę was o to, bo się lękam.

— Odzyska mowę? pytał wciąż Otto.

— Nie wiem.

— Nic więc nie przyrzekasz?

— Pracować z wami.

W czasie téj cichéj a szybkiéj rozmowy, Juraś wciąż siedział przy ojcu, który za najmniejszém jego oddaleniem się tyle okazywał niespokojności, tak uporczywie ścigał go oczyma, że biedne chłopie musiało natychmiast powracać i nieodstępnie czuwać przy nim.

Noc przeszła w obawie i zamieszaniu. Hrabia Rajmund, któremu Otto przedstawił Jurasia, zbył go pogardliwem wejrzeniem i do zbytku zimnym ukłonem z daleka. Nie przemówiwszy do niego słowa, odszedł zaraz do siebie.

Nazajutrz, chociaż stan chorego nieco się polepszył, nie odzyskał jednak mowy, ani władzy, a stan ten obezwładnienia oddziałać musiał na starca, który okazywał się coraz bardziéj zniecierpliwiony i niespokojny.

Za każdém przybliżeniem się hrabiny, rwał się jakby coś chciał do niéj przemówić; oczyma starał się

jéj okazać, czego nikt zrozumieć nie mógł. Potém płakał, a łzy te niezrozumiałe nikomu, płynąc cichym strumieniem po twarzy dziwnie skrzywionéj boleścią, przejmowały nieopisaną litością przytomnych.

Paweł siedział u nóg pana, i całując je, płakał też rzewnie; chwilami wyrywały mu się jakby szmery przekleństwa, to znów rozpływały się we łzach i jęku.

Juraś służył staremu jak dziecię pokorne. O południu coraz gorzéj być poczęło. Zjechali się wezwani lekarze, użyto wszelkich środków w takich razach wskazanych, ale czy je stosowano nietrafnie, czy użyto za późno, nie poskutkowały wcale. Śmierć widocznie zbliżała się co chwila; siły opuszczały starego; senność, ten poprzednik śmierci i zwiastun jéj litościwy, kleiła naciskając ołowiem powieki, które z wysiłkiem otwierały się na chwilę i znowu na długo zamykały.

Ciężkich tych godzin, które się wlokły opieszale u łoża konającego, opisywać nie będziemy. Któż z nas w życiu nie był świadkiem śmierci ukochanych i nie konał choć raz powoli z umierającym, który część jego życia, wspomnień, nadziei, unosił z sobą w kraj mogił i duchów milczący?

Około północy głębiéj usnął Herman, ale aby się już nie przebudzić więcéj. Paweł postrzegł to pierwszy i zapalił gromnicę; ale gdy hrabina pośpieszyła z modlitwą i księdzem, już dusza biednego człowieka była na lepszym świecie...

W tydzień po opisanych wypadkach, Juraś, teraz już hrabia Jerzy Góra, z Robowa, dokąd po śmierci i po-

grzebie ojca ze starym Pawłem się schronił, wybierał się do Horycy.

W Zarubińcach przebył krótko, ale chwile te, ciężkie dla niego, dziwne po sobie zostawiły mu wrażenie. Stryj Rajmund od razu okazał się dla niego więcéj niż zimnym, odstręczającym i nieprzyjaznym prawie; hrabina za to macierzyńską i czułą, a Lola... z Lolą patrzali tylko na siebie z jakiémś uczuciem błogiego podziwienia, prawie nie mogąc przemówić.

Odjeżdżając do Horycy, potrzeba było pożegnać ten dom i ludzi, podziękować za gościnność dla chorego i trupa, za pogrzeb, za wszystkie dowody braterskiéj miłości. Choć serce ciągnęło go ku stryjence, choć dziwne, niewytłómaczone uczucie ciągnęło go ku Loli, wstręt i obawę niepojętą obudzał w nim stryj, sztywny i zimny przedstawiciel tego świata, którym Juraś tak się brzydził.

Było to pierwszą i wielką z jego strony ofiarą, czuć się zmuszonym pojechać do Zarubiniec i narazić się na nieżyczliwe gospodarza przyjęcie. Westchnął wybierając się z Robowa, ale obowiązek swój zrozumiał. Otto nie znajdował potrzeby przeprowadzać go, pojechał więc sam jeden.

W Zarubińcach już wszystko powróciło było do dawnego trybu życia. Malczak skrobał coś przy warsztacie, poglądając z pod oka na pana, którym kierował, z którego sobie żartował po cichu; Rajmund zatapiał się w mechanice, hrabina się modliła, Lola smutna siedziała przy krosienkach w jéj pokoju.

Gdy im dano znać, że Juraś przyjechał, stryjenka kazała go prosić do siebie, a sama posłała dać znać mężowi; wszedł więc najprzód do skromnego jéj mieszkania.

Tu wszystko takim tchnęło spokojem i jaśniało prostotą, tak błoga cisza panowała w tym zakątku, że Juraś uczuł się jakby w nowéj, nieznanéj sobie atmosferze.

Przez dni kilka przebolanych wprzódy, poznał tylko zimne salony zarubinieckie, nie był jeszcze ani razu w téj ustroni całkiem od nich odmiennéj. Na pierwszy rzut oka poczuł, że w progu mieszkania hrabiny kończy się pałac i hrabstwo, zaczyna szlachecki byt niewiasty, wielkiéj poświęceniem i sercem, a przywiązanéj do innego wcale obyczaju.

Lola śliczną swą twarzyczką jak słoneczko wiosenne świeciła temu przybytkowi jasnemu i uspokojonemu jak rezygnacya chrześcianki. Odwróciła się gdy wchodził, zarumieniła mocno, i po przywitaniu z matką, gdy jak brat i siostra podali sobie ręce, dłonie ich nie wiem czemu zadrżały, lica zapłonęły obojgu, nie śmieli sobie spojrzeć w oczy. Juraś usiadł cały przejęty w duszy jakby pobożném jakiémś uczuciem.

— Chcesz wyjeżdżać, słyszałam — odezwała się powoli hrabina: dokąd? dla czego tak śpieszysz?

— Sam nie wiem dokąd jadę i po co, rzekł Juraś; ale gdzieś przecię schronić się potrzeba ze smutkiem i z życiem...

— Masz słuszność; prawdziwa boleść kryje się i ucieka od oczu ludzkich. Pojmuję twoją. Tak się znaleźć po długich latach na chwilę, i tak się rozstać!

— A! nie przypominaj mi pani wielkiego grzechu mojego życia! westchnął chłopak spuszczając oczy.

— Bóg i ojciec ci przebaczył! Biedny stary! zapłakała hrabina — gdyby się był choć pocieszył tobą, choć spoczął...

— Nie mówmy, nie mówmy o tém — przerwał Juraś.

— Cóż myślisz począć z sobą?..

— Nie wiem. Życie przeszłe, i to, które mnie czeka, tak różne! dodał młody chłopiec — Między niemi muszę rzucić most, coby je połączył, jakąś przestrzeń żalu, spoczynku, namysłu.,. sam nie wiem. Pojadę tam, gdzie żył ojciec, gdzie jeszcze żyje myśl jego; tam może znajdę jaką wskazówkę na przyszłość.

— Ale, dziecko moje, niezakopujże się zbytnie, jak twój ojciec.

— Moja droga stryjenko, czyż i ty, co żyjesz tak samotnie, możesz mówić przeciwko osamotnieniu? Gdzież lepiéj, jeżeli nie w cichym kątku?

— Tak, ale moja samotność z córką, z mężem, to życie rodzinne, to nie zaparta cela mizantropa... a ty jesteś sam jeden.

— Już i ja mam rodzinę, rzekł Juraś wzdychając: staro sługi ojca, biednego Pawła... zresztą jeczcze nie wiem co pocznę.

Spojrzał na Lolę, która na podziw była milcząca jakoś i smutna. Wejrzenia ich, magnetyczną przyciągane siłą, co chwila się spotykały i mówiły sobie ową pieśń młodości, która się raz tylko śpiewa w życiu.

Aż nareszcie Lola porzuciła krosienka, odwróciła się, jakby zwyciężona, ku niemu, i zbliżyła powoli do matki, po cichu mieszając się półsłowami do rozmowy.

Potém hrabina umilkła, a oni zaczęli szeptać we dwoje, jak starzy znajomi. W tém wśród tego gwarzenia smętny, ponury i sztywny wszedł sam hrabia Rajmund. po którego twarzy znać było, jak nierad musiał by gościowi, co mu jego zajęcia przerywał. Przywitał zimno synowca, westchnął i usiadł, patrząc roztarguiony przez okno.

— Wpan się wybierasz? spytał po chwili.

— Wyjeżdżam do Horycy, rzekł Juraś.

— Zapewne... to bardzo dobrze; tu nie masz co robić! Lepiéj, po tym smutku znaleźć jakąś rozrywkę; dla mnie też lekarstwem jest praca.

— Ale nie lepiéjżeby tu jeszcze jakiś czas przebyć? przerwała hrabina. Ta samotność...

— Mężczyzna nie powinien się pieścić — dodał Rajmund: to było zdanie nieboszczyka; zawsze mi to mawiał. Jerzy ma obowiązki...

Wstał potém i przeszedł się niecierpliwie po pokoju.

— Przybyłem właśnie, aby pożegnać stryja i podziękować mu za tyle trudów i łaski dla mego biednego ojca.

Hrabia ruszył ramionami.

— Dajmyż pokoj temu... brat to był mój przecię; nie mówmy już o tém. Mam co innego do powiedzenia ci na odjezdném. Nosisz imię nasze; ono wkłada na ciebie obowiązki. Z twojéj winy własnéj wychowanie twe zaniedbane. Urodzenie wprowadzi cię w świat, wśród którego tak jak jesteś pozostać nie możesz... Potrzeba nad sobą pracować.

— Stryju, rzekł Juraś, podnosząc się: ś. p. ojciec mój nie żądał po mnie, bym wchodził w ten świat, do którego obyczajów już się nie potrafię zastosować. Imienia, które noszę, nie splamię; ale nie wiem, czy obowiązany jestem koniecznie tak je nosić, jak poprzednicy moi, i okupować trochę rozgłosu całkowitém zaparciem się siebie.

— To są deklamacye młodości, odparł hrabia, — ekscentryczne wybryki fantazyi nieokiełzanéj. Życie inaczéj uczy i czego innego wymaga. Nie rzuca się imienia i stanu; trzeba być tém, czem Bóg stworzył.

— Zostawmy to przyszłości, przerwała Marya: Juraś ma dobre serce, to go natchnie...

Lola zarumieniła się.

— Zapewne, jeśli rady nie żąda, musi czekać natchnienia... Życzę mu, żeby je znalazł w sercu...

To mówiąc, zwrócił się i podał rękę Jerzemu.

— Żegnam cię! rzekł zimniéj jeszcze: muszę śpieszyć do pracy; myśl mi przerywają próżne rozmowy, a mam w téj chwili przed sobą coś tak ważnego...

I skłoniwszy głowę, uszedł do pracowni, do któréj już zatęsknił. Jerzy nie wiedział odprawiony co począć z sobą. Zdawało mu się, że powinien zaraz odjechać; ale hrabina usiłowała z Lolą zatrzéć oznakami czułości i serdeczném obejściem wrażenie chłodnego przyjęcia, i Juraś ochłonął, powoli przychodząc do siebie. Rozmowa ożywiła się znów trochę.

Byłby może zaraz odjechał, gdyby nie wejrzenie Loli i urok, pod którym od pierwszego jéj widzenia się uczuł. Siła nieznana trzymała go przykutym: chciał się wyrwać i nie mógł; wstawał, niepokoił się i tęsknota jakaś zwracała go ku niéj od progu. Dziewczę zbliżało się też do niego coraz poufaléj, z uczuciem, które się im tłómaczyło przywiązaniem siostry i brata, choć już w zarodku wcale było inném, acz niemniéj czystém i świętém.

Przypomnieli sobie ów wieczór, kiedy się raz pierwszy spostrzegli; potém Juraś zaczął mówić o przeszłém swém życiu, o swobodnéj po świecie włóczędze, i o zamiarach w przyszłości... Tak zbiegł czas do wieczoru, a hrabinie tak było dobrze z tém dwojgiem dzieci u jéj kolan szczebiocżących po cichu harmonijnemi głosy, że gdy chłopak wstał nareszcie, by wynijść,

tęsko się jéj jakoś zrobiło. Poczuła, że traci istotę, która była do wypełnienia małego jéj kółka potrzebna.

— No, jedziesz więc.... rzekła, całując go w głowę; ale powróć do nas, choć wówczas, gdy cię serce zaboli... drogi mój Jurasiu. Niech cię nie zraża powaga i pozorna surowość mojego męża: on ma wielkie myśli na głowie, życiem naszém pospolitém żyć nie może, ale serce w téj piersi bije poczciwe, choć przez usta nie mówi. Widziałeś przecię co uczynił dla Maksa; sądź go z tego, nie z kilku słów roztargnionych. Człowiek to nie stworzony do miejsca, które zajmuje w społeczeństwie; troska nieustanna pierś mu i czoło zorała. Tu u nas zawsze znajdziesz serca, co cię przytulą z uczuciem.

Lola zapłoniona żywo podała mu rączkę.

— Tak, bracie, dorzuciła: mama, choć ty ją znasz mało, wierz mi, gdy co powie, to Ewangielia. Jéj słowo, to tylko prawda święta! Ona ci obiecuje matkę, ja siostrę w sobie. Bądź co bądź, w boleści, w smutku, w niepewności, szukaj nas, my ci służyć będziemy; rachuj, jeśli nie na siłę, to na serca... Ale pozwól, by ci dała radę i gościniec na drogę — dodała, wahając się i spoglądając na matkę ukradkiem błagającém wejrzeniem:— wszak siostrą twoją jestem, a od siostry przyjąć się coś godzi.

Zdjęła z krosienek Tomasza à Kempis, śliczne, maluteczkie wydanie, i zawstydzona wsunęła mu je w rękę.

— Może to rada dziecinna, ale ja jestem dziecko... mówi mama. Gdy ci bardzo będzie źle i tęskno na świecie, otwórz tę książkę gdzie zechcesz, przeczytaj choćby dwa wiersze, a myśl sobie potém o nich długo, to ci ulgę przyniesie.

Juraś ucałował jéj białą rączkę rozrzewniony przytrzymał ją długo, i rozstali się nareszcie, żegnając się łzawemi oczyma.

Wypadki, którym w przeciągu tak krótkiego czasu uległ Juraś, głębokie na nim uczyniły wrażenie. Przejście ze stanu swobody i włoczęgi w rodzinne koło; życie z góry wyznaczone i pewne jutra; ukazanie się ojca i nagłe zejście jego; poznanie Loli, które wstrząsnęło sercem, jéj matki, stryja, tylu nowych ludzi; szybkie następstwo po sobie dziwnych i bolesnych przygód, — znacznie obcięły skrzydła młodzieńcze. Jechał więc do Horycy smutny i niepewien co pocznie, wlokąc za sobą starego Pawła, z którym często godzinami całemi rozmawiał.

Okolica, w któréj to wszystko z tak dziwnym spełniło się pośpiechem, nie mogła zostać obojętną na tyle razem nagromadzonych wypadków. Ludzie są nowin łakomi, tworzą je sobie w potrzebie: cóż gdy do utkania ich znajdą piękną, gotowiuteńką osnowę?

Dziecię stracone i odzyskane; ojciec, który mu przebacza, przytula do piersi i umiera; koncert z tą sceną zjawienia; półkownikowa i Maks, ich miłość i blizkie śluby: bawiły próżnujących doskonale. W każdym prawie domu tworzyła się z nich powieść nowa, tak rozmaicie pojęta i opowiadana, że zaprawdę zdumiéć się było można bogactwu wyobraźni bezimiennych autorów. Szczególniéj Janko Zbój i jego przeszłość tajemnicza, jak łatwo sobie wyobrazić, budziły niezmierną ciekawość; opowiadano w niedostatku prawdy takie o nim domyślane przygody, od których uszy więdły słuchając.

Młody, piękny, bogaty, z imieniem głośném a dziki i mizantrop, stał się od razu ideałem mnóztwa panien,

wdów i mężatek niepoznanych, które piechotą byłyby poszły o mil kilka, byle go tylko zobaczyć. Trzeba też przyznać, że piękniejszéj legendy o nieznanym młodzieńcu nad tę, którą o nim po cichu sobie opowiadano, trudnoby nawet powieścio-pisarzowi z powołania utworzyć.

Maks, który rzadko kiedy mówił prawdę o sobie i o drugich wypytywany, utworzył pierwszy z historyi Janka coś tak monumentalnego, że z pomocą dodatków ludzi dobréj woli, starających się jeszcze okrasić nieco jego legendę, gotowy z niéj był poemat. Szczęście, którego u nóg pięknéj półkownikowéj kosztował, już będąc z nią zaręczony ogromnym soliterem, dodawać musiało sił jego wyobraźni. Plótł niestworzone baje, codzień swój utwór wydoskonalając.

Maks bowiem był bardzo szczęśliwy. Wprawdzie Amelia po bliższém rozpatrzeniu się w niéj, wydała mu się daleko mniéj świeżą i piękną niżeli pierwszego wieczoru, gdy kibić jéj malująca się na białym szalu, zachwyciła go i oczarowała. W dzień twarzyczka ta nosiła widoczniejsze ślady utrapień przebytych i zawiedzionych nadziei, a szczebiotanie jéj egzaltowane, trzeciego dnia już zaczęło się powtarzać tak nieznośnie, że Maks wiedział prawie, jakim wyrazem i głosem go powita, i co mu na jego słowa odpowie. Ale wielki artysta w istocie nie był wcale stworzony na to czém się być wybierał. Nie mając co lżejszego do roboty, gdy mu los po drodze nasunął ciepłą wdówkę—tamując karyerę wirtuoza wątpliwą, trudną, kłopotliwą, zmuszającą do pracy, bardzo był rad, że się może pozbyć przyszłych laurów dla spokojnego kawałka chleba.

Teraz na łonie nowego szczęścia, wcale już swéj

wiolonczelli, dawnéj przyjaciółki do rąk nie brał, i na usilne tylko prośby bogdanki, czasem ją dobył z pudła, w którém usypiała spokojnie. Że jednak nie było jeszcze po ślubie, musiał się trochę w dawnym okazywać blasku, trochę odegrywać komedyę geniuszu, zostawując na późniéj zupełne z szat przyodzianych rozebranie, umycie i powrot do życia, o jakiém teraz marzył, wcale prozaicznego, obywatelskiego. Biedna półkownikowa ani się domyślała, jak wielką i niepowrotną miała popełnić omyłkę. Postanowienie jéj było tak gwałtowne, tak silne, że się już nie zastanawiała wcale nad jego następstwami. Maks teraz przesiadywał tam dni całe; nareszcie z Robowa od Ottona przeniosłszy się bliżéj Danowa do miasteczka, dla oka tylko najął tam pomieszkanie, do którego ledwie późno w nocy powracał, by nadedniem wyjechać znowu. Oczekiwano tylko indultu, aby połączyć dwoje rozpłomienionych kochanków, których zapały sakrament skutecznie miał ugasić, na normalną praktykę małżeńskiego wprowadzając ich życia.

Rozumie się, że i na ten wypadek sąsiedztwo obojętném okiem spoglądać nie mogło; musiało z tak rzadkiego widoku szczęścia i najczystszéj miłości nieco korzystać w sposób złośliwy i zazdrosny. Zajeżdżano częściéj niż kiedy do dworu półkownikowéj, aby śledzić i badać jak wygląda szczęśliwa, aby trochę jéj szczęściu przeszkodzić, a potém śmiać się z niego i opowiadać, co robi zakochana Amelia, jak chodzi wielki artysta, rozrzewniony potężném w piersi roztlałém uczuciem.

Do bliższych sąsiadów półkownikowéj należeli państwo Żeligowie, Jędrzéj i Anastazya z Porońskich, majętni obywatele, mający wieś jedną ogromną i dru-

giéj połowę, dwór przepyszy i t. d. i t. d., a żyjący otwartym domem i co się zowie okazale.

Pan Jędrzéj był sobie prosty człowiek, gruby, tłusty, rumiany, ze skałką na oku, wesoły, trochę ospowaty, niezarozumiały i mało zarastający, co mu wielką sprawiało przykrość, bo niezmiernie chciał mieć wąsy, a dohodować się nie mógł takich, o jakich śnił i marzył. Była to może jedna z najboleśniejszych prób jakim w życiu uległ pan Jędrzéj. Z obu stron podnoska miał wprawdzie po piętnaście jasnych i twardych jakby sadzonych włosów, ale te sterczały mimo kosmetyku i nigdy estetycznéj formy staropolskiego, sumiastego wąsa przyjąć nie chciały. Rzuciło to na żywot pana Jędrzeja odcień smutku i zawiedzionych nadziei. Skałka na oku, zresztą niebardzo widoczna, nietyle go martwiła, ile ten brak zarostu, nad którym wzdychał, wyrzucając umysłowi ludzkiemu, że dotąd szperając nie mógł wynaleźć środka na zasianie tak pospolitéj jak włos trawy, na polu tak żyzném jako ciało ludzkie.

Zresztą pan Jędrzéj był jednym z najszczęśliwszych prostych sług bożych. A że miał żonę strasznie rozumną, czynną, wychowaną znakomicie i kochał ją z całych sił serca, a służył jéj jak murzyn; że miał majątek piękny, znaczenie w obywatelstwie przez żonę i córkę, o któréi zaraz powiemy: więc gdyby nie te wąsy, zawsze spodziewane a nigdy nie nadchodzące, mógłby się był liczyć do tych, którym na grobie kładą, że żadna chmurka nie zaćmiła laurów ich żywota.

Pan Jędrzéj—zwany przez żonę, gdy była w dobrym humorze, *Jędrusiem*, a gdy mu chciała dać uczuć swe nieukontentowanie, *panem Jędrzejem*,—był najlepszym z ludzi, ale nie miał pretensyi do rozumu, i otwarcie

wyznawał, że gdyby się był tak szczęśliwie nie ożenił, pewnieby go dawno dyabli wzięli.

Wyrażenie może było zbyt energiczne, ale dobitnie malowało sytuacyę.

Całe życie pracując pod zwierzchnictwem i kierunkiem Stasi (bo ją tak czule nazywał) uznojony, spocony, gdy mu w nagrodę trudów dała tłustą rączkę do pocałowania; zasypiał opromieniony swém szczęściem. W domu miał ledwie ciasny pokoik, w salonie bardzo podrzędne miejsce, w konsyliach głos tylko doradczy, ale do wykonania postanowień i rozkazów, za których spełnienie odpowiadał, sam jeden był używany, i tu nie miał współzawodnika.

Owocem małżeństwa, w którém tak skromne, ale piękne zajmował stanowisko szanowny pan Jędrzéj, była jedyna córka, wychowana, jak mówiła poufalszym przyjaciołom sama pani — *grandioso.* Imię jéj było Aneta.

Najprzód musimy uprzedzić czytelnika, żeby sobie nie wyobrażał Anetki młodziusieńką panieneczką, gdyż byli ludzie dobrze umiejący rachować, którzy dowodzili, że dziesięć lat temu miała lat czternaście, co wychodziło na dwadzieścia cztery. Matka jednak nie dawała jéj więcéj nad rok dziewiętnasty, a że matki najlepiéj wiedzą o wieku córek, posądzamy owych rachmistrzów o złośliwość i niechęci w dodawaniu.

Aneta była jedynaczką, i jako taka przewodziła nietylko nad ojcem, o którym mowy być nie może, bo ten przed nią prochy zmiatał, ale nad matką i całym dworem.

Dziwna to zaprawdę rzecz, że Aneta będąc jedynaczką, bogatą, utalentowaną, wcale piękną, bardzo dowcipną i śmiałą, dotąd nie poszła za mąż; ale zbieg okoliczności zawsze każdemu projektowi stawał na

zawadzie! Najprzód matka miała w myśli małżeństwo *grandioso* (był to wyraz jéj ulubiony) i ojciec naturalnie równie sobie tego życzył. Powtóre, Aneta była samowolna i popsuta, drobinkę kapryśna i dziwaczna, co choć dodaje wdzięku, niejednego w końcu odstrasza. Wychowały ją z kolei guwernantki wszystkich narodów, bo żadna dłużéj roku wybyć z nią nie mogła, i wykształciły na niepospolitą istotę. Gdyby tylko serce, jużby jéj zdaje się nic do doskonałości nie brakło. Ale o tém matka natura zapomniała zupełnie.

Aneta wprawdzie ciągle się na nie skarżyła, jak ci, którym odetną nogę, boleją czasem długo na nią, choć jéj już nie mają; ale nie okazywała wcale, żeby je posiadać miała. Za to fantazyą bujną, umysłem pojętnym, i takim świetnym pozorem, taką umiejętnością oczarowania obdarzona była, że wśród grona najwdzięczniejszych dziewic, wszystkich oczy i serca pociągała ku sobie.

Śmielsza też była od rówieśnic, a panowanie domowe nad ojcem i matką, istotna wyższość umysłowa, która jéj pozwala dostrzegać natychmiast ułomności ludzkich, dawały jéj wszędzie pierwszeństwo, dla panny może niezbyt stosowne, ale nie bez pewnego uroku. Rojem za nią chodziła młodzież, którą ona rządziła jak królowa, a choć nikt nie posunął się aż do jéj ręki, mnóztwo kołatała do serca. Anecie było z tém dobrze. A gdy jéj czasem matka szepnęła:

— Anusiu, kochanie, trzebaby już pomyśleć o sobie...

— Jeszcze czas, mamuniu, odpowiadała jéj: ręczę, że wezmę sobie kogo zechcę; tylko to mnie zostaw.

Mamcia tak wierzyła w Anetę, że jéj już w końcu nic mówić nie śmiała.

Gdy opisane wypadki zaszły w sąsiedztwie, a Maks nagle uchwycił zwycięzko za serce półkownikową, wielką przyjaciołkę Anety, i o Janku rozeszły się pstrokate romantyczne wieści, głoszące, między innemi, że czas jakiś w Turcyi przebywał, że był niewolnikiem w Persyi, i że w nim dwadzieścia kilka sułtanek kochało się na zabój, tak, że go aż nad Don konno przeprowadzały, kiedy powracał do domu,—Aneta przypomniawszy sobie, że go widziała na koncercie, rozpłomieniała pragnieniem ogromném, żądzą, niecierpliwością, koniecznością poznania go. Juraś odpowiadał jéj snom, nadziejom i marzeniom. Poznać go bliżéj stało się dla niéj postanowieniem niezmienném, i gdy się dziecku téj szybki z okna zachciało, pierwszy raz może rodzice byli w niezmiernym kłopocie, nie umiejąc jéj dogodzić. Ojciec wotował, żeby wprost pojechać po niego i przywieźć go jak grzyba w koszyku; matka trochę płakała, a Aneta tupała nóżką i powtarzała:—Ja go chcę mieć! ja go mieć muszę!

Może być, że zauważywszy skuteczność postępowania półkownikowéj z Maksem, téjże saméj co ona recepty użyć chciała, ale o tém nie mówiła nikomu. Koniec końców tylko powiedziała sobie, że Janka zobaczyć musi, nie wątpiąc, że gdy on ją, a ona jego zobaczy, reszta sama przyjdzie do skutku. Ten hrabia co konie pasał, kozacza dusza, jak go Maks nazywał, śnił się jéj, prześladował ją, dręczył.

Nie ma niebezpieczniejszych zachceń nad te, które nie z serca, ale z głowy pochodzą. Serce ma wstyd, jest niewiastą, że tak powiem, rozum mężem upartym, i gdy sobie co postanowi, pobuntuje podwładnych.

Nasłuchawszy się dziwów o Janku, Aneta bywająca bardzo często u półkownikowéj, poczęła tak wyraźnie

wydawać się, z żądaniem poznania go, że Maks, który był grzeczny i lubił obiecywać, powiedział w końcu, iż dla niego nic łatwiejszego nad poznanie z blizka tego fenomenu.

— Ja go znam doskonale, rzekł z uśmiechem: sprowadzę tu gdy zechcecie, za to ręczę.

— Nieśmiertelnąbym panu była winna wdzięczność! odpowiedziała rumieniąc się Aneta.

— A! Maks to uczyni dla mnie! dodała, wyciągając mu rączkę do pocałowania, Amelia.

Choć Fermer jak łatwo przyrzekał, tak się też lekko od spełnienia obietnic uwalniał, składając choćby kłamanemi przeszkodami —na ten raz chodziło mu o to, by dowiódł swych blizkich z hrabią stosunków a może też miał i inne jakie rachuby i chciał z nim na nowo poufałą odżywić przyjaźń.

Dosyć, że wysłano szpiegów do Zarubiniec i Robowa, aby wiedzieć o dniu, gdy Juraś wyjedzie do Horycy, i na drodze go złapać.

Maks zasiadł w drodze na przesmyku i przez dwadzieścia cztery godziny palił na ławce cygaro, oczekując na przejeżdżającego, który nie mógł miejsca tego ominąć. Już go to poczynało niecierpliwić, gdy nareszcie ukazał się stary koczyk nieboszczyka Hermana, fura z Pawłem, i powoli przysunęły się pod karczemkę. Fermer, który już był przygotowany, zerwał się i pobiegł ku Jurasiowi z rozciągnionemi rękami.

— Co ja widzę! to ty, przyjacielu!

Trzeba wiedzieć, ze dawniéj z widoczną traktował go wyższością, a teraz przeskoczył nagle w ten ton czułości i serdeczności.

— To ty, po którym dusza moja tęskniła! Jakże się masz? O pożądany! ukochany! drogi! Tylem się na-

słuchał o twoich nieszczęściach! Mój Boże! jakie zmiany! A! mam ci też wymówić, że przedemną, którego znasz serce, nigdyś się nie zwierzył otwarcie.

I począł go ściskać gwałtownie.

Juraś, któremu łatwo było przemówić do serca, ścisnął go za rękę.

— Co tu robisz?

— Przypadkiem zatrzymałem się tu, jadąc do Danowa do półkownikowéj, bo wiesz zapewne, że się z nią żenię. Kobiéta, jakich nie ma, istota z wybranych wybrana. Ale co za szczęście, że cię tu spotykam!

Juraś wysiadł do niego.

— Patrz, widzisz tam, w dolinie, ten domek ocieniony staremi lipami i klony: to moje gniazdo szczęścia zielone, to mój raj!

Nie mówił, że Ewa była trochę ospowata.

— Winszuję ci... rzekł Juraś.

— Niechże mi teraz mówią, że nie ma losów, fatalności, przeznaczeń! Któżby się spodziewał, że tu spotkam miłość, która wybuchnie gwałtownie, tak wielką, tak niepohamowaną, tak cudnie wzajemną, że mnie obleje takiém szczęściem nieziemskiém!..

Juraś poczuwszy, że Maks deklamuje, zmilczał.

— Mój przyjacielu, mój najdroższy przyjacielu! dodał Fermer, ściskając go znowu tak, jak go nigdy wprzód nie ściskał — tyleśmy o tobie z nią mówili, tak ciągle przytomny byłeś sercu mojemu i pamięci! Mogę ci zaręczyć, że ona także poślubiła gorące moje dla ciebie uczucie... i tak pragnie cię poznać!

Juraś widocznie się zmieszał.

— Patrz, wszak to tylko kilkaset kroków... zrób mi tę największą w świecie łaskę, wstąp! Siadaj ze

mną, na chwilkę tylko zajedziemy do niéj. Uszczęśliwisz miłą i śliczną kobietę, nie licząc najlepszego przyjaciela.

Biedny chłopak aż pokraśniał, tak osmuconéj jego duszy nie w porę było to żądanie dziwne, natrętne; ale Maks gdy co raz postonowił, nie miał zwyczaju ustępować.

— Zmiłuj się, rzekł: to, czego wymagasz po mnie, jest niepodobieństwem. Wiesz, jak mi są ciężkie nowe znajomości: nie mogę, nie mogę...

— Na chwilkę, na pół chwili, lub jak stoisz...

— Przypominasz mi sam, żem nie ubrany, a tam jest kobieta...

— Zajedziesz jak do mnie, jestem tam, jak w domu, a uczynisz mi łaskę, dobrodziejstwo! Są ludzie— już muszę ci się przyznać — którzy rzucają potwarz, jakobym ja cię eksploatował, jakobyś mną pogardzał; potrzebuję od ciebie tego w obec świata, jako usprawiedliwienia, oczyszczenia. Oto powód istotny... musisz to dla mnie uczynić, chodzi o dobre imię moje...

Wiedział, że tém Jurasia złapie najprędzej: istotnie, zawahał się, a Maks skorzystał z tego.

— Ja ciebie nie puszczę, musisz wstąpić choć na chwilę, na pięć minut, tyle tylko ile potrzeba, aby dowieść oszczercom ich potwarzy! zawołał.

Nie było w istocie ani potwarzy, ani oszczerców, bo Maks stosunek swój z Jurasiem tak ślicznie malował, że uchodził za wzór bohaterskiego poświęcenia.

— Półkownikowa, anioł dobroci, z nią nie potrzebujesz się żenować. Mogę ją już dziś nazywać żoną moją... rozumiesz mnie. Czekamy tylko na indult, który związek, zawarty przez miłość najczystszą, uświęci...

Juraś się zarumienił; natręctwo przykre mu było, ale nie wiedział już jak się bronić. Maks nalegał, ściskał, błagał, modlił się, i prawie gwałtem wsadził go na swoją bryczkę, zostawując Pawła z końmi przy karczmie, rozkazawszy im popasać.

Nie opamiętał się biedny Juraś, tak nagle konie półkownikowéj ruszyły z nim, i dworek w dolinie wkrótce się ich oczom ukazał.

To zielone szczęścia gniazdko, jak je Maks nazywał, istotnie było bardzo śliczniuchne; może tylko do zbytku ustrojone, zbyt wyświerzone z pretensyą. Furtki i bramy gotyckie obwieszone były bluszczami, krzyże pooplatane cierniem i poobwijane powojem; nad drożynami krzaki róż w jodłowych klombach; kapliczki misterne, altany malowane jaskrawo; sam dwór z szerokim balkonem okrytym winem i pnącemi się roślinami, świadczył o tém usposobieniu czułego serca, które szukało wdzięku i poezyi, aby okazać niemi, że ma ich głębokie w sobie poczucie. Tego wszystkiego może było aż nadto, ale to było śliczne, zielone, wytworne, kwitnące i wonne, wesołe i tęskne razem.

Juraś nieubrany, w czarnéj siermiężce żałobnéj, zapylony cały, porwany nagle, znalazł się w ganku domu półkownikowéj, i powitany został przez trzy osoby, które właśnie pod balkonem zasiadły do herbaty.

Była to najprzód owa pięknéj kibici półkownikowa, daléj otyła pani Stasia matka Anety, i sama Aneta, słuszna, wspaniałéj postawy, szatynka z niebieskiemi oczyma, patrzącemi śmiało, ubrana czarno, poważnie, tajemniczo—do boju!

Była w istocie piękna. Artysta z uczuciem mógł z niéj cudny zrobić wizerunek, takim ogniem i życiem tlała ta twarz o rysach regularnych, pewna siebie,

amazońska, wojownicza a pełna wdzięku. W chwili gdy Juraś wchodził zmieszny i zatrzymywał się w progu ganku, spostrzegłszy większe niż się spodziewał towarzystwo—Aneta siedziała właśnie w kozetce, przybrawszy postawę Kleopatry z jakiegoś obrazu, wdzięcznie układając się, by zachwycić śmiertelnika, i przeglądając się w kryształowéj szybie blizkiego okna, które jéj wizerunek lekkiemi powtarzało zarysy...

Półkownikowa jak zawsze była szczebiotliwa, wdzięczna, uśmiechająca się i płacząca razem, roztkliwiona do głębi. Podeszła kilka kroków powitać Maksa, któremu rączkę z góry z przyciskiem na dłoń rzuciła, potém przewróciła oczka, obracając się do Jurasia, stojącego przed nią ze spuszczoną głową, i wprowadziła go, przedstawiając gościom swoim. Aneta podniosła się, wyprostowała, i nie tracąc czasu, oczy utkwiła w ofierze, którą jéj główka i wyobraźnia wcześnie napiętnowały na zabicie.

Maks tak manewrował, że Jurasia potrafił przy niéj posadzić, i rozmowa poczęła się od preludyjnych ogólników. A że wszystkich oczy i uwagę ciekawe zjawisko zwracało na siebie, że nawet wierna Amelia trochę mu się nadto mile uśmiechała; Maks poczuł jakby zgryzotę w sercu, że wprowadził tego rywala, przy którym mu i odezwać się i na wierzch wypłynąć było trudno.

Aneta, jako biegła w strategii niewieściéj, z razu obserwacyjny tylko korpus wejrzeń wyprawiła na nieprzyjaciela, starając się uczynić siebie jak najgroźniejszą, to jest jak najpowabniejszą. Wiedziała ona dobrze co ma najpiękniejszego w sobie: warkocz włosów olbrzymich, nóżkę maluczką jak dziecinną, rączkę białą i dziwnie czystego kształtu. Więc z kolei pod różnemi

pozorami obracała się ku niemu tyłem głowy, by ze ślicznemi ramiony i szyją razem mu pokazać pukle cudnego włosa; potém poprawując się na siedzeniu, dobyła nóżki z pod fałdów sukni; potém układała strój, spinki, włosy, mantyllę spadającą, tak, aby ręce w całym okazaly się blasku.

Nieszczęściem dla zmieszanego Jurasia, który nie bardzo patrzał i niewiele widział co się około niego działo, większa część tych manewrów zginęła. Potrzeba je było powtarzać.

Matka z uwielbieniem znawcy przypatrywała się uczonym córki manewrom.

Po chwili milczenia, Aneta uznała, że pora już rozpocząć kroki zaczepne, wprost attak przypuszczając na młodego chłopca, i skorzystała z rzuconego przezeń półsłówka. Juraś pierwszy raz dopiero uważniéj spojrzał na nią.

Nigdy jeszcze takiego nie widział dziewczęcia; było to dla niego zjawiskiem nowém. Proste niewiasty, które mu się przed oczyma przemykały, kobiety jak je Bóg stworzył, panienki skromne, bojaźliwe, trwożne, rumieniące się, jak pączki na pół okryte listkami, i choć śmiałe a powstrzymujące w sobie myśli i uczucia, jakże nic a nic niepodobne były do téj pięknéj Judyty! Ta wyglądała cale inaczéj, i nie można powiedzieć, by gorzéj od tamtych: był to kwiat rozkwitły, ale świeży, pełny barwy, choć może bez woni porannéj; świetny, błyszczący, o szerokich liściach, o bujnych gałęziach—rodzaj kamelii, jedném słowem.

Do natury Jurasia i usposobień jego, ten nowy typ kobiety przypadał w pewny sposób pozorem swobody i szczeroty.

Gdy raz pierwszy spotyka się podobną istotę, nowość

uderza, nie mamy czasu wdawać się w rozbiory, osłupiali stajemy w zachwycie.

Juraś mimowoli doznał tego wrażenia. Lola dotknęła jego serca, Aneta zapełniła mu głowę trochę— uznał się nią zaciekawiony.

Ta śmiałość dziewicza, ten hart duszy nielękającéj się ani potwarzy, ani oczu złośliwych, ani tłómaczeń zawistnych; ta potęga wzroku, który czysty być musi, bo się nie cofa przed nikim—podrażniły go, pociągnęły. Aneta też nie udając wcale obojętnéj, przysunęła się ku niemu śmiało, pochyliła poufale, i zaczęła siecią pajęczą wejrzeń, słów i uśmiechów oplatać pełnego wiary i ufności chłopaka.

Trzeba jéj przyznać wielkie zdolności wodza i dyplomaty zarazem, umiejętność rachuby potężną, i dodać w końcu, że tak przytém była piękna, majestatyczna, iż słaby człowiek, na którego rzuciła okiem, nie bardzo mógł się oprzeć urokowi, jaki wywierała.

Pierwsza zwłaszcza reprezentacya téj sztuki, w któréj występowała z takiém powodzeniem, i pierwsze wrażenie, zawsze były dla niéj tryumfem; następne już różnie się wiodły. Jak wszystkie istoty błyszczące i zniewalające nagle, gasła powoli ta gwiazdka, gdy się jéj przypatrywać zaczęto. Naówczas wychodziły na wierzch plamy owego słonka, wiał chłód od niego, i choć cudnie piękna, choć dziwnie urocza, stałego nie budziła przywiązania. Latano za nią, śmiano się z niéj; nikt się w niéj śmiertelnie nie pokochał. Tak przeszło lat dwadzieścia kilka, i potrzeba było myśleć o sobie, a Aneta obrachowała nieźle wcale, że lepszego nic nad Jurasia nie znajdzie.

Jerzy nigdy jeszcze w życiu z podobną nie spotykał się istotą, a był tak młody; pierwsze więc wrażenie

było silne. Oczy te zdawały się mówić tyle! usta w istocie tak wiele mówiły!

Milczący i odpowiadając półsłówkami tylko, z razu nie dał się Juraś wywieść na rozmowę powszechną; smutny, nie miał ochoty się wywnętrzać. Ale czegóż nie dokaże piękna, wesoła i zimna kobieta? Chłód i panowanie nad sobą, trochę doświadczenia nawet bardzo pospolitego i znajomości środków powszednich działania na człowieka, jakichże czasem nie robią cudów! Najbardziéj nawet zużyci ludzie dają się brać na wędkę pospolitym robaczkiem; cóż dopiero tak świeży, tak niedoświadczony człowiek jak Juraś, który ochotnie wierzył we wszystko?

— Bardzośmy już wiele o panu słyszały, odezwała się Aneta po wstępnéj przygrywce: ale byłoby niedyskrecyą go badać; choć doprawdy takeśmy ciekawe... ja przynajmniéj. W naszym czasie, gdy wszystko jest tak wykute z jednego materyału, tak jednostajne, tak przenudnie foremne, życie trochę inne, niepodobne do pospolitych, to zjawisko porywające.

— A! to prawda! porywające! powtórzyła półkownikowa, spoglądając na Maksa, a wdzięcząc się trochę do Jurasia, i wedle obyczaju swego powtarzając ostatnie wyrazy.

— Nic tam w tém życiu nie ma zasługujacego na ciekawość... odpowiedział Juraś: tylko błędy dziecinne.

— Pan myślisz, że go nie znamy, przerwała Aneta; ale choć to niedyskrecya przyznać się, wieleśmy się od pana Maksa dowiedziały, a takeśmy wybadywały!

— A! dużo, dużo o panu mówił nam Maks! po-

wtórzyła echem półkownikowa, i przy téj zręczności podała rękę Maksowi, który ją przyjął niebardzo ochotnie, bo miał za zasadę przy młodszych i piękniejszych niewiastach, swéj przyszłéj, nie okazywać nigdy zbytniéj miłości... na wszelki wypadek.

— Pan długo przebywałeś w Krymie? spytała Aneta.

— O! niedługo wcale!

— Kraj pełen poezyi i malowniczości! dorzuciła półkownikowa, która chciała przekonać, że prowadzi rozmowę, co Anetę widocznie niecierpliwiło, bo pragnęła sama opanować Jurasia na wyłączną swoją własność, i mrugnęła nawet potajemnie na posłuszną matkę, aby starała się gospodynię odwrócić ku sobie. Był to korpus mający zrobić dywersyę.

— Jakże teraz—mówiła daléj Aneta—po tém życiu swobodném, ostrém i hartowném przejdziesz pan jeśli się pytać godzi, do zupełnie nowego?

Komu innemu ta rozmowa od razu tak *in medias res* puszczona, a raczéj w środek serca i duszy, byłaby się bardzo dziwną wydała; Jurasiowi przeciwnie podobała się swą zorponą szczerotą, i ośmieliła go poufałością.

— Nie myślę wcale zmieniać życia, odparł Juraś śmiało: nic mnie do tego nie zmusza; swobodę, ciszę, niezależność kochałem, i nie wyrzeknę się ich dla niczego.

— I znowu się pan zakopiesz?

— Nie wiem; przywykłem iść za popędem i uczuciem potrzeby serca, a któż powie, czego ono dozna i zażąda jutro?

Aneta wzięła te słowa prawie za komplement, ale

uznawszy potrzebę niezrozumienia go od razu, bo to mogło być niestosownem, podniosła oczy, potrząsając główką, i mówiła daléj:

— A! zapewne! najdziwniejsze rzeczy dzieją się z nami: chwila, słowo, wejrzenie, drobny wypadek czasem zmienia losy człowieka...

— I nigdy za jutro zaręczyć nie możemy, dodał Juraś. Jest jednak rzecz pewna tylko, za którą potrzeba mieć siłę ręczyć, to, że się zostanie poczciwym sługą prawdy, którą się raz ujrzało.

— Ależ ta prawda—spytała jak Piłat Aneta—cóż to jest?

— Nie ważę się odpowiedzieć pani, rozśmiał się smutnie Juraś: dla mnie to życie w takiém kole, gdzieby mi nic nie gniotło uczucia, nie więziło myśli, gdzieby żadna forma nie nakazywała mi kłamstwa.

— Ależ to nie ma na świecie takiego życia!

Aneta zamilkła, a oczy jéj mówiły tymczasem.

— Prawdę rzekłszy — odezwała się po chwili—ja także choruję na to pragnienie być zawsze sobą i nigdy nie kłamać, ale kobiecie to jeszcze trudniéj.

Rozmowa tak wysoko nastrojona daléj już wzlecieć nie mogła. Szczęściem półkownikowa, która się do niéj mieszać chciała, oderwała się od pani Anastazyi i wrzuciła w tém miejscu swoje echo:

— Kobiecie (westchnienie) najtrudniéj.

Aneta rozśmiała się ukazując bieluchne ząbki.

Maks tymczasem stał na straży, aby nie dać Jurasiowi uciec, do czego zdawał się mieć ochotę. Podano spóźniony obiad, choć wieczór się już zbliżał; nie było sposobu odmówić. Poszli do stołu, a los, a raczéj dobra rachuba sprawiła, że Juraś znalazł się między gospodynią i Anetą. Aneta znowu tak usiadła

ła, aby wszystkie swe wdzięki dać sąsiadowi ocenić i wzięła go już w niewolę rozmowy, której na chwilę ustać nie dała.

Juraś zdumiony był jéj śmiałością, naiwnością obejściem poufałém i szczerém, które umiejętnie zastosowała do niego.

Z razu instynktowo i niezbyt trafnie posunęła się z rozmową, nie zbadawszy gruntu; ale po kilku godzinach, pochwyciwszy słabą stronę Jurasia, tak doskonale umiała z niéj korzystać, że wstał od stołu niebardzo już śpiesząc się do dalszéj podróży, co było wielkim tryumfem. Twarz Anety była rozjaśniona, usta uśmiechające się: matka z uwielbieniem na nią patrząc, zdawała się z daleka kosztować słodyczy zwycięztwa.

Jakie mianowicie na Jurasiu zrobiła wrażenie Aneta, wypowiedzieć trudno. Z Lolą był nieśmiały, trwożny, poruszony; tu chłodny, wesół prawie, ale pochwycony i upojony jakby po szampańskiém winie. Z głębi jego dobyły się nieznane mu prawie uczucia, a raczéj namiętności, jak silna woń upajając go i durząc. Czémś lepszém była dla niego Aneta, niż dobry, wesoły towarzysz; ale w rodzaju takiego druha, z którym mówiąc, człek się nie rumieni, nie kłopocze, nie wstydа, mówi mu wszystko i od niego spodziewa się wszystko usłyszeć.

Jeżeli powiem, że Juraś, który miał jechać zaraz, pozostał na noc, bo już i konie i Paweł od dawna byli sprowadzeni do dworu, że Aneta z matką dla zbliżającéj się burzy, także skłonić się dały na wieczór pozostać, że resztę dnia spędzano na muzyce, bo Maks chętnie się popisywał przed obcymi,—odmaluję

dostatecznie niebezpieczeństwo, w jakie wpadł Juraś. Wieczór ten był brzemienny w wypadki małéj wagi a wielkich następstw. Najważniejszą w nim epokę stanowiła półgodzinna rozmowa wśród szelestu i gwaru przez Jurasia z Anetą prowadzona, na przechadzce od drzwi szklanych ku wchodowym,—rozmowa, w któréj, jak ona utrzymywała potém przed matką, dusze ich i serca porozumiały się.

Jakkolwiek chłodna, wyrachowana istota przybyła tu z myślą zimną i rachubą, trzeba jéj oddać tę sprawiedliwość, że zadrgało w niej serce którego w sobie nie spodziewała się sama.

Jest coś w szczerym, prostym a pełnym uczucia człowieku, co nawet najzimniejszych rozgrzewa, i budzi jeśli nie miłość dla niego, to podziwienie i szacunek. Szydzić potém mogą gdy ostygną, ale przy płomyku serca rozgrzewają się choć chwilowo, i przeistoczeni magnetycznym wpływem uczucia, doznają tego, czego nigdy nie marzyli doświadczyć.

Tak się stało z Anetą; trochę głową, trochę sercem poczuła wyższość Jurasia, jego idealną stronę, gdy przed nią począł naiwnie odsłaniać swe uczucia, swe myśli trochę podobne do splątanych a bujnych gałęzi dziewiczego lasu, swe marzenia o świecie, ludziach i przyszłości.

Z kobiecą tylko chytrostką, tym przedmiotem słabych, którym Bóg ją dał może umyślnie na obronę przeciw sile, mimo entuzyazmu, jaki w niéj wzbudził, Aneta poczuła, że tego człowieka tak pełnego wiary, tak niedomyślającego się zła, tak pałającego miłością dobra wszelkiego, łatwo będzie wziąć, strojąc się do niego w szatę odświętną.

I stała się inną trochę niż była zwykle: na skórę lwią amazonki narzuciła mgliste obłoki kobiety niepoznanéj i zakochanéj w niebieskich ziemi zjawiskach; wywołała rumieniec na twarz, i nie tracąc śmiałości, dodała jéj za towarzyszki szczerotę dziewiczą, prostotę dziecinną.

Może to było aż nadto zachodu na chłopca, który nie przywykł by stykać się z kobietami wykształconemi i taką obdarzonemi strategią? Juraś też został podbity, niestety! i jedno tylko uczucie wstrzymało go od zupełnego poddania się: pamięć o Loli—jakaś z tém wspomnieniem łącząca się zgryzota... Twarz anielska dzieweczki zjawiała się przed jego oczyma w jasnym obłoczku, smętna i przerażona.

Około północy, po muzyce, która się także przyczyniła do rozmarzenia gości, wszyscy a szczególniéj Juraś i Aneta uczuli się jakby bardzo dawno znajomi, usposobieni do zwierzeń. Maks tylko, którego opanowała półkownikowa, dając mu zawczasu kosztować słodyczy małżeńskiéj niewoli, smutny siedział przy niéj ze spuszczoną głową na kanapie, mając minę raczéj niewolnika, który się nudzi i radby wyrwać się z pęt dźwiganych, niż niecierpliwego kochanka oczekującego jasnéj chwili wesela.

Na nieszczęście, im on był tęskniéj zamyślony i smutniejszy, tem serce półkownikowéj, które się czuło obowiązaném podzielać jego strapienia i boleści, większych dopuszczało się natręctw, w przekonaniu, że ukradkowo narzucane mu pieszczoty, doskonały skutek zrobią.

Pani Anastazya ziewała okrutnie, ale nie chciała przeszkadzać córce, i oglądała salon nie mogąc się

nim nasycić, aby nie być zmuszoną zwracać uwagi na Anetę, która z Jurasiem już dwudziestą odbywała pielgrzymkę od ganku do drzwi sieni.

Rozmowa coraz się ożywiała.

— Doprawdy, dziwna to rzecz — zawołała Aneta patrząc na zegarek, który nielitościwie wybijał dwunastą;—dwie nieznane sobie istoty z dwóch przeciwnych świata krańców, spotykają się przypadkiem, są z sobą chwilę, zbliżają się, poznają, a potém znowu mogą nie spotkać lat kilkadziesiąt, aż w starości, kiedy zupełnie staną się innemi. Ja przynajmniéj—dodała—wspomnienie dnia dzisiejszego poniosę na długo...

Przerwała nagle.

— A jaż, pani? dodał Juraś gorąco: czyżbym mógł zapomnieć tego czarownego wieczoru? Uważałaś pani, że ludzie zawsze wzajemnie są z siebie radzi lub niekontenci?

Spojrzeli sobie w oczy; źrenice Anety pałały, Jurasia zaszły jakąś łzą wędrowną.

— Ale dla czegożby się to tak smutnie kończyć miało? dodał—kiedy nic łatwiejszego niż widzieć się poznawszy?

Aneta w milczeniu znowu zwróciła nań tylko pytające oko.

— Miałażbym i mogłażbym się spodziewać?

— Maks zdaje mi się—rzekł Juraś—niewątpliwie znajdzie port w tych stronach: nieraz go pewnie odwiedzę...

— Wówczas i my się pana u siebie spodziewaćbyśmy mogli? spytała Aneta.

— Dziękuję pani za zaproszenie; będę z niego po chłopsku, po kozacku korzystał, choćbym się miał stać natrętnym.

— Nigdy! szepnęła Aneta cicho. Ojciec mój i matka jak ja będą panu radzi.

Juraś wziął to za dziewiczą prostotę i grzeczność, skłonił się wzruszony i zamilkł.

— Ale po co to pan jedziesz zakopać się w tém Polesiu? dorzuciła: tam musi być tak smutno!

— Muszę spróbować tego życia, w którém jest wiele swobody.

— Mnie się zdaje, że człowiek z charakterem wszędzie ją sobie zdobyć może: tylko uginający się łatwo są niewolnikami wszędzie.

— Ale tam potrzeba walczyć: tu można być panem...

— Nietrzeba walki nawet, bo ludzie czują charakter w człowieku i muszą go uszanować, a sami w bój znowu nie rzucają się tak łatwo.

Pani matka ziewnęła, widocznie przedłużoną rozmowę czas było skończyć i pożegnać gospodynię. Maks szczególniéj wzrastającą czułością przyszłéj żony przelękły, zdawał się coraz niespokojniéj wyglądać chwili odejścia.

Nadeszła wreszcie. Juraś pożegnał panią domu, chcąc do dnia odjechać w dalszą drogę; Aneta podała mu rękę namagnetyzowaną pragnieniem, aby go nazad ku niéj ściągnęła. Istotnie dotknięcie téj dłoni malutkiéj, w któréj chłodzie i jedwabnéj gładkości było coś tajemniczo pociągającego, lekkie ściśnięcie drobnych paluszków, przejęły Jurasia dreszczem. Któż wie czy i Aneta silną dłoń swojego bohatera ścisnąwszy, nie doznała niespodzianego wrażenia?

Juraś z Maksem poszli do oficyn, gdzie im przygotowano posłanie, i długo jeszcze gwarzyli z sobą. Artysta potrzebował się wylać przed przyjacielem —

z kłamstwem tylko, niestety! bo prawdy nie mógł i nie śmiał mu powiedzieć. Nie kochał wcale półkownikowéj, ale rozpieszczony i zepsuty, szedł udając miłość, która go dławiła, dla powszedniego kawałka chleba, dla dostatku, który mu się uśmiechał, dla próżniactwa, które mu pachniało. Muzyka, którą uprawiał tylko dla tego, że z nią było mu dobrze na świecie, choć wcale nie miał zamiłowania, także się ubocznie przyczyniła do rzucenia go w te pęta; mógł się jéj bowiem raz na zawsze pozbyć w ten sposób.

Inaczéj wszakże i z właściwą sobie umiejętnością te rzeczy Jurasiowi wystawiał.

Wsparty na ręku, z dłonią w obfitych puklach włosów, zamyślony, począł od wybuchu westchnień.

— Otóż i zamknięta karyera! zawiązana przyszłość! zawołał tragicznie: marzenia moje sławy zabite może na zawsze! Trzeba było, bym ją ujrzał, pokochał, bym w niéj wzbudził to uczucie gwałtowne niechcący, mimowoli... uczucie, które na mnie wkłada święte obowiązki... Dzisiaj niewolnik, zmuszony jestem rdzewieć na wsi, drogi Jurasiu... zmuszony gnuśnieć wśród dostatku i pędzić dni wśród nudy.

— Ale ją kochasz? rzekł Juraś.

— Tak! kocham ją, i godna jest tego ta dusza niepoznana, to serce czułe aż do drażliwości, trwożliwe i czyste; ale obok niéj równą prawie miłością kocham sztukę!!!

— Któż ci ją broni uprawiać?

— Może samo szczęście, którego doznaję, denerwuje mnie i osłabia; a to zakopanie się na wsi...

— Będziesz miał łatwość podróży.

— Nie wiem czemu... póki dusza bolała — rzekł Maks siląc się na sentymenta — i muzyka z niéj jak

krew lała się strumieniem; dziś źródło wyschło, nie czuję w sobie zapału, cały jestém w mojéj miłości.

Tu Maks ziewnął mimowolnie, a że świece kończyły się i Juraś zadumany mało mu odpowiadał, potrzeba było prozaiczném „dobranoc" skończyć te wykrzykniki boleści, utworzonéj tylko aby się z nią jakoś piękniéj pokazać.

Po odjeździe Jurasia do Zarubiniec, wszystko powróciło do dawnego trybu; w sercu tylko Loli pozostało coś, czego w niém przedtém nie było: niepokój jakiś i tęsknota,—a w rozmowach z matką nieustannie powracała do Jurasia, co nawet hrabinę w końcu uderzyło. Miała jednak tyle taktu nieboga, że okazywała, iż tego nie postrzegła, a mówiąc z córką, usiłowała rozmowę zwracać na inne przedmioty.

Tak upłynęło dni kilka, gdy raz przebiegając myślą przeszłe sceny, hrabina porwała się nagle z krzesła, jakby coś sobie przypomniała, pochwyciła za głowę, i silnie dzwonić zaczęła, żądając, aby jéj natychmiast zawołano Żółtowskiego.

Pobiegł chłopak po rządcę do ogrodu, a hrabina zaczęła się niespokojnie przechadzać po swoim pokoju. Twarz jéj wydawała jakiś strach i pomieszanie, zaglądała ciągle ku drzwiom, to przez okna; a gdy się ukazał wreszcie stary, podbiegła ku niemu blada, palec kładąc na ustach.

— Żółtosiu kochany! tyś człowiek dobréj rady: ratuj mnie! Nie uwierzysz, nie pojmujesz, co ta biedna głowa moja od chwili dźwiga na sobie... Radź mi, dopomóż, co ja mam robić!

— Cóż się to stało? czy wierzyciel który...?

— Ale nie! nie! odparła hrabina.

— Słucham, słucham...

— Nic się nie stało, a jednak to rzecz okropna!

Żółtowski na wiarę wyrazów ręce załamał, i siwe swe zaczerwienione oczka wlepił z trwogą w hrabinę.

— Ale cóż? ale cóż? proszę pani...

— Przypominasz sobie, gdy nieboszczyk Herman przybył tu przedostatnim razem?

— A! jakżeby nie!

— Nie mówił ci z czém przyjechał?

— No, odwiedzić! krótko rzekł Żółtowski niespokojny.

— A! miał on i inny powód. Nic jeszcze naówczas nie wiedział o synu, uczucie ojcowskie dla niego nie rozbudziło się w nim jeszcze... powtarzał ciągle że nie ma dziecka.

— No! tak! ale późniéj wszystko to Pan Bóg szczęśliwie przemienił...

— A! ty nic nie wiesz... to rzecz okropna!

Żółtowski czekał, ocierając pot z czoła.

— On wówczas zrobił testament jakiś, dodała hrabina po cichu: i złożył go w moje ręce...

— Kiedy?

— Za pierwszą bytnością jeszcze.

— I nie odebrał go potém?

— Nie! wszyscy zapomnieliśmy o nim!

Żółtowski począł żywo trząść głową.

— Testament! jest testament!

— Złożony u mnie, powiadam ci! u mnie!

I pobiegłszy do szkatułki, hrabina wyjęła z niéj papier obwarowany pieczęciami.

Żółtowski osłupiały, ręce i głowę opuścił w rozpaczy.

— Kto wie co on tam myślał wówczas, dokończyła hrabina: niepodobna odgadnąć. Naówczas dziecka swojego nie znał jeszcze, wyrzekał się go jak niewdzięcznika... mógł je wydziedziczyć!!

Zamilkła, stary powtórzył tylko ponuro:

— Prawda, jest to rzecz wielkiéj wagi...

— Ale co ja mam począć?

— Doprawdy... nie wiem.

— Uważałeś, że umierający ciągle się niepokoił i obracał ku mnie; dawał mi jakieś znaki oczyma, których nie mogliśmy zrozumieć... Dziś pewna jestem; najpewniejsza, że chciał, by mu to pismo zwróciła, ale mnie Pan Bóg zaślepił, żem wówczas nie domyśliła się o co mu chodzi. A! mogę być przyczyną wielkiego nieszczęścia!..

— Ale niechże się hrabina nie trwoży tak bardzo, rzekł Żółtowski, którego twarz mimo wyrazów uspokajających, największe wydawała przerażenie. To nic nie pomoże, trzeba się tylko rozmyślić.

— Jedno z dwojga, przerwała Marya: należy albo go złożyć, lub nie czytając spalić!

— A! niechże Bóg broni! to i prawu i zwyczajom się sprzeciwia: tego zrobić nie można. Zapewne u niego w papierach pozostał ślad téj ostatniéj woli, mógłby o to być proces kryminalny! Któż wie zresztą co on tam napisał?... W żadnym razie ukryć niepodobna.

— A jeśli testament jest na szkodę Jurasia?

— Jedno z dwojga: w takim razie komużby zapisał majątek, jeśli nie wam?

Tu Żółtowski gwałtownie ruszył ramionami i uciął.

— A mój mąż, żywo dokończyła kobieta: najzacniejszy z ludzi, znasz jego serce, ale może mieć tyle powodów, swój sposób pojmowania, pewne przekonania... ja nie wiem, przewidzieć trudno... On widocznie Jurasia nie lubi... ty mnie rozumiesz...

Żółtowski nic nie mówiąc, coraz niżéj spuszczał głowę.

— Bądź co bądź—rzekł —w żadnym razie taić tego nie można.

— A jeżeli...?

Spojrzeli sobie w oczy.

— Niech się dzieje wola boża. Któż wie, zresztą?...

Marya żywo wsunęła papier do szkatułki i usiadła ze łzami w oczach, zadumana.

— Wiesz co? rzekła: zapominałam dotąd; mogę powiedzieć, że nie pamiętam. Bóg mi to kłamstwo przebaczy. Obawiam się krzywdy tego dziecięcia. Jedź i pogadaj z prawnikami.

— Już to, tak dalece nie ma potrzeby, odezwał się Żółtowski. Rzecz jasna: nic nie pozostaje, tylko złożyć testament; to obowiązek.

Hrabina rozpłakała się i zakryła oczy.

— A! mój Boże, i mieć potém na sumieniu krzywdę ludzką!... Bo któż wie? któż wie?... A wszystko to z mojéj winy!

— Kto tam wie co on napisał! rzekł Żółtowski, choć sam skłopotany.

— Był zażalony, znękany; powtarzał mi, że nie ma dziecięcia: mógł go wydziedziczyć...

Na tę przykrą naradę wbiegła wesoła Lola; ale postrzegłszy matkę pomieszaną, Żółtowskiego zgryzionego, oboje nagle zamilkłych i pobladłych, natych-

miast wymknęła się pod jakimś pozorem, niespokojném okiem rzuciwszy tylko na matkę.

Żółtowski myślał długo, wzdychał, kręcił się, nareszcie po wahaniu przystąpił bliżéj i rzekł:

— Co obowiązek, to obowiązek... nie ma nikt prawa odrabiać co los zrobił. Bóg to zrządził w ten sposóo jak Mu się podobało! Trzeba o testamencie oznajmić hrabiemu i złożyć go w urzędzie, a zarazem posłać do Jerzego, jemu o tém dając wiedzieć... To droga jedyna! Nie ma sposobu, nie ma sposobu...

Marya wciąż płakała, tuląc twarz w chustce i modląc się po cichu. Tak ją po chwili jeszcze przybiegłszy zastała Lola, usiłując uśmiechem, szczebiotaniem i pieszczotami pocieszyć, co jéj trudniéj przyszło niż kiedy, bo powodu tego bolu dowiedzieć się od matki nie mogła.

— Módlmy się, moje dziecko, odezwała się nareszcie całując ją w czoło hrabina: módlmy się, aby Bóg łaskaw serce twéj matki od wielkiego uwolnił ciężaru, aby biedną sierotę od przykrego losu zasłonił, aby tchnął w serca ludzkie sprawiedliwości uczucie.

— Ale cóż nam grozi? co się stało, kochana mamciu? przerwała Lola...

— Nic, nic jeszcze... dowiesz się o tem późniéj... a teraz obie Boga prośmy, abyśmy nie płakały całe życie jak w téj chwili płaczemy.

Hrabina, jak widzimy, nie śmiejąc się przyznać do tego, nie ufała mężowi; obawiała się trochę nieubłaganego uporu, a może wrażenia, jakie na nim uczynić mogły miliony nieboszczyka. Zdało jéj się, że cała wina przyszłości na jéj zapomnieniu ciężyć będzie.

Ponowiła się jeszcze narada z Żółtowskim, który niedowierzając sobie, pojechał do miasteczka, i niewyraźnemi słowy, ostrożnie, nie dając się domyślić o co chodzi, dopytywał się prawników, jak w danym razie potrzeba było postąpić? Jednomyślnie wszyscy bez wahania uznali konieczność złożenia testamentu, którego nikt utaić nie miał prawa. Nie można było wiedzieć zresztą co on w sobie zawiera, bo nieboszczyk nikomu się z tém nie zwierzał.

Z wiadomością tą gdy Żółtowski pośpieszył do hrabiny, a ona biedna znowu wymodliła się i wypłakała, zeszła wreszcie na dół powoli, i z rezygnacyą najprzód musiała swój błąd i dotychczasowe zapomnienie wyznać przed mężem. Żadnego nań nie mając wpływu, choć daleko sercem i umysłem wyższa od niego, musiała w razach potrzeby uciekać się prawie do fałszu, by dla niego co pożytecznego zrobić; w innych wypadkach ulegała najszkodliwszym jego zachceniom, bo przemódz ich nie było podobna.

Rzadko się bardzo trafiało, by hrabina schodziła na dół do pracowni męża. Zawsze było to oznaką jakiegoś niezwykłego wypadku, a obudzało jego nieukontentowanie: bo choć mu nikt nie ośmielał się przeszkadzać, i gdyby się dom palił, wchodzić do niego nie śmiano—jeśli raz w pół roku trafiło się, że go ktoś oderwał od fantastycznych marzeń, gniewał się jakby szło o życie. Ten gniew należał do oznak powagi i attrybutów geniuszu, wedle pojęć hrabiego.

Zapukawszy, wprzódy, nieśmiało bardzo, z bijącém sercem, odebrawszy nierychło odpowiedź mrukliwą dozwalającą wnijścia, Marya stanęła przed swoim panem ze smutną, pokorną miną winowajcy.

— Cóż to się stało, że mnie tu odwiedzasz? zapytał hrabia zdumiony: czy istotnie jest co tak ważnego?

— Rzecz największéj wagi: posłuchaj mnie chwilę.

— Domyślam się: pewnieście znowu z Żółtowskim jakiego na mnie wymyślili stracha... Dosyć, żeście się uwzięli, aby mi nigdy nie dać pokoju!

— Jeżeli tak jesteś zajęty...

— Ale już teraz tok myśli przerwany, nie jestem zajęty; rzecz skończona. Mów, a prędko; pewnie jakieś dzieciństwo.

Hrabia poruszał ramionami z uśmiechem, jakby był pewien swego, i zamilkł z uczuciem wyższości, która litościwie raczy pobłażać daleko od siebie niższéj istocie.

— Mój drogi Rajmundzie, tylko nie gniewaj się na mnie...

— Ale bez tych przedmów, chciałbym już wiedzieć o co idzie.

— W tych czasach, odezwała się spuszczając oczy hrabina: tak byłam strapiona, przygnębiona, nieprzytomna, że mimowoli wielki błąd popełniłam.

— No, spowiadajże się proszę: ja czekam!

To „Ja czekam" mówione było zupełnie w rodzaju Ludwikowskiego: „O mało nie czekałem." (1)

— Gdy pierwszym razem przyjechał do nas Herman...

— Herman? a tak! cóż daléj!

— Nie mówiłam ci nic, bo mi nie pozwolił o tém wspominać; ale żądał odemnie, abym przyjęła do schowania jego testament...

(1) J'ai failli d'attendre!

Spojrzała mu w oczy hrabina i zaczęła drżeć, spodziewając się wybuchu. Rajmund poruszył się bardzo.

— Testament! zrobił więc testament!

— Naówczas jeszcze o synu nie wiedział, był na niego mocno zagniewany...

— A teraz nie odebrał ci tego testamentu? zapytał żywo hrabia.

— Właśnie, wina w tém moja: żem jego wejrzeń i rozpaczliwych ruchów, gdy umierał, zrozumieć nie mogła; żem nie spytała go, czy chce, by się to spełniło. Zdaje się, że pragnął, widocznie domagał się odemnie zwrotu; alem ja tego naówczas nie umiała się domyślić, wszystko to za późno mi się przypomniało.

— I nie zwróciłaś go? tupiąc nogą o podłogę powtórzył hrabia.

— Jest dotąd u mnie.

— Jest dotąd! a ty mi nic nie mówisz!

— Wszakże dopiero teraz przypomniałam to sobie!

Hrabina spuściła oczy; hrabia Rajmund poruszył się gwałtownie.

— Otoż to sprawa z kobietami! krzyknął stukając ręką o jakąś machinę. Rzeczy największéj wagi! los familii! Ale gdzież rozum, gdzie zastanowienie! Moja pani! to niepojęta rzecz, zapomnieć o testamencie!

— Mój drogi, nie gniewajże się: nic się przecię nie stało.

— Owszem! skutki mogły, mogą być okropne! Zatajenie! posądzenie nas o nieuczciwe skrycie woli zmarłego, który w naszym domu życie skończył! Zresztą, któż wie? skutki mogą być nieobrachowane... Gdzież jest ten testament?

— Sami go przecię otwierać nie mamy prawa.

— Ale go natychmiast potrzeba odesłać do sądu...

Wołać Żółtowskiego! zakrzyczał hrabia poruszony niezmiernie, tracąc zwykłą sobie powagę.

Malczak, który podsłuchiwał, powrócił żywo do warsztatu, posłyszawszy dzwonek; a z drugiéj strony wbiegł służący, którego natychmiast posłano po rządzcę.

Złym dla hrabiny znakiem był już niepokój hrabiego i kilka słów, które mu się wymknęły nieznacznie; widoczna bowiem rzecz była, że się domyślał, iż ostatnia wola zmarłego na korzyść ich wypaść może i wcale zrzekać się jéj nie miał ochoty.

Przeczucie jakieś i niepokój tak nim owładły, że rzucił swe zwykłe zajęcia, sam zaraz porozpisywał listy do sędziego i urzędników, rozdysponował konie, chodził nie mogąc w miejscu usiedzieć.

Nazajutrz przybiegł wezwany pan sędzia Korokotowicz-Mejszagolski (tak się bowiem nazywał, a czasem dopisywał i dwa imiona, i herb Wilcze-Zęby do niekrótkiego i tak nazwiska, które bywało powodem omyłek, bo go dwojako mianowano). Sędzia, maluteczki człowiek, zwinny, brudnawéj powierzchowności, w wyszarzanym wice-mundurze, z podtartą do góry czupryną, z mową żywą, niezrozumiałą i plączącą się co chwila, uniżony, pokorny, a w potrzebie bardzo usłużny, był dosyć lubiony od powiatu, choć niktby był za niego nie dał i trzech groszy.

Służył wszystkim bez wyboru, którzy mieli czém odsłużyć i użyteczni mu być mogli; przeciwnie dla tłumu bez mienia, imienia, stosunków i siły, był ostry, szorstki i szyderski. Trzebaż się na kimś odegrać. Było to jedno z tych narzędzi posłusznych, którego każdy używa wedle swéj myśli, a potem usuwa, aby rąk sobie nie walać.

Korokotowicz wezwany, wiedząc, że hrabia zawsze

przez dumę za podróże przedsiębrane dobrze się wywdzięcza, stawił się raniuteńko najętą furką, i wysiadł u Żółtowskiego, gdzie herbaty z rumem się napiwszy, a potém zjadłszy śniadanie skropione parą kieliszków, których droga odbyta dla pokrzepienia, wymagała, o godzinie dziesiątéj zaproszony został do pana hrabiego.

Rzecz już była wiadoma.

Hrabia Rajmund przyjął sędziego w swoim pokoju. Ten przybywszy, pocałował go w ramię, ukłonił mu się dziesięć razy, i siadłszy na rożku kanapy, chustką ocierając czoło, uznał, że co tylko mówi jw. hrabia, jest niezmiernie słuszne, niesłychanie trafne, i nie mógł wydziwić się nadzwyczajnéj przenikliwości umysłu pańskiego. Złożony na ręce swe testament, przyjął Korokotowicz w troskliwą opiekę, obiecując zaraz nazajutrz zawiadomić o otwarciu, które w urzędzie nastąpić miało.

Przy téj zręczności pan Korokotowicz-Mejszagolski nie omieszkał wiele ciekawych rzeczy opowiedzieć hrabiemu jak horodniczy postąpił sobie z pewnym kupcem, o czem już poszło sekretne doniesienie do gubernatora; jak wielkie było podejrzenie, że podsędek szpakowatego konia nie kupił, chociaż go z jarmarku przyprowadził; jak plotki chodziły o aptekarzu, że kocha się w córce doktora, który ją znowu chciał wydać za urzędnika eleganta do osobnych poruczeń. Hrabia tego wszystkiego nie słuchał, ale nim podano drugie śniadanie, musiał gościa bawić, a ten wywdzięczał mu się jak umiał, tém co go najbliżéj obchodziło.

Obszerniéj nieco a ciszéj rozwiódł się Korokotowicz nad podaną prośbą osobistą przeciwko pani sędzinie, przez pana marszałka, w rzeczy należnego jéj długu,

z czego miała wypaść bardzo zabawna rezolucya, a później ekstra-fein decyzya rządu grbernialnego, którą sobie jak przysmaczek podawano.

Szczęściem wśród rezolucyi nadeszła taca ze śniadaniem, która trochę te wynurzenia się, już polityki mocarstw dotykające, przerwała... Sędzia w niedostatku innych wiadomostek, dopuszał się téj niedyskrecyi, że szeptał na ucho hrabiemu, jakoby pewną miał wiadomość, iż względem poddanych pruskich były podejrzenia o fałszowanie monety, co dopiero nastało gdy Prussy zbliżyły się do Anglii, która ich za pośredników użyła do rujnowania kontynentalnych finansów za pomocą fałszywych bankocetli.

Gadatliwy sędzia byłby nawet coś ciekawego o swym naczelniku gubernii i jego pessyi do grania w kręgle powiedział, mimo to, że nie wypił nad parę małych kieliszków; ale czasu zabrakło, hrabia go pożegnał sam, i wyprawił, prosząc o jak najrychlejsze oznajmienie, gdy testament otwarty zostanie.

Hrabina tymczasem z dala pożegnała odjeżdżającego sędziego z papierem, który może przyszłość rodziny całéj w sobie zawierał. Zdaje się, że i Rajmund niemniéj się interesował tém, co on w sobie zawierał, domyślając się, że wedle wszelkiego podobieństwa, ogromne dobra i w pocie czoła uzbierane kapitały przeniesie na Zarubińce, nowego blasku dodając jego domowi, a co lepsza, dostarczając mu środków do zamawiania nowych machin i modelów w Paryżu lub Londynie, zaprowadzenia fabryki na większą i poważniejszą skalę...

W tropy za sędzią pojechał zaraz Żółtowski z poleceniem, aby natychmiast przynosił kopię żądanego papieru.

Tymczasem Juraś jechał daléj, opuściwszy dom półkownikowéj, ku Horycy, z zapłakanym starym Pawłem, który albo milczał zgnębiony albo szlochał i narzekał na to nieszczęście, iż Bóg go skazał, by pana i wychowańca przeżył. Potrzeba było przez litość nad nim pielęgnować go jak dziecię, gdyż widocznie życia mu już niewiele zostawało...

Wszyscy zresztą zarówno starzy domownicy Hermana uderzeni zostali tą wieścią piorunową o śmierci pana, z którym dziwny i na pozór wcale nie serdeczny łączył ich stosunek, ale w istocie z niego jednak wyrobiło się trwałe przywiązanie, nałóg, potrzeba...

Starca tego dziwaka i sknery wszystkim brakło do życia; czuli oni, że bez niego żyć im będzie trudno. I Lacyna, i Radwanowicz, i pomniejsi oficyaliści we dworze, nie wiedzieli co się z nimi stanie, jak się bez niego obejdą. Horyca bardzo osmutniała, schodząc się do izdebki Radwanowicz, Lacyna, klucznica, ekonom, wirtuoz, wzdychali i popłakiwali, nie domyślając sie, w jakie przejdą ręce, i gdzie ich nadal losy rozpędzą. Wszyscy oni zależeli od tego kogoś, który miał w Horycy panować. Razem prawie z wieścią o śmierci hrabiego nadeszła niespodzianie i druga o znalezieniu syna i dziedzica, o pojednaniu jego z hrabią, o blizkiém do domu przybyciu.

Duch nieco wstąpił w domowników, choć różnie wnosili, jakim być może ten chłopak, który uciekł od ojca, tyle się czasu po świecie wałęsał i pewnie w biedzie i nędzy wydobrzeć nie mógł?

— A już to, mospanie, *expresse* powiadam, wnioskował Lacyna, który wąsa podkręcał, czuba zacierał, ale tylko z nałogu, bo mu nawet panna Petronella

z głowy wyleciała,—powiadam, że z młodymi niebezpieczna dla nas sprawa: młody szuka młodego.

— *Similis simili gaudet*, przerwał Radwanowicz, który nawet w smutku nie przestawał bredzić *Gaudeamus igitur*, czyli „Oda do młodości“ zkąd mówi się przenośnie: szalona pałka, ale nie Herkulesa.,. co dusił węże w kolebce; za tém idzie, że czego się skorupka napije... Mięczaki, skorupiaki i t. d. Waćpan jesteś mięczak czy skorupiak? spytał nagle Lacyny.

— Ja wpana nigdy zrozumieć nie mogę, co wpan pleciesz?

— Pleciesz! *associato idearum;* wpan tego nie możesz zrozumieć, odparł Radwanowicz. Zkąd?? ztąd, że *ideae innatae*, wszystkie siostry rodzone, trzymają się za ręce.

— Tfu! rzekł Lacyna: groch z kapustą...

— Bardzo dobrze, odpowiedział Radwanowicz: kapusta, a czemu nie ogórki? Ogórki, jak pisze Pliniusz, do tego stopnia lubił cesarz Tyberyusz, że mu je wożąc w taczkach po słońcu przez cały rok hodowano, aby je miał zawsze. Zkąd widać, że sztuka kwaszenia ogórków nie była jeszcze wynaleziona i jest późniejsza od ery naszéj.

— Ale co mają ogórki do naszego nieszczęścia? przerwał gniewnie Lacyna; tu o nas chodzi!

— Tak, i to, dodał Radwanowicz: że jeśli nas przyszły pan tak będzie lubił jak Tyberyusz ogórki, to oczywiście będą nas wozili po słońcu...

— Ale ba! i zje nas jak ogórki!

— Nie zje, gdyż nie jesteśmy jadalni, ani ja, ani wpan, panie Lacyna; raczéj sami mięsożerni i wódkopoje....

— A któż wódkę pije! tfu! zakrzyknął oburzając się Lacyna.

— A! nie ja! odparł Radwanowicz: ale nas tu jest kilku.

— To znowu do mnie, z tą głupią potwarzą!... rzekł Regentowicz.

— Potwarz, po łacinie *calumnia*, roślina, która się krzewi na bujnych gruntach, *species* łobody i pokrzywy, a żywi się nią nierogacizna i...

— Znowu plecie! przerwał Lacyna: dosyć, że z tobą nawet o tém co nas wszystkich boli, pogadać nie można... nawet o téj naszéj biedzie.

— O biedzie, czemuż nie. Bieda, *miseria*, nędza, prawie synonimy; biedą także zowie się *vehiculum* o dwóch kołach; dalejże co? mogę i więcéj o niéj ze starożytnych powiedzieć.

— Bóg wie co będzie z nami! Przyjedzie, gotów powypędzać! rzekł Lacyna zadumany.

— Nigdy w świecie, odparł chłodno Radwanowicz, który nie tracił nadziei do ostatka. Młody potrzebuje pomocy, z razu nie pozbywa się nikogo; dopiero gdy cnoty nasze wyjdą na jaśnię i okaże się, że Regentowicz Lacyna umie tylko koperczaki stroić, a Radwanowicz bredzić trzy po trzy, to jest ni w pięć ni w dziewięć, naówczas... Ale zkąd pochodzi wyraz koperczaki? wiesz asindziéj? nie od kopru zdaje się, nie! ja nie wiem. Wpan to powinieneś wiedzieć *intuitive*?

— A! nie ma naszego starego! zawołał Lacyna: poczciwy to był człowiek! O mój Boże! cenić go nie umieliśmy!

— Ale ba! mówże jegomość w liczbie pojedynczéj. Ja nie lamentuję, ale wiem co straciłem: erudyt był pierwszego rzędu, *primae classis*, i żeby z nim człowiek jak bałamucił, jak kręcił i skakał od idei do

idei, on go zawsze dogonił, za kark i do kozy. Dla tego on jeden mógł się poznać na Radwanowiczu, a Radwanowicz na nim. Radwan, czyli *vexillum*, zkąd *vexillifer* chorąży; daléj co idzie, panie Lacyna?

— A dyabliż wiedzą co u ciebie idzie! U ludzi po ludzku, można się połapać, ale co z tobą!

— *Homo sum, humani nihil a me alienum puto*, mówi sławny dramatyk rzymski. Rrzym, *Roma aeterna*, zkąd zaraz niedaleka *Campania*; zkąd jeszcze państwo wschodnie i państwo zachodnie, barbarzyńcy i Longobardowie; a wpan co na to?

— Wpan sam jesteś barbarzyńcą i tym, jak się zowie? Longobardem.

— E! e! dobrze to szaleć za młodu, odparł Radwanowicz wzdychając; ale nie sam. Ztąd szał! Wiadomo bowiem, że Pythonissa szalała, a szał jéj był święty... bo dym jéj szedł w pięty.

— Panie Radwanowicz! krzyknął Lacyna wściekając się z gniewu: dajże wpan pokój! Czy już nie przestaniesz!

— A! kto staje i odwraca się, ten się w słup soli obraca: zkąd zaraz przychodzą Lot, Sodoma i Gomora, czyli Komora, powiada Dębołęcki; wieża Babel czyli Bąbel na ziemi wyrosły, jak świadczy tenże etymologista. Wpan nie jesteś etymologiem, panie Lacyna, to może entomologiem, lub...

Lacyna dochodził do rozpaczy, a szanowny Radwanowicz choć szczerze żałosny, nie mógł wytrzymać, by z niego sobie nie żartował i nie bredził.

— A! Pawła poczciwego nawet nie ma! Co się tam z tym nieborakiem stało?

— Co tego to mi żal—odparł Radwanowicz—*ex re* szczególniéj tabaki i poczciwości, niewodów na ryby

i przywiązania do starego. Ot ten nie wiem czy go przeżyje.

— Mówię, że go ledwie od trumny oderwali—rzekł Lacyna.

— Rozumiem to bardzo; cóż mu teraz życie? Jak powiada Salomon, który wcale nie był głupi: *vita brevis*, kiedy umrzesz nigdy nie wiesz. To nawet zarywa na wiersz, panie Lacyno?

— Professorze! krzyknął Regentowicz.

— A juści-ć jeśli i teraz powiesz, że ja bredzę...

— Po cóż Salomon?

— Ja tylko Wpanu życzę ćwierć tego rozumu, jaki on miał na powszedni dzień, cóż dopiero na święta! Pewnieby cię ta Petronellka tak za nos nie wodziła, bobyś wiedział co *mulier* i sztuczki niewieście...

— Jest znowu!

— No, to milczę—rzekł Radwanowicz i westchnął.

— Czego mi żal—dodał po chwili—to biblioteki; kto jéj teraz użyje jak ja i on? chyba molé. Tak jest, *mól* to *ultima linea rerum*, zkąd mówią, że każdy ma swojego, co go gryzie. Mysz także... to są *bibliofagi*. A no, tak! nie ma nic na świecie, panie Lacyno, tylko mól, ból, i co trzeciego? zgadniéj?

— Albo ja tam wiem!

— A no, to i ja nie wiem także! odparł professor. Jesteśmy w zgodzie, i możemy gadać o czém innem.

— Wystaw sobie asindziéj, chłopiec wychowany przez naturę—rzekł Lacyna zamyślony,—to coś osobliwego.

— Ba! trzebaby tylko wiedzieć przez którą?

— Albo ich jest dwie?

— Najmniéj! Jeżeli go chodowała *natura naturans*, to bardzo dobrze; ale jeżeli *natura naturata*?

— Oszalał! mruczał Lacyna.

— Wpan nie czytałeś Podolanki? zapytał professor.

— Nie.

— No, to jéj nie czytaj: to wszystko jedno. Natura może z wychowaniem postąpić jak się jéj podoba, bo ma różne fantazye: albo zje albo nakarmi, wykołysze lub zdusi, zrobi olbrzyma, bohatera lub kłapoucha. Natura wielka, widzisz waść, panie Lacyna: zkąd Lukrecyusz *De natura rerum*, i lukrecya, nie rzymska, ale ta, którą jedzą od kaszlu, nudna jak ty kochany Regentowiczu... rozumiesz?

— Kiedy kto ciebie zrozumiał!

— Mniejsza o to, bylem ja siebie rozumiał. A nie zagrasz waćpan w warcaby?

— Nie. Mówią, że nasz przyszły dziedzic ma być bardzo piękny i obiecujący mężczyzna... przerwał Lacyna.

— Obiecujący? ja bym wolał dotrzymujący—odpał Radwanowicz—toby było lepiéj. Obiecać a dotrzymać dwa bieguny przeciwne...

— Ty bo mnie nie rozumiesz!

— Ale ba! pochlebiasz wpan sobie zdrów! rzekł śmiejąc się professor. Gdybyś zagadał po chińsku, opiwszy się herbaty, i takbym cię jeszcze kiedyś złapał na przesmyku, mój kochany. Spróbuj? Fu-si, dzi-li-kien-fen-pen, dza; rozumiesz?

— Mój professorze, na miłość Boga, ja z tobą zwaryuję.

— *Non bis in idem!* zawołał Radwanowicz—to być

nie może, kochany Regentowiczu; zkąd zaraz *bies* alias dyabeł, rzecz dwoista i dla tego dyabelska, etymologia łacińska. Inaczéj szatan od tego, że się szata, szasta, i basta. Demon, zkąd na myśl przychodzi Sokrates, Isokrates, Zoroaster i Knaster... A nawet... ale wpan na to nie pozwolisz, panie Lacyno,—plastęr?

— Tfu! panie Radwanowicz! coby ludzie powiedzieli, gdyby cię słyszeli?

— Coby powiedzieli? że jeden z nas waryat! ale jabym tego nie wziął do siebie, ręczę! odparł spokojnie professor. Wpan zaraz się burzysz, burza to jest fermentacya, godło zniszczenia, a panna Petronella jest godło pokoju i miłości: zkąd, *si vis pacem para bellum*. Już na to poszło, że ty i tego nie zrozumiesz, Regentowiczu Lacyno?

Gdy tak jeden z nich bredził, a drugi się niecierpliwił, w chwili gdy oba najmniéj się tego spodziewali, wpadł zdyszany Wicek, donosząc, że od miasteczka dostrzeżono koczobryk starego pana i furę Pawła, i że Jacek, który miał tak dobre oczy, że na staje zająca w kotlinie upatrywał, na furze starego Siermięzkiego nie dostrzegł, zkąd wnioskowano, że albo umarł, albo zachorował.

Lacyna porwał się żywo. Wąs jego wprawdzie był wyszwarcowany, ale jak na dni powszednie, nie zaś na przyjęcie pana; skoczył więc do lusterka, przy zręczności zaczesując czuba na prędce, podciągając węgierki, i poprawiając pół-tygodniowych, ale jeszcze białych kołnierzyków. Inni także nie próżnowali: na folwarku, w domu, oficynie ruszyło się co żyło, biegnąc do ganku witać nowego pana. Nie było już wątpliwości, że to on nadjeżdża... Pawła w istocie na furze nie było, ale dla tego tylko, że jechał z Jurasiem w po-

wozie, gdzie staremu było wygodniéj, i miał do kogo zagadać.

Żółty koczobryk zatrzymał się wreszcie przede drzwiami i tłumem gawiedzi, wyskoczył z niego najprzód w żałobę ubrany Juraś; za nim wydobyto powoli Pawła, który rękawem twarz zakrywszy, szlochał biedaczysko, nie mogąc spojrzeć na osieroconą Horycę.

W progu przedstawił się po wojskowemu, jak on to lubił choć kulał, Lacyna.

— Dawny sługa ojca JW. pana, Regentowicz Lacyna, poleca się opiece zacnéj krwi jego...

— Ex professor Radwanowicz, quasi bibliotekarz i lektor nieboszczyka jegomości, a w istocie *pondus inutilis*, po polsku, ciężar nieużyteczny. Co tam chcesz, to z nim postanowisz.

— Kto z panów bliżéj jest z Siermiężkim, niech się nim zaopiekuje... zawołał Juraś kłaniając się, wchodząc powoli i rozglądając się po pamiętnych mu z dzieciństwa miejscach.

— Jabym mógł, ale będę JW. panu potrzebny może, jako świadomy miejsca, rzekł Lacyna. A może jakie rozkazy?

— Ja jestem dość świadom także, bo pamiętam dobrze dom ojca, rzekł Juraś. Zaopiekujcie się biednym starym, proszę was bardzo, a mnie dziś zostawcie samego. Potrzebuję odpoczynku...

— Dokąd pan każe znosić rzeczy?

— Gdzie chcecie: to mi wszystko jedno...

To mówiąc śmiało, ale nie bez wzruszenia, żegnając się, Juraś przestąpił próg opustoszałego domu, i wszedł do téj siedziby, którą przed laty dobrowolnie opuścił.

Wszystko, co go tu otaczało, było smutne, zatęchłe,

grobowe, ciemną jakąś barwą okryte; a jednak z pod tego całunu wspomnienia dobywały się żywe i świeże, przykre zarazem i miłe.

Juraś przeszedł powoli pokoje, zastanawiając się tu i owdzie, a stanąwszy u kilku wschodów wiodących do ojca, zatrzymał się, nie śmiejąc pójść daléj.

— Nie wiem—rzekł w duchu—czy mi tam wolno, czym już ten cień zagniewany na mnie przebłagał!... Nie! nie pójdę! dodał—zostanę w progu, aż mi czyjakolwiek ręka sama te drzwi otworzy...

W chwili prawie gdy słów tych domawiał, domyślny chłopak, który posłyszawszy chód pana skierowany w tę stronę, pobiegł okrążając domostwo i powoli dłonią dziecięcą rozwarł te drzwi zaklęte. Juraś zastanowiwszy się chwilę nad dziwnym ziegiem okoliczności, jaki często zdumiewa w życiu, z religijném poszanowaniem dla ojca pamięci, powoli wstąpił do izby ostygłéj, w któréj tyle lat jak w klatce zamknięty z myślami, przebył sam, zdziczały starzec, walcząc z sercem, wmawiając sobie nieczułość, bolejąc nad zmarnowanemi chwilami.

Nie wiem, płakał czy modlił się Juraś, stojąc długo w milczeniu. Gdy powieki otworzył i usiadł z boku na ławce, ujrzał chłopaka, który pamiętny obyczaju starego pana, ogień na kominku rozkładał bojaźliwie, z pod oka spoglądając na biednego Jurasia. W drugich drzwiach ukazała się klucznica pani Seredowiczowa, w nowym czepku z pomarańczowemi wstążkami i chustce bagdadzkiéj, po nieboszce sędzinie odziedziczonéj, która się tylko kładła od wielkiego święta, z zapytaniem, czy pan sobie co kucharzowi zgotować nie każe? Od salki znowu wyskoczył Lacyna, pochrzą-

kując, aby się oznajmić, że stoi na zawołanie. Wszystkich ich Juraś grzeczném skinieniem odprawił.

Chwila przybycia do tego domu, uczucie, którém on go natchnął, były jakby spowiedzią z grzechu młodości. Tu dopiero uczuł, ile sieroctwa i smutku, ile godzin żalu zlał na głowę ojca; tu zrozumiał, ile był winien w obec Boga i ludzi, że się go wyrzekł, potępiwszy przed światem, skazując na wyrzuty i męczarnie. Stanęły mu przed oczyma dni spędzone przy tém ognisku, o których opowiadał Paweł—lata, które krokami powolnemi wydeptały ślady na posadzce—troski, które gryzły powoli więcéj zdrętwiałe niż zahartowane serce. Jasnowidzeniem odgadł wszystko, i zapłakał nad nim i nad soba.

Jeśli w téj chwili z wysoka duch ojca spojrzał na niego, musiał mu resztę winy przebaczyć.

W milczeniu nieruchomém przesiedział Juraś noc całą; sen dopiero o brzasku skleił jego powieki... Gdy się obudził, ujrzał znowu chłopaka, który cichutko wszedłszy, obowiązku swojego rozniecania ognia o świcie, dopełniał. Tak bywało za starego pana, i zdało mu się, że młody też same upodobania i zwyczaje co ojciec mieć musi.

Tym razem i Lacyna, który nie dając się nikomu uprzedzić, od dawna czatował, stanął na zwykłém swém miejscu z rapportem, ofiarując wierne służby. Wstał bardzo rano...

— Czego pan chcesz? zapytał Juraś, pocierając ręką po czole.

— Po rozkazy, JW. panie, *expresse*; może co wypadnie polecić?

— Nie, kochany panie, róbcie coście zwykli; niech

wszystko starym idzie obyczajem. Dajcie mi ochłonąć i przyjść do siebie.

— Właśnie to, wedle tego obyczaju, JW. starego hrabiego, świeć Panie nad jego jaśnie wielmożną duszą, *expresse*, przychodzę z rapportem jak do JW. nieboszczyka. Wszystko dobrze: w oborze, w owczarni; *item* w stajni. Możeby JW. pan chciał się pofatygować?

— Kiedyś, późniéj, panie Lacyno.

— Także, professor Radwanowicz czeka w bibliotece.

— Są tu konie? spytał nagle Juraś.

— A! a! stadnina paradna! odparł Lacyna.

— Każcie mi tam co młodego osiodłać.

Lacyna spojrzał, skłonił się i odszedł powoli, ale co młodego osiodłać nie było łatwo.

— Ujeżdżonych koni—rzekł wracając się z za progu — prawdę powiedziawszy tak jak nie ma, bo JW. hrabia dla bolu w nogach nie jeździł dawno i jeździć nie pozwalał, a młode, to tyle tylko wsiadane co do wody...

— To mi wszystko jedno, byle koń młody, a nogi miał zdrowe...

Czuł się złamanym Juraś, a jedynym dla niego środkiem było, gwałtownym ruchem do sił powrócić, jak nieraz tego doświadczał.

Zdało mu się, że i teraz kąpiel powietrza, walka ze zwierzęciem, widok okolicy, otrzeźwią go i wleją mu życie nowe.

Ale nie prędko doczekał się konia, którego w sześciu mu dobierali chórem: Paweł, pisarz, Lacyna, Radwanowicz, kucharz i furman, i ledwie zdecydowali się na najpowolniejszą szkapę, na któréj jeździł wirtuoz.

Juraś wyszedłszy, spojrzał i poznał, że takie stworzenie go nie rozłamie, ani zmarłych sił w nim obudzi.

— Pokażcie mi stadninę, rzekł po chwili.

— Wypędzić konie w dziedziniec! rozległy się głosy. — I parobcy pobiegli cwałem, a w kwadrans młodzież parskając i bijąc się przyleciała w skokach pod ganek.

— Czy siwy ten jeżdżony? spytał Jerzy, pokazując konika.

— No, tak... do wody—rzekł ekonom.

— Włożyć nań siodło i tręzlę...

Nie bez obawy i nie bez trudności rozkaz spełniono, a siwy choć się rwał i płoszył, musiał być posłuszny. We dwóch go przytrzymywali, gdy Juraś nań siadał, a gdy raz miał go w ręku, oparł się tylko o siodło, zebrał cugle, i z pośrodka stada ze zdumionéj gawiedzi, jak strzała groblą w świat poleciał. Koń i jeździec w jedno zda się zrośli ciało, obaj kopnęli niecierpliwie, szybko... tylko że ich widać na grobli, a za nimi kurzu tumanik, i nic już... Tłum stoi przerażony: nikt tu tak, nawet pastuszki na koniach nie jeżdżą. Myślano, że koń go rozniesie.

— Ależ jeździ! zawołał ekonom—to już można powiedzieć, że jeździ!

— A ja panu mówiłem, rzekł Lacyna: jemu ten gniady, to wół; co onby z nim robił! a do tego nieprzyzwoicie kłapouchy...

Radwanowicz stojąc z założonemi w tył rękoma, co żołądek jego sferyczny dobrze uwydatniało, pokiwał głową.

— *Eques*—rzekł—*eques*! dosiadł Bucefała! i... drała... Aleksander Macedoński, zkąd zaraz bierze się Arystoteles, wypływa logika, polityka i inne tyki. Za

czém — spytał — gdyby pójść na śniadanie, co logika wskazuje także gdy żołądek próżny? hę?

Lacyna nie był od tego, ani ekonom wirtuoz, i wszyscy zgromadzili się do pokoiku Regentowicza, wypili po kieliszku wódki, pozwalając sobie różnych zdań o nowym panu.

— Piękny mężczyzna... rzekł ekonom — a jaka twarz pańska choć ogorzała! Ramiona choć sążniem mierzyć.

— Statua, panie, Aleksandra Macedońskiego—dodał Radwanowicz—jak się to powyżéj powiedziało. Że zaś *mens saną in corpore sano*, czego asańslwo naturalnie rozumieć nie możecie, wnioskuję, że panisko będzie dobre z kościami...

— Ale młody! gorączka! rzekł Lacyna. Całą noc nie kładł się nawet; z rana nic nie jadł.

— No, to impressya panie, a wpanbyś co jadł?

— Co ma impressya do żołądka? zawołał Regentowicz, chleb smarując masłem grubo.

— Jest logika, ale *praëmissa* fałszywe. W żołądku, widzisz, wszystko się jednoczy; nawet starożytni niekiedy, nie bez przyczyny, w brzuchu duszę mieścili, gdy ich mocno zabolał; przez co się też dowodzi ta prawda, że smutek nie je, a niestrawność bywa smutna...

Ekonom z przywyknienia ruszył ramionami; Lacyna zajadł argument wędzonką.

— *Expresse*—rzekł—dał rozkaz, aby wszystko było po staremu, gospodarstwo i inne okoliczności domowe. Mam jego dyspozycyę autentyczną wpanom to oznajmić, ażebyście na włos ze starych obyczajów nie wykraczali.

— No, to rozumiem—dorzucił ekonom—i to chwalebnie...

— Ja też *laudo*, bo i Radwanowicz przy bibliotece *more antiquo*, śniadanie o swéj godzinie, pensya każdego pierwszego miesiąca, pięknie, chwalebnie, godnie... *Nomen tuum laudesque manebunt!* czego asańswu tłómaczyć nie będę.

— Przecież to się do szkół chodziło! rzekł Lacyna, który przy ekonomie nie lubił, aby mu przytykano nieuctwem.

— A cóż to znaczy *manebunt?* hę? jużci-ć tu jest bunt? ha? Zgadłeś, uczony Lacyno, kulą w płot... *Terra est rotunda et globosa...*

— Jadłbyś wpan, kiedy dali jeść.

— Czego nie omieszkam — dodał sapiąc ex-professor.

Rozmowa długo się jeszcze w ten sposób toczyła, ale towarzystwo horyckie w ogóle czuło się bardzo uspokojoném, i oczekując powrotu pana, ekonom zasiadł grać w warcaby, a Lacyna wziął się do fajki, którą lżéj jakoś już wzdychając, nałożył zalibockim.

— Ha! ha! rzekł w sobie: i synowi jeszcze służyć będę do zdechu! Nie wypędzi nas przecię, a może choć u niego człek się jakiéj konsyderacyi dobije. Prawdę powiedziawszy — dodał — tamten był niezły człowiek, ale twardy jak ser zawiędły i niczém go rozmoczyć; ten to co innego...

Tymczasem stugębna wieść rozchodziła się znowu po sąsiedztwie Zarubiniec i Robowa, równie dziwna jak te, co ją poprzedzały, o znalezieniu testamentu

nieboszczyka hrabiego, otwarciu i dyspozycyach w nim zawartych.

Sędzia Korokotowicz, jak tylko rozpieczętowano ostatnią wolę i kopię z niéj zdjęto poświadczoną urzędownie dla hrabiego Rajmunda, pobiegł z minką usłużną od komina do komina, zwiastując co testament w sobie zawiera. Opowiadał on, że hrabia pominąwszy wielkie o synu wspomnienie, jak gdyby go nigdy na świecie nie było, zapisał wszystek ruchomy i nieruchomy majątek, bez żadnego wyjątku, bratu swojemu hrabiemu Rajmundowi, z tém tylko, aby on go jak dożywotniego używał, i nienaruszonym zostawił swoim spadkobiercom.

Testament w ten sposób uczyniony wiele miał przeciwko sobie pod względem prawnym: bo najprzód przemilczał syna, którego od sukcessyi milczeniem tém tylko wyłączał, nic o nim i prawach jego nie wyrzekając; powtóre rozporządzał tém, co stanowiło fortunę spadkową, dziedziczną, w sposób nielegalny, bo majętności téj natury nikt rozpisywać nie ma prawa ze szkodą naturalnych sukcessorów; a co się tycze dorobkowego mienia, summ i kapitałów, które schodząc na brata, już przybierały charakter spadkowego majątku, obwarowywał użycie ich, czego nie mógł też, bez osobnégo, wyjątkowego na to pozwolenia, uczynić.

Że takie rozporządzenie bardzo łatwo obalone być mogło, nie było najmniejszéj wątpliwości. Zjawienie się syna, samo przez się niszczyło testament. Jednakże nie wiadomo było jak obaj, to jest stryj i synowiec, postąpią w obec tego dziwnego aktu.

W Zarubińcach oczekiwano niecierpliwie posłańca z miasteczka, a gdy przybył i doręczył list hrabiemu, uważano, że sam pobiegł z nim do swojego pokoju,

nie wzywając Żółtowskiego, nie oznajmiając o tém żonie, która płacząc modliła się i myślała, jak na to zaradzić, jeśliby testament co niepomyślnego dla Jurasia zawierał. Zastraszało ją usposobienie męża, milczenie przed nią, stan interesów... wszystko.

Gdy kopia nadeszła, na długich parę godzin hrabia zamknął się sam na sam u siebie, jakby się chciał z sobą naradzić co ma czynić. Wrażenie, jakiego doznał, nikt nie wyśledził oprócz Malczaka, który nie wychodząc ze swego obyczaju, nie mogąc podsłuchywać, starał się podpatrzyć, a znał hrabiego tak dobrze, iż po ruchach i minie czytał co się w nim działo.

Z rękami na przygiętych kolanach wspartemi, z okiem ciekawie w dziurkę od klucza wlepioném, w kaftaniku i pantoflach, Malczak wyglądał na jakąś postać Hofmanowskiéj powieści, ze swoją skrzywioną gębą i uśmiechem, chwilami dziwne z niego czyniącym straszydło. Stał na palcach razem i złamany we dwoje, opierając się czołem o zamek; odchodził, powracał, w duszy ciekawy prowadząc z sobą monolog.

— O! czyta! czyta! mówił do siebie,—a brwi mu się jeżą... nic to jeszcze, medytuje... zawsze brwi marszczy, gdy na rozum bierze. O! i usta mu się uśmiechnęły, to dobrze... jest coś dla niego. Położył papier, myśli, pociera czoło, kiwa głową, nadął się: będzie miał pieniądze. Jak tylko ma pieniądze w kieszeni, nadyma się, i jak już ani gronia w domu, także. Więc czego się nadął? trudno dojść; ale mu dobrze z oczu patrzy. Aby on miał, to się i Malczakowi okroi. Z ukosa znowu czyta: widać nie od razu zrozumiał, a summuje, summuje. Coś to będzie u nas nowego! Héj! héj! zatarł ręce—i Malczakowi się okroi!

W godzinę po odebraniu testamentu, hrabia trzymając go w ręku, zszedł powoli zamyślony do pokojów żony; zastał ją bladą, wylękłą i niespokojną. Widok tego papieru dostateczny był do wznowienia jéj obawy; musiała usiąść, aby mąż nie postrzegł jak drżała, nie śmiejąc pierwsza zagadnąć go o wielką tajemnicę.

— No! rzekł hrabia ponuro i sucho, nareszcie mamy już wolę nieboszczyka, chociaż nie wiem prawdziwie, czy ją wyraził w sposób dosyć prawomocny.

— A! tam gdzie się rzeczy tyczą stosunków rodzinnych — szepnęła hrabina — czyż potrzeba form i prawa?

— Zawsze, moja pani, zawsze, odparł Rajmund. W tém, zdaje mi się, różnią się wielce nasze pojęcia, jak zresztą w wielu innych rzeczach. A choć w téj sprawie żadnéj nie mam potrzeby stosować się do twoich przekonań, bo to całkiem moja rzecz, chcę ci się przecię z moich myśli wytłómaczyć i objaśnić je.

— Słucham, kochany Rajmundzie. Cóż tam znalazłeś?

— To, o czém nie wątpiłem. Herman o synu, którego nie miał, który jego władzą rodzicielską pogardził i z domu uciekł, ani nawet wspomina... majątek cały mnie zapisał!

Marya zbladła pochyliła głowę i załamała ręce. Rajmund mówił daléj:

— I tak powinno się stać było. Wy tam się nad nim rozczulacie jak nad bohaterem, a to po prostu awanturnik, który szkodą tylko, że imię nasze nosi.

— Mężu kochany, nie sądźmy!

— Nie sądźmy, gdy nie ma z czego: sądźmy i karzmy surowo gdy jest za co! odparł hrabia.

Żona spojrzała nań błagająco.

— Testament—odparł powoli Rajmund — nię jest dobry, ale mam nadzieję utrzymać go w części; w części obalę, bo w nim jest niedorzeczność...

Marya całą nadzieję złożywszy w téj niedcrzeczności, słuchała.

— Jest to, że zapisuje mi wprawdzie cały majątek, ale jako dożywocie, nie dając mi nim swobodnie rozporządzać. Za cóż? dla czego to ograniczenie? Z natury rzeczy to upada... Napisał, że ma w całości przejść do moich spadkobierców: to upakarzające dla mnie.

— A mój drogi — wstając i zbierając się na sił ostatek, odezwała się hrabina—zastanów się! Nie to jedno upokarzającém jest dla ciebie: gorzéj, przykrzéj, sromotniéj, że zabierasz dziecku majątek, który się mu należy. Nie! ja znam ciebie, tyś szlachetny, ty tego nie przyjmiesz! Wiesz kiedy testament był zrobiony, przekonany jesteś jak ja, że umierając wolę odmienił: oddasz wszystko jego synowi. Jakżebyśmy ludziom spojrzeć mogli w oczy, odarłszy prawego spadkobiercę? Mogliżbyśmy spokojnie tego daru, który się nam nie należy, używać? Rajmundzie—dodała błagająco—myśl zejdź do serca swojego; uczyń to, co ci honor i sumienie podyktują.

— Moja pani—odparł hrabia powoli—bądź wpani pewna, że mi honor i cześć rodziny droższe są może niż jéj saméj; ale wpani to po kobiecemu, sentymentalnie pojmujesz. Dziecię to nie zasłużyło ani zwać się, ani być jego synem; nie ma o niém wspomnienia w testamencie: to jasno! to bardzo jasno! Nie myśl wpani jednak, abym nie mogąc mu odebrać imienia zmuszony je przy niém zostawić, rzucił go tak na

pastwę nędzy... Coś mu się da przecię. Herman przytém oczywiście skrzywdził mnie przy podziale ojcowizny; bo dla czegoż on bogaty, gdy ja się zaplątałem! To jasno, zdaje mi się.

— Mój drogi, on pracował i oszczędzał...

— A ja, tom marnotrawił i próżnował? Cóż to znowu za kobiece gadanie! oburzył się hrabia. Biorę to tylko, co mi się należy; a jemu jemu... się coś da!

— Na Boga! mój Rajmundzie drogi, to być nie może!

— Tak będzie, rzekł hrabia. Potrzeba go zmusić, by pracował, złamać jego dumę, upokorzyć. Jeśli zechce mieć kawałek chleba, musi mnie słuchać: naówczas coś się mu obmyśli. Musi się poddać mojemu rozporządzeniu.

— Nie przeczę—odezwała się powoli hrabina, któréj serce biło żywo, ale wiedziała, że wprost sprzeciwiając się mężowi, tylko go w uporze umocni — nie przeczę, że zamiary twoje względem niego mogą być najlepsze, że myśl może być bardzo szczęśliwa. Ale zważ: to młody człowiek, już dorosły: możnaż się kusić o przerobienie go? Co ludzie powiedzą, gdy zagarniesz to, co się jemu należy?

— Co ludzie powiedzą? to mi wszystko jedno! Los jest sprawiedliwy: odzyskuję w ten sposób com pokrzywdzony utracił. Niech sobie gadają: ja biorę co moje.

— Co twoje! Rajmundzie! ty to swojém nazywasz?

— Nazywam: jest moje! odparł Rajmund dumnie, tego mnie uczyć nie będziesz, co jak mam mianować!

Hrabina spojrzała mu w oczy, a załzawione jéj źrenice błysnęły ogniem energii, jakiéj nigdy nie okazywała. Ujęła męża za rękę, i zaczęła powoli, ale z siłą:

— Znasz mnie — rzekła — nie zwykłam nigdy mieszać się w twoje majątkowe sprawy. Rozporządzałeś niemi, swojém i mojém mieniem, jak ci się podobało; patrzałam na to obojętnie, nie pytam co się z tém stało i co dziecięciu zostawimy. Bóg wielki, pieniądz nie jest duszą życia... Ale w téj chwili, gdy w oczach Boga i świata, korzystając z omyłki, masz zagarnąć nieprawnie cudzą własność, i mój głos z piersi dobyć się musi.

Hrabia cofnął się groźny i drżący od gniewu.

— Wpani się zapominasz! zawołał.

— Nie: dopełniam obowiązku. Uczynisz potém co ci się podoba, ale dziś wysłuchać mnie musisz. Tak być nie może. Testament złożony był na moje ręce; wiem i czuję, że w sercu jego został cofnięty. Co weźmiesz od tego dziecka, nosić będziesz na sumieniu jako krzywdę... Da się to wytłómaczyć, nie daje uniewinnić... Ojcze mój! panie, mężu! nie kalajmy rąk naszych! to cudze! to sieroce!... Jakiémże prawem wydzielać mu będziemy część z tego, co całe jest jego własnością? Jakiém prawem oddamy naszemu dziecku to, co cudzemu zostanie wydarte? Jak spojrzymy w oczy ludziom!

— Wpani mnie uczysz! Co to jest? zakrzyczał hrabia. Wpani wiesz, że ja tego nie zniosę! Ja wiem co i dla czego czynię, i czuje co sprawiedliwe. Przecięż i ja chcę wymiaru sprawiedliwości.

— Pojmuje, wierzę, że to sobie tłómaczyć możesz, ale rozumiesz źle... Człowiek jest słaby, ty się mylisz; ludzie potępiając cię ze mną, uczynią to sprawiedliwie.

— Ja nie dbam o ludzi i o takie sądy! odparł Rajmund, ruszając ramionami.

— Mój Rajmundzie, na Boga! idziemy drogą, która nas do przepaści prowadzi! Zlituj się, pomyśl, a ręczę, że zrzeczesz się téj ofiary. Nie dotykajmy cudzéj własności.

— Kobieta jesteś—rzekł hrabia dumnie—ty tego nie rozumiesz. W każdym razie, podług moich pojęć, jestem głową domu, mam prawo rodzinną rozporządzać fortuną, zrobię jak zechcę... Radzić się nikogo nie myślę...

Hrabina zakryła twarz rękami, i gorzko płakać poczęła.

— Tegom się dożyć nie spodziewała—szepnęła cicho—takiego wstydu i upokorzenia... Ciebie! ciebie! widzieć wydziercą cudzéj własności! to gorzéj niż opłakać umarłego, niż saméj umrzeć sto razy!...

Energia, z jaką Marya pierwszy raz w życiu występowała, pomimo żelaznego uporu, wzruszyła jednak hrabiego; ale go raczéj podrażniła, rozgniewała, niżeli wpłynęła na przekonanie. Postał chwilę, ruszył ramionami, groźnie popatrzał na nią, i odszedł zatrzaskując drzwi za sobą.

Hrabina skłoniła głowę, jakby uderzona toporem, i rozpłakała się gorzkiemi łzami. Łamiąc ręce jak do modlitwy, klękła, ale się modlić nie mogła.

W takiéj postawie rozpaczy znalazła ją córka, którą smutek ten przeraził; badać jéj jednak nie śmiała. Matka pocałowała ją w czoło i silnie przycisnęła do piersi.

— Módlmy się, dziecko moje! szepnęła po cichu: Bóg nam tylko pozostał!

(*Dokończenie w tomie piątym*).




BIBLIOTEKA PUBLICZNA
1907

